



JOSEPH CONRAD
W OCZACH ZACHODU

Joseph Conrad

W oczach Zachodu

Przełożyła Helena Pajzderska



Fundacja Festina Lente

*Pracę tę poświęcam
PANI AGNES ROBIN
która wniosła w nasze progi ducha przyjaźni
z najdalszych krańców Zachodu
Joseph Conrad*

*Wzięłabym wolność z każdej ręki,
tak jak człowiek głodny porwałby kawałek chleba.*

Panna Haldin

CZEŚĆ PIERWSZA

Na wstępie muszę zaznaczyć, iż nie posiadam zgoła tych wysokich darów wyobraźni i wyrazu, które pozwoliłyby memu pióru przedstawić czytelnikowi osobowość człowieka, mieniacego się, według rosyjskiego zwyczaju, Cyrylem, synem Izydora — Kiryłem Sidorowiczem Razumowem.

Jeżeli w ogóle posiadałem kiedyś te dary, zniknęły one już dawno pod kłębowiskiem słów. Słowa, jak wiadomo, są wielkimi wrogami rzeczywistości. Ja zaś przez wiele lat byłem nauczycielem języków. Jest to zajęcie, które w końcu przynosi zgubę wszelkim zasobom wyobraźni, obserwacji i przenikliwości, mogącym być udziałem przeciętnego osobnika. Dla nauczyciela języków przychodzi czas, kiedy świat staje się jedynie krainą słów, a człowiek — stworzeniem gadającym, niewiele ciekawszym niż papuga.

W takim stanie rzeczy nie byłbym zgoła zdolnym dostrzec ani przeniknąć istoty pana Razumowa, a cóż dopiero wyobrazić go sobie takim, jakim był. Nawet wymyślenie podstawowych faktów jego biografii przekraczałoby moje siły. Sądzę jednak, że i bez mego zastrzeżenia czytelnicy tych kartek odczują, iż treść ich oparłem na dokumentach. I tak jest w istocie. Treść opiera się na dokumencie, a cały mój współudział ogranicza się do znajomości języka rosyjskiego, wystarczającej dla tego, co tu przedsięwziąłem. Dokument ów jest czymś w rodzaju dziennika, mimo że nazwa ta nie określa go ściśle. Nie jest on bowiem pisany z dnia na dzień, aczkolwiek wszystkie notatki są datowane. Niektóre obejmują kilkumiesięczny przeciąg czasu i rozciągnięte są na tuzinach stron. Cała wcześniejsza część jest rodzajem opowiadania, odnoszącego się do zdarzenia, które miało miejsce na rok wcześniej. Tu muszę zaznaczyć, że długi czas mieszkałem w Genewie. Jedną z dzielnic tego miasta, ze względu na pokaźną liczbę przebywających tam Rosjan, nosi nazwę Mała Rosja. W owym czasie zażyłe stosunki wiązały mnie z ową Małą Rosją, wyznać jednak muszę, że zgoła nie pojmuję charakteru Rosjan. Brak logiki w ich postępowaniu,

arbitralność, z jaką narzucają swoje wnioski, tak często trafiająca się wśród nich wyjątkowość natur, wszystko to nie przedstawia wielkich trudności dla znawcy zawłości gramatyki; istnieje jednak jeszcze coś poza tym, jakiś szczególny rys ludzki, jakaś subtelna odrębność, nieuchwytna dla przeciętnego naukowca. Co przede wszystkim uderzyć musi nauczyciela języków, to nadzwyczajne lubowanie się Rosjan w słowach. Gromadzą je, miłują, ale nie przechowują ich w piersiach; owszem, gotowi są w każdej chwili, w każdej porze dnia lub nocy wyrzucić je z siebie z takim rozmachem, z taką jakąś mechaniczną swadą wyćwiczonych papug, że można zwątpić, czy istotnie rozumieją to, co mówią. W sposobie ich mowy jest jakiś szlachetny polot, który stawia ją z dala od pospolitego gadulstwa; pomimo to jest ona zawsze zbyt bezładną, by można ją nazwać krasomówstwem. Muszę jednak przeprosić za tę dygresję.

Płonnym byłoby zastanawiać się, dlaczego w ogóle Razumow pozostawił ten pamiętnik. Trudne do pojęcia jest pragnienie, aby go ludzkie oko oglądało. Wchodzi tu w grę zapewne jakiś tajemniczy popęd ludzkiej natury. Nie licząc Samuela Pepysa, który tą drogą zyskał nieśmiertelność, niezliczona rzesza zbrodniarzy zaciętych, filozofów, młodych dziewcząt, mężów stanu i zwykłych głupców spisywała swoje najskrytsze myśli; niewątpliwie przez próżność, lecz także i z innych, niezgłębionych powodów. Musi istnieć w słowach dziwnie kojąca potęga, skoro tylu ludzi szuka w nich pociechy. Jako osobnik spokojny, przypuszczam, że to, za czym wszyscy ludzie się uganiają, jest pewnym rodzajem lub może tylko pewnym czynnikiem spokoju. Nie ulega wątpliwości, że głośno dopominają się o to w dzisiejszych czasach. Jaki jednak rodzaj ukojenia spodziewał się znaleźć Cyryl Sidorowicz Razumow w pisaniu pamiętnika, tego w żaden sposób odgadnąć nie jestem w stanie.

Faktem jest, że go pisał.

Razumow był wysokim, kształtnym młodzieńcem, niezwykle śniadym jak na mieszkańca Rosji Środkowej. Bezsprzecznie można by go nazwać pięknym, gdyby nie dziwny brak subtelności rysów. Miał twarz jakby topornie wymodelowaną w wosku — poniekąd nawet bliską klasycznego typu — którą trzymano przy ogniu tak długo, aż czystość konturów zatarła się w topniejącym materiale. Ale nawet jako taki był on dostatecznie ujmujący. Ujmujące również było jego obejście. W rozmowie łatwo dawał się zbić z tropu argumentami i siłą autorytetu. W obecności młodszych rodaków przybierał postawę nieprzeniknionego słuchacza z gatunku tych, którzy zdają się słuchać z rozwagą i ze zrozumieniem, a potem zmieniają temat rozmowy.

Ta właściwość, która mogła wpływać albo z jakichś intelektualnych braków, albo z niedostatecznej wiary we własne przekonania, zjednała Razumowowi opinię głębokiego myśliciela. Wśród gromady zacierzewionych gadułów, mających zwyczaj wyczerpywania się codziennie namiętymi rozprawami, milkiwy osobnik uchodzi zawsze za obdarzonego potęgą wstrzemięźliwości. Pomiedzy kolegami Cyryl Sidorowicz, student trzeciego roku filozofii uniwersytetu Petersburskiego, miał opinię natury silnej i

człowieka godnego zaufania. W kraju, w którym przekonania bywają zbrodnią karaną śmiercią lub czasem gorszą od śmierci dołą, znaczyło to, że można było wywnętrzyć się przed nim z poglądów zakazanych. Lubiano go też dla jego uprzejmego obejsia i cierpliwej gotowości w oddawaniu kolegom drobnych przysług, nawet gdy to było połączone z pewną osobistą ofiarą.

Razumow był jakoby synem popa i miał opiekuna w osobie wysoko postawionego magnata, z tych samych zapewne odległych stron rodem. Ale powierzchowność młodzieńca przeczyła tak skromnemu pochodzeniu. Było ono po prostu nie do uwierzenia. Przebąkiwano też, że Razumow był synem ładnej córki popa, co oczywiście stawiało sprawę w innym świetle, a jednocześnie czyniło zrozumiałą protekcję owego dygnitarza. Nie tłumaczono sobie tego jednak złośliwie. Nikt nie wiedział, kim był ów dygnitarz, i nikt się tym nie przejmował. Razumow otrzymywał skromną, ale zupełnie wystarczającą pensyjkę z rąk jakiegoś podrzędnego adwokata, który również opiekował się nim do pewnego stopnia. Kontaktów towarzyskich w stolicy Razumow prawie nie miał. Od czasu do czasu ukazywał się na jakichś nieoficjalnych przyjęciach profesorskich. Na wykłady uczęszczał regularnie i władze uważały go za wielce obiecującego studenta. Pracował na sposób człowieka, który chce dojść do czegoś, lecz nie odgradza się w tym celu od reszty świata. Zawsze był dostępny i w jego życiu nie było nic tajemniczego lub niejasnego.

I

Początek opowiadania Razumowa łączy się z przypadkiem zamordowania wybitnego męża stanu, faktem, charakteryzującym współczesną Rosję, a bardziej jeszcze oświetlającym moralne zepsucie uciśnionego społeczeństwa, gdzie najszlachetniejsze dążenia ludzkości, pragnienie swobody, gorący patriotyzm, miłość sprawiedliwości, uczucie litości, a nawet wierność umysłów prostych wypaczają się w wybrykach nienawiści i trwogi, tych nieodłącznych towarzyszy niespokojnego despotyzmu.

Wyżej wspomniany fakt odnosi się do udanego zamachu sprzed paru lat na życie pana de P. , prezesa osławionej Komisji Represyjnej, męża stanu, obdarzonego wyjątkową władzą. Była to osobistość, o której rozpisywano się szeroko w prasie, a portrety, pojawiające się raz po raz w europejskich ilustracjach, spopularyzowały tę chudą postać fanatyka w kapiącym od złota mundurze, ze zmiętą, pergaminową twarzą, z wyblakłymi oczyma, patrzącymi tępo przez szkła okularów, z orderem świętego Prokopa, wiszącym na wyschłej szyi. Służył on monarchii, więząc, wysyłając na wygnanie lub na szubienicę mężczyzn i kobiety, starych i młodych z jednakową, niewzruszoną, niezmordowaną gorliwością. Bezwzględny zwolennik idei autokratyzmu, ścigał i tępił w urzędach państwowych wszystko, co mogło mieć jakiś pozór wolności, a bezlitosne prześladowanie dorastającego pokolenia zdawało się świadczyć, że dążeniem jego jest unicestwienie samej nawet nadziei wolności.

Mówią, że ten gnębiciel i kat w swej fanatycznej ciasnocie wyobraźni nie zdawał sobie sprawy z nienawiści, jaką wzbudzał. Trudno w to uwierzyć, faktem jest wszelako, że nie przedsięwziął żadnych prawie środków ostrożności, dotyczących się jego własnego bezpieczeństwa. W przedmowie do jakiegoś słynnego *ukazu* oświadczył kiedyś, że „myśl o wolności nie istniała nigdy w zamiarach Stwórcy. Ze zbiorowiska ludzkich narad może się zrodzić jedynie bunt i nieład; a bunt i nieład w świecie, stworzonym do posłuszeństwa i porządku, są grzechem. Nie Rozum lecz Władza jest wyrazem Boskich Zamiarów. Bóg jest Autokratą Wszechświata...” Możliwe więc, że człowiek, który wygłaszał podobne przekonania, wierzył święcie, iż niebo obowiązane było opiekować się nim w jego bezlitosnej obronie autokracji na ziemi.

Niewątpliwie czujność policji ocaliła go po wielokroć, ale gdy nadeszła jego godzina, odnośne władze nie mogły go ustrzec. Nie wiedziały bowiem o zamachu, knutym na życie prezesa; nie doszła do nich najlżejsza wskazówka o spisku ze zwykłych źródeł informacji, nie dostrzegli żadnych oznak ani podejrzanego ruchu wśród niebezpiecznych osób.

Pan de P. jechał na stację kolei żelaznej w dwukonnych odkrytych sankach, z lokajem i stangretem na kozle. Śnieg padał przez całą noc, a że miało to miejsce wczesnym rankiem, to nieodgarnięta jeszcze droga była bardzo ciężka dla koni i sanie posuwały się zwolna wskroś trwającą wciąż zadymkę. Gdy przed zakrętem zjechały na lewo, lokaj zauważył idącego z wolna brzegiem chodnika wieśniaka, z rękoma w kieszeniach baraniego kozucha i z głową wtuloną w ramiona pod padającym gęsto śniegiem. Gdy sanie zrównały się z wieśniakiem, ten odwrócił się nagle i wyciągnął rękę. Nastąpił straszny wybuch, którego odgłos stłumiła obfitość sypiącego się śniegu; oba konie padły, a stangret, krzyknąwszy przeraźliwie, zleciał z kozła, raniony śmiertelnie. Lokaj (który ocalał) nie miał czasu zauważyć twarzy człowieka w baranym kozuchu. Ten ostatni, rzuciwszy bombę, odszedł, ale prawdopodobnie, widząc ludzi biegnących zewsząd na miejsce wypadku, uznał za bezpieczniejsze powrócić z nimi.

W mgnieniu oka wokół sań zebrał się podniecony tłum. Prezes, wysiadłszy w nietknięty w śnieg, stał nad jęczącym stangretem i, zwracając się raz po raz do otaczających, powtarzał swym słabym, bezradnym głosem: „Proszę was, odstepcie. Na miłość boską, proszę was, dobrzy ludzie, odstepcie!”

Wtedy jakiś wysoki młodzieniec, który stał spokojnie pod bramą, o dwa domy dalej, wystąpił na ulicę i, zbliżywszy się szybko, rzucił drugą bombę ponad głowami tłumu. Prezes pochylał się właśnie nad umierającym stangretem, kiedy bomba uderzyła go w ramię, spadła mu pomiędzy nogi, wybuchnęła ze straszliwą siłą, kładąc go trupem na miejscu, dobijając ранego stangreta i wprost miażdżąc na drzazgi puste sanki. Tłum z wrzaskiem przerażenia rozproszył się we wszystkich kierunkach; pozostali jedynie ci, którzy stali najbliżej prezesa i wraz z nim ponieśli śmierć na miejscu, oraz paru innych, którzy padli, odbiegając kilka kroków.

Pierwszy wybuch zgromadził tłum jak za dotknięciem laski czarnoksiężskiej, drugi równie szybko opustoszył ulicę na setki jardów w każdym kierunku. Poprzez padający śnieg ludzie patrzyli z daleka na kupkę ciał, leżących jedno na drugim w pobliżu trupów obu koni. Nikt nie śmiał się zbliżyć; po chwili przygalopował patrol kozacki i, zsiadłszy z koni, zaczął oglądać zwłoki. Pośród niewinnych ofiar drugiej eksplozji leżał trup człowieka w baranym kozuchu, ale twarz była nie do rozpoznania; w kieszeniach jego nędznej odzieży nie znaleziono absolutnie nic i był on jedyną ofiarą o niepotwierdzonej tożsamości.

Tego dnia Razumow wstał o zwykłej porze i spędził rano w gmachu uniwersytetu, słuchając wykładów i czas jakiś pracując w bibliotece. W porze obiadowej słyszał w studenckiej jadalni, gdzie jadał zazwyczaj obiad o drugiej godzinie, pierwsze mgliste pogłoski o rzuceniu bomby. Ale to były tylko szeptaki, a że działo się to w Rosji, nie było rzeczą bezpieczną, zwłaszcza dla studenta, interesować się zbyt szeptami pewnego rodzaju. Razumow należał do tych ludzi, którzy, żyjąc w czasach niepokoju umysłowego i politycznego, instynktownie trzymają się nurtu normalnego, praktycznego życia. Wyczuwał do pewnego stopnia napięcie uczuciowe swoich czasów, wstrząsające głucho społeczeństwem, żywił nawet dla nich jakąś nieokreśloną sympatię, ale przede wszystkim myślał o swojej pracy, studiach i przyszłości.

Pozbawiony był rodziny oficjalnie i faktycznie (popadanka bowiem od dawna nie żyła), żadne więc wpływy domowe nie kształtowały jego pojęć ani uczuć. Był tak samotny na świecie jak rozbitek na morzu. Nazwisko Razumow było po prostu określeniem samotnej jednostki. Nie istnieli nigdzie żadni Razumowowie, do pokrewieństwa z którymi byłby się mógł przyznać. Najbliższą dlań krewną była Rosja. Czegokolwiek dobrego spodziewał się od życia, lub jakiegokolwiek nadzieje miałyby mu być odjęte — to jedynie za sprawą tego źródła — Rosji. A jako że wewnętrzna rozterka szarpała tę olbrzymią rodzinę, on stronił od pola walki instynktownie, tak jak człowiek dobry i spokojny cofa się przed wzięciem udziału w gwałtownej kłótni rodzinnej.

Razumow, wracając do domu, myślał, że będąc już dostatecznie przygotowanym do egzaminów, mógłby teraz poświęcić czas pracy na konkurs rozpisany przez Ministerstwo Oświaty. Uśmiechał mu się srebrny medal. Nazwiska ubiegających się o tę nagrodę miały być przedstawione ministrowi. Sam fakt wzięcia udziału w konkursie był życzliwie widziany w wyższych sferach, a posiadacz medalu po uzyskaniu dyplomu mógł się spodziewać intratnej posady. Student Razumow w przystępie pychy zapomniał o niebezpieczeństwach, grożących trwałości instytucji, które rozdają nagrody i posady. Ale przypomniawszy sobie zeszłorocznego medalistę, Razumow, młodzieniec niemający rodziny, otrzeźwiał, pomiarkował się i uspokoił. Był właśnie z paroma innymi studentami u tego kolegi w chwili, gdy ów otrzymał urzędowe zawiadomienie o powodzeniu. Spokojny, skromny młodzieniec rzekł z lekkim uśmiechem, biorąc czapkę: „Darujcie, idę kupić wina, ale przede

wszystkim pośle telegram do domu. To się dopiero starzy ucieszą! Całą okolicę sproszą na popijawę”.

Razumow pomyślał, że nie dla niego taka perspektywa; jego powodzenie nie ucieszy nikogo. Nie żywił jednak goryczy względem protektora, który nie był prowincjonalnym magnatem, jak to ogólnie przypuszczano. Był to ni mniej, ni więcej tylko Książę K., niegdyś wielki światowiec i ulubieniec salonów, a teraz, gdy dni jego świetności minęły, senator i schorowany podagryk, żyjący wciąż jeszcze wspaniale, ale już w zaciszu domowym. Miał kilkoro dzieci i żonę, równie dumną jak on sam arystokratkę. Przez całe swoje życie raz tylko Razumow zetknął się z Księciem osobiście.

Miało to pozór przypadkowego spotkania w gabinecie adwokata. Przyszedszy o umówionej godzinie, zastał tam wysokiego, o arystokratycznym wyglądzie pana, z jedwabistymi, siwymi faworytami. Łysy, z chytrą twarzą prawnik zawołał: „Wejdz pan, wejdz, panie Razumow” z pewną ironiczną serdecznością. Po czym, zwracając się uniesieniem do wysokiego pana, rzekł: „Oto mój pupil, ekscelencjo. Jeden z najbardziej obiecujących studentów na moim wydziale w uniwersytecie petersburskim”. Ku swemu najwyższemu zdziwieniu Razumow ujrzał białą, kształtną rękę, wyciągającą się ku niemu. Zmieszany, ujął ją z lekka (była miękka i bezwładna) i jednocześnie usłyszał półlaskawy szept, w którym rozróżnił tylko słowa: „Zadowolony”, „Trwaj”. Ale najbardziej zdumiewającą rzeczą było, że młodzieniec uczuł nagle wyraźny uścisk białej, kształtnej ręki, niby jakiś znak tajemniczy. Doznał tak szczególnego wstrząśnienia, że serce zamarło mu w piersiach. Gdy podniósł oczy, arystokratyczny nieznajomy, odsunawszy na bok adwokata, skierował się ku drzwiom i wyszedł.

Adwokat czas jakiś porządkował papiery na biurku.

— Wiesz, młodzieńcze, kto to był? — zapytał nagle. Razumow, który jeszcze nie mógł złapać oddechu, wstrząsnął głową w milczeniu.

— To był Książę K. Dziwisz się, co on mógł robić w norze takiego biednego szczonego prawniczego jak ja, co? Tacy wielcy panowie miewają swoje sentymentalne ciekawostki, jak zwykli grzesznicy. Ale gdybym był tobą, Cyrylu Sidorowiczu — ciągnął dalej ze szczególnym naciskiem na tak zwane *otczestwo* — nie przechwalałbym się tą znajomością. Byłoby to nieroztropni z twojej strony, Cyrylu Sidorowiczu. O!tak! Mogłoby być nawet niebezpieczne dla twojej przyszłości.

Uszy młodzieńca płonęły jak ogień, w oczach mu pociemniało. „Ten człowiek”, powiedział do siebie. „On”.

Od tej pory Razumow przyzwyczał się określać w ten sposób w myślach nieznajomego o siwych, jedwabistych faworytach. Od tej pory również, przechodząc arystokratyczną dzielnicę, przyglądał się z zainteresowaniem wspaniałym powozom i zaprzęgom z liberią Księcia K. na koźle. Raz zobaczył Księżnę, wysiadającą z karety i wchodzącą do sklepu w towarzystwie dwóch dziewczynek, z których jedna była o głowę wyższa od drugiej. Ich jasne włosy

spadały luźno na plecy według angielskiej mody; obie miały błękitne, roześmiane oczy, jednakowe płaszczyki, mufki i futrzane czapeczki, a policzki ich i noski były zaróżowione od mrozu. Przeszły chodnik w poprzek, tuż koło Razumowa, on zaś poszedł dalej, uśmiechając się z lekka do siebie. „Jego” córki, podobne do „Niego”. Młodzieniec czuł szczególną życzliwość dla tych dziewczynek, które nigdy o jego istnieniu wiedzieć nie będą. Niezadługo wyjdą za mąż za jakichś generałów lub szambelanów i same będą mieć dzieci, które może kiedyś usłyszą o nim, jako o sławnym, starym profesorze, odznaczonym, może tajnym radcy, jednej ze sław Rosji — niczym więcej!

Ale sławny profesor jest kimś. Dystynkcja przeistoczy etykietę „Razumow” w szanowane powszechnie imię. Nie było nic dziwnego w pragnieniu studenta Razumowa, ażeby się wyróżnić. Prawdziwym życiem człowieka jest to, jakim go darzą w myślach swoich ludzie powodowani naturalną miłością lub szacunkiem.

Wracając do domu w dzień zamachu na pana de P., Razumow postanowił wziąć się do pracy dla uzyskania srebrnego medalu.

Wstępując z wolna na czwarte piętro po ciemnych, brudnych schodach domu, w którym mieszkał, był pełen wiary w powodzenie. Nazwisko medalisty będzie ogłoszone w gazetach w dzień Nowego Roku. I na myśl, że „On” prawdopodobnie je przeczyta, Razumow aż przystanął na schodach, po czym poszedł dalej, uśmiechając się z lekka z własnego wzruszenia.

— Et, głupstwo — pomyślał wnet — ale medal to niezła rzecz na początek.

Myśl o pracy w ciepłe własnego pokoju podziałała na niego przyjemnie i zachęcająco.

— Popracuję ze cztery godziny — pomyślał.

Ale zaledwie zamknął za sobą drzwi, osłupiał. Pod piecem, połyskującym w pomroce białymi kaflami, stała jakaś czarna postać w długich butach i karakułowej czapce na głowie. Miała wygląd gibki i męski. Razumow był w najwyższym stopniu zmieszany. Dopiero gdy postać, postąpiwszy ku niemu parę kroków, spytała spokojnym, poważnym głosem, czy drzwi od sieni zamknięte, odzyskał mowę.

— Haldin! Wiktor Wiktorowicz! To ty? Tak, drzwi od sieni zamknięte. Ale doprawdy, nie spodziewałem się zastać cię tutaj.

Wiktor Haldin, jeden z najstarszych wiekiem studentów, nie odznaczał się gorliwością w naukach. Na wykładach prawie go nie widywano i u władz miał złą opinię, jako „duch niespokojny”. Cieszył się jednak ogromnym uznaniem kolegów. Razumow nie był z nim nigdy blisko. Spotykali się czasem na zebraniach koleżeńskich w mieszkaniach innych studentów. Raz nawet posprzeczali się o pryncypia, tak drogie krewkim młodym umysłom.

Razumow byłby wolał, żeby Haldin wybrał inną porę do przyjścia na pogawędkę. Czuł się w tak dobrym usposobieniu do konkursowej pracy! Ale ponieważ Haldina nie można się było pozbyć łatwo jak pierwszego lepszego,

Razumow, siląc się na gościnność, poprosił go, by usiadł. Poczęstował go papierosem.

— Cyrylu Sidorowiczu — rzekł tamten, zrzucając czapkę karakułową — nie jesteśmy może z jednego obozu. Twoje pojęcia są bardziej filozoficzne. Jesteś małomówny, ale nie spotkałem takiego, co śmiałby wątpić w szlachetność twoich uczuć. Masz charakter stały, a takie charaktery nie mogą istnieć bez odwagi.

Słowa pochlebily Razumowowi i zaczął szeptać z zawstydzieniem, że bardzo go cieszy tak dobre zdanie Haldina, gdy ten podniósł rękę.

— Mówilem to sobie — iągnął — gdym rozmyślał o moim położeniu, ukryty w składzie drzewa nad rzeką. „Silny charakter ma ten młodzieniec”, powiedziałem sobie, „on nie jest chorągiewką na wietrze”. Twoja wstrzeźliwość zachwycała mnie zawsze, Cyrylu Sidorowiczu. Więc usiłowałem przypomnieć sobie twój adres. I patrz, co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Stróż tego domu rozmawiał właśnie z jakimś sankarzem po drugiej stronie ulicy, gdym wchodził. Nie spotkałem na schodach żywej duszy. A gdym już znalazł się na czwartym piętrze, zobaczyłem gospodynię, wychodzącą z twego pokoju. Nie widziała mnie. Przeszła się i skierowała się do swoich drzwi, a ja wtedy wsunąłem się niepostrzeżenie i czekam tu od dwóch godzin, spodziewając się twego powrotu lada chwila.

Razumow słuchał ze zdumieniem, ale nim zdążył otworzyć usta, Haldin dodał, wymawiając każdy wyraz powoli:

— To ja wyprawilem dziś rano pana de P. na tamten świat.

Razumow powstrzymał okrzyk zgrozy. Poczucie, iż życie uległo katastrofie przez zetknięcie z taką zbrodnią, przemówiło do niego, na wpół sarkastycznie, głosem wewnętrznym: „Otóż i po moim srebrnym medalu!”

Haldin, poczekawszy chwilę, ciągnął dalej:

— Nic nie mówisz, Cyrylu Sidorowiczu! Rozumiem twoje milczenie. Oczywiście, nie mogę się spodziewać, abys z twoim angielskim chłodem rzucił mi się na szyję. Ale mniejsza o twoje zachowanie. Masz dość serca, by nie pozostać głuchym na jęki i zgrzytanie zębów, jakie ten człowiek wywoływał w całym kraju. Już tego wystarczy, by porzucić wszelkie nadzieje filozoficzne. Wykorzeniał je, ledwie wykiełkowały. Trzeba było temu kres położyć. To był człowiek niebezpieczny, człowiek bez żadnych skrupułów. Jeszcze trzy lata jego działalności, a byłibyśmy się cofnęli o pięćdziesiąt lat niewoli, a ile dusz straconych, ile zmarnowanych istnień przez ten czas...

Jego urywany, pewny siebie głos stracił nagle dźwięczność i Haldin dodał zmęczonym tonem:

— Tak, bracie. Zabiłem go. Ciężka robota.

Razumow opadł na krzesło. Spodziewał się, że gromada policjantów wtargnie tu lada chwila. Toż ich tam tysiące już biegają po mieście, szukając człowieka, który chodzi tam i z powrotem po jego pokoju. A Haldin mówił dalej miarowym, spokojnym głosem. Raz po raz wykonywał jakiś ruch ręką z wolna,

bez podniecenia. Opowiedział Razumowowi, jak od roku już rozmyślał nad tym, i całymi tygodniami nie przespał ani jednej nocy jak należy. On i „drugi” otrzymali wiadomość o zamiarach ministra późnym wieczorem poprzedniego dnia, od „pewnej osoby”. On i ten „drugi” przygotowali swoje „maszyny” i postanowili nie zmrużyć oka, dopóki „czyn” nie zostanie spełniony. Wałęsali się więc po ulicach wśród padającego śniegu z „maszynami”, nie zamieniając słowa przez całą noc. Gdy przypadkiem spotykali patrol policyjny, brali się pod rękę i udawali pijanych chłopów, zataczając się i bełkocząc ochryplymi, pijackimi głosami. Poza tymi dziwnymi wybrykami milczeli, chodząc bezustannie. Plany ich były omówione poprzednio. O świcie udali się na miejsce, któredy, jak wiedzieli, sanie musiały przejeżdżać. Gdy je spostrzegli, pożegnali się jakimiś krótkimi słowami i rozeszli. „Tamten” pozostał na chodniku, Haldin zajął stanowisko trochę dalej na ulicy.

Rzuciwszy „maszynę”, uciekł, ale wnet dogonił go tłum, biegnący w panicznym strachu po drugim wybuchu; nieprzytomny z trwogi. Parokrotnie rzucono Haldinem jak piłką. Zwolnił kroku i pozwolił się wyminąć, po czym skręcił na lewo w jakąś wąską uliczkę. Był sam.

Zdumiewała go łatwość, z jaką mu się to wszystko powiodło. Czyn był spełniony. Zaledwie mógł w to uwierzyć. Ogarnęło go tak nieprzeparte znużenie, że byłby się położył na bruku i usnął. Ale to minęło szybko, zaczął iść prędzej, kierując się w ubogą dzielnicę miasta, gdzie mieszkał Ziemianicz.

Ziemianicz, jak wymiarkował Razumow, był miejskim chłopem, któremu się powodziło; trudnił się wynajmowaniem sanek i koni. Haldin przerwał opowiadanie i wykrzyknął:

— A to typ! Dzielna dusza! Najlepszy woźnica w Petersburgu. I ma taką trojkę!... A to człowiek!

Ów Ziemianicz zobowiązał się zawieźć bezpiecznie jedną lub dwie osoby na raz na jedną z pomniejszych stacyjek kolei południowej, ale nie było czasu uprzedzić go o tym poprzedniego wieczoru. Zazwyczaj można go było zastać w podłym szynku za rogatekami. Gdy jednak Haldin przyszedł tam, Ziemianicza nie było i spodziewano się go dopiero wieczorem. Haldin zaczął więc wałęsać się po mieście.

Ujrawszy otwartą bramę jakiegoś składu drzewa, wszedł, by znaleźć osłonę od wiatru, który dał po pustej, szerokiej jezdni. Wielkie, kwadratowe sęgi porąbanego drzewa, zawiane śniegiem, wyglądały jak wiejskie chaty. Z początku, stróż, który odkrył Haldina, przykucniętego pośród nich, rozmawiał z nim przyjaźnie. Był to suchy staruszek w dwóch podartych wojskowych mundurach; jego pomarszczona, drobna twarz, podwiązana brudną, czerwoną chustką, wyglądała komicznie. Nagle zasepił się i ni stąd, ni zowąd zaczął wrzeszczeć:

— Czego się tu włóczysz, przybłędo jakiś! Znamy się na takich ptaszkach. Chłop młody i zdrow, będzie mi się tu wylegiwał. I nawet pijany nie jesteś. Czego tu chcesz? Nie strasz nas. Wynoś się stąd. Źle ci z oczu patrzy.

Haldin zatrzymał się przed siedzącym nieruchomo Razumowem. Było coś nieopisanie śmiałego, niemal wyzywającego w jego gibkiej postaci i białym czole, nad którym jeżyły się bujnie jasne włosy.

— Nie podobały mu się moje oczy — rzekł. — I oto... jestem tutaj.

Razumow zdobył się z wysiłkiem na spokój.

— Wybaczcie, Wiktorze Wiktorowiczu. My się tak mało znamy. Nie pojmuję, dlaczego wy do mnie...

— Kwestia zaufania — rzekł Haldin.

Te słowa zamknęły usta Razumowa, jak gdyby jakaś ręka dotknęła jego warg. Mózg jego kipiał warem argumentów.

— I oto... jesteś tutaj — zamruczał przez zęby.

Tamten nie zauważył tonu złości. Nie podejrzewał jej nawet.

— Tak. I nikt nie wie, że tu jestem. A gdyby mnie schwytano, jesteś ostatnią osobą, którą możnaby podejrzewać! Jak widzisz, to dodatnia strona sprawy. Zresztą, mówiąc do człowieka wyższego umysłu, jak ty, mogę być szczerym. Przyszło mi na myśl, że ty, ty nie masz nikogo z bliskich, żadnych więzów rodzinnych, że w najgorszym razie, gdyby się to wydało, nikt by na tym nie cierpiał. Dość już było w Rosji zrujnowanych ognisk domowych. Ale nie wyobrażam sobie, jakim sposobem dowiedziano by się, że byłem w twoim mieszkaniu. Jeżeli mnie złapią, potrafię milczeć bez względu na to, co im się będzie podobało wyprawiać ze mną — dodał pośpiesznie.

Zaczął znów chodzić po pokoju, podczas gdy Razumow siedział wciąż jak zmiążdżony.

— Pomyślałeś, że ja... — wykrztusił, dławiąc się oburzeniem.

— Tak, Razumowie. Tak, bracie. Kiedyś i ty pomożesz nam budować. Uważasz mnie teraz za terrorystę, za burzyciela tego co jest. Ale pomyśl, że istotnymi burzycielami są ci, którzy niszczą ducha postępu i prawdy, nie zaś mściciele, którzy tylko zabijają ciała prześladowców ludzkiej godności. Tacy ludzie, jak ja, potrzebni są, aby zrobić miejsce dla trzeźwych myślicieli — jak ty. Ha! my wszyscy poświęciliśmy nasze życia; niemniej, rad bym się ocalić, jeżeli to możliwe. Nie o moje życie mi chodzi, lecz o możliwość działania. Nie żyłbym beczynnie. Och nie! Nie sądź mnie błędnie, Razumowie. Ludzie tacy jak ja nie rodzą się na kamieniu. A przy tym, taki czyn jak dzisiejszy tym bardziej przeraża gnębicieli, jeżeli sprawca zniknie bez śladu. Wtedy siedzą w swoich gabinetach i pałacach, i drżą ze strachu. Otóż wszystko, czego żądam od ciebie, to żebyś mi dopomógł zniknąć. Niewielka to rzecz. Pójdiesz po prostu do Ziemianicza, tam gdzie byłem dziś rano, i powiesz mu: „Ten, kogo znasz, potrzebuje sanek i doskonałych koni. O wpół do pierwszej w nocy niech staną przy siódmej latarni na lewo, licząc od górnego końca Karabelnoj. Gdyby nikt nie wsiadł, niech sanki jadą wkoło i za jakie dziesięć minut niech wrócą na to samo miejsce”.

Razumow dziwił się sam sobie, czemu nie przerwał dotąd tej gadaniny i nie powiedział wręcz temu człowiekowi, żeby sobie poszedł. Był to słabością z jego strony lub czymś innym?

Doszedł do przekonania, że był to zdrowy instynkt. Haldina musiano widzieć. Niepodobieństwem było, żeby ktoś w tłumie nie zauważył człowieka, który rzucił drugą bombę. Haldin miał powierzchowność zwracającą uwagę. Policja do tej pory musi już posiadać jego rysopis. Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Jeśli wyprawić go teraz, żeby się znowu wałęsał po ulicach, to go w końcu schwycą. Policja prędko dowie się o nim wszystkiego. Wyteżą siły, ażeby odkryć spisek. Każdy, kto miał kiedykolwiek z nim do czynienia, będzie w największym niebezpieczeństwie. Jakieś niebaczne słowo, jakieś same w sobie niewinne drobiazgi będą poczytane za zbrodnie. Razumow przypomniał sobie pewne rzeczy, które sam mówił i inne, których słuchał na zebraniach studenckich. Od tych zebrań niepodobieństwem prawie było uchylać się; koledzy patrzyliby podejrzliwie na takiego studenta.

Razumow widział się zamkniętym w fortecy, nękanym, może nawet torturowanym. Widział się zesłanym porządkiem administracyjnym, pozbawionym wszelkiej nadziei i przyszłości. Widział się — w najlepszym razie — pędzącym nędzną egzystencję pod dozorem policji, w dalekiej mieścinie prowincjonalnej, bez przyjaciół, którzy by mu pomagali w potrzebie lub nawet przedsięwzięli kroki dla ulżenia jego losowi, jak to się działo z innymi. Inni mieli rodziców, braci, krewnych, znajomych, którzy poruszyliby niebo i ziemię dla ich dobra — on nie miał nikogo. Ci sami sędziowie, którzy go skazażą rano, zapomną o jego istnieniu, nim słońce zajdzie.

Widział jak młodość jego marnieje i ginie w nędzy i głodzie, jak siły go opuszczają, jak władze umysłowe topnieją. Widział się snującym po ulicach, złamanym, w lichej odzieży, umierającym bez opieki w jakiejś cuchnącej norze, lub na ohydny łóżku szpitala rządowego.

Wzdrygnął się. Potem zstąpił na niego chłodny, gorzki spokój. Tak; tego człowieka nie można puszczać na ulicę, dopóki nie będzie można pozbyć się go z jaką taką szansą ocalenia. To było najlepsze, co można było zrobić. Oczywiście, Razumow czuł, że bezpieczeństwu jego samotnej egzystencji wciąż coś grozić będzie. Wypadki dzisiejszego wieczora zwrócić się mogą przeciwko niemu w każdej chwili, dopóki ten człowiek żyć będzie i dopóki trwać będzie obecny porządek państwowy. Wydały mu się w tej chwili rozsądne i niewzruszone. Tkwiła w nich potęga harmonii i ładu w przeciwieństwie do straszliwej zawieruchy, jaką ten człowiek wniósł tutaj. Nienawidził tego człowieka. Rzekł jednak spokojnie:

— Tak, oczywiście pójdę. Musisz mi udzielić ścisłych wskazówek, a co do reszty, polegaj na mnie.

— Ach to człowiek! Zrównoważony, chłodny jak ogórek. Prawdziwy Anglik. Skąd ty wzięłeś taką duszę? Niewielu jest takich jak ty. Posłuchaj, bracie. Ludzie mojego pokroju nie zostawiają potomstwa, ale ich dusze nie giną.

Żadna dusza nie ginie... Spełnia swoje posłannictwo, w przeciwnym razie jakąż wartość miałyby zaparcie się siebie, męczeństwo za przekonania, wiara, wszystkie trudy duszy? Co stanie się z moją duszą, gdy umrę, a umrzeć muszę może bardzo niedługo? Nie zginie także. Zrozum mnie dobrze, Razumowie. To nie mord, to wojna, wojna. Duch mój wojować będzie w ciele jakiegoś innego Rosjanina, aż wszelki fałsz zniknie ze świata. Dzisiejsza cywilizacja jest fałszywa, ale nowa era zabłyśnie nad Rosją. Ha! Nic mówisz, nie dowierzasz, Szanuję twój sceptycyzm filozoficzny, Razumowie, lecz nie tykaj duszy, tej duszy rosyjskiej, która żyje w nas wszystkich. Ta dusza ma przyszłość. Ma misję do spełnienia, mówię ci; inaczej, czyż ja uczyniłbym tę straszną rzecz.... jak rzeźnik, siejąc śmierć wśród tych wszystkich, niewinnych ludzi... Ja! Ja!... Ja nie zabiłbym muchy!

— Nie tak głośno — ostrzegł Razumow szorstko.

Haldin usiadł nagle, położył głowę na splecionych rękach i wybuchnął płaczem. Płakał tak długo. W pokoju ściemniło się zupełnie. Razumow, nieruchomy, słuchał tych łkań w ponurym milczeniu. Tamten podniósł głowę, wstał i wysiłkiem woli opanował głos.

— Tak, ludzie tacy jak ja potomków nie zostawiają — powtórzył z cicha. — Ale ja mam siostrę. Mieszka z moją starą matką. Namówiłem je w tym roku, żeby wyjechały za granicę, dzięki Bogu. Niezłe dziewczę ta moja siostrzyczka. Ma takie ufne oczy, jak chyba żadna istota ludzka, chodząca po tej ziemi. Mam nadzieję, że pójdzie dobrze za męża. Będzie miała dzieci, synów może. Spójrz na mnie. Mój ojciec był urzędnikiem państwowym na prowincji. Miał także wioskę. Prosty sługa Boży... prawdziwy Rosjanin na swój sposób. Wcielenie posłuszeństwa. Ale jam się w niego nie wdał. Mówią, że jestem podobny do najstarszego brata mojej matki, oficera. Rozstrzelali go w dwudziestym ósmym roku. Za Mikołaja, wiesz... Przecież ci powiedziałem, że to jest wojna, wojna. Ale, o Boże sprawiedliwości! Jakaż to ciężka praca!

Razumow, siedząc na krześle, z głową opartą na rękę, przemówił, jak gdyby z dna otchłani:

— Wierzysz w Boga, Haldinie?

— Czepiasz się słów, wydartych komuś z duszy. Co cię to obchodzi? Który to Anglik powiedział: „Jest Boska dusza w rzeczach”? Niech to diabli porwą! Nie mogę sobie przypomnieć. Ale powiedział prawdę. Gdy przyjdzie wasz dzień, myśliciele, nie zapominajcie o tym, co jest boskiego w duszy Rosjanina. Tym czymś jest rezygnacja, Szanujcie to w waszym intelektualnym rozpędzie, nie psujcie waszą pyszną mądrością tego, co ta dusza ma do powiedzenia światu. Mówię do ciebie jak człowiek, mający powróż na szyi. Kim, myślisz, jestem? Istotą zbuntowaną? Nie. To wy, myśliciele, żyjecie w ciągłym buncie. Ja jestem jednym ze zrezygnowanych. Gdy konieczność tej ciężkiej roboty przyszła na mnie i gdy zrozumiałem, że to musi być zrobione, cóż uczyniłem? Czym się pysznił moim zamiarem? Czym się nim rozkoszowałem?

Czym próbował ważyć jego wartość i skutki? Nie. Byłem zrezygnowany. Powiedziałem sobie: „Dziej się, wolo Boża”.

Rzucił się na łóżko Razumowa w całej swej długości i, zasłoniwszy oczy odwróconymi na zewnątrz dłońmi, pozostał tak doskonale nieruchomy i milczący. Nawet nie można było dosłyszeć, że oddycha. Grobowa cisza panowała w pokoju nieprzerwanie, aż w pomroce Razumow rzekł ponuro:

— Haldinie!

— Co? — odpowiedział tamten natychmiast, zgoła już niewidzialny na łóżku, gdzie leżał bez najmniejszego poruszenia.

— Czy nie czas na mnie?

— Tak, bracie — odezwał się, leżąc wciąż na łóżku w ciemności, jak gdyby mówił przez sen. — Przyszedł czas wystawienia losu na próbę.

Umilkł, po czym dał kilka zwięzłych, jasnych wskazówek, wciąż tym samym bezbarwnym głosem człowieka uśpionego. Razumow gotował się do wyjścia bez słowa odpowiedzi. Gdy opuszczał pokój, głos z łóżka rzekł za nim:

— Idź z Bogiem, ty milcząca duszo.

W sieni Razumow, cicho stąpając, zamknął drzwi i włożył klucz do kieszeni.

II

Słowa i wypadki tego wieczora musiały wyźłobić się stalowym rylcem w mózgu Razumowa, skoro w wiele miesięcy potem mógł je spisać z taką dokładnością.

Opis myśli, które opadły go na ulicy jest nawet bardziej drobiazgowy i obszerny. Rzec można, że nawał myśli zaatakował go z większą siłą, ponieważ jego władze umysłowe wydobyły się spod przytłaczającej je obecności Haldina, przerażającej obecności wielkiej zbrodni i władczej siły wielkiego fanatyzmu.

Przeglądając kartki dziennika Razumowa, uznaję, że „nawał myśli” nie jest odpowiednim określeniem. Odpowiedniejszym określeniem byłoby: „zamęt myśli”, wierne odbicie stanu jego uczuć. Myśli samych w sobie było mało; były, jak myśli większości istot ludzkich, nieliczne i proste — ale nie dadzą się tutaj odtworzyć we wszystkich swych powtarzających się wykrzyknicach, z których powstawał nieskończony, męczący zamęt, gdyż droga była długa.

Jeżeli myśli te wydać się mogą czytelnikowi Zachodu czymś zgoła gorszącym, przesadzonym, lub nawet niewłaściwym, to należy pamiętać, iż co do pierwszego może to być wynikiem niedostatecznej umiejętności mego opowiadania. Co się zaś tyczy reszty, to zauważę tu jedynie, że działo się to nie w Europie Zachodniej,

Być może narody kształtowały swoje rządy, ale i rządy odpłaciły im tą samą monetą. Jest rzeczą nie do pomyślenia, żeby młody Anglik znalazł się w położeniu Razumowa. A skoro tak jest, daremnym byłoby wyobrazić sobie, co

by myślał w podobnej sytuacji. Jedynie trafnym może tu być przypuszczenie, iż nie myślałby tak, jak myślał Razumow w tym przełomowym momencie swego losu; Anglik nie miałby dziedzicznej i osobistej świadomości środków, jakimi historyczna autokracja zwalcza wszelkie idee, strzeże swej władzy i broni swego istnienia. Byłby mógł, przez jakiś wybryk wyobraźni, przypuścić, iż wtrąca go samowolnie do więzienia, ale chyba w malignie (a może nawet i nie wtedy) przyszłoby mu do głowy, że go będą siec różgami i że taki sposób badania lub karania jest w ogóle dopuszczalny.

Jest to tylko pierwotny i niejako namacalny przykład różnicy warunków, w jakich rozwija się myśl Zachodu. Nie wiem, czy to niebezpieczeństwo przedstawiło się wyraźnie Razumowowi, ale bez wątpienia odegrało nieświadomie rolę w ogólnym zamięcie i trwodze, jakie go ogarnęły. Dokładnie natomiast, jak to było wykazane, zdawał sobie sprawę z subtelniejszych sposobów, którymi despotyczny rząd może unicestwić jednostkę. Proste wydalenie z uniwersytetu (najłagodniejsza kara, jaka go spotkać mogła), przy niemożliwości prowadzenia dalszych studiów gdzie indziej, wystarczało, aby zniweczyć całą przyszłość młodzieńca, który jedynie własnymi uzdolnieniami mógł sobie wywalczyć miejsce w świecie. Był Rosjaninem, więc dla niego być w coś zawikłanym znaczyło to samo, co zepchnięcie w najniższe głębie społeczne, pomiędzy nędzarzy i wydziedziczonych — między nocne ptaki stolicy.

Należy tu również wziąć pod uwagę — aby zrozumieć bieg myśli Razumowa — jego wyjątkowe stosunki rodzinne, a raczej ich brak całkowity. Przypomniawszy sobie i to także. Toż niedawno uprzytomnił mu to w okrutnie dobitny sposób ten przeklęty Haldin. „Więc dlatego, że nie mam nikogo, to i wszystko inne ma mi być odjęte” — pomyślał z goryczą.

Zdobyl się na nowy wysiłek, żeby iść dalej. Wzdłuż jezdnii, podobne do jakichś widm, pomykały sanki, brzęcząc w migotliwej białości śnieżycy na tle czarnej nocy. „Bo to jest zbrodnia”, mówił do siebie. „Mord jest mordem”, podniecał się w duchu. Cała moc opuściła go nagle, jak gdyby ją jakaś ręka zabrała. Dzięki jednak potężnemu wysiłkowi woli wróciła, lękał się bowiem, że zemdleje na ulicy i policja go podniesie, z kluczem od jego mieszkania w kieszeni. Znajdą tam Haldina i wtedy będzie zgubiony.

Rzecz dziwna, ta obawa dodawała mu siłę, by wytrwać aż do końca. Przechodniów było mało, z rzadka który z nich zjawiał się przed nim nagle i wymijał go bezszelestnie, znikając natychmiast w zadymce.

Był już w dzielnicy najuboższej, Tu zauważył jakąś staruszkę, pookręcaną wystrzępionymi chustami. W świetle latarni wyglądała na bezdomną żebraczkę. Szła sobie wolniuteńko poprzez śnieżycę, jak gdyby nie miała się gdzie spieszyć, dzierząc pod pachą, jak skarb bezcenny, okrągły bochenek czarnego chleba i Razumow, odwracając wzrok, pozazdrościł jej spokoju ducha i pogody losu.

Dla czytelnika opowiadania Razumowa jest rzeczą istotnie zdumiewającą, jak on potrafił iść ciągnącymi się w nieskończoność ulicami po chodnikach, na których stopniowo tworzyły się zasy pył. Ale popychała go myśl o Haldinie, zamkniętym w jego pokoju i rozpaczliwa chęć pozbycia się jego obecności. Żadne wyrozumowane postanowienie nie brało w tych wysiłkach udziału, toteż, gdy dowlókłszy się do owego nędznego szynku, usłyszał, że woźnicy Ziemianicza nie ma, osłupiał bezradnie.

Posługacz, rozczochrany młokos w juchtowych butach i różowej koszuli, wykrzyknął, odsłaniając blade dżasia w głupekowatym uśmiechu, że Ziemianicz wcześniej po południu był już „urżnięty” i poszedł z butelką pod każdą pachą, zapewne do swoich koni.

Właściciel nędznej nory, kościsty, niski mężczyzna w luźnym kaftanie sukienym, spadającym mu do pięt, z rękami za pasem, kiwnął potwierdzająco głową.

Ohydne wyziwy trunków i zjełczałego tłuszczu chwyciły Razumowa za gardło. Grzmotnął w stół pięścią i wrzasnął gwałtownie:

— Łżesz!

Wynędzniałe, nieumyte twarze zwróciły się w jego kierunku. Jakiś łagodnooki obdartus, pijący herbatę przy najbliższym stoliku, przesiadł się dalej. Powstał szmer zdziwienia z podkładem niepokoju. Dał się też słyszeć śmiech i wykrzyk: „No! No!”, drwiąco-kojący. Posługacz rozejrzał się dokoła i oświadczył zebranym:

— Barin nie chce wierzyć, że Ziemianicz się upił.

Z najdalszego kąta ochryplę głos, należący do jakiegoś wstrętne obdartego indywiduum, z twarzą czarną jak morda niedźwiedzia, zamruczał gniewnie:

— Przeklęty „jamszczyk” złodziei. Po diabła nam ten jego „barin” tutaj? My tu wszyscy jesteśmy uczciwi ludzie.

Razumow, przygryzając usta do krwi, aby nie wybuchnąć przekleństwem, poszedł za właścicielem spelunki, który, szepnąwszy mu: „Pójdź za mną, batuszka”, zaprowadził go do malutkiej nory za drewnianą ladą, skąd dochodził plusk wody. Obdarł, mokre, bezpłciowe stworzenie myło tam szklanki, pochylając się nad drewnianym szaflikiem przy świetle łojowego ogarka.

— Tak, batuszka — wymówił żałośnie człowiek w długim kaftanie.

Miał śmiałą, chytrą twarz i rzadką, siwiejącą brodę. Usiłując zapalić blaszaną latarkę, tulił ją do piersi i ciągle gadał.

Pokaże Ziemianicza barinowi na dowód, że się tu łgarstw nie opowiada. I pokaże go pijanym. Kobieta mu ponoć wczorajszej nocy uciekła. „Istna czarownica! A chuda. Tfu!” I splunął. One zawsze od niego uciekały, a ten czort, pomimo że już po sześćdziesiątce, nie mógł się do tego przyzwyczaić. Ale każdy martwi się na swój sposób, a Ziemianicz był głupcem od urodzenia. I zaraz do butelki. „A kto by tu w naszym kraju bez butelki wytrzymał”, powiada.

Ot, prawdziwy ruski człowiek. Prosiak. „Niech barin pójdzie ze mną, jeżeli łaska”.

Razumow przeszedł jakąś zaśnieżoną, kwadratową przestrzeń, wtłoczoną pomiędzy wysokie mury o niezliczonej ilości okien. Tu i owdzie mętne, żółte światelko migało wśród czworoboku ciemności. Dom był jakby ułem ludzkiego robactwa, olbrzymim przytułkiem nędzy sterczącym nad krawędzią głodu i rozpacz,

W rogu podwórka grunt zapadał się raptownie i Razumow, idąc za światłem latarni, wszedł małymi drzwiczkami do jakiejś podziemnej pieczary, W głębi trzy kudłate koniki, przywiązane do kółek, stały nieruchomo ze zwieszonymi łbami, znacząc się niewyraźnie w mętym świetle latarni. Musiała to być owa sławna trojka, w której Haldin pokładał nadzieję swojej ucieczki. Razumow rozejrzał się lękliwie w mrocznym wnętrzu. Przewodnik kopnął nogą w jego stronę,

— Otóż i on, Ach! gołabeczek! Prawdziwy ruski człowiek, „Pał diabli smutki”, powiada: „Przynies butelczynę i zabierz mi swój paskudny kubek z przed oczu”. Ha! ha! ha! Taki to on.

Podniósł latarnię i oświecił postać leżącego człowieka, ubranego jak do wyjścia. Głowa jego ginęła w spiczastej, sukiennej czapie, Z drugiego końca wiązki słomy sterczały nogi w olbrzymich, ciężkich buciorach.

— Zawsze gotów do jazdy — zauważył właściciel szynku. — Prawdziwy ruski jamszczyk. Święty czy diabeł, dzień czy noc, to wszystko jedno dla Ziemianicza, gdy ma serce wolne od troski, „Nie pytam kto jesteś, tylko gdzie chcesz jechać” powiada. Zawiózłby samego szatana do piekła, poświstując na konie. Wielu takich, których on wozził, pobrzękuje dziś kajdanami w nerczyńskich kopalniach.

Razumow wzdrygnął się.

— Zawołajcie go, obudźcie — wybełkotał.

Szynkarz postawił latarnię, schylił się i potężnym kopnięciem obdarzył śpiącego. Ten otrząsnął się, ale nie zmienił postawy. Za trzecim kopnięciem zamamrotał coś, pozostał jednak nieruchomy.

Szynkarz odstąpił i westchnął głęboko.

— am barin widzi, jak jest. Zrobiliśmy wszystko, co się dało.

Podniósł z ziemi latarnię. Dziwaczne, czarne cienie zatańczyły w kręgu światła. Razumowa ogarnęła straszna wściekłość — ślepa wściekłość instynktu samozachowawczego,

— A! Podłe bydlę! — ryknął jakimś nieludzkim głosem, aż latarnia podskoczyła i zaczęła drżeć. — Ja cię obudzę! Daj mi... daj!...

Rozejrzał się dziko dokoła, porwał widły stajenne i, rzuciwszy się na bezwładne ciało, począł je walić, wydając niezrozumiałe okrzyki. Po pewnym czasie krzyki jego ustały i w ciszy, w pomroce podobnej do piwnicy stajni rozlegał się jedynie odgłos ciosów. Razumow okładał Ziemianicza z niepoohamowaną wściekłością nawałą razów, które dźwięczały jak odgłosy

cepów. Poza gwałtownymi ruchami Razumowa nic nie drgnęło; ani grzmocony człowiek, ani podobne do szprych cienie na ścianach. I tylko słyszało się uderzenia. Było coś niesamowitego w tej scenie.

Nagle rozległ się trzask. Widły pękły i złamana ich połowa poleciała w ciemność, daleko poza krąg światła. W tej samej chwili Ziemianicz usiadł. Na ten widok Razumow znieruchomiał, jak człowiek z latarnią, tylko piersi jego chwytały ciężko powietrze, jak gdyby miały pęknąć.

Jakieś tępe poczucie bólu musiało przeniknąć poprzez kojącą noc pijaństwa, która otulała tę „jasną, rosyjską duszę”, wychwalaną z takim zapałem przez Haldina. Ale jasnym było, że Ziemianicz nic nie widzi. Źrenice jego zamigotały białą w świetle latarni i zgasły. Przez chwilę siedział z zamkniętymi oczyma, jak gdyby nad czymś z trudem rozmyślając, po czym osunął się z wolna na bok, nie wydawszy najłżejszego dźwięku. Tylko słoma zachrzęściła trochę. Razumow wpatrywał się w niego błędnym wzrokiem, walcząc o oddech. Po chwili usłyszał lekkie chrapanie. Cisnął złamaną część wideł, która mu w rękę została i wyszedł spieszenie wielkimi krokami, nie obejrzawszy się za siebie ani razu.

Uszedłszy tak z pięćdziesiąt metrów, natknął się na zaspę śnieżną i zapadł w nią po kolana.

To go oprzytomniło i gdy się rozejrzył, spostrzegł, że zmylił drogę. Zawrócił więc, ale już wolniejszym krokiem. Gdy mijał dom, z którego wyszedł, pogroził pięścią temu ponuremu schronisku zbrodni i nędzy, wznoszącemu swój złowrogi ogrom na białym gruncie. Miało wygląd zadumany. Razumow ze zniechęceniem opuścił rękę wzdłuż ciała. Namiętne poddanie się rozpaczy i namiętne pragnienie pociechy ze strony Ziemianicza zawiodło go. Otóż to był lud. Prawdziwy ruski człowiek! Razumow był rad, że zbił to bydłę, tę „jasną duszę” tamtego. Tacy to oni byli: lud i zapaleniec. Pomiedzy tymi dwoma on, Razumow, zginie! Pomiedzy pijaństwem chłopca niezdolnego do czynu, a marzycielskim upojeniem idealisty, niezdolnego do trzeźwej oceny porządku rzeczy i istotnego charakteru ludzi. Był to rodzaj straszliwej dziecinady, ale nad dziećmi jest władza, „Ach! bat! bat! Twarda ręka!” myślał Razumow i łaknął władzy, żeby mógł karać i niszczyć.

Cieszył się, że wygrzmocił to bydłę. Fizyczny wysiłek pozostawił mu jednak przyjemne ciepło. Duchowy niepokój uśmierzył się również, jak gdyby całe rozgorączkowanie wyszło z niego wskutek nagłej eksplozji. Pozostała mu tylko świadomość straszliwego niebezpieczeństwa i poczucie mocnej, nienasyconej nienawiści.

Szedł coraz wolniej. Istotnie, zważywszy, jaki gość oczekiwał go w domu, nie można się było dziwić, że się ociągał z powrotem. Było to tak, jak gdyby zapadł na zaraźliwą chorobę, która go może nie uśmierci, ale odbierze wszystko, dla czego żyć warto i świat zamieni w piekło.

Cóż on tam robił teraz? Leżał na łóżku jak umarły, odwróconymi dłońmi zasłaniając oczy. Razumow ujrzał jak na jawie Haldina na swym łóżku, z głową

wtłoczoną w białą poduszkę, z nogami w długich butach i sterczącymi do góry stopami. I w przystępie wściekłości powiedział sobie: „Zabiję go, gdy wrócę do domu”. Ale wiedział bardzo dobrze, że to się na nic nie zda. Trup ciągnący się za nim będzie dlań taką samą zgubą jak człowiek żyjący. Tu tylko zupełne unicestwienie mogło coś pomóc, a to było niemożliwe. Więc cóż? Popęlić samobójstwo, żeby uniknąć tej klęski?

Rozpacz Razumowa była zbyt przepojona nienawiścią, ażeby mógł przyjąć takie wyjście. A jednak prawdziwa rozpacz ogarniała go na myśl, że będzie zmuszony przebywać z Haldinem nieokreśloną liczbę dni w śmiertelnej trwodze, drżąc przy lada szeleście. Ale może, gdy się Haldin dowie, że „jasna dusza” Ziemianicza uległa zaćmieniu pijaństwem, poniesie swą przeklętą rezygnację gdzie indziej. Jednak to nie było prawdopodobne.

Razumow pomyślał: „Mam być zmiażdżony i nie mogę nawet uciec”. Inni posiadali gdzieś jakiś kącik ziemi, jakiś domek na prowincji, dokąd mieli prawo zanieść swe troski. Jakieś materialne schronienie. On nie miał nic. Nie miał nawet moralnego schronienia — schronienia w zaufaniu. Do kogóż pójdzie z tą opowieścią w tym wielkim, ogromnym kraju?

Razumow tupnął nogą i pod miękkim dywanem śniegu uczuł twardy grunt Rosji, martwy, zimny, nieporuszony, jak ponura, tragiczna macierz pod całunem — uczuł grunt ojczysty, swój własny, bez domowego ogniska, bez jednego serca!

Podniósł oczy i zdumiał się. Śnieg przestał padać i teraz, jakby cudem, zobaczył nad głową czyste, czarne niebo północnej zimy, wyiskrzzone wspaniałe gwiazdami. Był to baldachim godny nieskazitelnej białości śniegów. Razumow doznał niemal fizycznego wrażenia bezkresnej przestrzeni i niezliczonej liczby milionów gwiazd.

Wyczuł to z wrażliwością Rosjanina, zrodzonego do dziedzictwa przestrzeni i liczb. Pod wspaniałym bezmiarem nieba śnieg pokrywał nieskończone lasy, zamarzłe rzeki, równiny olbrzymiego kraju, zacierając kopce graniczne, nierówności gruntu, niwelując wszystko swą jednostajną białością, czyniąc z ziemi potworną, pustą kartę, czekającą, by na niej spisano jakąś niepojętą historię. Śnieg pokrywał ten bierny kraj, wraz z jego niezliczonymi gromadami mieszkańców, podobnych do Ziemianicza i garstką wichrzycieli, podobnych do Haldina, mordujących bezmyślnie.

Był to rodzaj uświęconej martwoty. Razumow uczuł dla niej szacunek. Głos wewnętrzny wołał do niego: „Nie dotykaj jej!”. Była to rękojmia trwania bezpieczeństwa, podczas gdy praca dojrzewającego przeznaczenia szła dalej — praca nie rewolucji z jej namiętą lekkomyślnością działania i zmiennym porywem, lecz — pokoju. Martwocie tej potrzebna była nie zawierucha sprzecznych pożądań ludu, lecz wola silna i jedna; potrzebny jej był nie gwar licznych głosów, ale człowiek — mocny i jeden!

Razumow stanął w punkcie nawrócenia. Oczarowało go jego zbliżanie się, jego przepotężna logika. Bo bieg myśli nie jest nigdy fałszywy. Fałsz leży

daleko na dnie życiowych potrzeb, w tajemnych trwogach i na wpół ukształtowanych ambicjach, w tajemnej ufności, połączonej z tajemnym niedowierzaniem sobie samym, w umiłowaniu nadziei i w obawie niepewnego jutra.

W Rosji, krainie widmowych idei i bezcielesnych aspiracji, wiele dzielnych umysłów zwróciło się po daremnych, nieustannych starciach ku jednemu, historycznemu faktowi. Zwróciły się do autokracji po spokój swego patriotycznego sumienia, jak znużony niedowiarek zwraca się ku wierze ojców po błogosławieństwo duchowego odpoczynku. I podobnie jak inni Rosjanie przed nim, Razumow w rozterce z sobą samym uczuł dotknięcie łaski na czole.

— Haldin dąży do rozkładu — myślał, zaczynając znowu iść. — Kimże on jest ze swoim oburzeniem, ze swą gadaniną o niewoli, o sprawiedliwości Bożej? Wszystko to jest rozkładem. Lepiej niech tysiące cierpią, niżby cały naród stał się rozczłonkowaną całością, bezradną jak pył na wietrze. Obskurantyzm lepszy jest niż światło pochodni pożarnych. Ziarno kielkuje po ciemku. Z czarnej roli wydobywa się doskonała roślina. Ale wybuchy wulkaniczne są jałowe i niszczą płodny grunt. I mamże ja, który kocham mój kraj, który to tylko mam do kochania i w tym tylko mogę pokładać wiarę, mamże dopuścić, by ten zagorzały fanatyk zniweczył moją przyszłość, może moją użyteczność dla kraju?

Łaska wstąpiła w Razumowa. Uwierzył teraz w człowieka, który przyjdzie w oznaczonym czasie.

Czymże jest tron? Kilku kawałkami drzewa, obitymi aksamitem. Ale tron jest również siedliskiem władzy. Forma rządu — to kształt narzędzia, to instrument, Ale dwadzieścia tysięcy pęcherzy, wzdętych najwznieślejzymi uczuciami i objających się wzajemnie o siebie w powietrzu jest tylko nędzną zawadą w przestrzeni, nieposiadającą żadnej władzy, żadnej woli, niemającą nic do dania.

Szedł tak dalej, nie zważając na drogę, rozprawiając z samym sobą, z niezwykłą obfitością i łatwością słów. Zazwyczaj przychodziły mu one z trudem, po sumiennym i uciążliwym poszukiwaniu. Jakaś siła wyższa natchnęła go potokiem niezbitych argumentów, podobnie jak pewni nawróceni grzesznicy stają się zniewalająco rozmowni.

Ogarnęło go jakieś surowe rozradowanie.

„Czymże są posepnie mętne rojenia tego zapaleńca w porównaniu z trzeźwym pojęciem mego umysłu?” mówił do siebie, „Alboż to nie mój kraj? Alboż nie mam czterdziestu milionów braci?” zapytywał siebie, bezsprzecznie zwycięski w milczeniu własnych piersi. I to straszliwe lanie, jakie sprawił bezwładnemu Ziemiańczykowi, wydało mu się widomym znakiem ścisłego związku, rozrzewniając surową koniecznością bratniej miłości. „Nie, jeśli mam cierpieć, niechże przynajmniej cierpię za moje przekonania, nie za zbrodnię, którą mój rozum, mój chłodny, wyższy umysł potępia”.

Na chwilę przestał myśleć. Cisza w jego piersiach była zupełna, ale ogarnął go jakiś podejrzany niepokój, coś w rodzaju tego, czego możemy doznać wchodząc w nieoświetlone, obce miejsce — niewyrozumowane uczucie, że coś skoczy na nas w ciemności, bezsensowny lęk niewidzialnego.

Oczywiście, daleko mu było do tego, żeby być zmurszałym reakcjonistą. Nie wszystko było tu najlepszym. Despotyczna biurokracja... nadużycia... zepsucie... i tak dalej. Potrzeba było zdolnych ludzi. Światłych umysłów. Oddanych serc. Ale absolutna władza powinna być zostać — narzędzie gotowe dla owego człowieka, wielkiego autokraty przyszłości. Razumow wierzył w niego. Historyczna logika czyniła go nieuniknionym. Położenie narodu domagało się go. „Cóż innego — zapytywał siebie z zapałem — mogłoby pchnąć całą tę masę w jednym kierunku? Nic innego. Nic, tylko jedna czyjaś wola”.

Był przekonany, że poświęcał osobistą tęsknotę za liberalizmem — odrzucając ponętny błąd dla surowej rosyjskiej prawdy. „To jest patriotyzm”, zauważył w duchu i dodał: „Tu w pół drogi zatrzymać się nie można”. I dorzucił jeszcze: „Nie jestem tchórzem”.

I znów zapanowała śmiertelna cisza w piersi Razumowa. Szedł ze zwieszoną głową, nie ustępując z drogi nikomu. Szedł z wolna, a powracające myśli przemawiały do niego z uroczystą powolnością: „Czymże jest ten Haldin? Czymże ja jestem? Tylko dwoma ziarnkami piasku. Ale olbrzymia góra powstaje z takich nic nieznaczących ziarenek. A śmierć jednego człowieka lub wielu ludzi to drobnostka. Jednak zwalczamy zarazę. Alboż ja pragnę jego śmierci? Bynajmniej. Ocaliłbym go, gdybym mógł. Ale tego nikt nie dokaże. To uschnięty członek, który trzeba odciąć. Jeśli mam zginąć przez niego, niechże przynajmniej nie ginę z nim, związany wbrew mojej woli z jego ponurym wariactwem, które nie rozumie ani ludzi, ani rzeczy. Czemu mam zostawiać po sobie mylną pamięć?!”

Przemknęło mu przez myśl, że nie ma na świecie nikogo, kto by dbał o to, jaką on pamięć po sobie zostawi. Lecz natychmiast wykrzyknął w duchu: „Zginąć marnie dla fałszu!... Co za nędzny los”.

Znajdował się teraz w bardziej ruchliwej części miasta. Nie zauważył zderzenia dwojga sań tuż przy zakręcie. Woźnica jednych wrzasnął płaczliwie na drugiego: „Ach! Ty podły łotrze!”

Ten ochrypliły wrzask, wpadający w samo ucho Razumowa, zmaćcił bieg jego myśli. Wstrząsnął niecierpliwie głową i szedł dalej, patrząc wprost przed siebie. Nagle na śniegu, w poprzek chodnika, zobaczył Haldina. Leżał na wznak, trochę z boku, jakby umyślnie wybrał sobie to miejsce, leżał wyraźny, rzeczywisty, z odwróconymi dłońmi na oczach, w brązowym, obcisłym paltocie i długich butach. Śnieg dokoła niego nie był podeptany.

Halucynacja była tak niemal dotykana, że Razumow mimo woli sięgnął do kieszeni, by się upewnić, że jest tam klucz od pokoju. Lecz powściągnął się i skrzywił usta pogardliwie. Zrozumiał. Myślał z takim natężeniem o tej postaci,

leżącej tam, na jego łóżku, aż to wywołało owo nadzwyczajne złudzenie wzrokowe. Razumow ocenił zjawisko spokojnie. Ze skupioną twarzą, nie zmieniając chodu i patrząc w dal poza widziadło, przeszedł po nim, doznawszy jedynie lekkiego ściśnięcia w piersiach. Następnie odwrócił głowę, aby spojrzeć, i ujrzał tylko świeże ślady stóp swoich w miejscu, gdzie leżały piersi widziadła.

Razumow szedł dalej i po chwili szepnął do siebie ze zdumieniem:

— Zupełnie jak żywy! Zdawał się oddychać! I właśnie tak na mojej drodze! Nadzwyczajne zdarzenie!

Uszedł jeszcze kilka kroków i mruknął przez zaciśnięte zęby:

— Muszę z nim skończyć.

I znowu przez kilkadziesiąt kroków szedł jak w próżni. Otulił się szczelniej płaszczem i nacisnął czapkę na oczy.

— Zdradzić. Wielkie słowo. Cóż to jest zdrada? Mówi się, że człowiek zdradza swój kraj, przyjaciół, kochankę. Musi tu przede wszystkim istnieć jakiś moralny związek. Człowiek może jedynie zdradzić swoje sumienie. A gdzie tu wchodzi w grę moje sumienie? Jakie węzły wspólnych wierzeń, wspólnych przekonań zmuszają mnie, abym się pozwolił wciągać w przepaść temu fanatycznemu idiocie? Wprost przeciwnie, wszelkie zobowiązania prawdziwej odwagi są po tamtej stronie.

Razumow rozejrzał się dokoła spod czapki.

— Cóż mi mogą zarzucić przesady świata? Czy wywołałem jego wynurzenia? Nie! Czy bodaj jednym słowem, jednym spojrzeniem upoważniłem go do przypuszczenia, że przyjmuję jego zaufanie? Nie! Prawda, że zgodziłem się iść do Ziemianicza. No i poszedłem. I złamałem na nim widły, na tym bydłęciu.

Coś jakby zawirowało w jego głowie, wydobywając na powierzchnię jeden szczególnie jasny wytwór mózgu.

— W każdym razie będzie lepiej — zauważył całkiem odmiennym, myślowym tonem, — jeżeli tę okoliczność zatrzymam dla siebie.

Minął zakręt, wiodący do jego mieszkania, i znalazł się na szerokiej, widnej ulicy. Otwarte były jeszcze niektóre sklepy i wszystkie restauracje. Światła padały na chodniki, po których mężczyźni w kosztownych futrach, tu i owdzie w towarzystwie eleganckiej postaci kobiecej, spacerowali swobodnie. Razumow spoglądał na nich z pogardą surowego wyznawcy dla płochego tłumu. To był wielki świat: ci oficerowie, dygnitarze, członkowie Yacht Clubu.

Poranny wypadek podziałał na nich wszystkich. Cóżby rzekli, gdyby wiedzieli, co ten student w płaszczu zamierza uczynić?

— Żaden z nich nie jest zdolny czuć i myśleć tak głęboko jak ja. Wieluż pomiędzy nimi potrafiłoby spełnić czyn przekonania?

Razumow szedł coraz wolniej jasno oświetloną ulicą. Powziął już silne postanowienie. Prawdę mówiąc, trudno to było nazwać postanowieniem. Po prostu uświadomił sobie to, co zamierzał uczynić od początku. A jednak czuł potrzebę czyjejś sankcji.

Z jakimś bolesnym uczuciem powiedział sobie:

— Chcę, żeby mnie zrozumiano.

Ogarnęło go wszechludzkie pragnienie, w całym swoim głębokim i melancholijnym znaczeniu; jego — tego, co wśród osiemdziesięciu milionów rodaków nie znajdował ani jednego serca, przed którym mógłby się wywnętrzyć.

O adwokacie nie było co myśleć. Zbyt lekcewał tego podrzędnego krętacza. Nie mógł również otworzyć sumienia przed pierwszym policjantem na rogu. Nie pilno mu też było iść do komisarza cyrkułu, w którym mieszkał. Widywał czasem tego pospolicie wyglądającego osobnika w podniszczonym mundurze, z dymiącym papierosem, przyklejonym do dolnej wargi,

— Prawdopodobnie zaczęłby od tego, że mnie by zaaresztował, a w każdym razie narobiłby hałasu — pomyślał Razumow praktycznie; wszak taki czyn przekonania musi być spełniony z godnością.

Razumow łaknął rozpaczliwie rady, moralnej podpory. Któż wie naprawdę, czym jest prawdziwe osamotnienie? Nie wyraz utarty, ale naga, straszliwa rzeczywistość? Nawet dla osamotnionych ma ono maskę na twarzy. Najędźniejszy wyrzutek tuli w pamięci jakieś wspomnienie lub jakąś złudę. Raz po raz fatalny zbieg okoliczności może na chwilę uchylić zasłonę. Na chwilę tylko. Bo żadna ludzka istota nie mogłaby znieść na stałe widoku moralnego osamotnienia. Doprowadziłoby ją to do obłędu. A Razumow doszedł właśnie do tego punktu. Dla uniknięcia go żywił w ciągu całej jednej minuty szalony zamiar, by pobiec do swego mieszkania, paść na kolana przed łóżkiem z wyciągniętą na nim ciemną postacią i wyznać wszystko w namiętnych słowach, które wstrząsnęłyby najgłębszą jaźnią tego człowieka; skończyłoby się to łzami i uściskami, nieopisanym zespoleniem dusz, jakiego świat nigdy dotąd nie widział. To było wzniosłe!

Drżał już i płakał wewnątrz. Ale uświadomił sobie, że w spojrzeniach, które by przypadkowo na niego padły, wygląda jak spokojny student, który wyszedł na przechadzkę. Zauważył również rzucone z ukosa błyszczące spojrzenie ładnej kobiety o delikatnie zarysowanej głowie, kobiety okrytej aż do stóp włochatymi skórami dzikich zwierząt, niby jakaś wątła pierwotna piękność — spojrzenie, które spoczęło przez chwilę ze swoistą drwiącą tkliwością na tak głęboko zadumanym, przystojnym młodzieńcu.

Nagle Razumow stanął. Mignęły mu jakieś siwe wąsy i w jednej chwili ten przelotny widok wywołał w jego pamięci całkowity obraz księcia K. — , człowieka, który raz uścisnął mu rękę, jak nikt inny przedtem, lekkim, przeciągłym uściskiem, co był niby tajemny znak, niby wpół mimowolna pieszczota.

I Razumow zdumiał się. Dlaczego nie pomyślał o nim wcześniej?

Senator, dygnitarz, znakomita osobistość. On!

Dziwnie kojące uczucie ogarnęło Razumowa. Kolana zatrzęsły się pod nim z lekka, ale powściągnął to wzruszenie z nowo narodzoną surowością.

Wszelkie roztkliwienie było szkodliwą niedorzecznością. Pośpiesznie wskoczył do sanek i krzyknął na woźnicę:

— Do pałacu K.! Dalej! Jazda! A żywo!

Wystraszony muzyk, zarośnięty po same białka oczu, odpowiedział trwożliwie:

— Słyszę, Wasza Wysoka Wielmożność.

Szczęściem dla Razumowa było to, że ksiązę K. nie należał do ludzi tchórzliwych. W dzień zabójstwa pana de P. nadzwyczajne przygnębienie i trwoga panowały w wysokich sferach urzędowych.

Książę K. siedział sam, smutnie zadumany, w gabinecie, gdy wystraszona służba oznajmiła, że tajemniczy młodzieniec wdarł się przemocą do holu, nie powiedział ani swego nazwiska ani rodzaju sprawy i nie chce ustąpić, dopóki nie zobaczy się prywatnie z Jego Ekscelencją. Książę K. zamiast zamknąć się na klucz i zatelefonować po policję, jak by to na jego miejscu dziewięć dziesiątych dygnitarzy uczyniło tego wieczora, uległ ciekawości i poszedł spokojnie do drzwi gabinetu.

W holu, w którym frontowe drzwi były otwarte na oścież, poznał od razu Razumowa, bladego jak śmierć, z pałającymi oczami, otoczonego gromadą zakłopotanych lokajów.

Książę K. stropił się niepomiernie, a nawet oburzył. Ale jakieś uczucie szacunku dla samego siebie nie pozwoliło mu kazać nikczemnym sługusom wyrzucić tego młodzieńca. Niedostrzeżony, cofnął się do swego pokoju i po chwili zadzwonił. Razumow usłyszał w holu srogo podniesiony, ostry głos, mówiący gdzieś z daleka:

— Wprowadzić tu tego pana.

Razumow wszedł bez obawy. Czuł się nietykalnym, wywyższonym ponad pospolite, ludzkie sądy. I choć widział, że Książę patrzy na niego z nietajonym niezadowoleniem i nie prosi go usiąść, jasność jego umysłu, z której dokładnie zdawał sobie sprawę, napełniła go nadzwyczajną pewnością siebie.

W pół godziny ukazali się obaj. Lokaje wstali i dopomogli Księciu, poruszającemu się z trudem na podagrycznych nogach, otulić się w futro. Powóz już czekał na skutek poprzednio wydanego rozkazu. Gdy wielkie podwójne drzwi otwarły się z trzaskiem, Razumow, który stał w milczeniu, zapatrzony w przestrzeń lecz w wielkim napięciu wszystkich władz, usłyszał głos Księcia:

— Podaj mi ramię, młodzieńcze.

Pełne spokoju i godności opowiadanie Razumowa i aż nadto widoczna trudność położenia, w jakim się ten znajdował, wywarły wielkie wrażenie na ruchliwym, powierzchownym umyśle byłego gwardzisty — salonowca, doświadczonego jedynie w miłosnych zabiegach i salonowym powodzeniu. Powiedział mu:

— Nie. Wszystko zważywszy, nie mogę ci wziąć za złe, że się odważyłeś przyjść do mnie z tą opowieścią. To nie jest sprawa dla policyjnych siepaczy.

Rzecz to ogromnej wagi... Bądź spokojny. Wyprowadzę cię z tego nadzwyczajnego i tak trudnego położenia.

Po czym Książę wstał i zadzwonił, a Razumow, skłoniwszy się, rzekł z uszanowaniem:

— Zawierzyłem memu instynktowi. Młody człowiek, niemający nikogo na świecie, zwrócił się w chwili, która wystawiła na próbę jego najgłębsze przekonania polityczne, do znakomitego Rosjanina — to wszystko.

Książę wykrzyknął pospiesznie:

— Zrobiłeś dobrze.

W powozie — była to mała karetka na płozach — Razumow przerwał milczenie lekko drżącym głosem:

— Wdzięczność moja przechodzi najśmielsze moje uczucia.

Nie mógł złapać oddechu, bo uczył niespodzianie w ciemności przelotne uściśnienie ręki,

— Zrobiłeś dobrze — powtórzył Książę,

Gdy powóz stanął, Książę szepnął Razumowowi, który nie ośmielił się zadać żadnego pytania:

— Dom generała T.

Pośrodku zaśnieżonej drogi płonęło wielkie ognisko. Kilku Kozaków z przerzuconymi przez ramię cugłami grzało się dokoła niego. Dwóch wartowników stało przy drzwiach, żandarmi włoczyli się po wielkim podjeździe, a na przęśle pierwszego piętra dwaj ordynansi wstali i wyprężyli się przepisowo.

Zdumiewająca obfitość cieplarnianych roślin w doniczkach zapełniała posadzkę przedpokoju. Wybiegła służba. Jakiś młodzieniec, ubrany po cywilnemu, nadszedł spiesznie; Książę szepnął mu parę słów, on zaś skłonił się nisko, wykrzyknął z przejęciem: „Bez wątpienia! W tej chwili” i znikł. Książę skinął na Razumowa,

Przeszli kilka recepcyjnych salonów, skąpo oświetlonych; jeden był przygotowany do tańca. Żona Generała odwołała bal. Atmosfera przygnębienia panowała wszędzie. Ale w gabinecie Generała, pokoju o ciężkich, ciemnych zasłonach, dwóch wielkich biurkach i głębokich fotelach, paliły się wszystkie światła. Lokaj zamknął drzwi za gośćmi, a oni czekali.

Na angielskim kominku płonął ogień z węgla; Razumow nigdy dotąd nie widział podobnego ognia. Milczenie w pokoju było jak cisza grobowa — doskonale niezmierzone, bo nawet zegar na gzymsie kominka nie cykał. W jednym kącie, na czarnym postumencie, stała, odwzorowana w skali jeden do czterech, brązowa postać biegnącego młodzieńca o smukłych kształtach. Książę zauważył stłumionym głosem:

— Spontiniego „Młodość uciekająca”. Zachwycająca!

— Prześliczna! — potwierdził cicho Razumow.

Nic więcej nie rzekli. Książę milczał ze swą pańską miną, Razumow wpatrywał się w posążek z brązu. Coś go ssało pod piersiami, jak gdyby kąsanie głodu.

Nie odwrócił się, gdy usłyszał jakieś drzwi, otwierające się w dali, i szybkie kroki, stłumione na dywanie.

Głos Księcia rozległ się wnet, nabrzmiały podnieceniem:

— Mamy go, ce misérable! Pewien zacny młodzieniec przyszedł do mnie.

— Nie! to nie do wiary...

Razumow, stojąc przed posążkiem, wstrzymał oddech w piersiach, jakby w oczekiwaniu jakiegoś wybuchu. Za jego plecami głos obcy mu zupełnie wymówił z uprzejmym naleganiem:

— Asseyez-vous donc!

Książę niemal wrzasnął:

— Mais comprenez-vous, mon cher! L'assassin! Morderca! Mamy go!

Razumow odwrócił się. Gładkie, tłuste policzki Generała opierały się o sztywny kołnierz jego munduru. Musiał już przedtem patrzeć na Razumowa, bo ten ostatni ujrzał bladoniebieskie oczy, utkwione w nim chłodno.

Książę wymownie skinął ręką z fotela:

— To jest ten najzacniejszy młodzieniec, którego sama Opatrzność... Pan Razumow...

Generał zareagował na to przedstawienie marszcząc brwi i zerkając na Razumowa, który ani drgnął. Usiadłszy przed biurkiem, Generał słuchał z zaciśniętymi wargami. Niepodobieństwem było dostrzec jakikolwiek ślad wzruszenia na jego twarzy.

Razumow wpatrywał się w jego nieruchomy, mięsisty profil. Ale to trwało tylko chwilę, dopóki Książę nie skończył, a gdy Generał do opatrnościowego młodzieńca zwrócił swą tłustą, nerwową twarz, w jego bladoniebieskich, nieufnych oczach i automatycznym uśmiechu błysnęło jakieś wesołe, niedbałe okrucieństwo. Nie wyraził ani zdziwienia, ani zadowolenia, ani podniecenia, ani też niedowierzania. Nie zdradził żadnego wrażenia, tylko z wyszukaną grzecznością zauważył, że „ptaszek mógł wyfrunąć, podczas gdy pan Razumow biegał po mieście”.

Razumow postąpił na środek pokoju i rzekł:

— Drzwi są zamknięte, a ja mam klucz w kieszeni.

Poczuł niewysłowiony wstręt do tego człowieka. Przyszło to na niego tak niespodziewanie, że nie zdołał nawet stłumić tego uczucia w dźwięku głosu. Generał popatrzył na niego w zamyśleniu, a Razumow wyszczerzył zęby, co miało naśladować uśmiech.

Wszystko to działo się ponad głową Księcia K., który siedział w głębi fotela, zmęczony i zniecierpliwiony.

— Student nazwiskiem Haldin — rzekł Generał w zamyśleniu.

Razumow przestał szczerzyć zęby.

— Tak się nazywa — rzekł niepotrzebnie podniesionym głosem. — Wiktor Wiktorowicz Haldin, student.

Generał poprawił się z lekka na krześle.

— Jak ubrany? Może pan będzie łaskaw powiedzieć mi?

Razumow opryskliwie opisał ubiór Haldina kilku burkliwymi słowy. Generał wciąż się w niego wpatrywał, po czym, zwracając się do Księcia:

— Nie byliśmy zupełnie bez wskazówek — rzekł po francusku. — Pewna dobra kobieta, która znajdowała się wtedy na ulicy, mniej więcej w ten sposób określiła ubiór człowieka, który rzucił drugą bombę. Zatrzymaliśmy ją w sekretariacie i kogo tylko schwytano w czerkieskim żupanie, przyprowadzano jej do sprawdzenia. Lecz ona tylko żegnała się i trzęsła głową przecząco. To było nieznośne...

Zwrócił się do Razumowa i rzekł po rosyjsku, z przyjacielską wymówką:

— Weź pan krzesło, panie Razumow, proszę. Dlaczego stoisz?

Razumow usiadł niedbale i patrzył na Generała. „Ten zezowaty idiota nie ma rozumu”, pomyślał. Księżę zaczął mówić wyniośle:

— Pan Razumow jest młodzieńcem wybitnych zdolności. Leży mi na sercu, żeby jego przyszłość nie była...

— Bez wątpienia — przerwał Generał z lekkim poruszeniem ręki. — Czy on ma broń przy sobie, jak myślisz, panie Razumow?

Generał mówił łagodnym, melodyjnym głosem, Razumow odpowiedział z ponownym rozdrażnieniem:

— Nie, ale moje brzytwy leżą na stole, więc...

Generał skinął głową z uznaniem,

— Właśnie.

I, zwracając się do Księcia, objaśniał grzecznie:

— Chcemy schwytać tego ptaszka żywcem. Diabeł by mu chyba pomógł, gdyby czegoś nie wyśpiewał, zanim z nim skończymy.

Grobowa cisza pokoju, w którym nawet zegar nie cykał, zapadła po wytwornych modulacjach tych słów straszliwych. Księżę, ukryty w fotelu, milczał. Generał niespodzianie wyraził pogląd:

— Wierność dla ustaw, na których spoczywa bezpieczeństwo tronu i narodu, nie jest dziecinną zabawką. My to wiemy mon Prince, et tenez — ciągnął dalej z rodzajem pochlebnej szorstkości — pan Razumow zaczyna to także rozumieć.

Oczy, które zwrócił na Razumowa, zdawały się wyskakiwać z orbit. Ale ten już oswoił się z groteskowym wyglądem Generała,

— Haldin będzie milczał — rzekł z ponurym przekonaniem.

— Zobaczymy — mruknął Generał.

— Jestem tego pewny — ponowił z uporem Razumow. — Taki człowiek jak on nigdy nic nie powie... Czy Wasza Ekscelencja sądzi, że mnie tu obawa przywiodła? — dodał gwałtownie.

Był gotów obstawać przy swoim przekonaniu o Haldinie do ostatka.

— Bez wątpienia nie — odparł Generał z wielką prostotą. — I nie będę tał przed panem, że gdyby ów Haldin nie był przyszedł ze swoją opowieścią do takiego prawego, dzielnego Rosjanina, jakim pan jesteś, byłby wpadł jak kamień w wodę... co odniosłoby fatalny skutek — dodał z pogodnym, okrutnym uśmiechem i kamiennym spojrzeniem. — Widzisz pan więc, że nie może tu być żadnego podejrzenia o obawę.

Tu Książę, spojrzawszy na Razumowa sponad oparcia fotel, wtrącił:

— Nikt nie wątpi w moralną szczerotę twoich pobudek. Bądź zupełnie spokojny w tym względzie, proszę.

Zwrócił się z pewnym zakłopotaniem do Generała:

— Dlatego właśnie tu jestem. Może cię to dziwi, że...

Generał pośpieszył przerwać.

— Bynajmniej. To całkiem proste. Ocenileś doniosłość sprawy.

— Tak — wtrącił Książę. — I proszę, aby mój i pana Razumowa współdział w tej sprawie nie przedostał się do publicznej wiadomości. To bardzo obiecujący młodzieniec, ogromnie zdolny.

— Nie wątpię — szepnął Generał. — Wzbudza zaufanie.

— Różne szkodliwe poglądy tak się obecnie rozpowszechniły, że aczkolwiek wydaje się to potwornym, mógłby ucierpieć... Jego studia... jego...

Generał, z łokciami opartymi na biurku, ujął głowę w obie dłonie.

— Tak... tak... Zastanawiam się nad tym. Kiedy wyszedł pan z domu, panie Razumow?

Razumow wymienił godzinę, odpowiadającą mniej więcej porze, w której uciekł, jak szalony z owej spelunki. Postanowił nie wspominać zgoła o Ziemianiczu. Wspomnieć o nim, znaczyło więzienie dla tej „jasnej duszy”, może srogą chłostę, a wkońcu wędrówkę na Sybir w kajdanach Razumow, który zbił Ziemianicza, uczuł dla niego jakąś nieokreśloną, pełną wyrzutów sumienia serdeczność.

Generał, dając po raz pierwszy ujście swym tajemnym uczuciom, wykrzyknął pogardliwie:

— I powiadasz pan, że przyszedł do ciebie z tym wyznaniem ot tak sobie... a propos des bottes?

Razumow uczuł niebezpieczeństwo w powietrzu. Bezlitosna podejrzliwość despotyzmu przemówiła wreszcie otwarcie. Nagła trwoga zamknęła usta Rozumowa. Cisza w pokoju stała się teraz podobna do ciszy więzienia o ostrym rygorze, gdzie czas przestaje się liczyć i gdzie podejrzana jednostka bywa czasem zapomnianą na zawsze. Ale Książę przyszedł mu na ratunek.

— Sama Opatrzność skierowała nikczemnika w chwili umyślowego zboczenia do pana Razumowa na zasadzie dawnych, zgoła fałszywie zrozumianych wymian poglądów, jakichś rozmów teoretycznych sprzed wielu miesięcy, jak się dowiaduję, o których pan Razumow zupełnie zapomniał.

— Panie Razumow — zagadnął Generał z rozwagą, po krótkim milczeniu — czy pan często prowadzi rozmowy teoretyczne?

— Nie, Ekscelencjo — odpowiedział Razumow chłodno, w całym przychylnym pewności siebie. — Jestem człowiekiem głębokich przekonań. Niedowarzone poglądy krążą w powietrzu. Nie zawsze są warte zwalczania. Ale nawet milczące lekceważenie poważnego umysłu może być mylnie zrozumiane przez zagorzałych utopistów.

Generał, wciąż trzymając głowę w dłoniach, wpatrywał się w Razumowa. Książę K. szepnął:

— Poważnie myślący młodzieniec. Un esprit supérieur.

— Widzę to, mon cher Prince — rzekł Generał. — Panu Razumowowi nic ode mnie nie grozi. Zainteresował mnie. Widzę, że posiada wielki i pożyteczny dar budzenia zaufania. Nad tym się tylko zdumiewam, czemu tamten w ogóle o czymś wspomniał, mam na myśli sam fakt, skoro mu chodziło jedynie o kilkugodzinne schronienie. Boć nic nie było łatwiejszego, jak przemilczeć wszystko, o ile, oczywiście, poznawszy prawdziwe pańskie przekonania, nie próbował pozyskać pańskiej pomocy. Co, panie Razumow?

Razumowowi wydało się, że posadzka zadrżała pod nim z lekka. Ten otyły mężczyzna w obcisłym mundurze był straszny. I takim być powinien.

— Rozumiem, co Wasza Ekscelencja ma na myśli. Ale mogę tylko odpowiedzieć, że nie wiem dlaczego.

— Nic nie mam na myśli — szepnął Generał z łagodnym zdziwieniem.

„Wpadłem, wpadłem bez ratunku”, pomyślał Razumow. Doznane tego dnia nieprzyjemności, zmęczenie, konieczność zapomnienia, obawa, której się nie mógł opędzić, wszystko to rozbudziło w nim na nowo nienawiść względem Haldina.

— W takim razie nie mogę tu dopomóc Waszej Ekscelencji. Wiem tylko, że była chwila, kiedy chciałem go zabić. Była także chwila, w której sam sobie życzyłem śmierci. Nic nie rzekłem. Byłem oszołomiony. Nie wywoływałem zwierzeń. Nie żądałem wyjaśnień,

Razumow mówił jak człowiek, który stracił panowanie nad sobą, ale umysł jego był jasny. Był to istotnie dobrze obrachowany wybuch.

— Wielka szkoda — stwierdził Generał — żeś go pan nic pytał. Nie wiesz pan przynajmniej, co on zamierza uczynić?

Razumow uspokoił się. Ujrzał otwierające się przed nim wyjście.

— Powiedział mi, iż spodziewa się, że jakieś sanie będą na niego czekać o wpół do pierwszej w nocy, koło siódmej latarni, z lewej strony górnego końca Karabelnej. W każdym razie zamierzał znaleźć się tam o tej porze. Nie poprosił mnie nawet o inne ubranie.

— A! Voila — rzekł Generał, zwracając się z zadowoleniem do Księcia K. — Oto sposób, w jaki twój protegowany, pan Razumow, może znaleźć się zupełnie poza przypuszczeniem o współudział w tym aresztowaniu. Będziemy czekali na tego pana na Karabelnej.

Książę wyraził wdzięczność. W głosie jego drżało szczere wzruszenie. Razumow, nieruchomy, milczący, siedział, wpatrując się w dywan. Generał zwrócił się do niego.

— O wpół do pierwszej zatem. Do tego czasu polegamy na panu, panie Razumow. Jak pan sądzisz, czy on może zmienić zamiar?

— Skąd ja to mogę wiedzieć? — rzekł Razumow. — Tacy ludzie nie są z tych, którzy zmieniają zamiary.

— Jacy ludzie?

— Fanatyczni miłośnicy wolności. Wolności przez duże W, Ekscelencjo. Wolności, która nic określonego nie oznacza. Wolności, w której imię popełniają zbrodnie.

Generał szepnął:

— Nienawidzę buntowników wszelkiego rodzaju. Nic na to nie poradzę. To leży w mojej naturze.

Potrząsnął zaciśniętą pięścią,

— Trzeba ich tępić, unicestwiać.

— Oni już z góry poświęcają swoje życie — rzekł Razumow z jakimś złośliwym zadowoleniem, patrząc prosto w twarz Generałowi. — Jeżeli Haldin zmieni dziś zamiar, Wasza Ekscelencja może być pewnym, że to nie dla ratowania się ucieczką w jakim innym kierunku. Dowodziłoby to, że zamierza dokonać czegoś innego. Ale to nie jest prawdopodobne.

Generał powtórzył, jakby sam do siebie:

— Trzeba ich tępić.

Razumow przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Książę wykrzyknął:

— Co za straszliwa konieczność! Generał z wolna opuścił pięść.

— Jedyna pociecha w tym, że to nikczemne plemień schodzi ze świata bezpotomnie. Mówiłem zawsze: jeden bezlitosny, twardy, sprężysty wysiłek, a skończymy z nimi na zawsze.

Razumow pomyślał, że ów człowiek, posiadający taką arbitralną władzę, musiał wierzyć w to co mówił, inaczej nie mógłby znieść ciężaru odpowiedzialności.

Generał powtórzył z najwyższą zawziętością:

— Nienawidzę buntowników. Och, te umysły wywrotowe! Ci intelektualni rozpustnicy! Moje życie ukształtowało się na wierności. To jest uczucie. W jego obronie gotów jestem poświęcić życie, a nawet honor, gdyby tego zaszła potrzeba. Ale może mi kto powie, czy może być mowa o honorze w stosunku do tych buntowników, w stosunku do ludzi, którzy samego Boga nie uznają, do tych skończonych niedowiarków? Strach o tym pomyśleć.

Podczas tej przemowy Razumow, wpatrzony wciąż w Generała, dwukrotnie skinął głową. Książę, stojąc z boku ze swoją pańską miną, szepnął, wznosząc oczy:

— Hélas!

Po czym, spuszczać wzrok, z wielką stanowczością oświadczył:

— Ten młodzieniec potrafi ocenić doniosłość twoich pamiętnych słów, Generale.

Powierzchność Generała z mściwej i zawziętej stała się doskonale uprzejmą.

— Teraz poproszę pana Razumowa — rzekł — żeby wrócił do siebie. Proszę także zauważyć, że nie pytam pana Razumowa, czy jakoś usprawiedliwił przed gościem swoją nieobecność. Bez wątpienia uczynił to zadowalająco. Ale nie pytam. Pan Razumow wzbudza zaufanie. To wielki dar. Nadmieniam tylko, że dłuższa nieobecność mogłaby obudzić w zbrodniarzu podejrzenia i skłonić go może do zmiany zamiarów.

Wstał i z wyszukaną grzecznością przeprowadził swoich gości do przedpokoju, ozdobionego kwiatami.

Razumow rozstał się z Księciem na rogu ulicy. W powozie słuchał jego słów, w których wrodzona uczuciowość walczyła z ostrożnością. Widocznie Księżę lękał się, aby Razumow nie żywił nadziei na jakieś stosunki z nim w przyszłości. Ale w głosie, którym wygłaszał po ciemku życzliwe, ostrożne ogólniki, dźwięczał odcień tkliwszego uczucia.

— Ufam panu całkowicie, panie Razumow — dodał Księżę,

— Oni mi wszyscy ogromnie ufają — pomyślał Razumow ponuro. Ten człowiek, siedzący obok niego w karecie napełniał go pobłażliwą pogardą. Prawdopodobnie obawiał się scen z żoną, o której mówiono, że była dumna i gwałtowna. Dziwnym mu się wydało, żeby tajemniczość odgrywała tak ważną rolę w dobrobycie i bezpieczeństwie istnień ludzkich, Ale chciał uspokoić Księcia i z odpowiednim naciskiem oświadczył, że, mając niejakie poczucie własnych skromnych uzdolnień i zaufanie we własną pracowitość, powierza swą przyszłość tym danym, Wyraził wdzięczność za doznaną obecnie pomoc. — Tak niebezpieczne sytuacje nie zdarzają się w życiu dwa razy — dodał.

— A ty znalazłeś się w tej sytuacji w sposób, który mi daje wysokie wyobrażenie o twojej moralnej i umysłowej wartości. — rzekł Księżę uroczyście. — Teraz tylko wytrwałym bądź, wytrwałym.

Wysiadłszy na chodnik, Razumow ujrzał dłoń bez rękawiczki, wyciągającą się w jego stronę przez opuszczoną szybę karety. Dłoń ta zatrzymała przez chwilę rękę Razumowa, podczas gdy światło latarni padało na pociągłą twarz Księcia i siwe, staromodne wąsy.

— Sądzę, że jesteś teraz zupełnie uspokojony co do następstw...

— Po tym, co Wasza Ekscelencja raczyła dla mnie uczynić, mogę tylko polegać na moim sumieniu.

— Adieu! — rzekła wąsata głowa ze wzruszeniem.

Razumow skłonił się. Kareta pomknęła z lekkim sykiem po śniegu, on zaś pozostał sam na brzegu chodnika.

Powiedział sobie, że nie ma już o czym myśleć i zaczął iść ku domowi. Szedł spokojnie. Była to zwykła rzecz taki powrót do domu po wieczorze spędzonym z kolegami lub na tanim miejscu w teatrze. I wszystko, na co

spojrzał, było mu tak dobrze znane i nic niezmienione. Oto róg jego ulicy. Gdy go minął, zobaczył mętne światło sklepienia z wiktuałami, którego właścicielką była Niemka. Za szybkami widać było bochenki czerstwego chleba, wiązki cebuli i krążki kielbasy. Właśnie zamykano. Chorowity, kulawy subiekt, tak dobrze znany mu z widzenia, brodził po śniegu, ciągnąc wielką, drewnianą okiennicę. Nic się nie zmieniło. Oto znajoma brama otwiera swe ciemne wnętrze, przeblaskując słabym oświetleniem klatki schodowej.

Poczucie ciągłości życia zależało od drobnych, cielesnych wrażeń. Błahostki codziennego życia były puklerzem dla duszy. Ta myśl wzmocniła wewnętrzny spokój Razumowa, gdy począł wstępować na schody, znane jego stopom nawet w ciemności, z ręką na znanej, lepkiej poręczy. Żadna wyjątkowość nie mogła wziąć góry nad wrażeniami materialnymi, które czynią jeden dzień podobnym do drugiego. Jutro będzie takie samo jak wczoraj.

— Przypuszczam — myślał Razumow — że gdybym zamierzał palnąć sobie w łeb na pierwszym prześle, szedłbym po schodach równie spokojnie jak teraz. I cóż począć? Co być musi, to musi. Zdarzają się nadzwyczajne rzeczy. Ale gdy się już zdarzyły, trzeba z nimi skończyć. Również gdy się coś postanowiło, ta sprawa jest skończona. I codzienne zabiegi, zwyczajny bieg naszych myśli pochłania ją; życie idzie zwykłym biegiem, zaś jego tajemnicze i ukryte strony znikają z oczu jak to być powinno. Życie jest rzeczą publiczną.

Razumow otworzył drzwi, wyjął klucz z zamka, wszedł bardzo spokojnie i zamknął za sobą starannie.

Pomyślał: „Słyszysz mnie” i, zamknawszy drzwi, stał chwilę, wstrzymując oddech. Nie było najłżejszego szmeru. Minął pusty przedpokoik, stąpając ostrożnie w ciemności. Wszedłszy do pokoju, po omacku poszukał zapalek na stole. Haldin nie dawał znaku życia. Czyżby spał tak mocno? Razumow potarł zapalną i spojrzął w stronę łóżka. Haldin leżał na wznak jak przedtem, tylko ręce podłożył sobie pod głowę. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w sufit.

Razumow podniósł zapalną. Zobaczył czysto wyrzeźbione rysy, białe czoło i jasny pęk włosów na tle białej poduszki. Tak, leżał tu na wznak. Razumow pomyślał nagle: „Przeszedłem mu po piersiach”.

Patrzył wciąż, aż zapalną zgasła, po czym potarł drugą i zapalił lampę, nie patrząc już w stronę łóżka. Odwrócił się i wieszał płaszcz na kołku, gdy Haldin westchnął głęboko i zapytał znużonym głosem:

— No cóż? Cóżżeście uradzili?

Razumow doznał tak silnych emocji, że musiał oprzeć się o ścianę. Szatańska chęć odpowiedzi mu: „Wydałem cię policji” przestraszyła go. Ale nie wyrzekł tego. Stwierdził, nie odwracając się, stłumionym głosem:

— Zrobione.

I znowu usłyszał, jak Haldin westchnął. Podeszedł do stołu, mając przed sobą lampę, i wtedy dopiero zerknął na łóżko.

W odległym kącie dużego pokoju, z dała od lampy, która była mała i osłonięta grubym chińskim ciemnikiem, Haldin wyglądał jak ciemny, podłużny kształt, stężały w bezruchu śmierci. Ta postać zdawała się mieć mniej ciała niż jej własne widmo, po którym Razumow przeszedł na białej od śniegu ulicy. I postać ta była bardziej przerażająca w swej uporczywej, przyćmionej rzeczywistości, niż wyraźne lecz przemijające złudzenie.

Głos Haldina dał się znowu słyszeć:

— Musiałeś mieć okropną drogę... okropną — szepnął przeprasającym tonem. — Na taką niepogodę...

Razumow odpowiedział energicznie:

— Tak, droga była straszna... Jak nocna zmora... — Wzdrygnął się wyraźnie.

Haldin westchnął po raz trzeci, po czym rzekł:

— Widziałeś więc Ziemianicza, bracie?

— Widziałem.

Razumow, pomnąc, ile czasu spędził z Księciem, uznał za roztropne dodać:

— Musiałem czekać dość długo.

— To niezwykły typ, prawda? Coś nadzwyczajnego, jakie poczucie konieczności swobody ma ten człowiek, a jego niektóre wyrażenia, takie proste, a takie trafne, takie właśnie, na jakie tylko lud w swej pierwotnej mądrości zdobyć się umie. Co za typ!

— Ja, pojmujesz, nie miałem wiele sposobności... — mruknął Razumow przez zęby.

Haldin wciąż wpatrywał się w sufit.

— Widzisz, bracie, ja tam często bywałem ostatnimi czasy. Zanosilem książki, broszury. Wielu z tych biedaków, którzy tam mieszkają, umieją czytać. Bo widzisz, biesiadników na ucztę wolności trzeba szukać po zaułkach i wertepach. Prawdę rzekłszy, niemal zamieszkałem tam wkońcu. Jest tam stajnia...

— Tam właśnie widziałem się z Ziemianiczem — przerwał Razumow. Jakiś chochlik podszeptał mu, by dodać: — Zrobiło mi to dobrze, pod pewnym względem wyszedłem stamtąd znacznie uspokojony.

— Co za typ! — ciągnął Haldin z wolna, wciąż wpatrując się w sufit.— Poznałem go, widzisz, w ten sposób. Od kilku tygodni, to jest odkąd zdecydowałem się uczynić to, co trzeba było uczynić, odsunąłem się od świata. Wyprowadziłem się od wdowy, od której odnajmowałem pokój. Po cóż miałem narażać tę pocziwą kobietę na to, by ją policja zadreczyła? Przestałem widywać się z kolegami.

Razumow przysunął sobie ćwiartkę arkusza papieru i zaczął na niej kreślić ołówkiem linie. „Na honor”, pomyślał gniewnie. „Troszczył się o bezpieczeństwo wszystkich, tylko nie o moje”.

Haldin mówił dalej:

— Dziś rano, o, to było co innego. Jak ci to wytłumaczyć? Zanim czyn został spełniony, włóczyłem się po nocy, a w dzień leżałem w ukryciu. Układałem w myślach wszystko i byłem spokojny. Nie mogłem spać, ale byłem spokojny. Czymże się miałem dręczyć? Ale dziś... po tym... utraciłem spokój. Nie byłbym wytrzymał w tym wielkim domu, pełnym nędzy. Nędzarze tego świata nie dają spokoju. A gdy ten głupi stróż zaczął wrzeszczeć, powiedziałem sobie: „Jest w tym mieście młodzieniec, przerastający głową i ramionami pospolite przesady”.

„Czy on sobie drwi ze mnie?” zapytał sam siebie Razumow, kreśląc w dalszym ciągu bezcelowo kółka i trójkąty po papierze. I nagle pomyślał: „Moje zachowanie musi mu się wydawać dziwnym. A nuż się przestraszy i zbiegnie gdzie, a ja będę zgubiony bezapelacyjnie? Ten przekłety Generał...”

Upuścił ołówek i zwrócił się raptem ku łóżku, gdzie wyciągnięta postać Haldina rysowała się znacznie słabiej, niż tam, na chodniku, gdy przeszedł po jej piersiach bez wahania. Byłoby to również widziadło?

Milczenie trwało długo.

„Już go tu nie ma” myślał Razumow, walcząc rozpaczliwie z tym dziwnym przywidzeniem, które go przerażało. „Poszedł sobie, a to... jest... tylko...”

Nie mógł dłużej wytrzymać dłużej. Zerwał się na równe nogi i, powiedziawszy głośno: „Jestem straszliwie rozdrażniony”, w paru popędliwych krokach stanął przy łóżku, ręka jego spoczęła lekko na ramieniu Haldina i kiedy wyczuł, że on tam rzeczywiście leży, opanowała go szalona żądza, by chwycić to odsłonięte gardło i wydusić ostatnie tchnienie z tego ciała, żeby mu się nie wymknęło, zostawiając jedynie cień na swoim miejscu. Haldin nie poruszył się, tylko jego przysłonięte oczy, podniósłszy się trochę, spojrzały na Razumowa z głęboką wdzięcznością za ten objaw uczucia.

Razumow odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju.

— Byłoby to może dobrodziejstwem dla niego — mruknął do siebie i aż się przestraszył tego usprawiedliwienia morderczej pokusy, które umysł jego wynalazł gdzieś w swych zakamarkach. A mimo to nie mógł się jej oprzeć. Zaczął ją rozważać na trzeźwo.

„Czego on się może spodziewać!” myślał. „Stryczka w rezultacie... A ja...”

Argumentację przerwał głos Haldina:

— Po co się troszczyć o mnie? Oni mogą zabić moje ciało, ale nie wygnają mojej duszy z tego świata. Powiadam ci, ja tak mocno wierzę w ten świat, że nie mogę wyobrazić sobie wieczności inaczej, jak w postaci jakiegoś bardzo długiego życia. Może dlatego jestem gotów umrzeć.

— Hm — mruknął Razumow i, przygryzłszy dolną wargę, chodził w dalszym ciągu po pokoju, snując swą dziwną argumentację.

Tak, dla człowieka w takim położeniu, to oczywiście byłoby dobrodziejstwem, jednakże rzecz polegała nie na tym, jak być dobrym, lecz jak być stanowczym. Haldin był nieobliczalnym gościem.

— Ja również, Wiktorze Wiktorowiczu, wierzę w ten nasz świat — rzekł Razumow z mocą. — Ja również, póki żyję... Ale ty zdajesz się brać w rachubę jakieś pozagrobowe bytowanie na nim. Chyba na serio nie przypuszczasz...

Głos nieruchomego Haldina zaczął;

— Pozagrobowe bytowanie na nim! Doprawdy, gnębicielu myśli, która przyspiesza rozwój świata, niszczyciele dusz, łaknących udoskonalenia, ci zasługują na to, by ich ścigać i spoza grobu. Co się tyczy morderców mej ziemskiej powłoki, przebaczyłem im już z góry.

Razumow przystanął, na pozór aby słuchać, ale jednocześnie obserwował własne wrażenia. I zły był na siebie, że przywiązuje tyle wagi do tego, co Haldin mówi.

„To wariat”, pomyślał stanowczo, ale ta opinia nie ułagodziła go względem Haldina. Było to wariactwo szczególnie zuchwałe, a gdy zaczynało wsiąkać w publiczne życie narodu, to, oczywiście, obowiązkiem każdego dobrego obywatela było...

Tu urwał mu się bieg myśli i ogarnęła go taka milcząca wściekłość i taka nienawiść względem Haldina, że zaczął mówić bez związku:

— Tak, wieczność, naturalnie. Ja również nie mogę jej sobie dobrze przedstawić. Wyobrażam ją sobie, jak coś spokojnego i... nudnego. Nie będzie tam żadnych niespodzianek... uważasz... Brak będzie również pierwiastka czasu...

Wyjął zegarek i zerknął na cyferblat. Haldin odwrócił się na bok i patrzył w napięciu.

Razumowa przestraszyło to poruszenie. Nieobliczalny gość z tym swoim sobowtórem. Północ nie nadeszła jeszcze. Podjął więc spiesznie:

— I niepojętych tajemnic. Czy możesz wyobrazić sobie tajemne rzeczy w wieczności? Podczas gdy życie jest ich pełne. Są, na przykład, tajemnice urodzenia. Człowiek nosi je w sobie do grobu. Jest czasem coś komicznego... ale mniejsza z tym. Zdarzają się również tajemnicze pobudki postępowania. Najjawniejsze czyny człowieka mają swoją tajemną stronę. To bardzo ciekawe i takie niezgłębione. Ktoś, na przykład, wychodzi z pokoju na spacer. Pozornie nic pospolitszego. A jednak to może być ważne. Wraca, spotkał może jakiegoś pijaka, zauważył coś szczególnego na śniegu i oto już nie ten sam człowiek. Najbardziej nieprawdopodobne rzeczy wywierają tajemny wpływ na czyjeś myśli: siwe wąsy jednej osoby, zezowate oczy innej.

Czoło Razumowa zwilgotniało. Przeszedł parę razy po pokoju, uśmiechając się do siebie złośliwie.

— Czy zastanowiłeś się kiedy nad wpływem siwych wąsów i zezowatych oczu? Pozwól. Myślisz może, iż zwariowałem i plotę od rzeczy. Ale nie mówię na wiatr. Widziałem przykłady. Zdarzyło mi się rozmawiać raz z kimś, o

którego losie rozstrzygnęły tego rodzaju drobnostki. I on o tym nie wiedział. Oczywiście, wchodziło tu w grę sumienie, ale takie drobnostki rozstrzygnęły... A ty, Wiktorze Wiktorowiczu, mówisz mi, żebym się o ciebie nie troszczył. Jakże! Przecież jestem odpowiedzialny za ciebie! — zakrzyknął prawie.

Z trudem powściągnął wybuch iście mefistofelesowskiego śmiechu. Haldin, bardzo blady, uniósł się na łokciu.

— A niespodzianki życia! — ciągnął Razumow, spojrzawszy intrygująco na tamtego. — Zważ tylko ich zdumiewającą naturę. Tajemniczy popęd skłania cię, żebyś tu przyszedł. Nie mówię, żeś źle uczynił. Owszem, z pewnego punktu widzenia nie mogłeś postąpić lepiej. Mogłeś pójść do człowieka mającego rodzinne związki i uczucia. Sam masz takie związki. Co do mnie, uważasz, dorastałem w zakładzie wychowawczym, gdzie nam nie dawano jeść do syta. Mówić w kontekście podobnej instytucji o przywiązaniu — sam pojmujesz. A co się tyczy związków, jedyne związki, jakie mam na świecie są społeczne. Muszę być uznanym w jakikolwiek sposób, nim zacznę działać w ogóle. Siedzę tu i pracuję... A czy myślisz, że nie pracuję również dla postępu? Wyrobiłem sobie własne poglądy na prawdziwą drogę... Wybacz mi — ciągnął Razumow, odetchnąwszy głęboko i zaśmiawszy się krótko, gardłowo — ale nie odziedziczyłem skłonności rewolucyjnych po jakimś wuju, wraz z podobieństwem rysów.

Spojrzał znów na zegarek i zauważył z obrzydzeniem, że jeszcze wiele minut brakuje do północy. Wyrwał zegarek z łańcuszkiem z kamizelki i położył go na stole w świetle lampy. Haldin, wsparty na łokciu, nie ruszał się. Razumowa zaniepokoiła ta postawa. „Co on tak spokojnie planuje?” pomyślał. „Trzeba temu przeszkodzić. Muszę wciąż mówić do niego.”

Podniósł głos:

— Jesteś synem, bratem, siostrzeńcem, krewnym, albo ja wiem czym, dla niezliczonej ilości osób. Ja jestem tylko człowiekiem. Oto stoję przed tobą. Człowiekiem, który myśli. Czy przyszło ci kiedy do głowy, w jaki sposób człowiek, który nigdy w życiu nie słyszał serdecznego słowa lub pochwały, będzie myślał o rzeczach, o których ty pomyślisz naprzód za lub przeciw twojej sferze, o twoich rodzinnych tradycjach, o domowych przesądach? Czyś zastanowił się kiedy nad tym, jak taki człowiek odczuwa? Ja nie mam żadnych rodzinnych tradycji. Moje tradycje są historyczne. Na cóż ja się mam oglądać, jeżeli nie na moją przeszłość narodową, od której wy, panowie, chcecie oderwać waszą przyszłość? Czyż moje zdolności, moje dążenia do lepszego losu mają być pozbawione jedynej rzeczy, na której mogą polegać, dla widzimi się burzycielskich zapaleńców? Ty pochodzisz ze swoich stron, ale cały ten kraj jest moim—albo nie mam nic zgoła. Niewątpliwie będziesz kiedyś uważany za męczennika, za bohatera, za świętego w niebie politycznym. Ale ja się o to nie ubiegam. Poprzestaję na roli pracownika. I cóż wy zresztą zdziałacie, rozlawszy trochę krwi na śniegu? Na tym Bezmiarze! Na tym nieszczęsnym Bezmiarze! Mówię ci! — krzyknął stłumionym, drżącym głosem, postąpiwszy o krok bliżej

ku łóżku — że nie pozabytowych widziadeł temu Bezmiarowi potrzeba, ale człowieka!

Haldin wyciągnął ręce, jak gdyby go chciał zatrzymać z dala od siebie, ze zgrozą.

— Rozumiem teraz! — wykrzyknął z przerażeniem i rozpaczą — rozumiem... nareszcie.

Razumow zachwiał się i oparł o stół. Pot zrosił mu ciało, zimny dreszcz przebiegł od głowy do stóp.

„Co ja mówiłem?” zapytał sam siebie. „Czyżbym mu się dał wymknąć pomimo wszystko?”.

Uczuł, że wargi mu tężeją jak gumowane płótno i, zamiast uśmiechnąć się życzliwie, skrzywił się tylko.

— Co chcesz? — zaczął pojednawczym tonem, który wzmocnił się po pierwszych, drżących słowach. — Cóż chcesz? Pomyśl tylko: człowiek spokojny, pracowity, a tu nagle... Nie mam wprawy w takim zawołanym mówieniu... Ale — uczuł, że znowu porywa go złość, mściwa złość. — Cóż mieliśmy tu robić razem do północy? Siedzieć naprzeciwko siebie i myśleć o twoich... twoich jatkach!

Haldin przybrał zgnębiałą, zgaszoną postawę. Schylił głowę, ręce zwisły mu pomiędzy kolanami. Głos jego był cichy, rozżalony, ale spokojny.

— Widzę teraz, jak to jest, Razumowie, bracie. Masz wspaniałomyślną duszę, ale czyn mój jest ci wstrętny, niestety!

Razumow wytrzeszczył oczy. Ze strachu tak zacisnął zęby, że aż go twarz zabolą. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu,

— I może nawet osoba moja jest ci wstrętną — dodał Haldin posepnie, po krótkim milczeniu. Spojrzał na niego przelotnie i znów utkwił wzrok w podłodze. — Bo istotnie, o ile ktoś...

Urwał, widocznie czekając na jakieś słowo. Razumow milczał. Haldin pokiwał głową ze smutkiem, dwukrotnie.

— Oczywiście... oczywiście... — szepnął. — Ach, ciężkie zadanie!...

Pozostał chwilę zupełnie nieruchomym, po czym zerwał się nagle. Ciężkie jak ołów serce Razumowa podskoczyło w piersiach gwałtownie.

— Niech więc tak będzie! — zawołał Haldin smutno, cichym, wyraźnym głosem. — Żegnaj zatem!

Razumow zerwał się z krzesła, ale widok wzniesionej w górę ręki Haldina przykuł go do miejsca. Oparł się ciężko o stół, słuchając, jak gdzieś w oddali zegar miejski wydzwaniał godzinę. Haldin, już przy drzwiach, wysoki i prosty jak strzała, ze swą bladą twarzą i wzniesioną wyczekująco ręką, wyglądał jak upostaciowanie zuchwałej młodości, wsłuchanej w jakiś głos wewnętrzny.

Razumow machinalniezerknął na zegarek. Gdy znów spojrział ku drzwiom, Haldina już nie było. Zniknął jak widziadło, tylko z przedpokoju doleciał leciuchny stuk odsuwanej zasuwki.

Razumow wybiegł do sieni, zataczając się, i przechylił się za balustradę. Patrząc w ciemną głąb z przeblyskującym nikło światelkiem na dole, pochwycił uchem szybki, lekki, dudniący odgłos, który zapadł się w dół, chyży cień pomknął za światelkiem, którego wątły płomyk mrugnął. Potem cisza.

Razumow wychylił się jeszcze bardziej, wdychając zimne, surowe powietrze, skażone cuchnącymi wyziewami brudnych schodów. Spokój panował dokoła. Wrócił z wolna do pokoju, zamykając drzwi za sobą. Jasne światło lampy padało na zegarek. Razumow stanął, patrząc na biały cyferblat. Brakowało jeszcze trzech minut do dwunastej. Wziął zegarek trzęsącą się ręką.

— Spóźnia się — ruknął i ogarnęła go dziwna bezsilność. Kolana ugięły się pod nim, zegarek z łańcuszkiem wysliznął mu się z palców i upadł na podłogę. To go tak przestraszyło, że o mało sam nie upadł. Gdy wreszcie odzyskał tyle władzy nad własnymi członkami, by się schylić po zegarek, przyłożył go zaraz do ucha. Po chwili warknął:

— Nie chodzi — i znów milczał dość długo, zanim mruknął:

— Stało się... a teraz do roboty.

Usiadł, sięgnął po pierwszą z brzegu książkę, otworzył ją na chybił trafił i zaczął czytać. Ale zaledwie przeczytał parę wierszy, stracił wątek i nie próbował nawet go odnaleźć. Zaczął rozmyślać: „Z pewnością jakiś agent policyjny pilnuje domu po drugiej stronie ulicy”.

Wyobrażał go sobie przyczajonego w ciemnej bramie, z zezowatymi oczami, otulonego w płaszcz po uszy i w generalskim kapeluszu z piórami na głowie. Ta niedorzeczność tak go przestraszyła, że aż drgnął konwulsyjnie na krześle. Musiał po prostu wstrząsnąć gwałtownie głową, żeby się opędzić wizji. Cóż znowu, agent będzie przebrany może za chłopca albo za żebraka... Może też będzie zapięty po szyję w ciemne palto, z ciężką laską w rękę, jak opryszek z chytrymi oczyma, cuchnący wódką i surową cebulą.

Na tę myśl porwały go mdłości.

— Czemu ja sobie tym głowę zaprzątam? — pomyślał Razumow z niesmakiem. — Czy ja żandarm? A zresztą... już się stało.

Wstał z krzesła, mocno podniecony.

— Nie... nie stało się jeszcze. Nie ma jeszcze wpół do pierwszej.

A tu zegarek stanął. To go doprowadziło do rozpacz. Niepodobieństwo dowiedzieć się, która godzina. Gospodyni i wszyscy lokatorzy na tym piętrze już śpią. Jakżeby mógł pójść i... Bóg raczy wiedzieć, co by sobie pomyśleli, co by odgadli. Nie śmiał również wyjść na ulicę, żeby się dowiedzieć.

„Podejrzany jestem. Nie ma co owijać w bawełnę”, pomyślał z goryczą. Jeżeli z tej lub innej przyczyny Haldin nie pójdzie na Karabelną i wymknie się, policja tu się zbiegnie. A gdyby go w domu nie było, nie mogłyby się usprawiedliwić. Nigdy! Razumow rozejrzał się dziko dokoła, jak gdyby szukając sposobu pochwycenia czasu, który mu się wymknął całkowicie. O ile pamiętał, nigdy jeszcze nie słyszał tego miejskiego zegara ze swego pokoju. Nie był nawet pewny, czy go rzeczywiście słyszał tego wieczora.

Przystąpił do okna i stał z lekko pochyloną głową, nasłuchując.

— Będę tu stał, dopóki czegoś nie usłyszę — rzekł do siebie, z uchem zwróconym ku szybie.

Nogi zaczęły mu drętwieć, a jednocześnie przenikał go ostry ból w krzyżu i łydkach. Nie poruszył się; umysł jego błądził nad krawędzią obłądu. W pewnej chwili powiedział głośno: „Wyznaję”, tak jak mógłby to powiedzieć człowiek wzięty na tortury. „Jestem na torturach”, pomyślał. Czuł się bliskim omdlenia. Stłumiony, odległy dźwięk zegara odbił mu się pod czaszką jak wystrzał, tak wyraźnie go usłyszał. Pierwsza!

Gdyby Haldin nie wpadł w ręce policji, ta już byłaby tu, przetrząsając cały dom. Najlepszy szelest nie doszedł jego uszu. Tym razem stało się naprawdę. Powłókł się z trudem do stołu i opadł na krzesło. Odrzucił książkę i wziął kwadratową ćwiartkę papieru — taką samą, jakich już stos, wypełnionych jego drobnym, wyraźnym pismem, leżał na stole — tylko pustą. Umazał raptownie pióro w kałamarzu z niejasnym przeświadczeniem, że będzie dalej pisać swoją rozprawę, ale pióro pozostało długo zawieszony nad papierem, wreszcie opuściło się i zaczęło kreślić długie niezgrabne litery. Ze skupioną twarzą i zaciśniętymi wargami Razumow zaczął pisać. A gdy pisał, jego drobne, wyraźne pismo straciło całkowicie swój charakter; stało się niepewne, prawie dziecinne. Dużymi literami napisał pięć linijek, jedna pod drugą: Historia a nie Teoria; Patriotyzm a nie Internacjonalizm; Ewolucja a nie Rewolucja; i Rząd a nie Anarchia; Ustrój a nie Rozstrój. Popatrzył na nie tępo, po czym wzrok jego zwrócił się ku łóżku i zatrzymał na dobrych kilka minut, podczas gdy prawa ręka szukała po omacku scyzoryka na stole.

Wstał wreszcie, nierównym krokiem podszedł do łóżka i scyzorykiem wbił papier w otynkowaną drewnianą okładzinę ściany w głowach łóżka. To uczyniwszy, odstąpił krok i machnął ręką, rozglądając się dokoła. Potem nie spojrział już ani razu na łóżko. Zdjął swój obszerny płaszcz z kołka, otulił się nim szczelnie i poszedł położyć się na twardej, włosianej sofie po drugiej stronie pokoju. Ołowiany sen skleił mu natychmiast powieki. Kilkakrotnie budził się cały drżący, śniło mu się bowiem, że idzie wskroś śnieżnej zamieci po Rosji, zupełnie samotny, jak tylko może być zdradzony autokrata, po olbrzymiej, zimowej Rosji, którą jakimś sposobem wzrok jego ogarniał w całej ogromnej rozciągłości, jak gdyby to była mapa. Ale po każdym takim drżącym ocknieniu się, ciężkie powieki opadały na zaszklone oczy i usypiał znowu.

Zbliżając się do tej części historii Razumowa, umysł mój, dorzeczny umysł starego nauczyciela języków, coraz dotkliwiej odczuwa trudność zadania. Trudność ta leży nie w samej ścisłej dokładności opisu dziwnego ludzkiego dokumentu, lecz w odzwierciedleniu — widzę to teraz jasno — moralnych warunków, rządzących znaczną częścią powierzchni ziemi, warunków niełatwych do zrozumienia; tym mniej do odkrycia w zakresie jakiegoś opowiadania, o ile nie odnajdzie się, że tak się wyrażę, klucza w postaci słowa, które mogłoby być wykładnikiem wszystkich słów, pokrywających zapisane

kartki; słowa, które byłoby jeżeli nie samą prawdą, to w każdym razie zawierałoby jej dosyć, aby dopomóc moralnemu odkryciu, co powinno być celem każdej opowieści. Przeglądałam po raz setny kartki opowiadania Razumowa, odkładałam i biorę pióro, a trzymając je gotowe do spełnienia swej powinności, to jest do zaczernienia białego papieru — waham się. Słowo bowiem, które wciąż ciśnie się na koniec stałówki, brzmi: cynizm.

Cynizm piętnuje zarówno rosyjską autokrację, jak rosyjską rewolucję. W swej pysze, zrodzonej z ogromu, w swych dziwacznych pretensjach do świętości i w tajemnej gotowości do poniżania siebie w cierpieniach, duch Rosji jest duchem cynizmu. Na nim opierają się ustawy mężów stanu, teorie rewolucjonistów i mistyczne bredzenia proroków do takiego stopnia, że wolność wygląda na coś w rodzaju rozpusty, a nawet same cnoty chrześcijańskie wydają się nieprzyzwoitymi.

Ale przepraszam za ten odskok. Wywołał go bieg, który przybrało opowiadanie Razumowa, gdy jego konserwatywne przekonania, rozwodnione w jakimś nieokreślonym liberalizmie, skryształizowały się we wstrząśnieniu, wywołanym zetknięciem się z Haldinem.

Razumow obudził się, po raz dziesiąty może, cały drżący. Widząc światło dnia w oknie, oparł się chęci zaśnięcia na nowo. Nie pamiętał nic, ale nie zdziwił się, że spał na sofie w płaszczu i przeziął do szpiku kości. Światło wlewające się przez szyby wydało mu się dziwnie bezbarwne i beznadziejne, czyli pozbawione tych pierwiastków, które każdy nowy dzień powinien przynosić młodzieńcowi. Było to jakby przebudzenie się człowieka śmiertelnie chorego lub dziewięćdziesięcioletniego starca. Spojrzał na lampę; wypaliła się doszczętnie. Stała tam, ta wygasła latarnia morska jego prac, martwy przedmiot z porcelany i mosiądzu, wśród porozrzucanych kartek notatek i stosu książek — tej mierzwy zaczernionego papieru — jako sprzęt zbędny i bezużyteczny.

Razumow wstał i, zdjawszy płaszcz, zawiesił go na kółku, wykonywając wszystkie ruchy machinalnie. Nieopisana martwota, niczym zastój wody w rowie, przenikała jego duszę, jak gdyby życie wycofało się ze wszystkich rzeczy, a nawet z jego myśli. W domu panowała zupełna cisza.

Odwróciwszy się od wieszadła, pomyślał w ten sam martwy sposób, że musi być jeszcze bardzo wcześnie, ale, spojrzawszy na zegarek, zobaczył, że obie skazówki stoją na dwunastej.

— Ach tak — mruknął i, jakby zaczynając budzić się z odrętwienia, rozejrzał się po pokoju.

Jego uwagę zwrócił papier przybity do ściany. Popatrzył nań daleka, bez uznania i zaniepokojenia, ale gdy usłyszał w przedpokoju służącą, krzątającą się koło samowara, podszedł i zdjął papier z wyrazem głębokiej obojętności. Czyniąc to, spojrzął na łóżko, na którym nie spał tej nocy. Wgłębienie, które ciężar głowy Haldina wytłoczył w poduszce, było jeszcze widoczne.

Nawet gniew Razumowa na widok owego śladu bytności tamtego był tępy. Nie próbował pobudzić go do życia. Spędził dzień cały beczynnie; nawet

się nie uczesał. Nie pomyślał też o wyjściu z domu, jak w ogóle nie pomyślał o niczym, nie dlatego, żeby był niezdolny do myślenia, lecz dlatego, że mu się po prostu nie chciało. Ziewał często, pił dużo herbaty, chodził po pokoju bez celu, a gdy usiadł, pozostawał długo bez ruchu. Czas jakiś spędził przy oknie, bębniąc jednostajnie końcami palców po szybie. W bezcelowych wędrówkach dokoła stołu ujrzał odbicie własnej twarzy w lustrze i to go zastanowiło. Oczy, które patrzyły na niego ze zwierciadła, były to najnieszczęśliwsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. I to była pierwsza rzecz, która poruszyła jego umysłową martwość tego dnia.

Nie był przejęty tym osobiście. Pomyślał tylko, że życie wyjałowione ze szczęścia było niemożliwością. A czym było szczęście? Ziewnął i zaczął znów włóczyć się pomiędzy ścianami swego pokoju. Oczekiwanie czegoś — oto co jest szczęściem. Oczekiwanie zaspokojenia jakiejś żądzy, zaspokojenia jakiejś namiętności, ambicji, miłości, nienawiści — nienawiści także, niewątpliwie. Unikanie niebezpieczeństw egzystencji, życie bez obawy — to również było szczęście. Niczego więcej nie było. Spokój, oczekiwanie.

— Och, nędzna ludzkość! — wykrzyknął w duchu i dodał wnet w myśli: „W takim razie ja powinienem być szczęśliwy”.

Ale ta pewność nie podniecała go. Przeciwnie, ziewnął znowu, jak ziewał cały dzień. Zdziwił się nieco, gdy go zaskoczyła noc. Zmrok zapadł szybko, chociaż czas zdawał się stać w miejscu. Jakże się to stało, że nie zauważył, iż dzień minął? Oczywiście dlatego, że zegarek stanął... Nie zapalił lampy, ale podszedł do łóżka i rzucił się na nie bez wahania. Leżąc na wznak, podłożył ręce pod głowę i patrzył w górę. Po chwili pomyślał: „Leżę tu jak on. Ciekawym, czy spał, gdy ja zmagalem się z zadymką na ulicy. Nie, on nie spał. Ale dlaczego ja nie miałbym spać?” i uczył, że cisza nocna kładzie mu się na członkach jak ciężar.

Przeleżał tak, aż w mroźnym powietrzu na zewnątrz zegar miejski wydzwonił dobitnie północ, wnikając w spokój jego zawieszzonego istnienia. Znowu zaczął myśleć. Upłynęły już dwadzieścia cztery godziny, odkąd tamten opuścił jego mieszkanie. Razumow nabrał przeświadczenia, że Haldin usnął tej nocy w twierdzy. Pewność ta rozgniewała go dlatego, że nie chciał myśleć o Haldinie; ale usprawiedliwiał ją sobie fizjologicznymi i psychologicznymi przyczynami. Haldin, jak to sam wyznał, nie sypiał po nocach od całych tygodni, a teraz skończyła się dla niego wszelka niepewność. Niewątpliwie wyglądał tylko końca swego męczeństwa. Człowiekowi, który zdecydował się zabić, nietrudno pogodzić się z własną śmiercią. Haldin spał może smaczniej niż generał T., którego zadanie — zadanie równie ciężkie — nie było skończone i nad którego głową wisiał miecz zemsty rewolucyjnej.

Razumow przypomniał sobie tego krępego mężczyznę o nalanych policzkach, spoczywających na kołnierzu munduru, tego czempiona autokracji, który nie okazał ani zdziwienia, ani niedowierzania, ani radości, ale którego

zezowate oczy wyrażały śmiertelną nienawiść dla wszelkiego buntu — i poruszył się niespokojnie na łóżku.

„Podejrzewa mnie”, pomyślał. „Sądzę, że podejrzewa każdego. Byłby zdolny podejrzewać własną żonę, gdyby tamten był poszedł do jej buduaru ze swoim wyznaniem”.

Usiadł na łóżku, zatrwożony. Miałże pozostać podejrzanym politycznie do końca swoich dni? Miałże iść przez życie jak człowiek, któremu nie można dowierzać, ze złą notą tajnej policji, dołączoną do metryki? Jakież przyszłości można się spodziewać w takich warunkach?

„Jestem teraz podejrzany”, myślał znowu, ale nałóg zastanawiania się i pragnienie bezpieczeństwa i spokojnego życia, które w nim były tak silne, przyszły mu, w miarę jak noc upływała, z pomocą. Jego pracowita, prawidłowa egzystencja zaważy wreszcie na szali jego lojalności. Było przecież tyle dozwolonych sposobności służenia krajowi. Można być czynnym i popierać postęp, nie będąc rewolucjonistą. Pole działania było wielkie i nieskończenie urozmaicone, byle tylko wyrobić sobie imię.

Myśli jego, jak krążący ptak, wróciły po dwudziestu czterech godzinach do srebrnego medalu i zostały przy nim.

Nie zmrużył oka przez całą noc, ale gdy dzień zaświtał, wstał niezbyt zmęczony i dostatecznie zdolny do wszelkich praktycznych celów. Poszedł na trzy ranne wykłady; w bibliotece pracował jednak tylko pozornie. Siedział wśród pootwieranych książek, siłąc się na robienie notatek i wyciągów. Jego nowo pozyskany spokój był jak wiotka odzież, z którą igrał lada podmuch wiatru. Zdrada!... Jakże? Toż tamten uczynił wszystko, żeby się zdradzić. Nadzwyczaj mało było potrzeba, żeby go oszukać.

— Nie powiedziałem ani jednego słowa, które nie było ścisłą prawdą. Ani jednego słowa — usprawiedliwiał się przed sobą Razumow.

Ale wśród takich myśli nie mogło być mowy o pracy z pożytkiem. Też same pojęcia snuły mu się po głowie i wymawiał w duchu jedne i te same słowa po wiele razy. Zamknął książki i wpakował wszystkie papiery do kieszeni, wściekły w duszy na Haldina.

Gdy wychodził z biblioteki, wysoki, kościsty student w zniszczonym paltocie przyłączył się do niego i szedł obok w zamyśleniu, Razumow odpowiedział na jego wybełkotane pocichu powitanie, nie spojrzawszy na niego,

„Czego on chce ode mnie?”, pomyślał z dziwną obawą przed czymś niespodziewanym, z czego się usiłował otrząsnąć, by go się nie uczepiło na dobre i nie wysało z niego życia do ostatniej kropli. A tamten, patrząc w ziemię, szeptał ostrożnie, że zapewne kolega czytał wiadomość, iż wykonawca wyroku — użył tego określenia — na panu de P. został aresztowany onegdajszej nocy,

— Byłem chory, zamknięty w mieszkaniu — mruknął Razumow przez zęby.

Wysoki student, podniósłszy w górę ramiona, wsadził ręce głęboko w kieszenie. Miał kwadratowy, bezwłosy, łojowaty podbródek, który drżał lekko, gdy mówił, a jego silnie zaczerwieniony od mrozu nos wyglądał pośród zapadniętych policzków jak fałszywy nos z pomalowanej tektury. Cała jego powierzchowność napiętnowana była chłodem i głodem. Szedł uparcie obok Razumowa, z oczyma utkwionymi w ziemi,

— To jest wiadomość urzędowa — mówił w ten sam ostrożny sposób. — Może być kłamliwa, Ale że aresztowano kogoś we wtorek w nocy między dwunastą a pierwszą, to pewne.

I mówiąc prędko pod osłoną swego zatroskanego wyglądu, powiedział Razumowowi, że wie to od pewnego niższego urzędnika w Centralnym Sekretariacie. Ten urzędnik należał do pewnego kółka rewolucyjnego.

— Do tego samego, co ja — zauważył student.

Szli przez rozległy, kwadratowy plac. Bezbrzeżna trwoga opanowała Razumowa, unicestwiając jego energię. W oczach mu się ćmiło. Nie śmiał rozstać się tu ze studentem.

„A może on należy do policji” — przemknęła mu myśl. „Któż to wie?” Ale spojrzawszy na zmarzniętą, wygłodzoną postać swego towarzysza, zrozumiał nedorzecznosc takiego podejrzenia.

— Ja, bo, widzicie, nie należę do żadnego koła. Ja...

Nie śmiał dodać nic więcej, nie śmiał również zwolnić kroku. A tamten, stawiając z dokładną rozwagą swe nędznie obute stopy, nadmienił cichym głosem, że należenie do jakiejś organizacji nie było dla każdego koniecznym. Najcenniejsze jednostki pozostawały na zewnątrz, najlepsze czyny odbywały się poza organizacją. Po czym bardzo prędko, drżącymi gorączkowo wargami wyszeptał: „Człowiekiem zaaresztowanym na ulicy był Haldin”.

I, przyjmując przerażone milczenie Razumowa jako dostatecznie naturalne, zapewnił go, że to była rzecz dowiedziona. Ten urzędnik państwowy był tej nocy na służbie w Sekretariacie. Słyszac hałas i liczne stapania w sieni, i wiedząc, że przyprawdzano czasem przestępców politycznych nocą z twierdzy, otworzył nagle drzwi pokoju, w którym pracował. Zanim będący na służbie żandarm zdążył wepchnąć go do środka i drzwi mu przed nosem zatrzasnąć, tamten zobaczył więźnia, którego gromada policjantów po części niosła, a po części ciągnęła przez sień, szarpiąc brutalnie. I poznał, bez dwóch zdań, Haldina. Mniej niż w pół godziny potem generał T. przybył do Sekretariatu, by osobiście zbadać więźnia.

— Nie dziwi was to? — zakończył chudy student.

— Nie — odparł Razumow szorstko i natychmiast pożałował tej odpowiedzi.

— Wszyscy myśleli, że Haldin wyjechał na prowincję, do rodziny. A wy? Student zwrócił swe wielkie, zapadłe oczy na Razumowa, a ten rzekł niebacznie:

— Jego rodzina jest za granicą.

Byłby się ugryzł w język ze złości. Student wymówił tonem głębokiego znaczenia:

— Ach tak! I wy tylko wiedzieliście — i umilkł.

„Oni wszyscy przysięgli się na moją zgubę”, pomyślał Razumow.

— Kolega mówił to jeszcze komu? — zapytał z gorzką ciekawością.

Tamten wstrząsnął głową.

— Nie. Wam tylko. W naszym kółku myślano, że to dlatego, iż Haldin wyrażał się często z największym uznaniem o waszym charakterze.

Razumow nie mógł powstrzymać poruszenia gniewnej rozpaczy, co tamten musiał sobie błędnie wytłumaczyć, bo przestał mówić i odwrócił swe czarne, pozbawione blasku oczy.

Szli obok siebie w milczeniu, po czym chudy student zaczął znów szeptać z odwróconym wzrokiem:

— Ponieważ teraz nie mamy członków wśród służby w twierdzy i nie ma sposobu przesłania mu trucizny, postanowiliśmy, że jakiś akt odwetu, następujący wkrótce...

Razumow, wlokąc się przez plac, przerwał:

— Znaliście Haldina? On wiedział, gdzie mieszkacie?

— Miałem szczęście słyszeć go przemawiającego dwa razy — odpowiedział towarzysz Razumowa gorączkowym szeptem, stanowiącym kontrast z posepną apatią jego twarzy i obejścia. — Nie znał mego adresu... Mieszkam kątem przy ubogiej rodzinie rzemieślniczej. Widzieć się tam ze mną nie byłoby wygodnie, ale, gdybyście mnie potrzebowali, jestem gotów....

Razumow aż się zatrząsł z wściekłości i trwogi. Wychodził z siebie, ale utrzymał głos na wodzy.

— Nie zbliżajcie się do mnie — wymówił cicho. — Nie odzywajcie się do mnie ani słowem. Zakazuję wam.

— Bardzo dobrze — odpowiedział tamten ulegle, nie okazując żadnego zdziwienia z powodu tego nagłego zakazu — macie swoje tajne przyczyny... doskonale... rozumiem.

Odsunął się natychmiast, nie podnosząc nawet oczu, i przeszedł ukosem na drugą stronę ulicy, chudy, obdarty, wygłodzony, ze spuszczoną głową, stąpając w szczególnie miarowy sposób.

Razumow spoglądał za nim jak na znikającą senną mare, po czym poszedł dalej, starając się nie myśleć. W sieni domu gospodyni zdawała się czekać na niego. Była to niska, krępa, nieforemna kobieta, z wielką, żółtą twarzą, wiecznie owiazaną czarnym, wełnianym szalem. Ujrawszy go wchodzącego na ostatnie przeszło, podniosła w górę ręce i klasnęła w dłonie przed twarzą.

— Cyrylu Sidorowiczu, batuszka, cóżeście uczynili najlepszego! Taki spokojny, rozsądny młodzieniec. A toż policja tylko co wyszła z waszego mieszkania.

Razumow popatrzył na nią z milczącą, badawczą uwagą. Jej obrzękła, żółta twarz drgała ze wzruszenia. Błagalnie zawróciła na niego oczami.

— Taki rozsądny młodzieniec! Dość na was spojrzeć, aby się o tym przekonać. A teraz... raptem... coś podobnego!... Potrzeba wam było zadawać się z tymi nihilistami. Rzućcie to, batuszka! To są ludzie, którzy przynoszą nieszczęście.

Razumow z lekka wzruszył ramionami.

— Albo może jaki tajemny wróg oczernił was, Cyrylu Sidorowiczu? Dużo jest czarnych serc i fałszywych denuncjacji w dzisiejszych czasach. Wszyscy żyją w trwodze.

— Czyście słyszeli, że mnie ktoś zadenuncjował? — spytał Razumow, nie spuszczać oczu z jej drgającej twarzy.

Ale ona nic nie słyszała. Próbowła wybadać rewirowego, podczas gdy jego ludzie przetrząsali pokój. To ludzki człowiek i zna ją przeszło jedenaście lat. Ale tylko tyle jej powiedział w sieni z bardzo poważną miną:

— Nie pytajcie mnie o nic, dobra kobieto. Ja sam nic nie wiem. Rozkaz pochodzi od wyższej władzy.

I rzeczywiście, wkrótce po wyjściu policjantów zjawił się jakiś wspaniały pan w futrze i błyszczącym kapeluszu, usiadł przy stole i przeglądał wszystkie papiery. Przyszedł sam i odszedł sam, nic ze sobą nie wzięwszy.

A ona — ot, teraz porządkuje trochę.

Razumow odwrócił się gwałtownie i wszedł do mieszkania.

Wszystkie książki były przetrząśnięte i leżały porozrzucane na podłodze. Gospodyni poszła za nim i, schyliwszy się z trudem, zaczęła zbierać je w fartuch. Papiery jego i notatki, zawsze tak starannie poukładane (wszystkie odnosiły się do jego studiów), tworzyły bezładny stos pośrodku stołu. Nieporządek ten wstrząsnął Razumowem głęboko i nieracjonalnie. Usiadł i patrzył. Miał nieoparte wrażenie, że całą jego egzystencję podminowano w jakiś tajemniczy sposób, że wszystkie moralne podpory rozpadają się w gruzy. Doznał nawet lekkiego zawrotu głowy i zrobił taki ruch, jak gdyby szukał oparcia.

Kobieta, dźwignąwszy się z cichym stęknieniem, wysypała wszystkie książki z fartucha na sofę i wyszła, mrucząc i wzdychając.

Teraz dopiero Razumow zauważył, że ćwiartka papieru, która przez jedną noc wisiała na ścianie nad pustym łóżkiem, leży na wierzchu innych papierów. Gdy ją zdjął poprzedniego dnia, machinalnie złożył we czworo i rzucił na stół. A teraz ujrzał ją leżącą na wierzchu, rozłożoną i wygładzoną, przykrywającą sobą cały ten bezładny stos ćwiartek — opowieść jego życia intelektualnego w ciągu ostatnich trzech lat. Nie rzucono jej tam. Położono ją wygładzoną. Dopatrzył się w tym jakiegoś głębszego znaczenia, a może niewytłumaczonego szyderstwa.

Siedział, wpatrując się w tę ćwiartkę, aż go oczy zabolaly. Nie próbował uporządkować papierów ani tego wieczora, ani następnego dnia, który spędził w stanie osobliwej niepewności. Ta niepewność odnosiła się ni mniej ni więcej tylko do pytania: czy ma żyć dalej? Ale nie było w tej żadnego podobieństwa

do wewnętrznej rozterki człowieka, zamierzającego popełnić samobójstwo. Myśl taka nie powstała nawet w głowie Razumowa. I nie wchodziła tu w grę jego cielesna powłoka, ten kształt widzialny, który poruszał się, oddychał, nosił odzież i nie obchodził nikogo, prócz może jego gospodyni. Prawdziwy Razumow miał istnieć w przyszłości, w owej przyszłości, zagrożonej przez bezprawia autokracji — bo autokracja nie zna żadnych praw — i bezprawia rewolucji. Poczucie, że jego moralna istota wydana była na pastwę tych potęg bezprawnych, było tak silne, że zadawał sobie całkiem poważnie pytanie: czy warto było spełniać w dalszym ciągu umysłowe funkcje tego istnienia, które zdawało się nie być już jego własnością?

— Na cóż się zdało wysilać inteligencję, pracować nad systematycznym rozwojem zdolności i wszystkich planów naukowych? — zapytywał sam siebie. — Ja chcę powodować się rozsądnymi przekonaniem, ale czy to mnie zabezpieczy przeciw wtargnięciu czegoś — jakiejś niszczycielskiej ohydy — tu, podczas kiedy tu siedzę?...

Razumow spojrzał bojaźliwie ku drzwiom przedpokoiku, jakby w oczekiwaniu, że jakiś wrogi kształt naciśnie klamkę i ukaże się przed nim w milczeniu.

— Pospolity złodziej — rzekł do siebie — znajduje więcej rękojmi w prawie, które łamie, i nawet takie bydlę, jak Ziemianicz, ma jakąś pociechę.

Razumow pozazdrościł materializmu złodziejowi i namiętności niepoprawnemu kochankowi. Skutki ich postępów były zawsze jasne i życie ich pozostawało ich własnością.

Ale spał tej nocy tak twardo, jak gdyby się pocieszał na sposób Ziemianicza. Usnął od razu, leżał jak kłoda i, obudzwszy się, nie pamiętał, żeby mu się co śniło. Było z nim tak, jak gdyby dusza jego poszła nocą zbierać kwiaty gniewnej mądrości. Wstał w posepnym ale już zrównoważonym nastroju i jak gdyby z nowym uświadomieniem swego ja. Spojrzał drwiąco na stos papierów na stole i poszedł na wykłady, mruknąwszy:

— Zobaczmy.

Nie był w usposobieniu do gawędy i tłumaczenia się z powodów wczorajszej nieobecności na wykładach, Ale trudno było pozbyć się szorstko pewnego bardzo dobrego kolegi, o gładkiej, różowej twarzy i jasnych włosach, znanego pomiędzy studentami pod przydomkiem „narwańca Kostii”. Był ubóstwianym synem bardzo bogatego i nieoświeconego dostawcy rządowego i uczęszczał na wykłady jedynie podczas napadów skruchy, ogarniających go po płaczliwych ojcowskich napomnieniach. Hałaśliwy, rozfiglowany jak szczeniak wyżła, napełniał nagie korytarze uniwersyteckie radością bezmyślnego zwierzęcego życia i już zdaleka wywoływał swoim widokiem pobłażliwe uśmiechy. Treścią jego rozmów były zwykle konie wyścigowe, pijatyki w kosztownych restauracjach oraz zalety osób łatwej cnoty i rozbijającej prostoty obejścia. Ten to „narwaniec Kostia” uczepił się Razumowa około południa i, mniej hałaśliwie niż to było jego zwyczajem, odprowadził go na bok.

— Chwileczkę tylko, Cyrylu Sidorowiczu. Parę słów w tym oto spokojnym kąciku.

Uczuł, że Razumow ociąga się, i przymilnie wsunął mu rękę pod ramię.
— Nie, proszę was, nie odmawiajcie. Nie będę wam zawracał głowy mymi głupimi tarapatami. Bo czymże są te moje sprawy? Zgoła niczym. Po prostu dziecinada. Ot, wczorajszej nocy wyrzuciłem gościa z pewnego domu, gdzie się kapitalnie bawił. Jakieś tyrańskie bydlę z Departamentu Skarbu. Zaczął wyprawiać brewerie z domownikami, więc się za nimi ująłem: „Jak się zachowujesz względem Bożych stworzeń, które są więcej warte, niż ty sam?” rzekłem. Bo ja, Cyrylu Sidorowiczu, nie znoszę tyranii. Na moją duszę, nie znoszę! A on tego wcale po dobroci nie przyjął; „Co to za zuchwały szczeniak?”, zaczyna krzyczeć. Byłem właśnie w werwie, więc jak się zamachnę i... mój gość wyleciał przez zamknięte okno bardzo szybko. Nie oparł się, aż het, na dziedzińcu. Darłem się jak... jak... minotaur. Kobiety zaczęły się mnie czepiać i wrzeszczeć. Grajkowie pochowali się pod stół. To była heca... Mój papa musiał bardzo głęboko wsadzić rękę w kieszeń, żeby to zatrzeć, Powiadam ci. Zaśmiał się figlarnie.

— Pożyteczne człeczysko ten mój papa. Zwłaszcza dla mnie. Bo ja wciąż jestem w tarapatach.

Wesołość opuściła go. Co było warte jego życie? Nic zgoła. Bez pożytku dla nikogo. Pewnego pięknego dnia rozbiją mu łeb butelką szampana w jakiejś burdzie. I to w takich czasach, kiedy ludzie poświęcają się dla idei! Ale jego głowy nigdy się żadne idee nie trzymały. Toteż słusznie rozbiją mu ją kiedyś butelką szampana. Niczego więcej nie jest warta.

Razumow, wymawiając się brakiem czasu, chciał odejść. Ale tamten przybrał ton powagi i zaufania.

— Na miłość boską, Cyrylu, duszo droga, pozwól mi uczynić jakąś ofiarę. To nawet żadną ofiarą nie będzie. Mam przecież mego bogatego papę za sobą. Jego kieszeń jest niezglębiona.

I nagle, odrzucając z oburzeniem uwagę Razumowa, że bredzi po pijanemu, ofiarował mu się z pożyczką na ucieczkę zagranicę. Mógł zawsze dostać pieniędzy od papy. Wystarczy tylko powiedzieć, że przegrał w karty, lub coś w tym rodzaju, a jednocześnie przyrzec uroczyście, że nie opuści ani jednego wykładu przez ostatni kwartał. To weźmie starego, a Kostia potrafi zdobyć się na tę ofiarę. Choć w istocie nie widzi, na co zdałoby mu się uczęszczanie na wykłady. To było całkowicie beznadziejne.

— Pozwól mi, żebym się na coś przydał — prosił milczącego Razumowa, który z oczyma utkwionymi w ziemię na próżno usiłował wyrozumieć znaczenie tej szczególnej oferty, a jednocześnie czuł szczególny wstręt do rozjaśnienia zagadki.

— Skąd ci przyszło na myśl, że ja chciałbym wyjechać zagranicę? — spytał wreszcie bardzo spokojnie.

Kostia zniżył głos.

— Policja była u ciebie wczoraj. Kilku z nas słyszało o tym. Mniejsza z tym, jaką drogą. Dość, że wiemy. Więc naradzaliśmy się...

— A! Jużeście się tak prędko dowiedzieli — mruknął Razumow niedbale.

— Tak. Dowiedzieliśmy się. I uderzyło nas, że taki człowiek, jak ty...

— Za jakiego człowieka mnie bierzecie? — przerwał Razumow.

— Za człowieka idei, i za człowieka czynu także. Ale ty jesteś bardzo głęboki, Cyrylu. Nie sposób przeniknąć cię do gruntu. W każdym razie nie takim jesteś jak ja, Wszyscy jednakże zgodziliśmy się z tym, że trzeba cię zachować dla kraju. Co do tego nie mieliśmy żadnej wątpliwości, to znaczy ci spośród nas, którzy słyszeli, w jaki sposób Haldin wyrażał się o tobie niejednokrotnie. A gdy komuś policja splądrowała mieszkanie, to już tam jakieś nieszczęście wisi nad jego głową. Więc jeżeli myślisz, że byłoby lepiej dla ciebie zwiać...

Razumow wyrwał się Kostii i poszedł korytarzem, zostawiając tamtego bez ruchu, z otwartymi ustami, ale wrócił natychmiast i stanął przed zdumionym Kostią, który z wolna zamykał usta. Razumow spojrział mu prosto w oczy, po czym rzekł, wymawiając z wyraźnym namysłem i oddzielnie każde słowo:

— Dziękuję ci... serdecznie.

I odszedł znów szybko. Kostia, ochłonawszy ze zdumienia, pobiegł za nim.

— Nie! Poczekaj! Słuchaj, Ja to naprawdę mówię... To tak, jak gdybyś okazał współczucie zgłodniałemu. Słyszysz, Cyrylu? A gdybyś potrzebował przebrania, to i tego mogę ci dostarczyć, od jednego kostiumera, Żyda, którego znam. Niechże narwaniec przysłuży ci się na swój sposób. Może fałszywa broda będzie potrzebna lub coś w tym rodzaju.

Razumow postanowił mieć się na baczności.

— Nie potrzeba tu żadnej fałszywej brody, Kostia, ty poczciwy wariacie. Co ty wiesz o moich ideach? Moje idee mogą być dla ciebie trucizną.

Tamten zaczął energicznie potrząsać przecząco głową.

— Co tobie do idei? Niektóre z nich mogłyby wypróżnić prędko kieszenie twojego papy. Nie wdawaj się w to, czego nie rozumiesz. Wracaj do twoich wyścigowców i twoich dziewczyn, a wtedy przynajmniej będziesz mógł być pewnym, że nikomu krzywdy nie wyrządzisz, chyba że sobie, i to niewielką.

— Odsyłasz mnie z powrotem do mego świńskiego koryta. To i koniec. Jestem nieszczęśliwe bydlę i skończę jak bydlę. Ale pamiętaj, że twoja pogarda to sprawi.

Razumow odszedł wielkimi krokami. Że ta prosta, hulaszczą dusza uległa także rewolucyjnemu prądowi, wydało mu się złowrogim symptomem czasu. Wyrzucał sobie, że się niepokoi. Osobiście powinien był się czuć zadowolonym. Boć to było niewątpliwie korzystne dla niego w tym zderzeniu mylnych sądów, że go brano za to, czym nie był. A czyż nie było to dziwne?

I znowu doznał takiego wrażenia, jak gdyby rewolucyjna tyrania Haldina pozbawiła go swobody postępowania. Jego pracowita, spokojna egzystencja, jedyna rzecz, którą mógł nazwać swoją na tej ziemi — przepadła. „Jakim prawem?”, zapytywał siebie z wściekłością. „W imię czego?”.

A najbardziej złościło go, że „uniwersyteccy myśliciele” najwyraźniej łączyli go z Haldinem. Wyrósł na jego powiernika. Ha! Ha!... Stał się wybitną osobą, nic o tym nie wiedząc. Jak ten łotr Haldin musiał o nim mówić! A może i mało mówił... Jakieś słowo rzucone od niechcienia wystarczyło, by je ci głupcy podchwycili, wzdęli... Alboż cała działalność rewolucyjna nie opierała się na głupocie, oszukiwaniu samych siebie i kłamstwach?

— Niepodobna myśleć o niczym innym — mruknął Razumow do siebie. — Zidiocieję, jeżeli tak dalej pójdzie. Zbrodniarze i głupcy zabijają moją inteligencję.

Stracił zupełnie nadzieję wywalczenia sobie przyszłości, która właśnie od swobodnego posługiwania się tą inteligencją zależała.

Doszedł do domu w stanie duchowego zniechęcenia, co mu pozwoliło przyjąć z brudnej ręki stróża, z pozorną obojętnością, urzędowo wyglądającą kopertę.

— Żandarm to przyniósł — rzekł ów człowiek. — Pyta mnie, czy pan jest w domu. Powiadam mu: „Nie, nie ma go w domu”. Zostawił u mnie. „Oddaj do własnych rąk” powiada. Więc oddaję do własnych rąk.

Wrócił do swojej miotły a Razumow poszedł z kopertą w rękę na górę. Ale i znalazłszy się w mieszkaniu, nie kwapił się z jej otwarciem. Oczywiście, ten urzędowy papier pochodził z wyższej policji. Podejrzany! Podejrzany! W ponurym zdumieniu, z rodzajem tępej melancholii jął rozważać okropność swego położenia. Oto trzy lata sumiennej pracy poszło na marne; bieg jakichś czterdziestu może przyszłych zwichnięty, przerzucany z nadziei w trwogę, dlatego, że wypadki, spowodowane ludzką głupota, wiążą się w szereg, którego żadna mądrość przewidzieć nie może, a żadna odwaga przerwać nie zdoła. Gdy się odwróci twoja gospodyni, fatalność wchodzi do twego mieszkania; wracasz do domu i zastajesz ją tam pod postacią mężczyzny w długich butach i brązowej czamarze, opartego o piec. Pyta: „Czy drzwi od sieni zamknięte?”, a ty nie wiesz, że trzeba ją chwycić za gardło i zrzucić ze schodów. Nie wiesz. Witasz tę straszliwą fatalność, „Siadaj”, powiadasz. I klamka zapada. Już jej się nie pozbędziesz. Przyłgnie do ciebie na zawsze. Ani strycek, ani kula nie wrócą ci swobody życia i zdrowotności myśli. To wystarcza, aby łeb o ścianę roztrzaskać.

Razumow obejrzał się z wolna dokoła, jakby szukając miejsca, o które ma sobie łeb roztrzaskać, po czym otworzył kopertę. Zawierała wezwanie do studenta Cyryła Sidorowicza Razumowa, by stawił się niezwłocznie w biurze policji tajnej. Razumow ujrzał w wyobraźni zezowate oczy Generała T., czekające na niego; ową wizję potęgi autokracji, cudaczną i straszliwą. T. był wcieleniem potęgi autokracji, ponieważ był jej stróżem. Był wcieleniem gniewu,

wcieleniem bezlitosnej srogości broniącego się ustroju politycznego i społecznego. Nienawidził buntu instynktownie i Razumow pomyślał, że ten człowiek nie był po prostu zdolnym zrozumieć, że ktoś może być umiarkowanym stronnikiem absolutyzmu.

„Ciekawym, czego on może właściwie chcieć ode mnie?”, zapytywał siebie. I, jak gdyby wywołane tym pytaniem, stało przed nim nagle znajome widmo Haldina, z nadzwyczajną dokładnością szczegółów. Pomimo że krótki dzień zimowy przemienił się w ponury zmierzch kraju pogrzebanego w śniegu, Razumow ujrzał wyraźnie wąski, skórzany pasek na czerkieskiej czamarze. Złudzenie tej nienawistnej obecności było tak zupełne, że czekał tylko, by usłyszeć pytanie: „Czy drzwi wejściowe zamknięte?”. Popatrzył na zjawę z nienawiścią i pogardą. Duchy nie ukazują się w ubraniu. A co więcej, Haldin zapewne żył jeszcze. Razumow postąpił naprzód groźnie; widziadło znikło, a on obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju z niewysłowionym lekceważeniem. Ale gdy zszedł z pierwszego piętra, przyszło mu na myśl, że może władze chcą go skonfrontować z Haldinem. Ta myśl uderzyła go jak kula i byłby spadł ze schodów, gdyby się nie uchwycił oburącz poręczy. Długą chwilę nie mógł odzyskać władzy w nogach... Ale dlaczego? Dla jakiej rozsądnej przyczyny? W jakim celu?

Nie mogło być żadnej racjonalnej odpowiedzi na te pytania, Razumow przypomniał sobie jednak obietnicę Generała, daną Księżciu K. Postępek jego miał pozostać nieznanym.

Zszedł ze schodów, a raczej spuszczał się stopień po stopniu, trzymając się mocno poręczy. W bramie odzyskał nieco pewność myśli i członków. Wyszedł na ulicę, nie chwiejąc się zbyt. Z każdą chwilą stawał się spokojniejszym. A mimo to powtarzał sobie, że Generał T. był absolutnie zdolny zamknąć go w twierdzy na czas nieokreślony. Jego temperament odpowiadał doskonale temu bezlitosnemu zadaniu; wszechwładza zaś czyniła go nieprzystępnym dla rozsądnej argumentacji.

Przyszedłszy jednak do Sekretariatu, Razumow przekonał się, że nie będzie miał do czynienia z Generałem T. Wynika z dziennika Razumowa, że ta straszliwa osobistość miała pozostać w cieniu.

Przyjął go w swoim gabinecie wyższy cywilny urzędnik, po dłuższym czekaniu w sali dusznej i nadmiernie ogrzanej, gdzie skrzypiały pióra przy mnóstwie biurka.

Woźny w mundurze, który wprowadził Razumowa, powiedział mu w korytarzu:

— Idzie pan przed oblicze Grzegorza Matwiejewicza Mikulina. Osobnik noszący to nazwisko nie miał w sobie nic przerażającego. Jego łagodny, wyczekujący wzrok zwrócony był już ku drzwiom, gdy Razumow wszedł. I od razu piórem, które trzymał w ręku, wskazał mu głęboką sofę pomiędzy oknami. Oczywiście poprowadził Razumowa, gdy ten szedł przez pokój i usiadł. Łagodny wzrok spoczął na nim; nie ciekawie, nie pytająco, z pewnością

nie podejrzliwie, lecz — prawie bez wyrazu. Beznamiętna uporczywość jego oczu wyrażała coś na kształt życzliwości.

Razumow, który przygotował swoją inteligencję i wolę na spotkanie z Generałem T., zmieszał się bardzo. Cały jego mozolny opór przeciw możliwym nadużyciom władzy i namiętności spełził na niczym wobec tego szczupłego mężczyzny, o długiej, nieprzystrzyganej brodzie. Broda była jasna, jedwabista i bardzo piękna. Światło padało miedzianymi odbłyśkami na wypukłości wysokiego, obróždzonego czoła. A wygląd tej szerokiej, łagodnej twarzy był tak pospolity i niemal wiejski, że staranny przedział włosów wydawał się czymś pretensjonalnym i przesadzonym.

Dziennik Razumowa świadczy o pewnym rozdrażnieniu z jego strony. Mogę tu zauważyć, że ów dziennik, składający się z mniej lub bardziej regularnych notatek, zdaje się być zaczętym tego właśnie wieczora, po powrocie Razumowa do domu.

Razumow tedy był rozdrażniony. Jego silnie nabrzmiała indywidualność rozdarła się nagle na strzępy. „Muszę się mieć z nim na bacności” — ostrzegał sam siebie w duchu, podczas gdy siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie. Milczenie to trwało krótko, a charakteryzował je (bo milczenia mają swój charakter) jakby rodzaj smutku, jakiego mu udzieliło łagodne, pełne zadumy zachowanie brodatego urzędnika. Razumow dowiedział się potem, że był on szefem wydziału w Sekretariacie Generalnym, z rangą w cywilnej służbie odpowiadającą randze pułkownika w armii.

Nieufność Razumowa wzrosła dotkliwie. Chodziło głównie o to, żeby się trzymać na bacności i nie powiedzieć za dużo. Wezwano go tu dla jakiejś przyczyny. Dla jakiej? Żeby mu dać do zrozumienia, że jest podejrzanym, a także niewątpliwie, żeby go pociągnąć za język. Ale dlaczego? Nie miał przecież nic do powiedzenia. A może Haldin nakłamał... Ogarnęła go przerażająca niepewność. Nie mógł znieść dłużej milczenia i, przeklinając sam siebie za swoją słabość, przemówił pierwszy, choć obiecywał sobie nie uczynić tego pod żadnym pozorem.

— Nie straciłem ani chwili czasu — zaczął ochrypłym, wyzywającym głosem, lecz tu zdolność mówienia opuściła go i zdawała się wejść w radcę Mikulina, który wtrącił z uznaniem:

— Bardzo słusznie. Bardzo słusznie. Chociaż w istocie!

Ale czary już przysły i Razumow przerwał mu śmiało, nabrawszy nagle przeświadczenia, że tak będzie najbezpieczniej. Z wielką obfitością słów zaczął skarżyć się, że go błędnie rozumiano. I jednocześnie, zdając sobie sprawę z własnego zuchwalstwa, pomyślał, że wyrażenie „błędnie rozumiano” jest lepsze niż gdyby był użył określenia, że mu „nie dowierzają”, więc powtórzył je z naciskiem. Nagle umilkł, wystraszony nieruchomą i skupioną postawą urzędnika.

„Co ja gadam?”, pomyślał, patrząc na niego niepewnym wzrokiem. Wszystkie klęski spadły na Razumowa przez tego przekłętą Haldina. Nagle

rozboleła go głowa. Przeciągnął ręką po czole mimowolnym ruchem cierpienia, którego nie zadał sobie trudu powściągnąć. W tej chwili Razumow ujrzał własny mózg, męczony na torturach; długą, bladą postać, której twarzy nie mógł dostrzec, rozciągniętą poziomo ze straszliwą siłą w głębi mrocznego lochu. Miał wrażenie, jakby przez nieskończenie drobny ułamek czasu śniła mu się jakaś ponura rycina przedstawiająca Inkwizycję.

Nie można na serio przypuszczać, że Razumowowi przyśniła się jakaś stara rycina z Inkwizycją. Był widać nadzwyczaj wyczerpany i wspomina, że doznał szczególnego, jakby przez sen odczuwanego udręczenia z powodu tego, że przy bladej, rozciągniętej postaci nie było nikogo. Samotność torturowanej ofiary była niewysłowienie straszliwym widokiem. Wspomina również, że tajemnicza niemożność dojrzenia twarzy budziła w nim trwogę. Wszystko to posiadało cechy charakterystyczne przykrego snu. A jednak jest pewny, że ani na chwilę nie stracił świadomości swojej osoby siedzącej na sofie, w pochylonej ku przodowi postawie, z rękoma pomiędzy kolanami, obracającej czapkę w palcach. Ale wszystko zniknęło na dźwięk głosu radcy Mikulina. Razumow uczuł głęboką wdzięczność dla spokojnej prostoty jego tonu.

— Tak. Słuchałem z zainteresowaniem. Rozumiem do pewnego stopnia pańską... Ale doprawdy, mylisz się pan co do...

Radca Mikulin wypowiedział szereg urywanych zdań. Zamiast je kończyć, spoglądał na swoją brodę. Były to umyślne przerwy dla nadania większego znaczenia owym zdaniom. Potrafił bowiem mówić płynnie, gdy, zmieniając ton na dobrotliwie perswadujący, ciągnął dalej:

— Słuchając pana w ten sposób, dałem chyba dowód, że nie uważam naszej rozmowy za ściśle urzędową. Istotnie, nie chcę wcale nadawać jej tego charakteru... O tak! Przyznaję, że wezwanie pana tutaj miało formę urzędową. Ale sam pan zauważ, czy w taki sposób wezwano by osobę...

— Podejrzaną! — wykrzyknął Razumow, patrząc prosto w oczy urzędnika. Były one wielkie, o ciężkich powiekach i odpowiedziały na zuchwałость przygąśnym, spokojnym spojrzeniem. — Podejrzaną!

Głośne powtórzenie tego wyrazu, który prześladował wszystkie bezsenne godziny Razumowa, sprawiło mu dziwny rodzaj zadowolenia. Radca Mikulin wstrząsnął z lekka głową, a Razumow dodał:

— Zapewne panu wiadomo, że policja rewidowała moje mieszkanie!

— Chciałem powiedzieć: osobę błędnie zrozumianą, gdyż mi pan przerwał — zauważył radca Mikulin spokojnie.

Razumow uśmiechnął się bez gorczy.

— Odzyskane poczucie wyższości umysłowej podtrzymało go w godzinie niebezpieczeństwa. Rzekł z pewnym lekceważeniem.

— Wiem, że jestem tylko marną płonką. Ale racz pan przyznać wyższość myślącej płonki nad bezmyślnymi siłami, które ją mają zmiażdżyć. Praktyczne myślenie w tym ostatnim przypadku jest tylko krytycyzmem. Może mi wolno będzie wyrazić tu zdziwienie, dlaczego policja zwlekała z ową rewizją przez

dwa dni, podczas których mogłem oczywiście zniszczyć wszystko, co by mnie mogło skompromitować, pałac to, powiedzmy, a nawet ślady popiołu usunąć.

— Gniewasz się pan — zauważył urzędnik z niewysłowioną prostotą. — Czy to rozsądnie?

Razumow uczył, że się czerwieni ze zdenerwowania.

— Jestem rozsądnym. Jestem nawet, pozwól mi pan powiedzieć, myślicielem, aczkolwiek w dzisiejszych czasach nazwa ta zdaje się być przedmiotem monopolu kolporterów towaru rewolucyjnego, niewolników jakichś francuskich lub niemieckich idei, licho wie jakich pojęć cudzoziemskich. Ale ja nie jestem mieszkańcem intelektualnym. Myślę jak Rosjanin. Myślę lojalnie, a jednak śmiem nazwać siebie myślicielem. Wszak, o ile wiem, nie jest to wyraz zakazany?

Radca Mikulin, ze skrzyżowanymi nogami, obrócił się na krześle i, położywszy łokieć na biurku, wsparł głowę na knykciach lekko w pięść zwiniętej ręki. Razumow zauważył na jego grubym wskazującym palcu szeroki, złoty pierścień z krwistoczerwonym kamieniem, rodzaj sygnetu ważącego może ze ćwierć kilo i pomyślał, że był to bardzo stosowny klejnot dla tego ociężałego mężczyzny, ze starannym przedziałkiem pośrodku błyszczących włosów ponad pobrużdżonym, sokratesowym czołem.

„Czyżby to była peruka?”, pomyślał Razumow i zdziwił się, skąd mu przyszło zastanawiać się nad tym. Zachwiała się jego pewność siebie. Postanowił nie paplać więcej. Bacność! A przede wszystkim nie wspomnieć ani słowem o Ziemianiczu, gdy przyjdzie do tych pytań. Wyłączyć wszelkie wzmianki o Ziemianiczu ze swoich odpowiedzi.

Radca Mikulin patrzył na niego mętnie. Pewność siebie opuściła Razumowa zupełnie. Wydało mu się niepodobieństwem milczeć o Ziemianiczu. Każde pytanie będzie do tego prowadzić, bo o cóż by im innego chodziło. Uczynił wysiłek, aby się uzbroić w przytomność umysłu. Nie powiodło mu się to jednak. Radca Mikulin wydawał się także zadziwiająco roztargniony.

— Dlaczego miałby być zakazany? — powtórzył. — Ja również uważam się za człowieka myślącego, zapewniam pana. Główny warunek tylko: myśleć poprawnie. Przyznaję, że może to być trudnym czasem dla młodzieńca pozostawionego samemu sobie, z nieokiełznanymi, że się tak wyrażę, szlachetnymi porywami. Lada wiatr może nim miotać jak zechce. Wiara religijna jest, oczywiście, wielka...

Radca Mikulin spojrzał na swoją brodę, a Razumow, nieco odprężony tym niespodziewanym zwrotem, mruknął z ponurym niezadowoleniem:

— Ten tam Haldin wierzył w Boga.

— A, pan wie o tym — wyszeptał radca Mikulin cicho, niemal poufnie, zaznaczając jednak dość wyraźnie, że go ta uwaga Razumowa nieco stropiła.

Razumow zaś zachował bierną, skupioną postawę, choć wyrzucał sobie gorzko, nazywając się szkodliwym głupcem, że sprawił wrażenie zgoła fałszywe, wrażenie jakiejś nieistniejącej zażyłości. Utkwił wzrok w podłodze.

„Muszę koniecznie trzymać język za zębami, o ile nie jestem zmuszony mówić”, strofował się w duchu. A jednocześnie pytanie: „Czy nie lepiej powiedzieć wszystko?” narzucało mu się z taką siłą, że aż musiał przygryźć dolną wargę.

Radca Mikulin jednak nie żywił widocznie żadnej nadziei jakiegoś wyznania z jego strony i ciągnął dalej:

— Mówisz mi pan więcej niż jego sędziowie mogli z niego wydobyć. Sądziła go Komisja Trzech. Nie chciał im absolutnie nic powiedzieć. Mam tu protokół badania. Po każdym pytaniu stoi: „Odmawia odpowiedzi . Odmawia odpowiedzi”. I tak stronica za stronicą. Widzisz pan, powierzono mi dalsze śledztwo w tej sprawie i dokoła niej. Ale nie pozostawił mi nic, żadnego wątku, od którego mógłbym rozpocząć dochodzenia. O, to był zatwardziały zbrodniarz! A pan powiadasz, że wierzył w...

Radca Mikulin spojrział znów z lekkim skrzywieniem na swoją brodę, ale nie zamilkł na długo. Zauważywszy lekceważąco, że nawet bluźniercy mają ten rodzaj wiary, zakończył przypuszczeniem, że Razumow musiał często rozmawiać z Haldinem na ten temat.

— Nie — rzekł Razumow głośno, nie podnosząc oczu. — On mówił, a ja słuchałem. To nie jest rozmowa.

— Słuchanie jest wielką sztuką — wtrącił Mikulin.

— A doprowadzenie drugich do mówienia, także — zamamrotał Razumow.

— No nie, to nie jest bardzo trudne — Mikulin rzekł niewinnie — wyjąwszy, oczywiście, poszczególne wypadki. Na przykład ten Haldin. Nic nie mogło go skłonić do mówienia. Cztery razy stawiano go przed delegowanymi sędziami. Cztery tajne badania i nawet podczas ostatniego, gdy przyszła kolej na pańską osobę...

— Na moją osobę! — powtórzył Razumow, podnosząc raptem głowę. — Nie rozumiem.

Radca Mikulin zwrócił się prosto do biurka i, wzięwszy kilka luźnych arkuszy szarego papieru, upuszczał je jeden po drugim, zatrzymując w ręku tylko ostatni. Po czym, trzymając go przed oczami, mówił:

— Uznano to, widzi pan, za potrzebne. W tak ważnych sprawach nie można zaniechać żadnego środka, mogącego podziałać na winowajcę. Pan to sam rozumie, jestem pewien.

Razumow wlepił szeroko otwarte oczy w radcę Mikulina, który teraz nie patrzył na niego wcale.

— Postanowiono zatem, a Generał T. radził się mnie co do tego, że pewne pytanie będzie zadane oskarżonemu. Ale, uwzględniając wyraźne życzenie Księcia K., nazwisko pana pozostało nieznane nawet samym sędziom. Książę K. uznał potrzebę, konieczność tego, co zamierzaliśmy uczynić, ale chodziło mu o pańskie bezpieczeństwo. bo tajemnica bywa trudna do utrzymania i temu zaprzeczyć się nie da. Nie zawsze można ręczyć za dyskrecję niższych

urzędników. A przy badaniu obecny był sekretarz specjalnego trybunału i paru żandarmów w pokoju. Toteż, jak powiedziałem, ze względu na Księcia K. nawet sędziowie pozostali w nieświadomości. Pytanie, już sformułowane (a napisałem je własnoręcznie) Generał T. przesłał sędziom, zaznaczając, by je zadano więźniowi na samym ostatku. Oto jak ono brzmi.

Radca Mikulin odrzucił nieco głowę wtył, tak, aby mógł dobrze widzieć i zaczął czytać monotonnym głosem:

„Pytanie. Czy osoba dobrze panu znana, w której mieszkaniu spędziłeś pan kilka godzin w poniedziałek i na skutek zeznania której zostałeś aresztowany, wiedziała przedtem o pańskim zamiarze spełnienia morderstwa politycznego?... Więzień odmawia odpowiedzi”.

„Powtórzenie pytania. Więzień zachowuje to samo kamienne milczenie. Wprowadzają Wielebnego Kapelana twierdzy, który wzywa więźnia do skruchy, zaklinając go, by odpokutował swoją zbrodnię przez szczere i zupełne wyznanie, co dopomoże mu w oczyszczeniu się z grzechu buntu przeciw prawom boskim, Świętemu Majestatowi panującego oraz przeciw naszemu miłującemu Chrystusa krajowi. Wówczas więzień po raz pierwszy tego dnia otwiera usta i głosem donośnym, czystym i wyraźnym odrzuca duchowne usługi Wielebnego Kapelana”.

„O jedenastej sąd w zwężłej formie ogłasza wyrok śmierci”.

„Egzekucję naznaczono na czwartą po południu. Do przedstawienia dalszym rozporządzeniom władz wyższych”.

Radca Mikulin upuścił arkusz, spojrzął na brodę i, zwracając się do Razumowa, objaśnił swobodnie:

— Nie widzieliśmy powodu zwlekania z egzekucją. Rozkaz wykonania wyroku przesłany został telegraficznie o dwunastej. Ja sam pisałem telegram. Powieszono go dziś o czwartej po południu.

Ta stanowcza wiadomość o śmierci Haldina wywołała w Razumowie uczucie ogólnego odrętwienia, jakie następuje po wielkim fizycznym lub umysłowym wyczerpaniu. Siedział bardzo cicho na sofie, tylko wymknął mu się szept:

— Wierzył w życie przyszłe.

Radca Mikulin wzruszył z lekka ramionami, a Razumow z wysiłkiem wstał. Nie miał już po co zostawać w tym pokoju. Haldin zawisł na stryczku o czwartej, w to nie można było wątpić. Rozpoczął zatem to przyszłe życie w długich butach, karakułowej czapce i skórzanym pasku na czerkieskiej czamarze. Nikła to była i zwiewna egzystencja. „Nie duszę swoją, lecz widmo swoje zostawił na tej ziemi”, pomyślał Razumow, uśmiechając się kostycznie i przechodząc pokój, jak gdyby zapomniał zupełnie o tym, gdzie był i o obecności radcy Mikulina. Ten przecież, nie ruszając się z miejsca, mógł być zaalarmować wszystkie straże w gmachu. Pozwolił jednak Razumowowi dojść do samych drzwi i dopiero wtedy przemówił:

— Ależ, Cyrylu Sidorowiczu, co pan robisz?

Razumow odwrócił głowę i popatrzył na niego w milczeniu. Nie był bynajmniej zmieszany. Ręce radcy Mikulina spoczywały wyciągnięte na biurku, ciało pochylało się nieco ku przodowi, a w zamglonym spojrzeniu malował się pewien wyrzut.

„Czy ja istotnie zamierzałem prysnąć w ten sposób?” pomyślał Razumow z niewzruszoną twarzą, uświadamiając sobie, że pod tą pozorną biernością kryło się trzeźwe zdumienie. „Widocznie byłbym wyszedł, gdyby się nie odezwał” pomyślał. „A on, co byłby wtedy uczynił? Trzeba temu tak czy owak położyć koniec. Niech zagra ze mną w otwarte karty”.

Zastanawiał się chwilę pod maską obojętności, po czym puścił klamkę i wrócił na środek pokoju.

— Powiem panu, co pan myśli — rzekł dobitnie, lecz nie podnosząc głosu. — Pan myśli, że pan ma do czynienia z tajemniczym współnikiem tego nieszczęśliwego człowieka. Nie, nie wiem, czy był nieszczęśliwym. Nie powiedział mi tego. Był zbrodniarzem z mego punktu widzenia, gdyż utrzymywanie przy życiu błędnej idei jest większą zbrodnią niż zabicie człowieka. Przypuszczam, że pan temu nie zaprzeczy. Nienawidziłem go. Wizjonerowie są wieczystą klęską świata. Ich utopie wpajają w ogół miernych umysłów niechęć do rzeczywistości i pogardę dla odwiecznej logiki rozwoju ludzkiego.

Razumow wzruszył ramionami i popatrzył w dal. „Co za tyrada!”, pomyślał. Milczenie i nieruchomość radcy Mikulina stropiły go. Brodaty biurokrata siedział na swoim miejscu tajemniczo spokojny, jak bóstwo o mętnych, nieprzeniknionych oczach. Razumow mimo woli zmienił głos.

— Gdybyś pan mnie zapytał, co było powodem mojej nienawiści do takiego Haldina, odpowiedziałbym panu, że nie było w tym nic sentymentalnego. Nienawidziłem go nie dlatego, że popełnił morderstwo. Wstręt nie jest nienawiścią. Nienawidziłem go po prostu dlatego, że jestem człowiekiem o zdrowych zmysłach. W tym charakterze uwłaczał mi. Jego śmierć...

Razumow uczył, że głos więźnie mu w gardle. Mglistość oczu radcy Mikulina zdawała się przesłaniać całą jego twarz i czynić ją niewyraźną dla wzroku Razumowa, który starał się nie zwracać uwagi na te objawy.

— W istocie — ciągnął dalej, wymawiając starannie każdy wyraz — czymże jest jego śmierć dla mnie?... Gdyby tu leżał na podłodze, przeszedłbym po jego piersiach bez wahania. To widmo... nic więcej.

Głos jego zamarł znowu. Mikulin za biurkiem nie pozwolił sobie na najlżejsze poruszenie. Cisza trwała czas jakiś nim Razumow zdołał przemówić znowu.

— Gadał o mnie na prawo i na lewo. Ci intelektualisci zbierają się u siebie i opijają zagranicznymi ideami, podobnie jak młodzi oficerowie Gwardii częstują się zagranicznym winem. Istna rozpusta, słowo daję — tu Razumow, rozwścieczony nagłem przypomnieniem Ziemianicza, zniżył z trudem głos —

my, Rosjanie, jesteśmy stadem pijaków. Musimy się czymś upijać, szaleć ze zgryzoty lub oszalać się rezygnacją, aby potem leżeć jak kłoda albo podpalić dom. I co trzeźwy człowiek ma robić, chciałbym wiedzieć? Odosobnić się zupełnie od bliźnich jest niepodobieństwem. Aby żyć na pustyni, trzeba być świętym. Ale jeżeli nagle pijak wybiegnie z szynku i rzuci się człowiekowi na szyję i zacznie go obcałowywać dlatego, że mu się coś w jego powierzchowności podobało, to co wtedy, zechciej mi pan łaskawie powiedzieć? Takiemu można złamać pałkę na grzbiecie, a nie odczepi się...

Radca Mikulin podniósł rękę i przeciągnął nią po czole z zastanowieniem.
— Tak... oczywiście — wymówił półgłosem.

Spokojna powaga tego ruchu sprawiła, że Razumow umilkł. Było to również tak niespodziane. Cóż to znaczyło? Było w tym coś zastraszająco wstrzemięźliwego. Razumow przypomniał sobie, że zamierzał skłonić radcę Mikulina, by zagrał z nim w otwarte karty.

— Powiedziałem to wszystko Księżciu K. — zaczął z przybraną obojętnością, ale stracił ją, widząc, że radca Mikulin skinął potakująco głową.
— Pan to wie?... Pan to słyszał?... Więc dlatego mnie tu wezwano, by mi powiedzieć o egzekucji Haldina? Czy pan chciał skonfrontować mnie z jego milczeniem, teraz, kiedy ten człowiek nie żyje? Cóż mnie obchodzi jego milczenie? To niepojęte, Pan chce koniecznie wytrącić mnie z równowagi moralnej.

— Nie. Nie to — szepnął radca Mikulin ledwo słyszalnym głosem. — Usługa, jaką pan oddałeś, jest ocenioną...

— Czy tak? — przerwał Razumow ironicznie.

— ... i pańskie położenie również. — Radca Mikulin nie podniósł głosu.
— Ale pomyśl pan tylko. Spadasz jak z nieba do gabinetu księcia K. ze swoją nadzwyczajną wiadomością... Pan uczysz się jeszcze, panie Razumow, ale my już służymy, nie zapominaj o tym. I oczywiście, wzbudziłeś pan pewną ciekawość...

Radca Mikulin patrzył na swą brodę. Usta Razumowa zadrżały.

— Okoliczność tego rodzaju wyróżnia człowieka — ciągnął dalej radca Mikulin dobrodusznym szeptem. — Wyznaję, że byłem ciekaw zobaczyć pana. Generał T. sądził, że to może być pożytecznym także... Nie sądz pan, że nie jestem w stanie zrozumieć uczuć pańskich. Byłem również młodym człowiekiem i studentem...

— Tak, chciał mnie pan poznać — rzekł Razumow tonem głębokiego niesmaku. — Oczywiście, ma pan prawo, chciałem powiedzieć: władzę... To na jedno wychodzi. Ale to się na nic nie zdało, choćby pan patrzył na mnie i słuchał tego co mówię przez rok. Dochodzę do przekonania, że jest coś we mnie, czego ludzie wypośrodkować nie mogą. To bardzo niepomyślne dla mnie. Sądzę jednak, że księżę K. mnie rozumie. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Radca Mikulin poruszył się z lekka i rzekł:

— Książę K. wie o wszystkim, co się robi, i mogę pana upewnić, że z wielkiem uznaniem przyjął moją chęć osobistego poznania pana.

Razumow ukrył doznany ogromny zawód pod maską drwiącego zdziwienia.

— Więc i on jest także ciekawy. Ha! Ostatecznie Książę K. zna mnie bardzo mało. Jest to bardzo niepomysłne dla mnie, ale... to nie moja wina.

Radca Mikulin podniósł szybko rękę, jak gdyby przepraszającym gestem, i przechylił z lekka głowę na ramię.

— Ależ, panie Razumow, po cóż brać to w ten sposób! Każdy, jestem pewny, może...

Spojrzał szybko na brodę, a gdy znów podniósł oczy, coś jakby cień życzliwości mignął w jego zamglonym wzroku. Ale zgasł wnet. Razumow bowiem odpowiedział nań chłodnym, odpychającym uśmiechem.

— Nie, oczywiście, że to nic ważnego, wyjąwszy, że odnośnie do całej tej ciekawości, wywołanej bardzo prostą sprawą... Cóż tu począć? Ta ciekawość jest nie do zaspokojenia... Chcę powiedzieć, że nie ma nic, co by ją mogło zaspokoić. Traf zrządził, że urodziłem się Rosjaninem z patriotycznymi instynktami, a czy one są dziedziczne czy nie, tego osądzić nie mogę.

Razumow mówił z przekonaniem i wyszukany spokojem.

— Tak, z patriotycznymi instynktami, które rozwinęła zdolność niezależnego myślenia, oderwanego myślenia. Pod tym względem jestem swobodniejszy, niżby mnie jakakolwiek rewolucja socjalna uczynić mogła. Prawdopodobnie mój sposób myślenia różni się od pańskiego sposobu myślenia, I nie może być inaczej. Pan zapewne myśli, że ja tak pracowicie kłamię, by zatrzeć ślady mojej skruchy.

Razumow umilkł. Serce rozsadzało mu piersi. Radca Mikulin ani drgnął.

— Dlaczego? — rzekł z prostotą. — Byłem obecny przy rewizji w pańskim mieszkaniu. Sam przejrzałem wszystkie papiery. Wielkie wrażenie wywarł na mnie pewien rodzaj politycznego wyznania wiary. Bardzo znamienity dokument. A czy mogę zapytać, w jakim celu...

— Oczywiście aby oszukać policję — odrzekł Razumow porywczo. — Po co te wszystkie drwiny? Przecież pan może posłać mnie prosto z tego pokoju na Sybir. To będzie zrozumiałe. A ja mogę się poddać wszystkiemu, co jest zrozumiałe. Ale protestuję przeciwko tej komedii prześladowania. Wszystko to staje się po prostu komiczne, według mnie. Komedie omyłek, widziadeł, podejrzeń...

Radca Mikulin nadstawił bacznie ucha.

— Powiedziałeś pan: widziadeł? — mruknął.

— Mogłem po nich deptać dowoli — ciągnął dalej popędliwie Razumow, machnąwszy z niecierpliwością ręką. — Ale doprawdy, muszę domagać się prawa skończenia raz na zawsze z tym człowiekiem. I w tym celu pozwolę sobie...

Razumow, stojąc po drugiej stronie biurka, lekko skłonił się siedzącemu biurokracie.

— ... odejść. — Po prostu odejść — dokończył z wielką stanowczością.

Postąpił ku drzwiom, myśląc: „Teraz musi położyć karty na stół. Musi zadzwonić i kazać mnie zaaresztować, opuszczę gmach, lub musi mnie puścić. Tak czy inaczej...”

Spokojny głos odezwał się bez pośpiechu:

— Cyrylu Sidorowiczu.

Razumow już przy drzwiach odwrócił głowę.

— Odejść — powtórzył.

— Dokąd? — zapytał radca Mikulin łagodnie.

CZĘŚĆ DRUGA

I

Gdy się chce snuć wątek jakiejś zmyślonej treści, trzeba niewątpliwie zachować pewne właściwości, aby być zrozumiałym i zajmującym. Człowiek obdarzony wyobraźnią, choćby nie był doświadczony w sztuce pisarskiej, posiada instynkt, kierujący nim w wyborze słów i w rozwijaniu akcji. Szczypta talentu wynagradza sownie różne braki i błędy. Ale moja pisanina nie jest dziełem wyobraźni, nie mam talentu, moje usprawiedliwienie podjęcia tej roboty leży nie w jej artystyczności, lecz w jej prostocie. Świadomy moich braków i silny szczerością mego założenia, nie będę próbował (choćbym nawet był zdolnym do tego) zmyślić cokolwiek. Posuwam moje skrupuły tak daleko, iż nie pokuszę się nawet o wymyślenie tego, co w toku powieściowym nazywa się nawiązaniem. Przerывая zatem opowiadanie Razumowa w tym miejscu, gdzie pytanie radcy Mikulina „dokąd” staje przed nim z siłą problemu nie do rozstrzygnięcia, powiem po prostu, że poznałem się z tymi paniami na pół roku przed owym czasem. Pod „tymi paniami” rozumiem oczywiście matkę i siostrę nieszczęsnego Haldina.

W jaki sposób skłonił matkę, żeby sprzedała ich małą posiadłość i wyjechała za granicę na czas nieograniczony, tego nie umiem powiedzieć dokładnie. Mam wrażenie, że pani Haldin na żądanie syna podpałaby swój dom i wybrałaby się na Księżyc, nie okazawszy ani zdziwienia, ani obawy, i że

panna Haldin — Natalia, pieśczoćliwie zwana Natalką — byłaby chęćnie na to przystała.

Ich pełne dumy przywiązańe do tego młodzieńca stało mi się wiadomym po bardzo króćkim czasie. Stosownie do jego wskazówek, udały się wprost do Szwajcarii, do Zurychu i tam pozostały przez większą część roku. Z Zurychu — gdzie im się nie podobało — przyjechały do Genewy. Jeden z moich przyjaciół, wykładowca na wydziale historycznym uniwersytetu w Lozannie, ożeniony z Rosjanką, daleką krewną pani Haldin, napisał do mnie, prosząc, abym odwiedził te panie. Było to bardzo życzliwie pomyślane. Panna Haldin pragnęła zapoznać się, pod kierunkiem uzdolnionego nauczyciela, z najlepszymi autorami angielskimi.

Pani Haldin przyjęła mnie nader uprzejme. Jej zła francuszczyzna, z której się sama świadomie śmiała, zatarła inne wrażenia z pierwszej wizyty. Była to kobieta wysoka, w czarnej, jedwabnej sukni. Szerokie czoło, regularne rysy i delikatnie wykrojone usta świadczyły o minionej piękności. Siedziała wyprostowana w fotelu i słabym, łagodnym głosem powiadomiła mnie, że Natalka po prostu łaknie wiedzy. Jej szczupłe ręce spoczywały na kolanach, nieruchomość rysów miała w sobie coś mniszego.

— W Rosji — mówiła dalej — wszelka wiedza jest zatruta fałszem, oparta na fałszu. Nie chemia i nauki jej podobne, ale wykształcenie w ogóle — wyjaśniła.

Rząd psuł nauczanie dla swych własnych celów. Dzieci jej czuły to. Jej Natalka otrzymała dyplom z ukończenia Wyższych Kursów Żeńskich, a syn jest studentem na uniwersytecie w Petersburgu. Ma niepospolite zdolności, najszlachetniejszą naturę, jest wyrocznią dla swoich kolegów. Z począćkiem przyszłego roku przyjedzie do nich, jak się tego spodziewała i odbędą wspólną podróż do Włoch. W każdym innym kraju byłaby pewna najświećniejszej przyszłości dla człowieka tak wyjątkowych zdolności i charakteru jak jej syn, ale w Rosji...

Panna Natalia, siedząca przy oknie, odwróciła głowę i rzekła:

— Ależ, mamó, nawet u nas rzeczy zmieniają się z czasem.

Głos jej był głęboki, prawie ostry, a jednak pieśczoćliwy w swej ostrości. Miała śniadą cerę, pąsowe usta i pełną kibić. Sprawiała wrażenie silnej i żywotnej. Matka jej westchnęła.

— Wyście oboje młodzi. Łatwo wam spodziewać się... Chociaż i ja nie straciłam całkiem nadziei. Jakżebym mogła, mając takiego syna.

Zwróciłem się do panny Haldin z zapytaniem, jakich autorów pragnęłaby czytać. Skierowała na mnie oczy, ocienione czarnymi rzęsami, a ja pomimo moich lat zrozumiałem, jak ponętną fizycznie mogła być jej osoba dla mężczyzny, ceniącego w kobiecie coś więcej poza samym wdziękem kobiećości. Wzrok jej był jasny i szczery jak wzrok młodzieńca, którego jeszcze mądrość świata nie zepsuła: nieustraszony, pozbawiony jednak zaczepności; naiwna a jednak rozważna pewność siebie będzie tu lepszym określeniem. Ta

dziewczyna zastanawiała się już nad niejednym (w Rosji młodzież zaczyna wczesnie myśleć), ale nie zaznała jeszcze rozczarowania, bo widocznym nie wpadła dotąd pod władzę namiętności. Czuło się — dość było na nią spojrzeć — że była bardzo podatna na wpływy bądź idei, bądź, po prostu, osób.

Przynajmniej tak wywnioskowałem, o ile mi się zdaje bezstronnie, boć jasne było, że moja osoba nie mogła się stać tą jednostką, a co się tyczy idei...

Zaprzyjaźniliśmy się prędko w ciągu naszych lekcji. Bardzo były przyjemne te wspólne czytania. Bez obawy wywołania uśmiechu wyznam, że przywiązałem się bardzo do tej panienki. Po upływie czterech miesięcy powiedziałem jej, że teraz może bardzo dobrze czytać sama, i że nauczyciel jest jej zbyt ciężki. To oświadczenie zdziwiło nieprzyjemnie moją uczenicę. Pani Haldin ze swą nieruchomością rysów i dobrotliwym wyrazem oczu odezwała się z głębi fotela niepewną francuszczyzną:

— Mais l'ami reviendra.

I na tym stanęło. Przychodziłem, nie cztery razy tygodniowo, jak poprzednio, ale dosyć często. Jesienią zrobiliśmy kilka krótkich wycieczek pospołu z innymi Rosjanami. Dzięki przyjaźni tych pań zyskałem do pewnego stopnia zaufanie kolonii rosyjskiej, którego inaczej nie byłbym miał. Tego dnia, kiedy wyczytałem w gazetach wiadomość o zamordowaniu pana de P. — było to w niedzielę — spotkałem obie panie na ulicy i szedłem z nimi czas jakiś Pamiętam, że pani Haldin miała ciężki, popielaty płaszcz na czarnej jedwabnej sukni, a jej piękne jeszcze oczy spotkały mój wzrok spokojnym wejrzeniem.

— Byłyśmy na nabożeństwie — rzekła. — Natalka poszła ze mną. Jej przyjaciółki, studentki tutejsze, nie chodzą, oczywiście, do kościoła. U nas, w Rosji, religia jest tak ściśle zespolona z uciskiem, że zdaje się prawie koniecznością, gdy ktoś chce być wolnym w tym życiu, wyrzec się wszelkiej nadziei przyszłego życia. Ale ja nie mogę przestać modlić się za mego syna.

I z wyrazem zasepienia, czerwieniąc się zlekka, dodała po francusku :
— Ce n'est peut être qu'une habitude (to może tylko przyzwyczajenie).

Panna Haldin niosła w ręku książkę do nabożeństwa. Nie spojrzała na matkę.

— Mama i Wiktor oboje wierzą głęboko — zauważyła.

Podzieliłem się z nimi nowiną z ich kraju, którą właśnie wyczytałem w kawiarni. Przez dobrą chwilę szliśmy szybko w milczeniu, po czym pani Haldin szepnęła:

— Teraz znowu wzmożą się rozruchy i prześladowania z tego powodu. Może nawet zamkną uniwersytet. W Rosji tylko w grobie można znaleźć spokój.

— Tak. Ciężka droga — rzekła córka, patrząc wprost przed siebie na zaśnieżony łańcuch gór Jura, zamykający ulicę niby białym murem. — Ale dzień zgody już niedaleki.

— Tak myślą moje dzieci — zauważyła pani Haldin.

Nie mogłem ukryć zdumienia, że był to jednak niezwykle czas do mówienia o zgodzie. Natalia Haldin zdziwiła mnie, mówiąc, jak gdyby dużo nad tym przedmiotem rozmyślała, że ludzie Zachodu nie rozumieli sytuacji. Była bardzo spokojna i młodzieńczo pewna siebie,

— Pan sądzi, że tu wchodzi w grę zatargi klasowe, starcia interesów, jak to bywa przy rozruchach socjalnych u was, w Europie. Ale to wcale nie to. To jest zupełnie co innego.

— Być może nie rozumiem — przyznałem.

Ta skłonność do wyłączenia każdego zagadnienia z dziedziny rzeczy zrozumiałych za pośrednictwem jakiegoś mistycznego określenia jest czysto rosyjska. Znałem już Natalię Haldin na tyle, by odkryć jej pogardę dla wszystkich praktycznych form wolności politycznej, znanych zachodniemu światu. Przypuszczam, że trzeba być Rosjaninem, by zrozumieć rosyjską prostolinijność, straszliwą, gryzącą prostolinijność, której mistyczne określenia kryją naiwny, beznadziejny cynizm. Zdaje mi się czasem, że psychologiczna tajemnica głębokiej odrębności tego narodu polega na tym, że oni nienawidzą życia, nieuniknionego życia na ziemi, jako takiego, podczas gdy my, ludzie Zachodu — miłujemy je, z równym może przecenianiem jego uczuciowej wartości. Ale to jest tylko dygresja...

Pomogłem paniom wsiąść do tramwaju, one zaś poprosiły mnie, bym je odwiedził po południu. To jest przynajmniej pani Haldin zaprosiła mnie, wsiadając, a Natalka, stojąc na tylnej platformie, gdy tramwaj ruszył, uśmiechnęła się pobłaźliwie do Zachodniowca. Światło jasnego, zimowego przedpołudnia nabierała miękkości w jej szarych oczach.

Opowieść Razumowa, niby otwarta księga przeznaczenia, wskrzesza mi wspomnienie tego dnia, niby czegoś dziwnie bezlitosnego, ze względu na jego wolny od wszelkich złych przeczuć nastrój. Wiktor Haldin był jeszcze wśród żyjących, ale wśród tych żyjących, których jedynym łącznikiem z życiem jest oczekiwanie śmierci. Myśli jego musiały krążyć wokół jego ostatnich, ziemskich ukochań w tych godzinach uporczywego milczenia, które miały się dlań przeciągnąć w wieczność. Tego popołudnia panie przyjmowały więcej niż zazwyczaj osób i salonik na parterze wielkiego domu przy Boulevard des Philosophes był przepelniony.

Przeczekałem wszystkich gości, a gdym wstał, panna Haldin wstała także. Ująłem jej rękę i coś mnie skłoniło, żeby podjąć naszą poranną rozmowę.

— Przypuśćmy, że my, Zachodniowcy, nie rozumiemy charakteru waszego narodu... — zacząłem.

Ale ona, jakby przygotowana w jakiś tajemniczy sposób na ten wstęp, przerwała łagodnie:

— Jego popędów, jego... — zaczęła szukać stosownego określenia i znalazła je, ale po francusku — jego mouvements d'âme.

Wypowiedziała to prawie szeptem.

— Bardzo dobrze — rzekłem. — Ale mimo to patrzemy na zatargi. Pani mówi, że to nie są zatargi klasowe, ani zatargi interesów. Przypuśćmy, że i na to się zgadzam, Ale czy łatwiej przez to przeciwne sobie idee dojdą do porozumienia, czy krew i gwałty scementują je w tę zgodę, która, według pani, jest tak bliska.

Patrzyła na mnie badawczo, nie odpowiadając na moje rozsądne pytanie, trzeźwe pytanie, na które nie mogło być odpowiedzi.

— To nie do pojęcia — dodałem z pewnym rozdrażnieniem.

— Wszystko jest nie do pojęcia — rzekła. — Cały świat jest nie do pojęcia dla ścisłej logiki myśli. A jednak świat istnieje dla naszych zmysłów i my istniejemy na nim. Musi być jakaś konieczność wyższa nad nasze pojęcia. Bardzo to marna i fałszywa rzecz, należeć do większości. My, Rosjanie, znajdziemy sobie jakąś lepszą formę wolności narodowej niż sztuczne zatargi partyjne, które są złem dlatego, że są zatargami i godne pogardy dlatego, że są sztuczne. Nam, Rosjanom, sądzone jest znaleźć lepszą drogę.

Pani Haldin patrzyła przez okno. Zwróciła ku mnie niemal martwą piękność swej twarzy i żywy, dobrotliwy wzrok wielkich ciemnych oczu.

— Tak myślą moje dzieci — oświadczyła.

— Przypuszczam, iż pani zgorszy się — rzekłem, zwracając się do panny Haldin — jeżeli powiem, że nie zrozumiałem. Nie chodzi mi o pojedyncze słowa, zrozumiałem wszystkie słowa... Ale jakąż to może być owa era bezcielesnej zgody, której pani wygląda? Życie jest rzeczą uformowaną. Ma swój plastyczny kształt i swój ściśle określony wygląd intelektualny. Najbardziej idealistyczne pojęcia miłości i pobłażania muszą się przyodziać w ciało, żeby mogły być zrozumiane.

Pożegnałem się z panią Haldin, której piękne usta ani drgnęły. Uśmiechnęła się tylko oczami. Natalia Haldin bardzo uprzejmie odprowadziła mnie aż do drzwi.

— Mama wyobraża sobie, że jestem niewolniczym echem mego brata Wiktora. Tak nie jest. On rozumie mnie o wiele lepiej niż ja go rozumieć mogę. Gdy przyjedzie i pan go pozna, przekona się pan, jaka to wyjątkowa dusza. — Umilkła na chwilę. — Nie jest człowiekiem silnym, w utartym znaczeniu tego słowa — dodała — ale to charakter bez skazy.

— Myślę, że nie będzie mi trudno zaprzyjaźnić się z bratem pani.

— Nie sądz pan, że go zrozumiesz zupełnie — rzekła z pewną złośliwością. — On w gruncie nie jest wcale... wcale Zachodniowcem,

I po tej zbytecznej przestrodze opuściłem pokój, skłoniwszy się jeszcze we drzwiach pani Haldin, siedzącej w fotelu przy oknie. Cień autokracji, niedostrzeżony przeze mnie, padł już na Boulevard des Philosophes w wolnej niepodległej i demokratycznej Genewie, gdzie znajduje się dzielnica zwana „La Petite Russie”. Gdzie tylko dwóch Rosjan się zejdzie, cień autokracji zjawia się jako trzeci, zabarwiając ich myśli, ich poglądy, ich najtajniejsze uczucia, ich życie prywatne, ich wystąpienia publiczne; prześladowuje nawet ich milczenie.

Co mnie uderzyło w ciągu następnego tygodnia, to milczenie tych pań. Spotykałem je spacerujące w ogrodzie publicznym w pobliżu uniwersytetu. Witały mnie, jak zwykle, po przyjacielsku, ale musiałem zauważyć ich małomówność. W trakcie tego czasu wiadano już powszechnie, że morderca pana de P. został schwytany, osądzony i starcony. Tyle doniosły urzędowe agencje. Ale dla świata w ogóle pozostał bezimiennym. Urzędowa skrytość zataiła jego nazwisko przed publicznością. Nie umiem sobie, doprawdy wyobrazić, dlaczego.

Pewnego dnia zobaczyłem pannę Haldin, idącą samą główną Aleją Bastionów pod obnażonymi z liści drzewami.

— Mama jest niezdrowa — oznajmiła mi.

Ponieważ, o ile wiedziałem, pani Haldin ani jednego dnia w życiu nie chorowała, był to objaw niepokojący, tym bardziej, że cierpienie było nieokreślone.

— Zdaje się, że mamę dręczy brak wiadomości od brata. Dawno już nie pisał.

— Żadnych nowin to dobre nowiny — rzekłem pocieszająco i zaczęliśmy iść z wolna obok siebie.

— Nie w Rosji — szepnęła tak cicho, że ledwie dosłyszałem. Spojrzałem na nią uważniej.

— Pani się także niepokoi?

Po chwili wahania przyznała, że tak.

— Bo, istotnie, tak już dawno nie miałyśmy...

I nim zdążyłem wyrazić zwykłe, banalne przypuszczenia, zwierzyła mi się.

— Ach! To nie tylko to. Pisałam do pewnej znajomej rodziny w Petersburgu. Nie widzieli go przeszło miesiąc. Myśleli, że jest już z nami. Byli nawet trochę obrażeni, że wyjechał bez pożegnania. Mąż mojej znajomej poszedł zaraz do jego mieszkania. Wiktor wyprowadził się i nie znano jego adresu.

Pamiętam, że mówiąc, z trudem chwytała oddech. Od dawna również nie widywano jej brata na wykładach. Zachodził tylko od czasu do czasu do woźnego uniwersytetu po listy. I jak się ów pan dowiedział, nie zjawił się po dwa ostatnie listy. Ale policja przyszła z zapytaniem, czy student Haldin otrzymywał jakąś korespondencję w uniwersytecie, i zabrała te listy.

— Moje dwa ostatnie listy — dodała.

Przystanęliśmy naprzeciwko siebie. Trochę płatków śnieżnych wirowało pod obnażonymi drzewami. Niebo było ciemne.

— Jak pani myśli, co się stało? — spytałem.

Wzruszyła z lekka ramionami.

— Kto to może wiedzieć? W Rosji.

W tej chwili po raz pierwszy zobaczyłem cień autokracji, leżący na życiu Rosji zarówno w jej uległości, jak w buncie. Ujrzałem, jak przesłonił piękną,

otwartą twarzyczkę w obramowaniu futrzanego kołnierza i przyciemnił jej czyste szare oczy, tak jasno błyszczące w posępnym świetle owego chmurnego popołudnia.

— Pójdźmy — rzekła. — Zimno tu stać dzisiaj.

Wzdrygnęła się z lekka i zatupotała małymi nóżkami.

Poszliśmy szparko do końca alei i z powrotem do wielkiej ogrodowej bramy.

— Powiedziała to pani matce? — odważyłem się zapytać.

— Nie. Jeszcze nie. Wysłałam, żeby ochłonać z wrażenia pod wpływem tego listu.

Zaszeleściła w mufce papierem. Miała list ze sobą.

— Czego się pani obawia? — zapytałem.

Nam, Europejczykom Zachodu, wszelkie spiski i sprzysiężenia polityczne wydają się czymś dziecinny i niedoważonym, wymyślonym dla teatru lub powieści. Nie chciałem być ściślejszym w moim zapytaniu.

— Dla nas, dla mojej matki zwłaszcza, lękam się niepewności. Ludzie znikają. Tak. Znikają naprawdę. Może pan sobie wyobrazić, czym jest to okrucieństwo niemych tygodni, miesięcy, lat! Ów nasz przyjaciel zaprzestał poszukiwań, dowiedziawszy się, że policja zabrała listy. Przypuszczam, że lękał się kompromitacji. Ma żonę, dzieci, a nie posiada wpływowych stosunków i nie jest bogaty. Cóż mógł uczynić?... Tak, lękam się milczenia dla mojej biednej matki. Ona go nie zniesie. Dla mego brata... lękam się — głos jej stał się prawie niedosłyszalnym — wszystkiego!

Doszliśmy teraz do bramy naprzeciwko teatru. Panna Haldin ożywiła się.

— Ale ludzie, którzy zaginęli, odnajdują się, nawet w Rosji. Wie pan, jaka jest moja ostatnia nadzieja? Taka oto, że lada chwila ujrzymy go wchodzącego do pokoju.

Uchyliłem kapelusza, a ona wyszła z ogrodu, pełna wdzięku i silna, skinąwszy mi głową, z rękoma w mufce ściskającymi ów okrutny list petersburski.

Wróciwszy do domu, otworzyłem gazetę, którą odbierałem z Londynu, i gdym spojrział na korespondencję z Rosji — nie na telegramy lecz na korespondencję — pierwszą rzeczą, na którą padły moje oczy, było nazwisko Haldina. Śmierć pana de P. nie była już aktualnością, ale przedsiębiorczy korespondent zdołał uszczknąć jakieś nieurzędowe wiadomości, dotyczące tego faktu dziejów współczesnych. Dowiedział się o nazwisku Haldina i wyszperał historię jego aresztowania na ulicy o północy. Ale sensacja, z dziennikarskiego punktu widzenia, należała już do przeszłości, poświęcił jej więc jakieś dwadzieścia wierszy na całej kolumnie. Wystarczyły one jednak, aby mnie przyprawić o noc bezsenność. Zrozumiałem, że byłoby rodzajem zdrady dopuścić, aby panna Haldin natknęła się nieprzygotowana na odkrycie tego korespondenta, które niezawodnie powtórzą nazajutrz rano dzienniki francuskie i szwajcarskie. Spędziłem więc bardzo niespokojną noc, nie mogąc zmrużyć

oka, dręczony uczuciem, że jestem wplątany w coś teatralnego i chorobliwie przesadzonego. Uświadamiałem sobie niedorzeczność podobnego zagmatwania w życiu tych dwóch kobiet i byłem tym po prostu udęczony. Zdawało się rzeczą należną ich wyrafinowanej prostocie, aby nie dowiedziały się o tym nigdy. Znalazłszy się o niemożliwie wczesnej godzinie u drzwi ich mieszkania, uczułem, jak gdybym miał popełnić jakiś czyn barbarzyński.

Służąca w średnim wieku wprowadziła mnie do saloniku, gdzie na krześle leżała ściereczka, a o główny stół stała oparta szczotka. Kurz tańczył w powietrzu, ja zaś pożałowałem, że zamiast przyjść, nie napisałem i byłem nierad, że dzień jest tak jasny. Panna Haldin w skromnej czarnej sukni wyszła lekkim krokiem, z niepewnym uśmiechem, wyszła z pokoju matki.

Wydobyłem gazetę z kieszeni. Nie byłbym nigdy przypuścił, że numer „Standarda” może podzielać jak głowa Meduzy. Twarz panny Haldin skamieniała momentalnie; jej oczy, członki! Ale najstraszniejsze było to, że skamieniawszy, pozostała żywą. Miało się świadomość pospiesznego bicia jej serca. Mam nadzieję, że mi wybaczyła zwłokę w moich niezręcznych omówieniach. Nie trwało to długo. Nie mogła pozostać tak nieruchomą od stóp do głów dłużej niż parę sekund, po czym usłyszałem, że oddycha głęboko. I, jakby ktoś sparaliżował zarówno jej moralną odporność, jak sprężystość mięśni, rysy jej twarzy uległy zmianie. Postarzała się nagle, zwiędła. Ale to trwało tylko chwilę, po czym rzekła z silnym postanowieniem:

— Pójdę powiedzieć mamie.

— Czy to będzie bezpieczne w jej stanie zdrowia? — spytałem z wyrzutem. — Cóż może być gorszego, nad stan, w jakim się znajduje od miesiąca. My to rozumiemy inaczej. On nie popełnił zbrodni. Nie wyobrażaj pan sobie, że go bronię przed panem.

Poszła ku drzwiom sypialni, a następnie zbliżyła się do mnie, prosząc szeptem, bym nie odchodził, dopóki nie wróci. Przez dwadzieścia nieskończenie długich minut nie doleciał mnie najlżejszy dźwięk. Wreszcie panna Haldin ukazała się i przeszła przez pokój swym szybkim krokiem. Doszedłszy do fotela, osunęła się nań ciężko, jak gdyby doszczętnie wyczerpana, po czym powiedziała mi, że pani Haldin nie uroniła ani jednej łzy. Usiadła na łóżku, a jej bezruch, jej milczenie były przerażające. Wreszcie położyła się z wolna i dała znak córce, by ją zostawiła samą.

— Przywoła mnie wkrótce — dodała panna Haldin. — Zostawiłam dzwonek przy łóżku.

Wyznaję, że moje bardzo szczere współczucie nie miało punktu oparcia. Czytelnicy Zachodu, dla których to piszę, rozumieją, o co mi chodzi. Był to, jeżeli tak mogę powiedzieć, brak doświadczenia. Śmierć jest bezlitosnym łupieżcą. Wszyscy znamy ból nieodwracalnej straty. Nie ma tak samotnego życia, które byłoby zabezpieczone od tego doświadczenia. Ale ból, który przyniosłem tym paniom, miał ponurą otoczkę. Towarzyszyły mu bomby i

szubienica, nadając mu złowrogie, czysto rosyjskie zabarwienie, które i na kolorycie, że tak powiem, mego współczucia odbić się musiało.

Byłem wdzięczny pannie Haldin, że nie utrudniła mi jeszcze bardziej sytuacji uzewnętrznianiem swych głębokich uczuć. Podziwiałem jej nadzwyczajne panowanie nad sobą, które nawet trochę mnie przerażało. Był to bowiem spokój wielkiego naprężenia. A jeżeli przeciągnięta struna nagle pęknie? Nawet te zamknięte drzwi pokoju panni Haldin, poza którymi stara matka pozostała sama, miały wygląd straszliwy.

Natalia Haldin szepnęła smutno:

— Pan zapewne nie zdaje sobie sprawy z tego, co ja czuję?

Zasadniczo było to prawdą i ta nieświadomość tępego Zachodniowca paraliżowała moje współczucie. Nie mogłem zdobyć się na nic innego oprócz kilku banalnych zdań, tych błahych zdań, które oddają miarę naszej niemocy wobec nieszczęść bliźnich. Wybełkotałem coś w tym rodzaju, że dla młodych życie ma zawsze w zapasie nadzieję powetowania. Ma też swoje obowiązki... ale o tych nie potrzebuję jej przypominać.

Panna Haldin trzymała chusteczkę w rękach i szarpała ją nerwowo.

— Nie zapomnę o matce, to pewne — rzekła. — Było nas troje. A teraz jest nas dwie... Mama nie jest jeszcze stara. Może żyć długo. Ale czego możemy spodziewać się w przyszłości? Jakiej nadziei i jakiej pociechy?

— Musi pani brać życie z szerszej perspektywy — rzekłem stanowczo, pomyślawszy, że do tej wyjątkowej istoty tą drogą właśnie trafić należy.

Popatrzyła na mnie przez chwilę uważnie, po czym wstrzymywane dotąd łzy popłynęły strumieniem. Zerwała się z fotela i stanęła przy oknie, plecami do mnie.

Nie próbowałem nawet zbliżyć się do niej i wyszedłem po cichu. Nazajutrz służąca powiedziała mi w drzwiach, że pani Haldin ma się lepiej. Dodała, że dużo osób, Rosjan, przychodziło poprzedniego dnia, ale panna Haldin nie przyjęła nikogo.

W dwa tygodnie potem, gdym się, jak zwykle, zgłosił po wiadomości, poproszono mnie, bym wszedł. Pani Haldin siedziała na zwykłym miejscu przy oknie. Na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, że nic się nie zmieniło. Zobaczyłem w głębi pokoju znany mi profil, nieco ostrzejszy w zarysach i powleczonej jednostajną bladością, jak się można było spodziewać u osoby chorej. Ale żadna choroba nie mogłaby wywołać takiej zmiany w jej czarnych oczach, które nie uśmiechały się już jak dawniej, z łagodną ironią. Podniosła wzrok i podała mi rękę. Zauważyłem, że numer „Standarda” sprzed trzech tygodni, z korespondencją z Rosji na wierzchu, leżał na stolyczku obok fotela. Pierwsze jej słowa, wyrzeczone do mnie, zawierały pytanie:

— Nie było nic więcej w pańskich gazetach? Puściłem jej długą, wychudzoną rękę, wstrząsnąłem głową przecząco i usiadłem.

— Prasa angielska jest nadzwyczajna. Nic się przed nią nie ukryje i cały świat musi się od niej dowiedzieć o wszystkim. Ale nasze rosyjskie nowiny nie

zawsze są łatwe do zrozumienia. Nie zawsze... Angielskie matki nie oczekują takich nowin...

Dotknęła ręką gazety i znowu ją cofnęła. Rzekłem:

— Mieliśmy również tragiczne czasy w historii.

— Dawno temu. Bardzo już dawno.

— Tak.

— Są narody, które zawarły ugodę z Przeznaczeniem — rzekła panna Haldin, zbliżywszy się. — Nie mamy im czego zazdrościć.

— Po cóż ta pogarda?— spytałem łagodnie.— Być może nasza uгода nie była bardzo szczytną, ale cena uświęca warunki, jakie ludzie i narody otrzymują od Przeznaczenia.

Pani Haldin odwróciła głowę i patrzyła czas jakiś przez okno tym nowym, zgaszonym wzrokiem zapadłych oczu, który czynił z niej tak zupełnie inną kobietę.

— Jak pan myśli — zagadnęła nagle — czy ten Anglik, ten korespondent, znał mego syna?

Odpowiedziałem na to dziwne pytanie, że oczywiście było to możliwe. Spostrzegła moje zdziwienie.

— Mam na myśli — wyjaśniła panna Haldin, stojąc pomiędzy nami z ręką na poręczy mego krzesła — że mój biedny brat nie próbował może ocalić się...

Spojrzałem na nią z pełnym współczuciem zdumieniem, ale panna Haldin patrzyła spokojnie na matkę. Ta ostatnia rzekła:

— Nie znamy adresu żadnego z jego przyjaciół. W istocie, nie wiemy nic o jego petersburskich kolegach. Miał mnóstwo przyjaciół, ale nigdy o nich dużo nie mówił. Łatwo jednak można się było domyśleć, że byli jego uczniami i że go uwielbiali. Ale on był taki skromny... Zdawać by się mogło, że wśród tylu oddanych sobie...

Odwróciła znów głowę i patrzyła na Boulevard des Philosophes, nad wyraz pęsną i zakurzoną ulicę, na której w tej chwili widać było tylko dwa psy, dziewczynkę w krótkiej sukience, skaczącą na jednej nodze, a w oddali robotnika, prowadzącego bocykl.

— Nawet wśród apostołów Chrystusa znalazł się Judasz— szepnęła bez związku, jakby do siebie, ale z widocznym zamiarem, żebym usłyszał.

Rosyjscy goście, zebrani małymi grupkami, rozmawiali szeptem, rzucając przelotne spojrzenia w naszym kierunku. Tworzyło to wielką sprzeczność ze zwykłą gwarnością tych zebrań. Panna Haldin odprowadziła mnie do przedpokoju.

— Ludzie nas odwiedzają — rzekła. — Nie możemy zamykać drzwi przed nimi.

I gdym kładł palto, zaczęła mówić o matce. Biedna pani Haldin łaknęła wiadomości. Chciała ciągle słyszeć o swoim nieszczęśliwym synu. Nie mogła zdecydować się, aby go zostawić spokojnie w pustce Niewiadomego. Śledziła

go tam wciąż z uporem, przez te długie dni nieruchomego milczenia, wpatrzona w pusty Boulevard des Philosophes. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie ratował się ucieczką, jak to się udawało tylu innym rewolucjonistom i spiskowcom w innych wypadkach podobnego rodzaju. Było to istotnie niepojęte, żeby tajne organizacje rewolucyjne okazały tyle niedołęstwa, gdy chodziło o uratowanie jej syna. Ale w rzeczywistości to co niepojęte i co tak wstrząsnęło jej umysłem, nie było niczym innym niż tylko okrutnym zuchwalstwem Śmierci, przesuwałcej się ponad jej głową, aby uderzyć w to młode i tak ukochane serce.

Panna Haldin zamyślona podała mi kapelusz. Wywnioskowałem z jej słów, że biedną kobietę opanowała posępna myśl, iż syn jej musiał zginąć, bo nie chciał się ratować! Nie mogło to jednak stać się dlatego, że zwątpił w przyszłość swego kraju! To było niepodobieństwem. Czyżby matka i siostra tak bardzo nie umiały zjednać sobie jego zaufania i czyżby, spełniwszy to, co musiał spełnić, duch jego uległ zwątpieniu nie do zniesienia, a umysł zmąciła nagła niewiara?

Ten objaw przenikliwości wstrząsnął mną bardzo.

— Byliśmy tak zespoleni — rzekła panna Haldin, splatając palce obu rąk, po czym rozplotła je z wolna, patrząc mi prosto w twarz.— A oto, co moja biedna mama wynalazła, żeby udrećcać siebie i mnie przez te długie lata, które leżą przed nami — dodała ta niezwykła dziewczyna.

W tej chwili objawił mi się jej nieokreślony urok: było to połączenie namiętności ze stoicyzmem. Wyobrażałem sobie, jakie będzie jej życie u boku nieruchomej pani Haldin, opanowanej tą myślą straszliwą. Ale moje współczucie musiało pozostać nieujawnione wskutek mojej zupełnej nieznajomości jej, że się tak wyrażę, sposobów odczuwania. Różnica narodowości jest straszliwą zaporą dla naszych natur zachodnich. Panna Haldin była zapewne zbyt prostolinijną, żeby się domyślać mego zakłopotania. Nie czekała, żebym coś powiedział i, jakby, czytając myśli z mojej twarzy, ciągnęła dalej śmiało:

— Z początku biedna mama oniemiała, jak mówią nasi wieśniacy, potem zaczęła myśleć... i będzie już tak dalej myśleć i myśleć w ten sam sposób. Pan widzi sam, jakie to okrutne.

Nie mówiłem nigdy szczerzej niż wówczas, kiedy przytaknąłem jej, że sytuacja jest w najwyższym stopniu opłakana.

— A te wszystkie dziwne szczegóły w angielskiej gazecie? — krzyknęła nagle. — Co one znaczą? Chyba są prawdziwe? Jakże to okropna myśl, że schwymano mego biednego brata, gdy błąkał się sam po ulicach nocą, jak człowiek zrozpaczony.

Staliśmy w ciemnym przedpokoju tak blisko siebie, że dostrzegłem, jak przygryzła dolną wargę, zapewne aby stłumić łkanie. Po chwili rzekła:

— Podsunęłam mamie myśl, że może zdradził go jaki fałszywy przyjaciel lub po prostu tchórz. Lżej jej będzie, gdy w to uwierzy.

Zrozumiałem teraz wypowiedziane uprzednio szeptem słowa biednej kobiety o Judaszu.

— Tak, będzie jej źlej — przyznałem, zachwycony w duchu trafnością i subtelną zapatrywań tej dziewczyny. Traktowała życie tak, jak je ukształtowały warunki polityczne jej kraju. Widziała w nim okrutną rzeczywistość, a nie chorobliwe przywidzenia własnej wyobraźni. Nie mogłem oprzeć się pewnemu uczuciu szacunku, gdy dodała z prostotą:

— Podobno czas łagodzi wszelki rodzaj rozpacz. Ale nie mogę uwierzyć, żeby miał władzę nad wyrzutami sumienia. Lepiej więc niech mama myśli, że ktoś przyczynił się do śmierci Wiktora, niż gdyby miała przypisywać ją słabości swego syna lub własnej winie.

— Ale pani sama nie przypuszcza przecież... — zacząłem.

Zacisnęła usta i potrząsnęła głową. Potem oświadczyła, że nie żywi złych myśli względem nikogo i że może wszystko, co się stało, było potrzebne. Po tych słowach, wymówionych cicho i brzmiących tajemniczo w mroku przedpokoju, pożegnaliśmy się wymownym i ciepłym uściskiem dłoni. Uścisk jej silnej, kształtnej ręki miał w sobie coś ujmująco szczerego, rodzaj jakiejś zachwycającej męskości. Nie wiem, doprawdy, dlaczego okazywała mi tyle przyjaźni. Może zdawało się jej, że rozumiem ją znacznie lepiej, niż byłem do tego zdolny. Najściślejsze z jej powiedzeń zdawały się mieć jakieś zagadkowe znaczenie, niknące gdzieś poza obrębem mojego ujęcia. Muszę więc przypuszczać, że ceniła moją uwagę i moje milczenie. Uwaga, którą mogła zauważyć, była zupełnie szczerą, wskutek czego milczenie nie mogło być poczytane za obojętność. I to zdawało się ją zadowalać. Muszę tu zauważyć, że jeśli zwierzała się przede mną, to nie dla zasięgnięcia rady, o którą, w istocie, nie prosiła nigdy.

II

Nasze codzienne kontakty uległy w owym czasie blisko dwutygodniowej przerwie. Musiałem wyjechać niespodzianie z Genewy. Wróciwszy, skierowałem swe kroki, nie tracąc czasu, na Boulevard des Philosophes. Przez otwarte drzwi saloniku usłyszałem, ku wielkiemu niezadowoleniu, głos gościa, przemawiającego z namaszczaniem.

Fotel pani Haldin przy oknie był pusty. Natalia Haldin, siedząc na sofie, zwróciła ku mnie witając swe śliczne szare oczy o wyrazie zbliżonym do uśmiechu. Ale nie poruszyła się. Z białymi, silnymi rękoma, spoczywającymi na sukni żałobnej, siedziała na wprost mężczyzny, który zwrócony był do mnie plecami, a były to nie plecy, a bary, osłonięte czarnym sukniem i harmonizujące z głębokim głosem. Gość ów spojrział na mnie szybko przez ramię i rzekł:

— A! Wasz angielski przyjaciel. Wiem. Wiem. Ale to nic.

Miał ciemne okulary, a wysoki jedwabny kapelusz stał na ziemi przy jego krześle. Gestykulując z lekka dużą, pulchną dłonią, mówił dalej, tylko trochę prędzej:

— Nie zmieniłem wiary, jaką żywiłem, błędząc po syberyjskich tajgach. Podtrzymywała mnie wtedy, podtrzymuje i teraz. Wielkie mocarstwa Europy muszą zniknąć, a przyczyna ich upadku będzie bardzo prosta. Wyczerpią się same w walce ze swoim proletariatem. W Rosji jest inaczej. W Rosji nie mamy zwalczających się klas, w których jedna byłaby potężną przez swe bogactwo, a druga przez swą mnogość. Mamy tylko plugawą biurokrację, a naprzeciw niej lud, wielki i nieskazitelny jak ocean. Nie, my nie mamy klas. Ale mamy Rosjanki. Godne podziwu Rosjanki! Otrzymuję mnóstwo nadzwyczajnych listów od kobiet. Listów tak wzniosłych, tak odważnych, tchnących taką szlachetną chęcią udzielenia wsparcia. Toteż nasza największa nadzieja w kobietach. Śledzę ich pragnienie wiedzy, to coś nadzwyczajnego. Patrz pani, jak ją chłoną, jak ją sobie przyswajają. Ale co to jest wiedza? O ile wiem, pani nie studiowała niczego specjalnie, na przykład medycyny? Nie? Słusznie. Gdyby pani po przybyciu tutaj zaszczyciła mnie pytaniem, jak czas spożytkować, byłbym silnie sprzeciwiał się takiemu kierunkowi. Wiedza sama w sobie to żużel.

Mówiący miał jedną z tych brodatych, rosyjskich twarzy bez linii, pospolity okaz, że się tak wyrażę, czoła i włosów, nieposiadający żadnego rysu charakterystycznego. A ponieważ oczy kryły się pod ciemnymi szklami, całość więc była zupełnie pozbawiona wyrazu. Znałem go z widzenia. Był wybitnym zbiegiem rosyjskim. Cała Genewa знаła jego barczystą postać w czarnym surducie. A w swoim czasie cała Europa czytała historię jego życia, napisaną przez niego samego a przetłumaczoną na siedem czy więcej języków. W młodości wiódł próżniacze, rozwiązłe życie. Potem panna z wielkiego świata, z którą miał się żenić, umarła nagle; wycofał się wtedy z życia towarzyskiego i zaczął spiskować w duchu skruchy, wskutek czego ojczysta autokracja postarała się, aby go nie ominął zwykły bieg rzeczy: uwięziono go, trzymano w twierdzy, bito, że omal ducha nie wyzionął pod pałkami, a wreszcie skazano na ciężkie roboty w kopalniach, pospołu ze zwykłymi zbrodniarzami. Ale największe powodzenie swoich książek zawdzięczał kajdanom. Nie pamiętam szczegółowo długości i ciężaru tych kajdan, którymi go skuto „porządkiem administracyjnym”, ale ilość funtów i grubość ogniów łańcucha były przerażającym potwierdzeniem świętego prawa autokracji. Przerażającym a jednocześnie czczym, gdyż ów rosły mężczyzna potrafił unieść tę nieskomplikowaną maszynę władzy wraz ze swoją osobą w lasy. Dźwiękiem owych kajdan rozbrzmiewa cały opis tej ucieczki, nad którą zdumiewały się obie półkule. Więzień zaczął od tego, że zmylił czujność dozorców i ukrył się w jakiejś nadrzecznej rozpadlinie. Było to już ku końcowi dnia; z niesłychanym trudem zdołał oswobodzić jedną nogę. Tymczasem noc zapadła. Miał już

rozpocząć z drugą nogą, gdy spotkało go straszne nieszczęście. Upuścił piłkę do metalu.

Wszystko to są fakty, a jednak kryją sens symboliczny; piłka miała swoją wzruszającą historię, Dała mu ją niespodzianie pewnego wieczoru cicha, blada dziewczyna. Biedaczka przybyła do kopalni, by się połączyć z jego współtowarzyszem, katorżnikiem, socjal demokratą, mechanikiem z zawodu, wątłym młodzieńcem o szerokich kościach policzkowych i wielkich oczach. Przebyła pół Rosji i prawie całą Syberię, aby być blisko niego i pomóc mu w ucieczce. Ale przybyła za późno. Jej kochanek tydzień wcześniej umarł.

Dzięki temu, jak się wyrażał, podrzędnemu epizodowi w dziejach idei w Rosji, piłka dostała się do jego rąk i natchnęła go żarliwym postanowieniem odzyskania wolności. Ale wysliznąwszy mu się z palców, po prostu spadła na ziemię. W żaden sposób nie mógł jej namacać po ciemku. Szukał systematycznie w poruszonej ziemi, w błocie, w wodzie; a noc mijała tymczasem; ta noc bezsenna, na którą liczył, że pod jej osłoną schroni się w lasach, co było jedyną nadzieją ucieczki. Przez chwilę rozpacz kusiała go, by dać za wygraną, ale przypomniawszy sobie spokojną, smutną twarz bohaterskiej dziewczyny, zawstydził się swojej słabości. Wybrała jego, by mu oddać ten dar swobody, a on musi okazać się godnym łaski, której mu udzieliła jej nieugięta dusza kobieca. Był to jakby rodzaj świętego depozytu. Ulec — byłoby rodzajem świętokradztwa wobec samozaparcia i miłości kobiecej.

Są w jego książce całe stronice analizy samego siebie, z których niby biała postać z mrocznego, wzburzonego oceanu wyłania się przeświadczenie o duchowej wyższości kobiety — jego nowa wiara, głoszona potem w kilku innych tomach. Pierwszym hołdem, jaki jej złożył, wielkim aktem nawrócenia, była jego nadzwyczajna egzystencja w bezkresnych tajgach Ziemi Ochockiej, z luźnym końcem łańcucha, owiniętym wokół talii i przytwierdzonym za pomocą udartej z aresztanckiej koszuli szmaty. Innymi szmatami przymocował go wzdłuż lewej nogi, by stłumić brzęk ogniów i nie pozwolić, by mu przeszkadzały w przedzieraniu się przez gąszcze. Stał się bardzo srogim. Rozwinął się w nim niespodzianie istny geniusz przebiegłości, potrzebnej dzikiej i ściganej istocie. Nauczył się wślizgiwać do wiosek, nie zdradzając niczym swojej obecności, chyba że jakimś przypadkowym lekkim brzękiem. Wpadał do leżących na uboczu domów z siekierą, którą porwał z namiotu jakiegoś tracza. W puszczech żywił się dzikimi jagodami i szukał miodu. Odzież spadła z niego stopniowo. Jego naga, śniada postać przesuwała się wśród gąszczy z chmurą moskitów i much dokoła rozczochranej głowy, szerząc postrach w okolicy. Z biegiem czasu srogość jego wzrastała, a on cieszył się, odkrywając w sobie tyle cech dzikiej bestii. Bo jedynie im mógł ufać. Jakby dwie ludzkie istoty zespoliły się w tym procesie: człowiek cywilizowany, zapalony wyznawca postępowych, humanitarnych idei, łaknący triumfu uduchowionej miłości i swobody politycznej oraz pierwotny dzikus, bezlitośnie przebiegły w zachowaniu wolności z dnia na dzień, jak tropione dzikie zwierzę.

Istota dzika instynktownie dążyła na Wschód, ku Oceanowi Spokojnemu, a istota cywilizowana i humanitarna w trwożnej zależności śledziła uległe poczynania tej pierwszej. Przez wszystkie te długie tygodnie nie mógł nigdy wymóc na sobie, aby się odwołać do ludzkiego współczucia. W ostrożnym, dzikim człowieku pierwotnym ta lękliwość mogła być naturalna, ale i tamten także, człowiek cywilizowany, myśliciel, zbieg polityczny wyrobił w sobie jakiś nedorzeczny rodzaj chorobliwego pesymizmu, jakby przejściowego obłędu, spowodowanego może fizyczną męką dźwigania łańcucha. Wyobrażał sobie, że te ogniwa czyniły go wstrętnym dla reszty ludzi. Był to ohydny i kuszący ciężar. Nikt nie mógł doznać litości na szkaradny widok człowieka uciekającego z zerwanym łańcuchem. Te kajdany opętały jego wyobraźnię w pewien określony sposób. Wydawało mu się niepodobieństwem, żeby ludzie mogli oprzeć się pokusie przytwierdzenia luźnego łańcucha do haka w ścianie, podczas gdy sami pójda po najbliższego policjanta. Czając się w jamach lub ukryty w chaszczach, usiłował czytać w twarzach niepodejrzewających niczego wolnych osadników, pracujących na trzebinach lub przechodzących po ścieżkach o parę kroków przed jego oczyma. Miał przekonanie, że nikomu na świecie dowierzać nie można, każdego bowiem skusi łańcuch.

Pewnego dnia jednakże natknął się na samotną kobietę. Było to na otwartej polanie na skraju lasu. Siedziała nad brzegiem strumienia w czerwonej chustce na głowie. Mały koszyczek leżał obok niej na trawie. W oddali widać było kilka biednych chat z nieobrobionego drzewa, z wodnym młynem nad stawem z tamą, ocienionym brzezina i świecącym jak fala szklana w zapadającym mroku.

Zbieg zbliżył się do kobiety w milczeniu, z siekierą zatknietą za pas z łańcucha, z grubą pałąką w ręku. Zdźbła traw i liści tkwiły w jego rozczochranych włosach i brodzie, strzępy łachmanów, którymi poowijał kajdany, powiewały dokoła. Na lekki brzęk żelaza kobieta odwróciła głowę. Zbyt wystraszona, aby mogła zerwać się z miejsca lub chociaż krzyknąć, była jednak zbyt mężna, aby zemdleć. Była tak pewna, że to dzikie straszdyło zamorduje ją niezwłocznie, iż zasłoniła oczy rękoma, by uniknąć widoku spadającej siekiery. Gdy wreszcie zdobyła się na odwagę, by spojrzeć znowu, ujrzała włóczęgę siedzącego o kilka kroków od niej nad brzegiem wody. Chudymi, żyłastymi rękami obejmował nagie nogi, długa broda okrywała mu kolana, na których oparł podbródek; wszystko to razem — skulone członki, nagie ramiona, rozczochrana głowa o czerwonych, wytrzeszczonych oczach — trzęsło się gwałtownie, podczas gdy ta zdziczała istota na próżno usiłowała przemówić. Od sześciu tygodni nie słyszał dźwięku własnego głosu i stał się niemym jak bydło. Wtem nagły, niespodziany okrzyk kobiety, wezbrany głęboką litością, jasnowidztwo kobiecego współczucia, odkrywającego bezbrzeżną nędzę człowieka pod odstrasającym pozorem potwora, powróciło go w szeregi ludzkości. Ten punkt widzenia przedstawiony jest w jego książce z wielką siłą. Powiada w niej, że owa kobieta roniła nad nim łzy, święte łzy

odkupienia, podczas gdy on płakał także z radości, jak nawrócony grzesznik. Poleciwszy mu ukryć się w zaroślach i czekać cierpliwie (patrol policyjny spodziewany był w osadzie), poszła w stronę chat, obiecawszy wrócić nocą.

Istnym zrządzeniem Opatrzności kobieta owa niedawno poślubiła wioskowego kowala, który ulegając prośbom młodej żony, poszedł z nią, zabrawszy potrzebne narzędzia: młot, dłuto, małe kowadło.

„I tak”, mówił autor w swej książce, „kajdany spadły ze mnie w cichą, gwiaździstą noc nad brzegiem strumienia. A rozkuł mnie atletyczny, milczący młodzieniec z ludu, podczas gdy kobieta stała nade mną ze splecionymi rękoma”.

Była to zatem symboliczna para. Następnie litościwi małżonkowie zaopatrzyli jego odzyskane człowieczeństwo w przyzwoitą odzież i pokrzepili mu serce wiadomością, że brzeg Oceanu Spokojnego jest oddalony o zaledwie parę mil. Jakoż można go było widzieć z sąsiedniego wzgórza.

Dalszy ciąg ucieczki nie nadawał się już do mistycznej i symbolicznej interpretacji. Zbiegowi udało się przedostać w zwykły sposób Kanałem Sueskim na Zachód i wylądować w Europie Północnej. Tam napisał swoją autobiografię, która zjednała mu olbrzymi rozgłos. Po tej książce nastąpiło kilka innych, pisanych w celu duchowego podniesienia ludzkości. Głosił w niej na ogół kult kobiety. Osobiście uprawiał go pod postacią osobliwszego uwielbienia dla najwyższych zasług i zalet niejakiej pani de S., osoby wielce postępowych pojęć, już nie bardzo młodej, niegdyś przez pewien czas intrygującej żony zmarłego i zapomnianego dyplomaty. Dama ta swoje głośnie aspiracje do kierowania umysłowym i uczuciowym życiem współczesnym uprawiała (jak Voltaire i Madame de Staël) na republikańskim gruncie Genewy. Jeżdżąc w wielkim otwartym landzie, okazywała obojętności mieszkańców i gapiostwu turystów młodzieńczą, wydłużoną kibić o hieratycznej sztywności i parę wielkich, błyszczących oczu, patrzących niespokojnie spoza czarnej woalki, która, sięgając tylko jej mocno czerwonych ust, podobna była do maski. Zazwyczaj „bohaterski zbieg” (tę nazwę nadano mu w pewnej recenzji angielskiego wydania jego książki) towarzyszył jej, siedząc, złowieszczo brodaty, w ciemnych okularach, nie obok niej, ale naprzeciwko, plecami do koni. Te przejażdżki we dwójkę tylko w obszernym powozie wyglądały na świadomą publiczną manifestację. A może była ona nieświadomą? Rosyjska prostolinijność stapa często niewinnie po krawędzi cynizmu w swych szczytnych zamierzeniach. Ale byłoby daremnym przedsięwzięciem dla sofistycznej Europy próbować ich zrozumieć. Zważywszy powagę udzielającą się nawet fizjonomii stangreta i stapaniu dorodnych koni, ten osobliwy popis mógł mieć jakieś znaczenie mistyczne; jednakowoż znieprawionej płocności zachodniego umysłu wydawał się wprost nieprzyzwoitym.

Wszelako nie przystoi skromnemu nauczycielowi języków krytykować „bohaterskiego zbiega” o wszechświatowej sławie. Ze słyszenia wiedziałem, że był czynnym i gorliwym krzewicielem swoich idei, polując na rodaków w

hotelach i prywatnych mieszkaniach i zaszczycając ich swoją znajomością w publicznych ogrodach, gdy się po temu odpowiednia nadarzyła sposobność. Miałem wrażenie, iż po paru odwiedzinach przed kilku miesiącami dał za wygraną i pozostawił obie panie Haldin w spokoju; uczynił to bez wątpienia niechętnie, był bowiem człowiekiem niełatwo się zrażającym. Było więc do przewidzenia, że zjawi się w tej strasznej dobie, by jako Rosjanin i rewolucjonista okazać im swoje współczucie, a może uderzyć we właściwą strunę pociechy. Ale mnie się nie podobało, że go tam siedzącego zobaczył. Chcę wierzyć, iż jakaś niestosowna zazdrość o moje uprzywilejowane stanowisko nie miała z tym nic wspólnego. Nie rościłem sobie prawa do specjalnych względów za moją milczącą przyjaźń. Przeniesiony z powodu różnicy wieku i narodowości jak gdyby w sferę innego istnienia, sam na sobie robiłem wrażenie niemego, bezradnego ducha, czegoś niematerialnego, co może tylko krążyć w pobliżu, nie posiadając władzy opiekuńczej lub doradczej, bodaj jedynie szeptu. Obecnie, skoro tylko panna Haldin z charakteryzującą ją trafnością instynktu powstrzymała się od przedstawienia mnie barczystej znakomitości, byłbym się wycofał spokojnie i wrócił później, gdyby nie to, że w wyrazie jej oczu wyczytałem jakby niemą prośbę, żebym został i może w ten sposób skrócił niepożądaną wizytę.

Gość podniósł z ziemi kapelusz, po to tylko, by go umieścić na kolanach.

— Spotkamy się jeszcze, Natalio Wiktorowna. Dziś zaszedłem jedynie po to, by dać dowód tych uczuć względem pani i jej szanownej matki, o których naturze nie może pani wątpić. Nie potrzebowałem zachęty, ale Eleonora... pani de S. sama mnie niejako przysłała. Wyciąga ona do pani siostrzaną rękę. Nie ma w dziedzinie ludzkich uczuć takiego cierpienia i takiej radości, których ta kobieta nie potrafiłaby zrozumieć, podnieść i uduchowić swoim współudziałem. Świeżo przybyły z Petersburga młodzieniec, o którym wspominałem pani, jest już pod jej urokiem.

Panna Haldin wstała gwałtownie. Ucieszyło mnie to. Gość widocznie nie spodziewał się tak stanowczej wskazówki i zrazu, podniósłszy głowę, zamigotał ciemnymi okularami z pogodną ciekawością, lecz, zmiarkowawszy się, wstał szybko, chwytając bardzo zręcznie kapelusz z kolan.

— Jakże to być może, Natalio Wiktorowna żeby pani tak długo trzymała się z dala od tego, co jest, niech sobie złe języki mówią o tym co chcą, jedynym środowiskiem intelektualnej swobody i usiłowaniem nadania kształtu wysokiemu pojmowaniu naszej przyszłości? Co się tyczy szanownej matki pani, rozumiem to do pewnego stopnia. W jej wieku nowe poglądy, nowe twarze są może... Ale pani! Byłaby to nieufność czy obojętność? Musi pani zerwać z tą wstrzemięźliwością. My, Rosjanie, nie mamy prawa trzymać się z daleka jedni od drugich. W naszych warunkach jest to prawie zbrodnią przeciw ludzkości. Nie wolno nam pozwalać sobie na zbytek osobistego cierpienia. W dzisiejszych czasach nie zwalcza się szatana modlitwą i postami. A w gruncie rzeczy jest to głodzenie się. Pani nie powinna się głodzić, Natalio Wiktorowna. Nam trzeba

siły. Siły duchowej, oczywiście. Co się tyczy każdej innej, któż zdoła sprostać nam, Rosjanom, jeżeli tylko jej użyjemy. Inaczej grzeszy się w dzisiejszych czasach i droga do zbawienia dla czystych dusz jest także inną. Nie znajduje się jej już w klasztorach, lecz w świecie, w..

Głęboki jego głos wychodził jak spod ziemi i słuchacz czuł się zanurzony aż po wargi w tych dźwiękach. Panna Haldin przerwała mu w sposób podobny do usiłowań tonącego, który chce utrzymać się na powierzchni wody. Wtrąciła z odcieniem niecierpliwości:

— Ależ, Piotrze Iwanowiczu, ja wcale nie myślę wstępować do klasztoru. Któżby tam szukał zbawienia! ?

— Mówiłem przenośnie.

— I ja także mówię przenośnie. Ale zmartwienie jest zmartwieniem, a ból jest bólem na dawny sposób. Nawiedzają one ludzi i ludzie muszą zmagać się z nimi, jak najlepiej umieją. Wiem, że cios, który spadł na nas tak niespodziewanie, jest tylko epizodem w doli narodu. Bądź pan pewny, że nie zapominam o tym. Ale teraz muszę myśleć o mojej matce. Jakże może pan żądać, żebym ją zostawiła samą...

— Stawia to pani w bardzo kategoriyczny sposób — zaprotestował swym potężnym, bez żadnego wysiłku wychodzącym z niego głosem.

Panna Haldin nie czekała, by echo jego słów umilkło.

— ...rzuciła się w wir wizyt towarzyskich? Taka myśl jest mi wstrętna, a nie wiem, co innego może pan przez to rozumieć?

Górował nad nią ogromny, ugrzeczniony, ostrzyżony przy samej skórze jak katorżnik, a jego wielka różowawa czaszka wywoływała we mnie obraz rozczochranej głowy, wyzierającej z krzaków i migających nagich, ogorzałych członków, czółgających się w gęstwinie mokrego listowia, pod chmurą much i moskitów. Był to mimowolny hołd złożony potędze jego pióra. Nikt nie mógł wątpić, że ten człowiek błądził po syberyjskiej tajdze, nagi i przepasany łańcuchem. Czarny luźny surdut nadawał jego osobie charakter surowej przyzwoitości; nieco przypominał nieco misjonarza.

— Wie pani, czego ja chcę, Natalio Wiktorowno? — wymówił uroczyście. — Chcę uczynić z pani fanatyczkę.

— Fanatyczkę?

— Tak, wiara sama nie wystarczy.

Głos jego stał się jeszcze cichszy. Podniósł na chwilę potężne ramię, drugie trzymając zwieszony wzdłuż uda i zakończone lekkim, jedwabnym kapeluszem.

— Powiem pani teraz coś, nad czym, proszę, zastanów się pani uważnie. Posłuchaj, nam potrzeba siły, która by poruszyła niebo i ziemię, nic mniej!

To „nic mniej”, wymówione głębokim, podziemnym głosem, mogło przejać dreszczem, jak huczenie wichru w organach.

— A siłę tę mamy znaleźć w salonie pani de S.? Wybacz mi, Piotrze Iwanowiczu, ale śmiem w to wątpić. Wszak to dama wielkiego świata, arystokratka.

— Uprzedzenie! — zawołał. — Pani mnie zdumiewa! A choćby i była tym wszystkim? Jest przecież kobietą z krwi i kości. Jest zawsze coś, co musi być przeciwwagą duchowej strony w nas wszystkich, Ale czynić jej z tego zarzut? Tego się po pani nie spodziewałem. Nie! Tego się nie spodziewałem. Można by pomyśleć, że nasłuchiwała się pani jakichś niezycziwych, skandalizujących plotek,

— Nie słyszałam żadnych plotek, upewniam pana. U nas, na prowincji, czy to było możliwe? Ale świat mówi o niej. Cóż może być wspólnego pomiędzy taką wielką damą a przeciętną wieśniaczką, taką jak ja?

— Ona jest nieustającym objawieniem szlachetnego, niezrównanego ducha — przerwał gość. — Jej urok... nie, nie będę mówił o jej uroku... Ale, oczywiście, kiedy ktoś się do niej zbliży, ulega mu... Przeciwiństwa rozwiewają się, rozterki nikną... Może się mylę, a nie mylę się jednak nigdy w sprawach duchowych, dusza pani znajduje się w rozterce, Natalio Wiktorowna. Jasne oczy panny Haldin spojrzały prosto w jego rozlaną, olbrzymią twarz. Doznałem wrażenia, że poza tymi ciemnymi okularami mógł on być bezczelnym na tyle, na ile mu się podobało,

— Nie dalej niż wczoraj, wracając do miasta z Chateau Borel z naszym świeżo przybyłym z Petersburga interesującym młodzieńcem, mogłem zauważyć ten potężny, kojący wpływ; mogę powiedzieć: wpływ pojednawczy. Młodzieniec szedł przez te wszystkie kilometry wzdłuż brzegów jeziora milcząc, jak człowiek, któremu ukazano drogę pokoju... Czuję, że w duszy jego dokonywa się przełom. Przede wszystkim słuchał mnie cierpliwie. Ja sam byłem tego wieczoru jak natchniony niewysłowioną mocą geniuszu Eleonory... chciałem powiedzieć pani de S. Księżyc świecił w pełni i mogłem obserwować twarz młodzieńca. Nie dałbym się omamić.

Panna Haldin, spuściwszy oczy, zdawała się wahać.

— Dobrze więc, pomyślę o tym, co mi pan powiedział, Piotrze Iwanowiczu, Postaram się odwiedzić panią de S., skoro tylko będę mogła zostawić moją matkę bezpiecznie na parę godzin.

Chociaż słowa te wypowiedziane były chłodno, ustępstwo zdumiało mnie. Piotr Iwanowicz porwał jej prawą rękę z takim zapalem, iż sądziłem, że ją przyciśnie do ust lub do piersi. Lecz on trzymał ją tylko za końce palców w swej olbrzymiej łapie, potrząsając nią z lekka w górę i w dół, podczas gdy dawał ujście ostatniemu nawałowi słów.

— To dobrze. To bardzo dobrze. Nie pozyskałem jeszcze pełnego zaufania pani, Natalio Wiktorowna, ale to przyjdzie, wszystko w swoim czasie, Siostra Wiktora Haldina nie może pozostać na uboczu, Po prostu to niemożliwe. Żadna kobieta nie może trwać, siedząc na stopniach. Kwiaty, łyzy, oklaski, to

wszystko miało swój czas, to pojęcie średniowiecza. Arena, sama arena jest miejscem dla kobiet.

Puścił jej rękę z rozmachem, jak gdyby włożył w nią jakiś dar, i stał nieruchomo, z głową schyloną w pełnej godności pokorze przed jej kobiecością.

— Arena... Musisz wstąpić na arenę, Natalio!

Cofnął się o krok, zginając swą olbrzymią postać, i wyszedł szybko. Drzwi zamknęły się za nim, ale wnet rozległ się z przedpokoju jego potężny dźwięczący głos, przemawiający do służącej, która go wypuszczała. Czy namawiał ją również, by wstąpiła na arenę, nie wiem, ale brzmiało to jak kazanie, które przerwał nagle lekki stuk drzwi wejściowych.

III

Staliśmy chwilę w milczeniu, patrząc na siebie:

— Pan wie, kto to jest?

Panna Haldin, podchodząc do mnie, zadała mi to pytanie po angielsku.

Ująłem podaną mi dłoń.

— Wszyscy wiedzą. To rewolucyjny feminista, wielki pisarz, jeżeli pani chce i, jak by to ująć... gość poufny mistyczo-rewolucyjnego salonu pani de S.

Panna Haldin przesunęła ręką po czole.

— Wie pan, był tu ze mną przeszło godzinę, zanim pan przyszedł. Tak się cieszyłam, że mama się położyła. Nie sypia po nocach, czasem tylko w środku dnia zdrzemnie się na kilka godzin. Z wyczerpania jedynie, ale i za to jestem Bogu wdzięczna, bo gdyby nie te krótkie chwile spokoju...

Popatrzyła na mnie i, z tą nadzwyczajną przenikliwością, która tak mnie zbijała z tropu, wstrząsnęła głową.

— Nie. Nie zwariowałyby.

— Ależ, droga pani!—zawołałem, potestując, tey bardziej zmieszany, iż w głębi ducha daleki byłem od uważania pani Haldin za zdrową na umyśle.

— Pan nawet nie wie, jaki mama miała piękny, jasny umysł — ciągnęła dalej Natalia Haldin z tą swoją prostotą, która zawsze miała dla mnie coś bohaterskiego.

— Ależ niewątpliwie — bąknąłem,

— Spuściłam rolety w pokoju mamy i wyszłam tutaj. Od tak dawna pragnęłam pomyśleć spokojnie.

Umilkła, po czym, nie objawiając żadnej udreki, dodała:

— To takie trudne... — i popatrzyła na mnie uporczywie, jak gdyby czekając na jakiś znak zaprzeczenia lub zdziwienia.

Nie dałem go, natomiast coś wręcz zmusiło mnie, aby powiedzieć:

— Obawiam się, że odwiedziny owego pana nie ułatwiły pani tego.

Panna Haldin stała przede mną ze szczególnym wyrazem w oczach.

— Nie powiem, żebym w pełni rozumiała Piotra Iwanowicza... Trzeba mieć jakiegoś przewodnika, choćby mu się nie w zupełności powierzyło kierunek swego postępowania. Jestem niedoświadczoną dziewczyną, ale nie mam usposobienia niewolniczego. Za dużo już tego było w Rosji. Więc czemu nie miałam go słuchać? Nie ma nic złego w tym, żeby dać pokierować swymi myślami. Ale muszę się przyznać panu, że nie byłam zupełnie szczerą z Piotrem Iwanowiczem. Nie wiem, co mnie wstrzymało w chwili...

Odeszła nagle w głąb pokoju, ale tylko po to, by otworzyć i zamknąć szufladę biurka. Wróciła z jakąś kartką w ręku. Była cienka i zaczerniona drobnym pismem. Był to zapewne list.

— Chciałam przeczytać panu dosłownie. Jest to jeden z listów mego biednego brata. On nie wątpił nigdy. Bo i jakże mógł wątpić. Ich jest przecież tylko taka garstka, tych nikczemnych ciemiężycieli, wobec zjednoczonej woli naszego ludu.

— Brat pani wierzył, że potęga woli ludu dokona wszystkiego?

— To była jego religia — oświadczyła panna Haldin. Spojrzałam na jej spokojną twarz i błyszczące oczy.

— Oczywiście, wolę tę trzeba rozbudzić, natchnąć, wzmocnić, pokierować nią. To jest istotne zadanie prawdziwych agitatorów i za to warto dać życie. Poniżająca służalczość, absolutystyczne kłamstwa muszą być doszczętnie wykorzenione i usunięte. Nie może być mowy o reformach, bo nie ma czego reformować. Nie ma prawa, nie ma instytucji. Są tylko arbitralne ukazy. Jest garść okrutnych, może zaślepionych „urzędników przeciw całemu narodowi”

List zaszeleścił w jej ręku. Spojrzałam na wątle, zaczernione kartki. Już samo pismo wydawało się czegoś kabalistycznym, nie do pojęcia dla umysłu zachodnioeuropejskiego.

— W ten sposób postawiona kwestia wydaje się dość prostą — wyznałam. — Ale obawiam się, że nie dożyję jej rozstrzygnięcia. A jeżeli pani wróci do Rosji, wiem, że nie zobaczę już pani więcej. Mimo to jednak mówię raz jeszcze: trzeba wracać, Nie myślę o pani bezpieczeństwie. Nie! Wiem, że nie wraca pani do osobistego bezpieczeństwa. Ale wolę myśleć raczej o pani zagrożonej tam niż widzieć cię wystawioną na to, co panią tu spotkać może.

— Wie pan co — rzekła panna Haldin po chwili zastanowienia. — Mnie się zdaje, że pan nienawidzi rewolucji i uważa ją za coś niezupełnie uczciwego. Należy pan do narodu, który wszedł z losem w układy i nie chce mu się narażać. Ale my nie zawieraliśmy układów. Nie mieliśmy sposobności po temu. Nie powiedziano nam nigdy: tyle a tyle swobody, za tyle i tyle gotówki. Pan, ceniąc kogoś, uważałby jego mieszanie się w ruch rewolucyjny za coś, jak by to powiedzieć, niezupełnie przyzwoitego.

Schylilem głowę.

— Ma pani słuszność — odparłem — cenię panią bardzo wysoko.

— Nie sądź pan, że nie wiem o tym — zaczęła pospiesznie. — Przyjaźń pana była dla mnie bardzo cenną.

— Zrobiłem niewiele więcej ponad to, że patrzyłem.

Lekkie rumieńce wystąpiły na jej policzki.

— Sposób patrzenia bywa bardzo cenny. Dzięki niemu czułam się mniej osamotnioną. To trudno wytłumaczyć!

— Doprawdy? Otóż i ja czułem się mniej osamotnionym. Ale mnie byłoby to łatwo wytłumaczyć. Dajmy jednak temu spokój. Powiem pani tylko tyle: w prawdziwej rewolucji, nie w prostej zmianie dynastycznej lub jej reformie po prostu, ale w prawdziwej rewolucji najszlachetniejsze jednostki nie wysuwają się nigdy naprzód. Rewolucja wpada z początku w ręce fanatyków o ciasnych umysłach i tyrańskich hipokrytów. Potem przychodzi kolej na wszystkie pełne uroszczeń bankructwa intelektualne danego czasu. Takimi są przywódcy i przodownicy. Zechce pani zauważyć, że zostawiłem pionki na boku. Natury sprawiedliwe, szlachetne i ofiarne, jednostki nieegoistyczne i inteligentne mogą rozpocząć jakąś akcję, ale ona im się zawsze z rąk wymknie. To nie są przywódcy rewolucji, To są jej ofiary, ofiary rozczarowania, niesmaku, często wyrzutów sumienia. Nadzieje cudacznie zawiedzione, ideały skarykaturowane — oto określenie powodzeń rewolucyjnych. W każdej rewolucji dość było serc złamanym przez takie powodzenia. Ale dosyć o tym. Mnie chodzi o to, żeby pani nie była ofiarą.

— Choćbym uwierzyła w to wszystko, co pan mówi, jeszcze bym nie myślała o sobie—odparła panna Haldin.— Z każdej ręki wzięłabym wolność, jak człowiek głodny porwałby kawałek chleba. Prawdziwy postęp musi się zacząć potem. A wtedy znajdą się ludzie odpowiedni. Są już tacy pomiędzy nami. Spotyka się ich. Nieczynni, samotni, przygotowują się...

Rozłożyła list, który wciąż trzymała w ręce i, patrząc nań, powtórzyła :

— Tak, spotyka się takich ludzi — po czym przeczytała następujące słowa: „Nieskalane, wzniosłe, samotne egzystencje”.

Spojrzałem pytająco, ona zaś, składając list, objaśniała:

— To są słowa, które mój brat stosuje do pewnego młodzieńca, poznanego w Petersburgu. Serdecznego przyjaciela zapewne. Niewątpliwie, tak być musi. Jego nazwisko jest jedynym, które mój brat wymienia w całej swojej korespondencji ze mną. Tylko to jedno. I co pan powie? Ten młody człowiek jest tutaj. Przyjechał świeżo do Genewy.

— Czy pani go widziała?—zapytałem. — Ależ oczywiście, musiała go pani widzieć!

— Nie! Nie! Nie widziałam go. Nie wiedziałam nawet że tu jest. To Piotr Iwanowicz mi powiedział. Słyszał pan zapewne, jak mówił o nowym przybyszu z Petersburga. Otóż to jest ten człowiek o „nieskazitelnej, wzniosłej, samotnej egzystencji”. Przyjaciel mego brata!

— Skompromitowany politycznie, zapewne — zauważyłem.

— Nie wiem. Tak. Zapewne. Kto wie!... Może właśnie przyjaźń z moim bratem była powodem... Ale to mało prawdopodobne. Zresztą, wiem tylko to, co mi Piotr Iwanowicz o nim powiedział. Przywiózł on list polecający od ojca Zosima, wie pan, tego księdza demokrata. Słyszał pan o ojcu Zosimie?

— O tak. Sławny ojciec Zosim bawił około dwóch miesięcy zeszłego roku w Genewie—rzekłem.— A potem, jakby zniknął ze świata.

— Okazuje się, że działa znów w Rosji. Gdzieś w głębi kraju — rzekła panna Haldin z ożywieniem. — Ale, proszę, nie wspominaj pan o tym nikomu, bo gdyby się coś dostało do prasy, mogłoby to stać się dla niego niebezpieczne.

— Pani, rzecz jasna, pragnęłaby zobaczyć się z tym przyjacielem brata? — zapytałem.

Panna Haldin schowała list do kieszeni i rzuciła okiem ponad moje ramię na zamknięte drzwi pokoju matki.

— Nie tutaj — szepnęła. — Przynajmniej pierwszy raz.

Po chwili milczenia pożegnałem się, a panna Haldin wyprowadziła mnie do przedpokoju, starannie zamykając za nami drzwi.

— Domyśla się pan zapewne, dokąd chcę iść jutro?

— Postanowiła pani odwiedzić panią de S.?

— Tak. Pójdę do Chateau Borel. Muszę.

— I co pani spodziewa się tam usłyszeć? — zapytałem cichym głosem. Przyszło mi na myśl, że ludzi się jakąś nieprawdopodobną nadzieją. Tak jednak nie było.

— Pomyśl pan tylko, taki przyjaciel. Jedyne człowiek, wspomniany w jego listach. Może ma coś dla mnie... Choćby tylko parę słów. Może to być coś, co mówił i myślał w tych dniach ostatnich. I pan chciałby, żebym odwracała się od tego, co pozostało po moim biednym bracie — od jego przyjaciela?

— Z pewnością nie — odparłem. — Rozumiem doskonale tę zbożną ciekawość,

— „Nieskazitelne, wzniosłe, samotne egzystencje” — szepnęła do siebie. — Są takie. Są! Niechże więc zapytam jedną z nich o mego ukochanego zmarłego.

— Ale skąd pewność, że pani go tam spotka? Czy pani przypuszcza, że on mieszka jako gość w Chateau Borel?

— Doprawdy, nie umiem powiedzieć — wyznała. — Przywiózł list polecający od ojca Zosima, który jest także przyjacielem pani de S. Nie musi to być jednak taka bezwartościowa kobieta.

— I o ojcu Zosimie różnie mówiono — zauważyłem.

Wzruszyła ramionami!

— Potwarz to także broń naszego rządu. Rzecz znana. O tak! Faktem jest, że ojciec Zosim był protegowanym generał-gubernatora pewnej prowincji, Rozmawialiśmy o tym z moim bratem przed dwoma laty, pamiętam. Ale pracował z pożytkiem. A teraz jest wygnańcem. Jakiegoż lepszego dowodu można żądać? Zresztą mniejsza z tym, czym ten ksiądz był lub jest. Wszystko to

nie może dotyczyć przyjaciela mego brata. Jeżeli go tam nie spotkam, dowiem się jego adresu. I, oczywiście, mama musi go także zobaczyć, później. Kto wie, co on może nam mieć do powiedzenia. Byłoby to dobrodziejstwem dla mamy, gdyby ją się dało uspokoić. Pan wie, co mama sobie wyobraża. Może znajdzie się jakie wyjaśnienie lub... wymyśli się je. To jeszcze nie byłoby grzechem.

— Z pewnością — rzekłem — nie byłoby to grzechem. Ale mogłoby być błędem.

— Pragnę tylko, żeby mama odzyskała choć część swego dawnego umysłu. Dopóki jest w takim stanie, o niczym spokojnie pomyśleć nie mogę.

— Pani chce wymyślić jakieś pobożne kłamstwo z miłości do matki? — zapytałem.

— Dlaczego kłamstwo? Taki przyjaciel musi wiedzieć coś o moim bracie z tych ostatnich dni. Mogłby nam powiedzieć!.. Jest w tym wszystkim coś, co mi nie daje spokoju. Jestem pewna, że zamierzał przyjechać tu do nas, że miał jakiś wielki, patriotyczny plan na widoku, nie tylko dla siebie, ale dla nas obojga. Liczyłam na to. Wyglądałam tej chwili... Och! Z jaką nadzieją i niecierpliwością... Byłabym pomagała, a tu, nagle, taka pozorna lekkomyślność, jak gdyby nie dbał..

Umilkła, potem powtórzyła uparcie:

— Chcę się dowiedzieć!

Rozmyślając nad tym, gdym z wolna odchodził z Boulevard des Philosophes, zapytałem siebie, czego właściwie chciała się dowiedzieć. To co słyszałem o jej przeszłości, wystarczyło, aby mi dać wątek do dalszych wniosków. W zakładzie wychowawczym dla dziewcząt, gdzie panna Haldin kończyła nauki, patrzono na nią niechętnie. Podejrzewano ją, że ma niezależne poglądy na sprawy, które nauczanie rozstrzygało w sposób oficjalny. Następnie, gdy panie wróciły do siebie na wieś, zarówno matka, jak córka, głosząc otwarcie swoje zapatrywania na sprawy publiczne, zjednały sobie opinię wolnomyślnych. „Trojka” powiatowego kapitana żandarmerii zaczęła zjawiać się często w ich wiosce.

— Muszę mieć oko na chłopów — tłumaczył im kapitan swoje odwiedziny. — A dwóm samotnym damom należy się też pewna opieka.

I patrzył na ściany, jak gdyby je chciał przebić wzrokiem, oglądał od niechcienia fotografie i książki w salonie, a ugoszczony według zwyczaju, odjeżdżał. Ale pewnego wieczora stary pop wiejski, ogromnie wzburzony i zrozpaczony, wyznał, że jemu, księdzu, polecono śledzić i dowiadywać się innymi także sposobami (jak na przykład wywieraniem presji na służbę) o wszystkim, co się dzieje w domu, a zwłaszcza odnośnie gości, których te panie przyjmowały: co to byli za jedni, jak długo bawili, czy niektórzy z nich byli nieznani w okolicy i temu podobne. Biedny, prostoduszny staruszek był po prostu zdruzgotany upokorzeniem i trwogą.

— Przychodzę ostrzec panie — mówił. — Na miłość boską, bądźcież ostrożne w postępowaniu. Pałę się ze wstydu, ale nie mam sposobu wyplątania

się z tej sieci. Będę im musiał donosić wszystko co zobaczę, bo jeżeli tego nie uczynię, wyręczy mnie mój diakon i jeszcze coś dołoży, żeby się przypocholebić. A tu mój zięć, mąż mojej Paraszy, jest pisarzem w biurze Dóbr Rządowych i z pewnością wyrzuciliby go albo i dokądś zesłali.

Staruszek ubolewał nad niedolą czasów, „kiedy to ludzie jakoś dojść do ładu ze sobą nie mogą” i jął ocierać oczy. Nie życzył sobie wcale, by mu na stare lata ogolono głowę i osadzono go na pokucie w jakiejś celi klasztornej, gdzie musiałby znosić całą srogość dyscypliny duchowej. „Oni tam nie okazaliby żadnego miłosierdzia nad starcem”, jęczał i prawie się w głos rozplakał. Obie panie, zdjęte litością, starały się go uspokoić, jak mogły najlepiej, zanim pozwoliły mu powrócić do domu. Bo naprawdę przyjmowały bardzo mało gości. Sąsiedzi (niektórzy z nich — dawni przyjaciele) zaczęli trzymać się od nich z daleka; jedni — z obawy, inni — z wyraźną pogardą, byli to bowiem wielcy panowie, którzy zjeżdżali tylko na lato, jak mnie objaśniała panna Haldin—arystokraci, reakcyoniści. Wiodła bardzo samotne życie jak na młodą dziewczynę. Jej stosunki z matką były serdeczne i szczerze, ale pani Haldin widziała przeżycia swego własnego pokolenia, jego bóle, jego rozczarowania, a także jego odszczepieństwa. Swą wielką miłość dla dzieci objawiała tłumieniem w sobie wszelkich obaw. Zachowywała bohaterski spokój. Dla Natalii Haldin jej brat ze swą petersburską egzystencją, bynajmniej nie zagadkową (nie mogło być żadnej wątpliwości, co do tego, co czuł lub myślał), ale nieco tajemniczą, był jedynym widocznym przedstawicielem zakazanej wolności. Wszystkie znaczenia słowa „wolność”, wszystkie obietnice niesione przez to słowo żyły w ich długich rozmowach, tchnących najszczytniejszą nadzieją działania i wiarą w powodzenie. A potem, nagle, działania i nadzieje skończyły się w okolicznościach, które przytoczył korespondent angielski. Pozostał tylko niezbity fakt śmierci Wiktora Haldina, ale pozostał niejasny co do swych głębszych przyczyn. A siostra poczuła się opuszczona bez żadnych wyjaśnień. Nie podejrzewała go, pragnęła tylko za wszelką cenę dowiedzieć się, w jaki sposób może pozostać wierna jego duchowi, który uleciał.

IV

Kilka dni minęło, nim spotkałem znowu Natalię Haldin. Przechodziłem przez plac na wprost teatru, gdym dostrzegł jej kształtną postać, wkraczającą w bramę wcale nie ponętnej miejskiej Promenady Bastionów. Wyprzedziła mnie, ale wiedziałem, że spotkamy się, gdy będzie wracała główną aleją, oczywiście, o ile nie szłaby do domu.

W takim razie, nie sędzę, że bym ją był wprędce odwiedził. Pragnąłem gorąco powstrzymać ją od zetknięcia z tymi ludźmi, to jest panią de S, i jej satelitą, ale nie ludziłem się co do mego wpływu. Byłem Zachodniowcem i pojmowałem jasno, że panna Haldin nie zechce, nie będzie mogła słuchać mojej

mądrości, a co się tyczy przyjemności słuchania jej głosu, to pomyślałem, że będzie lepiej zachować w tym względzie umiarkowanie. Nie, nie poszedłbym na Boulevard des Philosophes, ale gdy w środku głównej alei ujrzałem pannę Haldin, idącą ku mnie, byłem zbyt ciekawy, a może zbyt uczciwy, żeby uciec.

Powietrze tchnęło wiosenną rzeźwością. Błękitne niebo było chłodne, ale młode listki, niby miękka mgła, otulały banalne szeregi drzew, a jasne słońce rozpalało złote punkciki w szarych oczach panny Haldin, zwróconych ku mnie z przyjaznym powitaniem.

Zapytałem o zdrowie matki.

Wzruszyła lekko ramionami i westchnęła smutno.

— Ale, widzi pan, wyszłam trochę na przechadzkę... dla ruchu, jak wy, Anglicy, określacie.

Uśmiechnąłem się z uznaniem, ona zaś dodała niespodziewanie:

— Co za wspaniały dzień.

Jej głos, nieco ostry ale czarujący swą męską i jakby ptaszczą właściwością, dźwięczał głębokim przekonaniem. Ucieszyłem się. Było to tak, jak gdyby odzyskała świadomość swej młodości, bo mało było tej wiosennej urody w prostokątnej, ogrodzonej przestrzeni trawy i drzew, oprawionej w regularną ramę dachów tego miasta, nadobnego bez wdzięku i gościnnego bez serdeczności. I w tym powietrzu, w którym się poruszała, mało było ciepła, a niebo, niebo kraju bez widnokręgów, zamiecione i wymyte do czysta przez kwietniowe ulewy, rozpościerało zimny, okrutny błękit, zacieśniony nagle brzydką, ciemną ścianą gór Jura, gdzie tu i ówdzie włóczyły się jeszcze wątle smugi i plamy śniegu. Wszystkie uroki wiosny musiały tkwić w niej samej, a ja byłem rad, że uczucia te weszły w jej życie choćby tylko chwilowo.

— Cieszę się, gdy słyszę panią mówiącą w ten sposób.

Spojrzała na mnie przelotnie. Przelotnie, ale nie ukradkiem. Ukradkowość była czymś dla niej zgoła obcym. Nawet jej sposób chodzenia budził zaufanie. Bo ja patrzyłem na nią po kryjomu, jeżeli tak się wyrazić mogę. Wiedziałem, gdzie była, ale nie wiedziałem, co widziała i co słyszała w tym gnieździe arystokratycznych spiskowców. Używam przymiotnika „arystokratycznych” w braku lepszego określenia. Chateau Borel, ukryty w drzewach i zaroślach zaniedbanego parku, zdobył w naszych czasach, w epoce napoleońskiej, sławę jako rezydencja innej niebezpiecznej wygnanki, pani de Staël. Tylko że napoleoński despotyzm, noszący buty dziedzica rewolucji, który uznał tę intelektualistkę za wroga godnego uwagi, był czymś zgoła niepodobnym do przyodzianej w strój mistycyzmu autokracji, poczętej z niewolnictwa podbojów tatarskich. A i pani de S. daleko było do utalentowanej autorki „Korynny”. Opowiadała szeroko o swoim prześladowaniu. Nie wiem, czy uważano ją w pewnych sferach za niebezpieczną. Co się tyczy śledzenia, to zdaje mi się, że Chateau Borel mógł być przedmiotem tylko ogólnej obserwacji. Był on w swej ekskluzywności idealną ostoją dla knucia spisków, poważnych czy błahych. Ale wszystko to mnie nie obchodziło. Pragnąłem jedynie wiedzieć, jakie wrażenie

specjalna atmosfera i osobliwi mieszkańcy zamku wywarli na pannie Haldin, dziewczynie tak szczerzej, tak prawej, lecz niebezpiecznie niedoświadczonej. Jej wzniosła nieświadomość niższych instynktów czyniła ją bezbronną wobec własnych popędów. A wchodził tu też w grę ów przyjaciel brata, intrygujący przybysz z Rosji. Ciekawy byłem, czy udało się jej go spotkać. Czas jakiś szliśmy z wolna, w milczeniu.

— Wie pani — rzekłem nagle — jeżeli pani nie chce nic mówić, proszę mi to powiedzieć otwarcie, a wtedy, oczywiście, przejdziemy nad tym do porządku dziennego. Ale nie będę się bawił w dyskrecję. Proszę więc o szczegóły.

Uśmiechnęła się z lekka, rozbawiona moim groźnym tonem.

— Jest pan ciekawy jak dziecko.

— Nie. Jestem tylko zaniepokojonym starcem — odparłem z powagą.

Popatrzyła na mnie, jak gdyby chciała sprawdzić stopień mego niepokoju, lub liczbę moich lat. Nie miałem nigdy wyrazistej fizjonomii, a co się tyczy lat, nie jestem jeszcze dostatecznie sędziwym, ażeby być uderzająco zgrzybiałym. Nie mam długiej brody, jak surowy pustelnik z romantycznej ballady, nie chwieję się na nogach i w ogóle nie wyglądam na powolnego, czcigodnego mędrca. Te malownicze cechy nie są moim udziałem. Jestem stary, niestety, w krzepki, pospolity sposób. I wydało mi się, że w przeciągłym spojrzeniu panny Haldin mignęło coś na kształt litości. Przyspieszyła kroku.

— Pyta mnie pan o szczegóły. Niechże się rozejrzę. Powinna byłam je pamiętać. Wszystko to było dostateczną nowością dla takiej jak ja wieśniaczki.

Po chwilowym milczeniu zaczęła od powiedzenia mi, że Chateau Borel był prawie równie zaniedbany wewnątrz jak na zewnątrz, i nic dziwnego. Zbudował go jakiś hamburski, wycofany z interesów bankier, by cieszyć swe stare lata widokiem jeziora, którego porządna, spokojna piękność musiała pociągać nieromantyczną wyobraźnię handlowca. Ale wkrótce umarł. Żona jego wyniosła się również (ale tylko z Genewy), wyjeżdżając do Włoch — i oto ten dom, za drogie pieniądze wystawiony, przypuszczalnie nie do sprzedania, stał pustką przez lat kilka. Dochodziło się do niego żwirowym podjazdem, otaczającym zaniedbany trawnik i miało się dosyć czasu, by się przypatrzeć ruinie jego frontu, obficie ozdobionego stiukami. Panna Haldin powiedziała, że wrażenie było nieprzyjemne i wzrastało w miarę zbliżania się.

Zauważyła zielone plamy mchu na stopniach tarasu. Frontowe drzwi stały otworem. Dokoła nie było nikogo. Wszedłszy, panna Haldin znalazła się w wysokim, obszernym i zupełnie pustym holu o wielu drzwiach. Wszystkie były pozamykane. Szerokie, kamienne schody na wprost wejścia, niczym nieprzykryte, wiodły na górę. Całość sprawiała wrażenie domu niezamieszkałego. Stanęła, onieśmielona pustką, po chwili jednak usłyszała jakiś głos, mówiący monotonicznie.

— Prawdopodobnie obserwowano panią przez cały ten czas — zauważyłem. — Musiały tam być jakieś oczy.

— Nie wiem, jak to być mogło — odparła. — Nie widziałam nawet ptaka w parku. Nie przypominam sobie, żebym słyszała jaki świegot wśród drzew, wszystko zdawało się być zupełnie puste i głuche, poza tym głosem.

Nie mogła też rozpoznać, w jakim języku mówiono: rosyjskim, francuskim czy niemieckim. Żaden nie dał się tu przypasować. Było to tak, jak gdyby mieszkańcy zostawili po sobie tylko ten głos, by mówić do nagich ścian. Mówił więc potoczycie z małymi przestankami. Był samotny i smutny. Czas dłużył się bardzo pannie Haldin. Jakiś nieprzewyciężony wstręt wstrzymał ją od otwarcia pierwszych lepszych drzwi w holu. Ogarnęła ją beznadzieja: nikt nie przyjdzie, a głos nigdy nie przestanie mówić. Wyznała mi, że musiała się oprzeć chęci, by zawrócić i odejść tak, jak przyszła.

— Doprawdy! Miała pani taką chęć—zawołałem z żalem. — Jaka szkoda, że jej pani nie posłuchała.

Potrząsnęła głową.

— Byłoby to takie dziwne wspomnienie. Ten zapuszczony teren, ten pusty hol, ten monotony, gadatliwy głos i nikogo, niczego, jednej żywej duszy.

Takie jednorazowe przeżycie nie wyrządziłoby nikomu szkody, ale panna Haldin nie należała do tych, co uciekają przed onieśmielającym wrażeniem pustki i tajemniczości.

— Nie, nie uciekłam — stwierdziła. — Zostałam i zobaczyłam żywą duszę. Bardzo dziwną duszę,

Gdy patrzyła na schody, wymiarkowawszy, że głos pochodzi gdzieś z góry; jej uwagę zwrócił szelest sukni. Ujrzała kobietę, która musiała wejść przez jedno z owych drzwi i szła holem, z odwróconą twarzą, tak że na razie nie spostrzegła panny Haldin.

Ale gdy podniosła głowę i ujrzała obcą osobę, przestraszyła się bardzo. Sądząc po jej szczupłej, wiotkiej postaci, panna Haldin wzięła ją za młodziutką dziewczynkę, twarz jej jednakże, prawie po dziecinnemu okrągła, była poorana zmarszczkami, a oczy miała podkrążone. Gęste, kasztanowate włosy rozdzielone były po chłopięcemu na boku i falowały nad suchym, pomarszczonym czołem. Popatrzywszy na pannę Haldin w milczeniu, przykucnęła nagle na ziemi.

— Jak to, przykucnęła? — zapytałem zdumiony. — To bardzo dziwny szczegół.

Panna Haldin wytłumaczyła mi przyczynę. Ta osoba niosła w ręku miseczkę. Przykucnęła żeby ją postawić na ziemi dla dużego kota, który ukazał się z poza jej spódnicy i łakomie zanurzył głowę w naczyniu. Ona zaś wstała i, zbliżywszy się do panny Haldin, spytała z nerwową szorstkością:

— Czego pani chce? Kto pani jest?

Panna Haldin wymieniła swoje nazwisko, a także nazwisko Piotra Iwanowicza. Dziewczęca staruszka kiwnęła głową z pewną życzliwością. Ubrana była w czarną, jedwabną, miejscami poprzecieraną bluzkę i krótką, szewiotową, wsytrzępioną spódnicę. Patrząc z bliska, mrugała oczami, a jej brwi

i rzęsy wydawały się również wystrzępione. Panna Haldin, głosem łagodnym, jak się mówi do nieszczęśliwej a wrażliwej osoby, wytłumaczyła jej, że odwiedziny nie mogą być zgoła nieoczekiwane dla pani de S.

— Ach! Piotr Iwanowicz przyniósł pani zaproszenie? Skądże ja mam o tym wiedzieć? Któż się zwierza damie do towarzystwa?

Obszarpana kobieta zaśmiała się, ukazując olśniewająco białe i nadzwyczaj równe ząbki, które wyglądały nie na miejscu w jej zwiędłej twarzyczce, tak jak wyglądałby sznur pereł na szyi żebraczki.

— Piotr Iwanowicz jest może największym geniuszem naszego wieku, ale jest także najbardziej roztargnionym człowiekiem pod słońcem. Więc jeżeli się umówił spotkać tu z panią, to niech się pani nie dziwi, że go nie ma.

Panna Haldin odrzekła, że nie umawiała się wcale z Piotrem Iwanowiczem. Ta dziwaczna osoba zaciekała ją od razu.

— I po co miałyby się trudzić dla pani lub dla kogo innego? Ach ci genialni ludzie! Szkoda gadać! Tak! A ich książki, oczywiście mam na myśli książki, które świat uwielbia, ich natchnione dzieła! Ale pani nie była za kulisami. Poczekaj pani, aż będziesz musiała siedzieć przy stole przez pół dnia z piórem w ręku. Potrafił taki chodzić godzinami tam i na powrót po pokoju, a ja czasem tak zeszytniałam, że lęk mnie zdejmował, iż stracę równowagę i spadnę z krzesła.

Mówiąc to, trzymała ręce splecione przed sobą i oczy jej, utkwione w pannie Haldin, nie zdradzały najmniejszego ożywienia. Panna Haldin, wymiarkowawszy, że osoba nazywająca siebie „dama do towarzystwa” była dumna, iż pełniła obowiązki sekretarki Piotra Iwanowicza, powiedziała coś uprzejmego na ten temat.

— Nie może pani wyobrazić sobie przykrzejszego zajęcia — oświadczyła dama. — Jest tam na górze jakiś dziennikarz angloamerykański, przeprowadza wywiad z panią de S.; inaczej zaprowadziłabym panią zaraz na górę — ciągnęła dalej zmienionym tonem, patrząc ku schodom. — Pełnię tu bowiem obowiązki mistrza ceremonii.

Okazało się, że pani de S. nie znosiła służby szwajcarskiej i nawzajem: służba nie chciała pozostawać długo w Chateau Borel. Wynikały zawsze trudności; Panna Haldin zauważyła już przedtem, że hol wyglądał jak zakurzona, marmurowa, pełna sztukaterii stodoła, z pajęczynami po kątach i śladami błota na posadzce, ułożonej z białych i czarnych tafli.

— Doglądam także tego kota — mówiła dalej dama do towarzystwa, trzymając przed sobą spokojnie splecione ręce; zmęczony wzrok utkwiała w kocie. — Nic mi to nie szkodzi. Zwierzęta mają swoje prawa, chociaż, ściśle rzecz biorąc, nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby cierpieć tak samo, jak ludzie. Prawda? Ale, oczywiście, nigdy tyle nie cierpią. To niemożliwe. Tylko znowu los ich jest o tyle gorszy, że nie mogą zrobić rewolucji. Ja miałam poglądy republikańskie. Przypuszczam, że pani jest republikanką?

Panna Haldin przyznała mi się, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skłoniła lekko głowę i zagadnęła z kolei:

— A pani już nie jest republikanką?

— Kto przez dwa lata pisał pod dyktando Piotra Iwanowicza, ten już niczym być nie może, Przede wszystkim trzeba siedzieć absolutnie nieruchomo, jak mumia. Najlżejsze poruszenie rozprasza myśli Piotra Iwanowicza. Człowiek ledwie śmie oddychać. A już żeby odkaszlnąć, Boże uchroni! Piotr Iwanowicz przestawił stół pod ścianę, gdyż z początku, czekając, aby dalej dyktował, nie umiałam się oprzeć pokusie patrzenia przez okno. To było niedozwolone. Mówił, że mam głupi wzrok. Nie wolno mi było również spojrzeć na niego przez ramię. Piotr Iwanowicz tupał zaraz nogą i wrzeszczał: „Patrz pani na papier”. Zdaje się, że widok mojej twarzy, jej wyraz, doprowadzały go do pasji. Ha, cóż! Wiem, że nie jestem piękna i że mój wyraz twarzy niczego nie obiecuje. Piotr Iwanowicz mówił, że drażni go aura bezmyślnego wyczekiwania, która mnie otacza. To są jego własne słowa.

Panna Haldin była zgorzonna, ale przyznała mi się, że jej to nie zdziwiło.

— Czy podobna, żeby Piotr Iwanowicz mógł się obchodzić tak brutalnie z kobietą?— zawołała.

„Dama do towarzystwa” kiwnęła po kilkakroć dyskretnie głową, po czym zapewniła pannę Haldin, że mu tego nie brała za złe. Stokroć boleśniej było patrzeć na ujawnione tajemnice twórczej pracy; widzieć, jak wielki autor ewangelii rewolucyjnych szukał po omacku słów, jak gdyby nie wiedział jasno, co chce powiedzieć!

— Ja jestem zawsze gotowa być ślepem narzędziem wyższych celów. Oddać życie dla sprawy, to nic. Ale gdy się nasze złudzenia rozwiewają jak mgły, oto czego prawie znieść nie można! Doprawdy, nie przesadzam — mówiła z naciskiem. — Nieraz czułam, że mi po prostu cała moja wiara zamarza pod czaszką, tym bardziej, że zimą pracowaliśmy w nieopalanym pokoju, bo Piotr Iwanowicz, chodząc ciągle tam i z powrotem, nie potrzebował sztucznego ciepła. Nawet w południowej Francji bywają bardzo chłodne dni, zwłaszcza gdy trzeba siedzieć sześć godzin jednym ciągiem bez poruszenia. Ściany w tych willach na Rivierze są tak cienkie. Piotr Iwanowicz niczego się nie domyślał. Co prawda, starałam się nie pokazywać po sobie, że kostnieję, z obawy, żeby go nie rozgniewać! Zaciskałam zęby, aż mi szczęki drętwiały. W chwilach, kiedy Piotr Iwanowicz przerywał dyktando, a czasem te przerwy były bardzo długie, często nie mniej niż po dwadzieścia minut, podczas gdy chodził za memi plecami tam i na powrót, mrużąc coś do siebie, czułam, że zamierzam po kawałku na śmierć, zapewniam panią. Może gdybym była zaczęła szczekać zębami, Piotr Iwanowicz zauważyłby moje cierpienia, ale na nic by się to nie zdało. Ona jest bardzo skąpa w takich rzeczach.

„Dama do towarzystwa” zerknęła ku schodom. Duży kot skończył pić mleko i ocierał wąsaty pyszczek o jej spódnicę, preżąc grzbiet. Pochyliła się, żeby go porwać na ręce.

— Skąpstwo jest raczej cnotą, widzi pani — mówiła dalej, trzymając kota w objęciach. — U nas tylko skąpcy mogą zbierać pieniądze na wyższe cele, a nie tak zwane „szczodre natury”. Ale proszę, niech pani nie sądzi, że jestem sybarytką. Mój ojciec był lichy płatnym urzędniczyną w Ministerstwie Finansów, bez żadnego stanowiska. Może się pani domyślić, że się u nas nie przelewało, chociaż, oczywiście, nie trzęśliśmy się z zimna. Ja, widzi pani, uciekłam od rodziców, kiedy tylko zaczęłam myśleć samodzielnie. Takie myślenie nie jest rzeczą łatwą. Trzeba, żeby nam ktoś oczy otworzył na prawdę. Co do mnie, zawdzięczam moje zbawienie starej handlarce, która miała stragan z owocami w bramie domu, gdzie mieszkaliśmy. Miała pocziwą, pomarszczoną twarz i tak przyjacielski głos, jaki sobie tylko wymarzyć. Raz zaczęłyśmy przypadkowo rozmawiać o dziewczynce w łachmanach, którą widziałyśmy, jak zaczepia mężczyzn i prosi o jałmużnę na ulicach o zmroku; i tak od jednego do drugiego, oczy moje zaczęły się otwierać na wszystkie okropności, które znoszą i cierpią niewinni ludzie jedynie po to, by rządy mogły istnieć. Skoro tylko zrozumiałam zbrodnię klas wyższych, nie mogłam już żyć z rodzicami. W naszym domu, jak rok długi, nikt nigdy litościwego słowa nie słyszał; nie mówiło się o niczym, niczym innym niż o nikczemnych intrygach biurowych, o pensjach, o awansach i o nadszkarowaniu zwierzchnikom. Wzdrygałam się na samą myśl, że mogłabym wyjść kiedyś za męża za człowieka podobnego do mego ojca. Nie znaczy to, żeby była mowa o małżeństwie dla mnie. Zgoła się na to nie zanosilo. Ale czyż nie było dostateczną zbrodnią żyć za pieniądze rządu, podczas gdy połowa Rosji umierała z głodu? Ministerstwo Finansów. Co za śmieszna ohyda! Jak gdyby zgłodniały, ciemny lud potrzebował jakiegoś Ministerstwa Finansów! Ucałowałam więc moich rodziców i poszłam żyć w suterenach z proletariatem. Staralam się być użyteczna ludziom zupełnie beznadziejnym. Pani rozumie, co to znaczy? To jest takim ludziom, którzy nie mają gdzie iść i niczego się w życiu nie spodziewają. Pani pojmuje, jakie to straszne... niczego się w życiu nie spodziewać! Myślę czasem, że tylko w Rosji takich ludzi i taką bezdenną nędzę znaleźć można. Otóż, pograżyłam się w nią, ale, wie pani, niewiele tam da się zrobić. Tak, przynajmniej dopóki Ministerstwo Finansów i jemu podobne śmieszne ohydy stoją na drodze. Byłabym chyba zwariowała w daremnych walkach z tą gadziną, gdyby nie pewien mężczyzna. Biedna, świątobliwa handlarka, moja stara mistrzyni i przyjaciółka, wynalazła go dla mnie całkiem przypadkowo. Pewnego wieczora przyszła po mnie, cichutka, spokojniutka, jak zawsze. Poszłam za nią, nie pytając, dokąd mnie zaprowadzi; ta strona mego życia była całkowicie w jej rękach i bez niej duch mój byłby zmarniał. Ów mężczyzna był to młody robotnik, litograf z zawodu, zamieszany w sprawę związków wstrzemięźliwości, pamięta pani? Dużo ludzi wsadzono wtedy do więzienia. Znowu Ministerstwo Finansów! Cóżby się z nim stało, gdyby biedni ludzie zaprzestali się zbydlęcać pijaństwem? Słowo daję, gotowa bym myśleć, że finanse i te wszystkie inne sprawy są wynalazkiem djibła, gdyby nie to, że wiara w nadprzyrodzone źródło

zła nie jest wcale potrzebna; ludzie sami są zdolni do wszelkiego złego. Finanse, w istocie!

Nienawiść i pogarda zasyczały w jej głosie, gdy wymawiała wyraz „finanse”, ale w tej samej chwili łagodnie pogłaskała kota, spoczywającego w jej objęciach. Podniosła go nawet z lekka i, nachylając głowę, otarła policzek o futerko zwierzęcia, które przyjęło pieszczotę z charakteryzującą ten gatunek istot zupełną obojętnością. Po czym, spojrzawszy na pannę Haldin, przeprosiła ją raz jeszcze, że jej nie prowadzi na górę do pani de S. Rozmowa nie mogła być przerwana. Ale dziennikarz wkrótce ukaże się na schodach. Najlepiej będzie pozostać w holu; a przy tym, wszystkie te pokoje (obejrzała się dokoła na liczne drzwi), wszystkie te pokoje na dole są nieumeblowane.

— Na dole nie ma ani jednego krzesła, które mogłabym pani zaofiarować, — ciągnęła dalej — ale jeżeli pani woli własne myśli niż moją gadaninę, usiądę tu sobie na stopniu i będę milczeć!

Panna Haldin pospieszyła uprzedzić ją, że przeciwnie, historia młodego litografa zajęła ją bardzo. Oczywiście był rewolucjonistą.

— Męczennikiem, prostym człowiekiem — rzekła „dama do towarzystwa” z lekkim westchnieniem, patrząc sennie przez otwarte drzwi frontowe. Po chwili zwróciła zamglone, brunatne oczy na pannę Haldin.

— Mieszkałam z nim przez cztery miesiące. Było to jak sen,

I, widząc, że panna Haldin patrzy na nią pytająco, zaczęła opisywać wyniszczoną twarz tego człowieka, jego chude członki, jego nędzę, jego opuszczenie. Izdebka, do której zaprowadziła ją handlarka, była to maleńka nora na poddaszu starego, cuchnącego domu. Tynk, opadły ze ścian, zaścielał podłogę, a ohydne płachty czarnej pajęczyny powiewały od przeciągu za każdym otwarciem drzwi. Co się tyczy młodego litografa, to uwolniono go przed paru dniami, po prostu wyrzucono na ulicę z więzienia. I oto panna Haldin po raz pierwszy zapoznała się z dziejami jednostki, należącej do tego cierpiącego zbiorowiska, zwanego ludem, którego twardy los bywał przedmiotem tylu rozmów pomiędzy nią a bratem, w ogrodzie ich wiejskiego dworu.

Młodzieńca tego zaaresztowano wraz z wielu innymi osobami, zamieszanymi w sprawę litografowanych statutów dla związków wstrzemięźliwości. Na nieszczęście policja, uwięziwszy tylu podejrzanych, chciała wydobyć z nich inne jeszcze wiadomości, tyczące się propagandy rewolucyjnej.

— Tak się nad nim pastwili podczas śledztwa — ciągnęła dalej „dama do towarzystwa”, że mu poodbijali wnętrzności. Gdy z nim skończyli, był już jak skazany. Nic nie mógł zrobić dla siebie. Zobaczyłam go leżącego na drewnianym tapczanie, bez pościeli, z głową na kupie brudnych łachmanów, które z litości pożyczył mu stary, na dole mieszkający, łachmaniarz. Leżał tak, nie mając się czym okryć; gorączka go paliła, a w izbie nie było nawet dzbanka

z wodą, by mógł ugasić pragnienie. Nie było tam wogóle nic, prócz tego tapczana i nagich desek podłogi.

— Jak to, w tym ogromnym mieście nie znalazł się nikt pomiędzy rewolucjonistami, kto by pomocną dłoń podał bratu? — zapytała panna Haldin z oburzeniem.

— Owszem. Ale pani nie zna jeszcze najstraszniejszej części niedoli tego człowieka. Niech pani posłucha. Ponoć tak się nad nim okrutnie znęcali, że w końcu męstwo go opuściło i wygadał się z czymś. Biedaczysko, ciało jest liche i ułomne, jak pani wie. Co to było, nie powiedział mi. W tym wymęczonym ciele duch był zupełnie zmiażdżony. Nie mogłam wymyślić nic, co by go mogło pokrzepić. Gdy go puścili, zawlókł się do tej nory i tu znosił wyrzuty sumienia ze stoicyzmem, nie chcąc pójść do nikogo ze znajomych. Ja byłabym poszła błagać o ratunek dla niego, ale gdzie? Gdzie miałam szukać takiego, co miałby coś do dania, lub jakąś możliwość udzielenia pomocy? Wszyscy dokoła nas byli głodni i pijani. Wszyscy byli ofiarami Ministerstwa Finansów. Niech mnie pani nie pyta, jak żyliśmy. Sama bym nie umiała powiedzieć. Był to po prostu cud niedoli. Nie miałam nic do sprzedania, a odzież moja była w takim stanie, że w dzień nie mogłam wyjść na ulicę. Obrażałam przyzwoitość. Musiałam czekać aż się ściemni, nim odważyłam się wyjść i wyżebrać kawałek chleba lub ochłap jakiś, by jego i siebie utrzymać przy życiu. Często wracałam z pustymi rękami. A wtedy kładłam się na ziemi przy tapczanie. O tak! Ja mogę spać doskonale na gołych deskach. To nic, wspominam o tym tylko dlatego, by pani nie myślała, że jestem sybarytką. To było nieskończenie mniej zabijające niż siedzenie godzinami przy stole w nieopalonym pokoju i pisanie pod dyktando książki Piotra Iwanowicza. Ale pani się sama przekona, więc nie ma o czym mówić.

— Nie jest wcale rzeczą pewną, że ja kiedykolwiek będę pisać pod dyktando Piotra Iwanowicza — rzekła panna Haldin.

— Nie? — wykrzyknęła tamta niedowierzająco. — Naprawdę? Pani się jeszcze nie zdecydowała?

A gdy panna Haldin zapewniła ją, że nigdy nie było mowy pomiędzy nią a Piotrem Iwanowiczem o żadnym dyktandzie, kobieta z kotem zasznurowała na chwilę usta.

— Ach! Ani się pani spostrzeże, jak usiądzie przy stole. Co do tego, niech się pani nie łudzi. Można się rozczarować, gdy się słucha, jak Piotr Iwanowicz dyktuje, ale jednocześnie jest w nim jakiś czar. To człowiek genialny. Pani twarz z pewnością drażnić go nie będzie, może nawet ułatwi mu natchnienie. Tak, im lepiej się pani przypatruję, tym pewniejsza jestem, że nie należy pani do kobiet, które tamowałyby bieg jego natchnienia.

Panna Haldin uznała za właściwe nie sprzeciwiać się wszystkim tym przewidywaniom.

— A ten człowiek, ten robotnik, czy umarł pod pani opieką? — zapytała po krótkim milczeniu.

„Dama do towarzystwa”, nasłuchując odgłosów od strony drzwi, gdzie teraz dała się zauważyć pewna zmiana w ożywieniu rozmowy, nie odpowiedziała od razu. Kiedy dźwięki dyskusji przeszły w prawie niedosłyszalny szept, odwróciła się do panny Haldin.

— Tak, umarł, chociaż ściśle mówiąc, nie na moich rękach, jak można by przypuszczać. W rzeczywistości, tak się złożyło, że spałam, gdy wydał ostatnie tchnienie. Toteż i teraz jeszcze nie mogę powiedzieć, że bym widziała kiedy umierającego człowieka. Na kilka dni przed jego śmiercią paru młodych ludzi odnalazło nas w naszej ostatecznej nędzy. Jak się pani może domyślić, byli to rewolucjoniści. Powinien był zaufać swoim przyjaciołom politycznym, gdy wyszedł z więzienia. Lubiono go i szanowano przedtem i nikomu nie byłoby się śniło wyrzucić mu, że się wygadał przed policją. Wszyscy wiedzą przecież, co policja potrafi wyrabiać z człowiekiem i najsilniejsi ludzie mają chwile słabości wobec męczarni. Sam głód wystarczy, żeby człowiekowi popłatać w głowie. Przyszedł tedy doktpr i los nasz polepszył się pod względem wygód fizycznych, ale co się tyczy innych spraw, on, biedaczysko, był niepocieszony. Upewniam panią, panno Haldin, że był wart kochania, ja jednak nie miałam nawet siły płakać! Sama byłam ledwo żywa. Ale dobrzy ludzie zaopiekowali się mną. Dano mi odzież, żeby okryć moją nagość. Mówię pani, że byłam obszarpana do nieprzyzwoitości. Po niejakiem czasie rewolucjoniści umieścili mnie u pewnej rodziny żydowskiej, wyjeżdżającej za granicę, jako guwernantkę. Oczywiście, mogłam uczyć dzieci, skończyłam przecież sześć klas gimnazjum, ale w rzeczywistości chodziło o to, abym przewiozła ważne papiery przez granicę. Dano mi paczkę, którą ukryłam na sercu. Żandarmi na stacji ani pomyśleli podejrzewać żydowską guwernantkę, gorliwie uganijającą się za trojgiem dzieci. Nie przypuszczam, żeby ci Hebrajczycy wiedzieli, co miałam na sobie, zapoznano mnie z nimi bowiem drogą bardzo okólną, przez osoby wcale do ruchu rewolucyjnego nienależące i oczywiście zalecono mi żądać bardzo marnego wynagrodzenia. Gdy przyjechaliśmy do Niemiec, rozstałam się z tą rodziną, papiery wręczyłam pewnemu rewolucjoniście w Stuttgarcie i odtąd posługiwano się mną rozmaicie. Ale mniejsza z tym. Nie miałam nigdy wrażenia, że jestem bardzo użyteczną. Żyję jednak nadzieją, że kiedyś wreszcie przyjdzie koniec wszystkich tych Ministerstw wraz z Finansami, Największą radością mego życia była wiadomość o tym, co brat pani uczynił.

Utkwiła znowu okrągłe oczy w rozświetlonej przestrzeni za frontowymi drzwiami, podczas gdy kot spoczywał w jej objęciach w magnackim błogostanie i sfinksowej zadumie.

— Tak, radowałam się — zaczęła znowu. — Jest dla mnie coś bohaterskiego w samym dźwięku nazwiska Haldin. Ach! Jakże się tam musieli trząść ze strachu po swoich ministerstwach wszyscy ci ludzie o nikczemnych sercach. Ja tu stoję, rozmawiając z panią, a gdy pomyślę o tym ucisku, bezprawia, jakie się tam dzieją w tej chwili — w głowie mi się mąci! Napatrzyłam się zbliska na rzeczy, które wydawałyby się nie do pojęcia, gdyby

się nie musiało dowierzać własnym oczom. Napatrzyłam się na takie rzeczy, że znienawidziłam siebie za swoją bezradność. Znienawidziłam moje ręce za to, że były tak słabe, mój głos, że nie mógł się dać usłyszeć, mój umysł, że nie potrafił przewrócić tego wszystkiego do góry nogami. Oj, napatrzyłam się! A pani? Panna Haldin uczuła się wzruszoną. Wstrząsnęła lekko głową,

— Nie, dotychczas nic sama nie widziałam — wyszeptała. — Mieszkaliśmy zawsze na wsi. Było to życzeniem mego brata.

— Dziwne to spotkanie nasze — ciągnęła dalej tamta. — Pani wierzy w przeznaczenie, panno Haldin? Czyż ja mogłam spodziewać się, że zobaczę panią, jego siostrę, na własne oczy? Powiadam pani, że kiedy ta wiadomość przyszła, to tutejsi rewolucjoniści tyleż się właśnie zdziwili, co ucieszyli! Nikt dotąd nie słyszał o bracie pani! Sam Piotr Iwanowicz nie przewidywał, że padnie taki cios, Brat pani musiał być po prostu natchniony. Bo też myślę, że takie czyny muszą się dokonywać z natchnienia. Wielki to przywilej mieć natchnienie i sposobność. Czy brat był do pani podobny? A pani nie raduje się, panno Haldin?

— Nie należy żądać za wiele ode mnie — rzekła panna Haldin, powstrzymując chęć płaczu, która ją nagle ogarnęła.

To jej się powiodło, więc dodała spokojnie:

— Nie jestem bohaterką.

— Więc pani nie byłaby zdolna do podobnego czynu?

— Nie wiem. Nie mogę nawet zapytywać siebie o to, dopóki nie pożyję trochę dłużej i nie zobaczę więcej.

Tamta pokiwała głową z uznaniem. W pustym holu rozlegało się swobodnie głośne mruczenie kota. Żaden dźwięk głosów nie dochodził zgóry. Panna Haldin przerwała milczenie,

— A co pani słyszała? co ludzie mówią o moim bracie? Pani mówiła, że się dziwili? Tak, sądzę, że się musieli dziwić. Czyż nie wydało im się szczególnie, że mój brat nie potrafił się ocalić, skoro dokonał najtrudniejszej rzeczy? Że nie uszedł niepostrzeżenie z miejsca, gdzie się to stało? Spiskowcy dobrze to rozumieć powinni! Są powody, dla których bardzo pragnęłabym dowiedzieć się, czemu nie zdołał uciec.

„Dama do towarzystwa” zbliżyła się przez ten czas do otwartych drzwi frontowych. Spojrzała szybko przez ramię na pannę Haldin, która pozostała wewnątrz holu.

— Nie zdołał uciec — powtórzyła z roztargnieniem. — Alboż nie uczynił ofiary z życia? Alboż nie był poprostu natchnionym? Może to był akt samopoświęcenia z jego strony? Nie sądzi pani?

— Sądzę — rzekła panna Haldin — że w żadnym razie nie był to akt rozpaczny. Nie słyszała pani, co mówią o tym jego nieszczęsnym aresztowaniu?

„Dama do towarzystwa” zamyśliła się chwilę w otwartych drzwiach.

— Czy nie słyszałam? Oczywiście, że słyszałam. Tu się rozprawia o wszystkim. Alboż cały świat nie mówił o bracie pani? Co do mnie, sama

wzmianka o jego wzniosłym czynie napelnia mnie pełnym zazdrości zachwytem. I po cóż człowiek, który jest pewny nieśmiertelności, miałby się troszczyć o życie?

Stała obrócona plecami do panny Haldin. Na górze, spoza wielkich, brudnawych, biało-złoto lakierowanych drzwi, poprzez balustradę pierwszego piętra, dał się słyszeć jakiś głęboki głos, dźwięcząc monotennie, jak gdyby odczytywał jakieś notatki lub coś w tym rodzaju. Głos ten zatrzymywał się często, po czym umilkł zupełnie.

— Nie mogę już czekać dłużej — rzekła panna Haldin. — Wrócę kiedy indziej.

Czekała, żeby „dama do towarzystwa” usunęła się z przejścia. ale ta zdawała się pogrążona w obserwowaniu światła i cieniów, dzielących pomiędzy siebie ciszę opuszczonej miejscowości. Zastłaniała sobą pannie Haldin widok na podjazd. Nagle rzekła:

— To nie będzie potrzebne, bo oto nadchodzi Piotr Iwanowicz. Ale nie sam. On teraz rzadko bywa sam.

Usłyszawszy o zbliżaniu się Piotra Iwanowicza, panna Haldin nie ucieszyła się tak bardzo, jak by się tego można było spodziewać. Naszła ją nagle ochota ujrzenia zarówno bohaterskiego zbiega, jak pani de S., a przyczyna tej niechęci, która ogarnęła ją w ostatniej chwili, leżała w poczuciu, iż tych dwoje obchodziło się źle z właścicielką kota...

— Pozwoli mi pani przejść — rzekła wreszcie panna Haldin, dotykając z lekka ramienia „damy do towarzystwa”.

Ale ta, przyciskając kota do piersi, nie ruszyła się z miejsca.

— Wiem, kto z nim idzie — rzekła, nie obejrzawszy się nawet.

Nie wiadomo dlaczego panna Haldin zapragnęła tym silniej opuścić ten dom.

— Pani de S. może być jeszcze dłuższy czas zajęta, a ja mam tylko zapytać o coś Piotra Iwanowicza, co się da załatwić, gdy go spotkam teraz na drodze. Doprawdy, muszę już iść. Byłam tu już dość długo i niepokoję się o matkę. Chciałabym wrócić do niej jak najprędzej. Proszę, niech mi pani pozwoli przejść.

„Dama do towarzystwa” odwróciła nareszcie głowę.

— Nie przypuszczałam ani na chwilę, żeby pani naprawdę chciała się widzieć z panią de S. — rzekła z niespodziewaną przenikliwością. — Ani na chwilę. — Było coś poufnego i tajemniczego w jej, głosie. Wyszła na taras, a panna Haldin za nią i obie poczęły zstępować razem z omszałych, kamiennych stopni. Na tej części drogi podjazdowej, którą było widać z frontu domu, nie było nikogo.

— Drzewa ich zastłaniają — wytłumaczyła pannie Haldin jej nowa znajoma. — ale zaraz ich pani zobaczy. Nie wiem, kto jest ten młody człowiek, którego Piotr Iwanowicz tak sobie upodobał. Musi należeć do nas, gdyż nie przyjmowano by go, skoro są tamci. Pani wie kogo mam na myśli, mówiąc o

tamtych. Ale muszę powiedzieć, że nie jest wcale skłonny do mistycyzmu. Jeszcze go dobrze nie wypośrodkowałam. Oczywiście, nigdy długo w salonie nie przebywam. Zawsze się dla mnie coś do roboty znajdzie, chociaż dom tutaj nie jest tak obszerny, jak willa na Rivierze. Ale mimo to jest dużo sposobności, abym się mogła stać użyteczną.

Z poza węgła obrośniętych bluszczem stajen ukazał się Piotr Iwanowicz i jego towarzysz. Szli bardzo wolno, rozmawiając z pewnym ożywieniem. Raz przystanęli na chwilę i widać było Piotra Iwanowicza gestykulującego, podczas gdy młodzieniec słuchał bez ruchu ze zwieszonymi wzdłuż ciała rękoma i lekko pochyloną głową. Miał na sobie ciemnobrązowy garnitur i czarny kapelusz. Okrągłe oczka „damy do towarzystwa” spoczęły na tych dwóch postaciach, które znów posuwały się z wolna ku domowi.

— Nadzwyczaj grzeczny młodzieniec — rzekła. — Zobaczy pani, jak się ukloni, a nie będzie w tym nic wyjątkowego. Kłania się tak samo, gdy mnie spotka samą w holu.

Postąpiła parę kroków naprzód wraz z panną Haldin i tak się stało, jak przepowiadała. Młodzieniec zdjął kapelusz, uklonił się i cofnął, zaś Piotr Iwanowicz zbliżył się szybko, wyciągając serdecznie pulchne ramiona, pochwycił obie ręce panny Haldin i potrząsał nimi, wpatrując się w nią przez ciemne okulary.

— To rozumiem! To rozumiem! — wykrzyknął dwukrotnie z uznaniem. — Jak widzę, dotrzymywano tu pani towarzystwa — spojrzał, marszcząc z lekka brwi, na „dame”, wciąż piastującą kota. — Wnoszę stąd, że Eleonora, czyli pani de S., jest zajęta. Wiem, że spodziewała się kogoś dzisiaj. Więc dziennikarz przyszedł, co? Zajęta?

Za całą odpowiedź „dama do towarzystwa” odwróciła głowę.

— To się bardzo niedobrze złożyło, bardzo niedobrze. Ogromnie mi przykro, że... — Zniżył nagle głos. — Ale, cóż to znaczy? Przecież pani nie odchodzi, Natalio Wiktorówna? Znudziło się pani czekać?

— Bynajmniej — zaprzeczyła panna Haldin. — Tylko jestem tu już czas jakiś i muszę wracać do matki!

— Czas się pani dłużył, co? Niestety, nasza zacna przyjaciółka — tu Piotr Iwanowicz nagle przekrzywił głowę bokiem ku prawemu ramieniu i wyprostował ją równie szybko — nasza zacna przyjaciółka nie ma daru skracania chwil czekającym. Nie, stanowczo nie ma tego daru, a w tym względzie same dobre chęci nie wystarczą.

„Dama do towarzystwa” opuściła ręce i kot znalazł się raptem na ziemi. Pozostał tak chwilę nieruchomo, wyciągnąwszy tylną nogę za siebie. Panna Haldin była ogromnie oburzona ze względu na „dame do towarzystwa”.

— Proszę mi wierzyć, Piotrze Iwanowiczu, że chwile, które spędziłam w hpllu tego domu, były zarówno ciekawe jak pouczające. Zostaną mi w pamięci. Nie żałuję, że czekałam, ale widzę, że cel moich odwiedzin da się osiągnąć bez zajmowania czasu pani de S.

W tym miejscu przerwałem pannie Haldin. Powyższe opowiadanie ugruntowane jest na jej własnych słowach, których nie zdramatyzowałem tak, jak by można przypuszczać! Oddała z nadzwyczajnym uczuciem i ożywieniem prawie dosłownie sposób wyrażania się uczennicy starej handlarki, nieprzejednanego wroga Ministerstw, dobrowolnej sługi nędzarzy. Szczerą i subtelną człokolubność panny Haldin wzruszył i oburzył przykry nad wyraz los jej nowej znajomej, tej „damy do towarzystwa”, sekretarki i Bóg raczy wiedzieć, czym ona jeszcze była. Co do mnie, z zadowoleniem odkryłem w tym jedną więcej przeszkodę do zażyłości z panią de S., miałem bowiem po prostu wstręt do tej wymalowanej, wystrojonej Egerii Piotra iwanowicza, kobiety o martwej twarzy i szklanych oczach. Nie wiem, jakie było jej zachowanie względem rzeczy niewidzialnych, ale w sprawach tego świata była skąpa, chciwa i pozbawiona wszelkich skrupułów. Wiedziałem, że prowadziła brudną i rozpaczliwą walkę o sprawy finansowe z rodziną swego nieboszczyka męża, dyplomaty. Kilka bardzo wysoko położonych osób (które w swojej zaciekłości uwikłała skandalicznie w swe sprawy) ściągnęło na siebie jej nienawiść. Bardzo mi łatwo uwierzyć, że omal nie udało jej się umieścić jednej z nich, z powodu tak zwanej racji stanu, w jakimś zacisznym sanatorium, jaśniej zaś mówiąc, w szpitalu dla wariatów. Zdaje się, jednak, że pewne również wysoko położone osoby sprzeciwiły się temu z przyczyn, które...

Ale po co wdawać się w szczegóły.

Może się ktoś zdziwić, że człowiek zajmujący skromne stanowisko nauczyciela języków wiedział to wszystko z taką dokładnością. Powieściopisarz mówi to i owo o swoich bohaterach, a jeżeli tylko umie to opowiedzieć dość przekonująco, nikt go nie będzie wypytywał o wytwory jego umysłu, w które wierzy i uzasadnia tę wiarę jakimś sugestywnym zdaniem, poetycznym obrazem czy wyrazem szczerego wzruszenia. Sztuka jest wielka! Ale ja się nie znam na sztuce i nie wymyśliwszy pani de S., czuję się w obowiązku wytłumaczyć, jakim sposobem mogłem się o niej tyle dowiedzieć. Osobą, która mi tych wiadomości udzieliła, była pewna Rosjanka, żona wspomnianego już mego przyjaciela, profesora uniwersytetu w Lozannie. Od niej właśnie dowiedziałem się ostatniego faktu z historii pani de S., którym zamierzam utrudzić moich czytelników. Opowiedziała mi mianowicie z całkowitą pewnością, jako osoba pokładająca wiarę w swoje źródła, o przyczynie ucieczki pani de S. z Rosji przed kilku laty. Była ona ni mniej, ni więcej skutkiem tego, że stała się podejrzana przez policję w związku z zamordowaniem cesarza Aleksandra. Podstawę tego podejrzenia stanowiło jakieś niebaczone słowo, które się jej wymknęło publicznie, albo jakaś rozmowa, podsłuchana w jej salonie; podsłuchana, musimy wierzyć, przez jakiegoś gościa, może nawet poufnego, który pośpieszył zabawić się w donosiciela. W każdym razie było to coś, co nasuwało przypuszczenie, że pani de S. wiedziała naprzód, co się stanie, ona zaś, jak sądzę, była dość mądrą, by nie czekać na śledztwo z powodu takiego obwinienia. Niektórzy z moich czytelników pamiętają może książeczkę jej

pióra, mistyczną, deklamatorską, straszliwie bezładną bazgraninę, w której pani de S. niemal przyznaje się do owej świadomości, poprzedzającej wypadek; nadmienia, bardziej niż przejrzyście, o jej nadprzyrodzonym pochodzeniu i w zjadliwych napomknieniach daje wyraźnie do zrozumienia, że czyn ten nie był dziełem terrorystów, lecz pałacowej intrygi. Gdy zauważyłem w rozmowie z żoną mego przyjaciela profesora, że życie pani de S., jego nieurzędowa dyplomacja, intrygi, procesy, wpływy, niełaska, wygnanie, jego atmosfera skandalu, okultyzmu i szarlatanizmu, nadawało się bardziej dla osiemnastego wieku niż dla warunków naszych czasów — zgodziła się z tym z uśmiechem, ale po chwili ciągnęła dalej z nutą refleksji:

— Szarlatanizmu? Tak, do pewnego stopnia. Jednakże czasy się zmieniły. Są teraz siły, które nie istniały w osiemnastym wieku. Nie zdziwiłabym się, gdyby ona była osobą bardziej niebezpieczną teraz, niżby w to Anglik chciał uwierzyć, *chez nous*.

To *chez nous* w tym kontekście oznaczało Rosję w ogólności, rosyjską policję polityczną w szczególności. Celem dygresji od prostego biegu opowiadania panny Haldin (moimi własnymi słowy) o jej bytności w Chateau Borel było przytoczenie tutaj rozumowania przyjaznej mi żony profesora. Chciałem po prostu uczynić to, co mam teraz do powiedzenia o obecności pana Razumowa w Genewie, łatwiej zrozumiałym — jest to bowiem opowieść o Rosji dla uszu Zachodu, które, jak zauważyłem, nie są dostrojone do pewnych dźwięków cynizmu i okrucieństwa, moralnej negacji, a nawet moralnego ucisku, już zanikłych na naszym krańcu Europy. I przytaczam to na moje usprawiedliwienie, że zostawiłem pannę Haldin z grupą dwóch kobiet i dwóch mężczyzn, którzy podeszli razem do tarasu Chateau Borel.

Uświadomiłem sobie to wszystko, gdy, jak rzekłem, przerwałem pannie Haldin, a przerwałem z okrzykiem głębokiego zadowolenia:

— Więc jednakże nie zobaczyła się pani z panią de S.?!

Panna Haldin wstrząsnęła głową. Ucieszyło mnie to bardzo. Nie poznała pani de S. Doskonale! Doskonale! Nabrałem radosnego przekonania, że już jej teraz nie pozna. Nie mogłem wytłumaczyć sobie powodu tego przekonania inaczej, niż tylko dzięki temu, że panna Haldin stała teraz oko w oko z nadzwyczajnym przyjacielem jej brata. Wolałem jego niż panią de S. jako przewodnika i towarzysza tej młodej dziewczyny, którą tragiczny koniec jej brata pozostawił na pastwę jej własnego niedoświadczenia. Bądź co bądź to życie, już skończone teraz, było szczere, a może jego myśli były wzniosłe, jego moralne cierpienia głębokie, jego ostatni czyn był może prawdziwą ofiarą. My, stateczni kochankowie, których uspokoilo już posiadanie zdobytej wolności, nie mamy prawa potępiać bez zastrzeżeń gwałtowności wciąż krzyżowanych pożądań.

Nie wstydzę się mojego żywego interesowania losem panny Haldin. Było to, trzeba przyznać, uczucie egoistyczne, samo w sobie znajdujące nagrodę. W

świcie tego uczucia zmarły Wiktor Haldin ukazał mi się nie jak ponury spiskowiec, lecz jak czysty entuzjasta.

Nie chciałem go sądzić, ale sama ta okoliczność, że nie uciekł, okoliczność, która sprawiła tyle zmartwienia jego matce i siostrze, przemawiała na jego korzyść. Jednocześnie obawa, aby ta dziewczyna nie uległa wpływom rewolucyjnego feminizmu, panującego w Chateau Borel, czyniła mnie gardziej skłonny do zaufania temu przyjacielowi zmarłego Wiktora Haldina. Powiecie, że był tylko nazwiskiem, niczym więcej. Właśnie! Nazwiskiem! Trzeba jednak dodać: jedynym nazwiskiem, jedynym nazwiskiem, jakie się znalazło w listach, wymienionych pomiędzy bratem a siostrą. Młodzieniec zjawił się, spotkali się oko w oko i, na szczęście, bez żadnego współdziałania w tym pani de S. „Co z tego wyniknie? Co ona mi powie teraz?” zapytywałem siebie.

Było to rzeczą naturalną, że myśl moja zwróciła się w stronę tego młodzieńca, posiadacza jedynego nazwiska, wymienionego w tych marzycielskich rozmowach o przyszłości, którą miała przynieść rewolucja. I myśl moja przybrała kształt pytania zadanego samemu sobie: dlaczego ów młodzieniec nie odwiedził dotąd tych pań? Był już w Genewie kilka dni, zanim panna Haldin usłyszała o nim w mojej obecności od Piotra Iwanowicza. Żałowałem, że spotkali się w obecności tego ostatniego. Wolałbym, żeby się to odbyło gdzie indziej, poza jego uzbrojonymi w okulary oczyma. Przypuszczałem jednak, że mając przed sobą tych dwoje, przedstawił ich sobie wzajemnie.

Przerwałem milczenie, podnosząc tę kwestię:

— Przypuszczam, że Piotr Iwanowicz...

Panna Haldin puściła wodze oburzenia. Piotr Iwanowicz, skoro tylko usłyszał jej odpowiedź, napadł na „dame do towarzystwa” w haniebny sposób.

— Napadł na nią? — zdziwiłem się. — Jak to? Dla jakiej przyczyny?

— To było coś niesłychanego, haniebnego — ciągnęła panna Haldin z zaiskrzonymi oczyma. — Il a fait une scene wobec obcych. I o co? Nigdy by pan nie zgadł... O jakieś jajka!... Och!

Byłem zdumiony.

— O jajka, mówi pani?

— Tak, dla pani de S., która zachowuje jakąś specjalną dietę czy coś w tym rodzaju. Otóż poprzedniego dnia skarżyła mu się, że nie były przyrządzone, jak potrzeba. Piotr Iwanowicz przypomniał to sobie raptem i napadł na tę biedaczkę. Stałam jak wrośnięta w ziemię z osłupienia,

— Jak to? Czyżby wielki feministka pozwolił sobie ubliżyć kobiecie? — zapytałem

— Och nie to. To było coś, o czym nie może pan mieć pojęcia. Coś ohydne. Niech pan sobie wyobrazi, że zdjął kapelusz, zaczynając. A głos miał tak układny, miodowy: „A! nie jesteś pani łaskawą dla nas! Nie raczysz pamiętać!”. I tak dalej w tym tonie. Biedaczka była straszliwie zmieszana. Miała

oczy pełne łez. Nie wiedziała, gdzie ma podziąć wzrok. Nie dziwiłabym się, gdyby wołała, żeby ją był zwymyślał, albo nawet zbił.

Powstrzymałem się od uwagi, że prawdopodobnie jedno i drugie zdarzało się jej, gdy nie było świadków. Panna Haldin szła obok mnie z podniesioną głową, w pogardliwym i gniewnym milczeniu.

— Wielcy ludzie miewają zdumiewające przywary— zauważyłem od niechcienia. — Zupełnie jak ludzie, którzy nie są wielcy! Ale to przecież nie mogło trwać w nieskończoność. W jakiż sposób wielki feministka zakończył ten tak bardzo charakterystyczny epizod?

Panna Haldin, nie zwracając głowy w moją stronę, powiedziała mi, że koniec zajściu położyło ukazanie się dziennikarza, który był dopuszczony do sam na sam z panią de S.

Nadszedł szybko, niepostrzeżenie, uchylił z lekka kapelusza i przystanął, by powiedzieć po francusku:

— Baronowa prosiła mnie, żebym w razie, gdybym po drodze spotkał pewną panią, oznajmił jej, by przyszła do niej natychmiast.

Spełniwszy polecenie, oddalił się spiesźnie. „Dama do towarzystwa” pobiegła ku domowi, a Piotr Iwanowicz podążył za nią z pewnym zakłopotaniem. Panna Haldin w jednej chwili znalazła się sam na sam z młodzieńcem, który, niewątpliwie, musiał być owym przybyszem z Rosji. Zaciekawilo ją, czy przyjaciel jej brata domyślał się już, kim ona była? Jestem w możności stwierdzić, że domyślił się. Jasne wydaje mi się, że Piotr Iwanowicz, dla tej czy innej przyczyny, wstrzymał się od wzmianki o obecności tych pań w Genewie. Ale Razumow domyślił się. Te szare, ufne oczy! Każde słowo wymówione przez Haldina żyło w pamięci Razumowa. Były one jak prześladowcze kształty; nie dawały się zażegnać. Najplastyczniejszym spomiędzy nich było wspomnienie o siostrze. Istniała dla niego od owej chwili. Ale nie poznał jej od razu. Podchodząc z Piotrem Iwanowiczem, zauważył ją; oczy ich spotkały się nawet. Oczarował go, jak musiał oczarować każdego, harmonijny wdzięk całej jej postaci, jej siła, jej spokojna szczerłość. Lecz wnet odwrócił wzrok. Powiedział sobie, że wszystko było nie dla niego; piękność kobiet, przyjaźń mężczyzn były nie dla niego. Przyjął to uczucie z posepną świadomością i chciał przejść. Dopiero jej wyciągnięta ręka oświeciła go; w owym pamiętniku, który jest jego spowiedzią, wspomina, że go to fizycznie prawie zadławiło, po czym nastąpił odruch nienawiści i przerażenia, jak gdyby ukazanie się panny Haldin było czymś w rodzaju ukartowanej zdrady. Przystanął i zwrócił się ku niej. Znaczne wzniesienie tarasu kryło ich przed wzrokiem każdego, kto by stał we drzwiach, a nawet z okien pierwszego piętra nie można ich było dostrzec. Poprzez zapuszczone krzewy i drzewa na łagodnej pochyłości, na której stali, Razumow widział chłodną, spokojną powierzchnię jeziora. Los obdarzył ich chwilą zupełnego sam na sam przy tym pierwszym spotkaniu. Byłem ciekawy, w jaki sposób skorzystali z tej pomyślnej okoliczności.

— Mieliście państwo czas, żeby zamienić więcej niż kilka słów? — zapytałem.

Ożywienie, z jakim opowiadała mi wydarzenia podczas swych odwiedzin w Chateau Borel, opuściło ją całkiem. Postępując obok mnie, patrzyła prosto przed siebie, ale spostrzegłem lekki rumieniec na jej policzkach. Nie odpowiedziała.

Po pewnym czasie uczyniłem uwagę, że nie mogli spodziewać się, żeby o nich na długo zapomniano, chyba że tamci dwoje zastali panią de S. zemdloną z wyczerpania lub w stanie chorobliwego podniecenia po tak długiej rozmowie z dziennikarzem. Jedno i drugie wymagałoby ich troskliwych starań! Mogłem wyobrazić sobie Piotra Iwanowicza, wybiegającego pośpiesznie z domu z gołą głową, z połami długiego czarnego surduta powiewającymi dokoła jego potężnych ud, przybranych w jasnoszare spodnie. Wyznaję, że patrzyłem na tych dwoje młodych jak na zdobycz „bohaterskiego zbiega”. Miałem poczucie, że mu się nie wymkną. Ale nic nie powiedziałem o tyrn pannie Haldin, ponieważ jednak wciąż zachowywała milczenie, ponagliłem ją trochę.

— oże przynajmniej podzieli się pani ze mną swoim wrażeniem?

Zwróciła ku mnie głowę, by spojrzeć na mnie, ale odwróciła ją znowu.

— Wrażeniem? — powtórzyła z wolna, prawie marząco, po czym dodała żywszym głosem:

— Wydał mi się człowiekiem, który wycierpiał więcej od własnych myśli niż od złego losu.

— Od własnych myśli, mówi pani?

— I to jest rzeczą dosyć naturalną w Rosjaninie — podjęła. — W młodym Rosjaninie. Tylu spomiędzy nich jest niezdolnych do czynu, a jednak nie mogą wytrzymać w bezczynności.

— I pani uważa go za człowieka tego rodzaju?

— Nie, nie wydaję o nim żadnego sądu. Jakżebym mogła tak prędko? Pytał mnie pan o wrażenie, więc dzielę się z panem moim wrażeniem. Ja... ja nie znam świata ani ludzi na nim. Byłam zawsze tak samotną. Jestem zbyt młoda, by dowierzać moim sądom.

— Powinna pani jednak dowierzać swemu instynktowi—poradziłem jej.—Większość kobiet rządzi się instynktem i nie popełnia gorszych omyłek niż mężczyźni. W tym wypadku posiada pani list brata ku pomocy.

Odetchnęła głęboko, jak gdyby wzdychając.

— „Nieskazitelne, wzniosłe, samotne egzystencje” — przytoczyła, jakby sama dla siebie.

Ale pochwyliłem te z przejęciem wyszeptane słowa.

— To wysoka pochwała — odszepnąłem.

— Najwyższa.

— Tak wysoka, że podobnie jak ocena szczęścia, powinna przychodzić dopiero na końcu życia. Jednakże jakaś pospolita lub zgoła niegodna jednostka nie mogłaby stać się przedmiotem tak wygórowanej pochwały i...

— Ach! — przerwała mi gorąco. — Gdybyż pan znał serce, które ten sąd wydało!

Umilkła na tym wykrzykniku, a ja przez chwilę zastanawiałem się nad treścią słów, które, jak łatwo mogłem wywnioskować, musiały usposabiać ją korzystnie do tego młodzieńca. Nie miały one charakteru przypadkowego stwierdzenia. Było to dość niepojęte dla mojego umysłu zachodniego i moich zachodnich uczuć, ale nie mogłem zapomnieć, że stojąc przy panie Haldin, byłem jak podróżny w obcym kraju. Stało mi się również jasnym, że panna Haldin nie chciała wchodzić w szczegóły jedynie materialnej strony ich spotkania w Chateau Borel. Ale mnie to nie ubodło. Nie czułem jakoś, żeby to wynikało z braku zaufania. Tkwiła w tym jakaś inna trudność, trudność, która nie mogła mnie urazić. To też bez najmniejszej urazy rzekłem:

— Bardzo dobrze. Ale wychodząc z tego szczytnego stanowiska, o którego ścisłość nie będę się z panią sprzeczał, musiała pani, jak każdy inny w podobnych okolicznościach, wyrobić sobie jakieś pojęcie o tym wyjątkowym przyjacielu. Niech więc pani mi powie, proszę, czy pani się nie rozczarowała?

— Co pan ma na myśli? Jego powierzchowność?

— Ściśle mówiąc, nie mam na myśli tego czy jest przystojny czy też nie.

Doszliśmy do końca alei i, zawróciwszy, postąpiliśmy kilka kroków, nie patrząc na siebie.

— Powierzchowność jego nie jest przeciętna — rzekła wreszcie panna Haldin.

— Nie tak bym sądził, wnosząc z tego, co mi pani powiedziała o swoim pierwszym wrażeniu. Choć ostatecznie trzeba powrócić do tego słowa. Wrażenie! Mam na myśli to coś nieokreślonego, co wyróżnia jednostkę „nieprzeciętną”.

Tu spostrzegłem, że panna Haldin mnie nie słucha. Wyraz jej twarzy jasno tego dowodził i znowu doznałem uczucia, że jestem zbyt cichym — nie ze względu na mój wiek, który w każdym razie umożliwiał mi stawianie wniosków, ale jakby wyrzuconym poza nawias, na innym planie, na którym stojąc, mogłem tylko przyglądać się jej z daleka. Przestałem więc mówić i patrzyłem na nią, jak szła przy moim boku.

— Nie! — wykrzyknęła nagle. — Nie mogłam się rozczarować do człowieka tak silnych uczuć.

— Aha, silnych uczuć! — mruknąłem, pomyślawszy krytycznie: już tak od razu, w jednej chwili?

— Co pan mówi? — zapytała panna Haldin niewinnie.

— Och nic! Przepraszam panią. Silnych uczuć... Nie dziwi mnie to...

— A jednak pan nie wie, jak obcesowo zachowałam się względem niego — zawołała z żalem.

Widocznie musiałem uzewnętrznic moje zdziwienie, bo patrząc na mnie, jeszcze bardziej zaróżowiona, rzekła że wstydzi się wyznać, iż nie okazała się dostatecznie zrównoważoną; nie potrafiła zapanować nad swymi słowami i

postępowaniem, jak tego położenie wymagało. Straciła męstwo, godne tych ludzi: umarłego i żyjącego; męstwo, które powinno było przewodniczyć spotkaniu siostry Wiktora Haldina z jedynym znanym przyjacielem Wiktora Haldina. Przyjaciel ten stał i patrzył na nią bacznie, ale nic nie rzekł, a jej ten brak odczucia — jak mi wyznała — był bardzo przykry. Wszystko, co mogła wykształcić, było:

— Pan jest panem Razumowem.

Ledwo dostrzegalny cień przemknął po jego czole. Po pewnej chwili skłonił się z lekka potakująco i czekał.

Na myśl, że ma przed sobą człowieka, którego jej brat tak wysoko cenił, człowieka, który znał jego wartość, rozmawiał z nim, rozumiał go, słuchał jego zwierzeń, może dodawał mu otuchy, usta jej poczęły drżeć, oczy napełniły się łzami, wyciągnęła rękę, postąpiła ku niemu porywczo i rzekła, z trudem hamując wzruszenie:

— Czy pan się nie domyśla, kto ja jestem?

On nie ujął wyciągniętej ręki. Cofnął się nawet o krok i pannie Haldin wydało się, że był nieprzyjemnie dotknięty. Ale nie wzięła mu tego za złe, sobie przypisując winę. Zachowała się niestosownie, jak wrażliwa Francuzka. Tego rodzaju objawy nie musiały się podobać człowiekowi zamkniętemu w sobie, człowiekowi o surowym charakterze.

„Musiał być istotnie surowy lub może bardzo nieśmiały względem kobiet, jeżeli nie odpowiedział bardziej po ludzku na serdeczność tego rodzaju dziewczęcia, jak Natalia Haldin” — pomyślałem sobie. Ale takie wniosły, samotne egzystencje (przypomniały mi się nagle te słowa) często czynią z młodzieńca dzikusa, a ze starca — odludka.

— I cóż dalej? — spytałem zachęcająco.

Ale ona wciąż była niezadowolona z siebie.

— Dalej było coraz gorzej — rzekła z niezwykłym u niej zniechęceniem.

— Popełniłam wiele głupstw. Całe szczęście, że nie wybuchłam płaczem. Wdzięczna sobie jestem, że nie popełniłam przynajmniej tej niedorzeczności. Ale długi czas nie mogłam wymówić ani słowa.

Stała przed nim w milczeniu, połykając łkania, i gdy wreszcie zdobyła się na to, żeby coś rzec, wypowiedziała tylko imię brata.

— Wiktor... Wiktor Haldin — wykrztusiła, i znów głos jej się załamał.

— Oczywiście, to go wzruszyło — objaśniła mnie. — Był do głębi wstrząśnięty. Powiedziałam panu o moim przekonaniu, że to jest człowiek głębokich uczuć! Niepodobna w to wątpić. Trzeba było panu widzieć jego twarz. Po prostu zachwiał się i oparł o mur tarasu. Przyjaźń ich musiała być prawdziwym braterstwem dusz! Byłam mu wdzięczna za to wzruszenie, dzięki temu bowiem mniej się wstydziłam własnego braku panowania nad sobą. Oczywiście odzyskałam mowę prawie zaraz. „Jestem jego siostrą” — rzekłam. „Może słyszał pan o mnie?”

— A czy słyszał? — przerwałem.

— Nie wiem. Jakże mogło być inaczej? A jednak... Ale cóż to szkodzi. Stałam przed nim tak blisko, że mógł mnie dotknąć i z pewnością nie wyglądałam na taką, która oszukuje. Wiem tylko, że wtedy wyciągnął do mnie obie ręce z największą serdecznością, a ja je pochwyciłam i uściśniłam, czując, że odnajduję coś z tego, co wraz ze śmiercią mego brata uważałam za stracone na zawsze, coś z tej nadziei, zachęty, otuchy, którymi mnie krzepił mój ukochany zmarły.

Zrozumiałem doskonale, co to znaczyło. Szliśmy dalej z wolna. Postrzymywałem się od patrzenia na nią. I jakby w odpowiedzi własnym myślom, szepnąłem:

— Niewątpliwie musiała to być wielka przyjaźń, jak pani powiada. I ten młodzieniec rozkrochmałił się wreszcie, że użyję tego wyrażenia. No, to teraz porozumiecie się państwo. Tak, porozumiecie się bardzo prędko.

Minęła chwila, zanim usłyszałem jej głos.

— Pan Razumow wydaje się małomównym i bardzo wstrzemięźliwym, nawet gdy jest silnie wzruszonym.

Niezdolny zapomnieć, a nawet wybaczyć basowych wynurzeń Piotra Iwanowicza, arcypatrona partyj rewolucyjnych, rzekłem, że dla mnie małomówność jest dodatnim rysem charakteru i że w moim pojęciu chodzi zawsze w parze ze szczerością.

— A zresztą, nie mieliśmy wiele czasu — dodała panna Haldin.

— Nie, oczywiście, nie mogliście mieć.

Moja podejrzliwość a nawet obawa odnośnie do feministy i jego Egerii były tak nieprzeparte, że nie mogłem się powstrzymać od zapytania z prawdziwym niepokojem, pokrywszy go uśmiechem:

— Ale pani wybrnęła szczęśliwie?

Zrozumiała mnie i uśmiechnęła się także z mego zatroskania.

— O tak, wybrnęłam, jeżeli się panu podoba to tak nazwać. Odeszłam szybko, ale nie potrzebowałam uciekać! Nie jestem jeszcze przestraszona, ani też oczarowana, jak owa biedaczka, która mnie tak dziwnie przyjęła.

— A pan... pan Razumow?

— On został, oczywiście. Zapewne wszedł do domu po moim odejściu. Pamięta pan, że przybył tu polecony Piotrowi Iwanowiczowi, zapewne z jakimiś ważnymi wiadomościami dla niego,

— Ach, tak! Od tego księdza, który...

— Od ojca Zosima, tak. Lub może od innych.

— Więc zostawiła go pani? A od tej pory, wolno zapytać, widzieliście się państwo?

Przez jakiś czas panna Haldin nie odpowiadała na to tak zadane pytanie, po czym rzekła spokojnie:

— Spodziewałam się zobaczyć go tu dzisiaj.

— Spodziewała się pani? Spotyka go więc pani, tu, w tym ogrodzie? W takim razie lepiej będzie, gdy odejdę niezwłocznie.

— Nie, po co odchodzić? I nie spotykamy się w tym ogrodzie. Nie widziałam pana Razumowa od tej pory. Ani razu. Ale spodziewałam się go...

Umilkła. Ja zaś pomyślałem ze zdziwieniem, dlaczego ten młody rewolucjonista okazuje tak mało przedsiębiorczości.

— Przed odejściem powiedziałam panu Razumowowi, że spaceruję tu przez godzinę codziennie o tej porze. Nie mogłam tłumaczyć, dlaczego nie proszę go, żeby zaraz do nas przyszedł. Mamę trzeba przygotować do tych odwiedzin. A przy tym, widzi pan, ja sama nie wiem, co pan Razumow ma nam do powiedzenia. Jemu również trzeba naprzód wytłumaczyć, jak się rzeczy mają z biedną mamą. Wszystkie te względy stanęły mi od razu w pamięci. Powiedziałam mu więc pośpiesznie, że istnieje powód, dla którego nie mogę zaprosić go do nas, lecz że mam zwyczaj przychodzić tu codziennie. To miejsce publiczne, lecz mimo to mało osób spotyka się tu o tej porze. Myślałam, że tu będzie bardzo dobrze. A przy tym tak blisko naszego mieszkania. A ja nie lubię odchodzić gdzieś dalej od mamy. Nasza służąca wie, gdzie mnie szukać w razie nagłej potrzeby.

— Tak, to bardzo dogodne, z tego punktu widzenia — zgodziłem się.

W istocie osądziłem że Bastiony są bardzo odpowiednim miejscem, skoro panna Haldin nie uważała jeszcze za rzecz roztropną przedstawić teraz tego młodzieńca matce. „Tu więc”, pomyślałem, rozglądając się po tej rozpaczliwie banalnej przestrzeni, „tu więc zacznie się ich znajomość i będzie rozwijać się dalej na tle wymiany szlachetnego oburzenia i krańcowych uczuć, zbyt jaskrawych może do pojęcia dla umysłu nierosyjskiego”. Zobaczyłem tych dwoje, którym udało się wymknąć z pomiędzy osiemdziesięciu milionów ludzkich istot, miażdżonych w obrotach górnych i dolnych kamieni młyńskich; zobaczyłem ich, spacerujących pod tymi drzewami, a ich młode głowy blisko ku sobie pochylone. Tak, doskonałe miejsce do przechadzki i pogawędki. Przyszło mi nawet na myśl, gdy raz jeszcze zawracaliśmy od wielkiej żelaznej bramy, że gdy się zmęczą, będą tu mogli wygodnie odpocząć! Na placu pomiędzy budynkiem restauracyjnym a orkiestrową altaną pełno było stolików i krzeseł, cały hufiec malowanych sprzętów, uszeregowany pod drzewami. Na samym środku zauważyłem szwajcarską parę, której los od kolebki aż do grobu zabezpieczony był dzięki udoskonalonemu mechanizmowi urządzeń demokratycznych republiki; dający się zmieścić, jak to mówią, w jednej garści! Mężczyzna o bezbarwnym, szorstkim wyglądzie pił piwo z błyszczącego kufla; kobieta, spokojna wieśniaczka, opierała się o poręcz ordynarnego krzesła, rozglądając się leniwie dokoła.

Na tej ziemi nie można się spodziewać wcale logiki nie tylko w myślach ale i w uczuciach. Ze zdziwieniem odkryłem, iż jestem niezadowolony z tego nieznanego młodzieńca. Tydzień już upłynął od ich pierwszego spotkania. Byłże nieczuły, nieśmiały, czy też bardzo głupi? Nie mogłem zrozumieć.

— Jak pani sądzi — zapytałem pannę Haldin, gdyśmy już przeszli pewną część wielkiej alei — czy pan Razumow zrozumiał pani intencję?

— Czy zrozumiał, co miałam na myśli? — zadziwiła się. — Był bardzo wzruszony. To wiem. Będąc sama bardzo wstrząśnięta, mogłam to jednak zauważyć. Zresztą, mówiłam wyraźnie. Słyszał mnie, zdawał się doprawdy pochłaniać moje słowa.

Bezwiednie przyspieszyła kroku. Mowa jej również stała się szybsza.

Poczekaję chwilę, nim zauważyłem w zamyśleniu:

— A jednak nie pokazał się do tej pory.

— Skąd możemy wiedzieć, jakie zadanie ma on tu do spełnienia? Nie jest przecież turystą, podróżującym dla przyjemności. Może nie być panem swojego czasu, ani może nawet swoich myśli!

Zwolniła nagle kroku i zniżonym głosem dodała:

— Albo nawet własnego życia. — Umilkła i przystanęła. — Kto wie, mógł być zmuszonym opuścić Genewę tego samego dnia, kiedyśmy się spotkali.

— Nie powiedziawszy pani! — wykrzyknąłem z niedowierzaniem.

— Nie dałam mu czasu. Odeszłam nagle. Zachowywałam się niemądrze do końca. Bardzo tego żałuję. Nawet gdybym mu była dała sposobność po temu, byłby usprawiedliwiony, gdyby mnie wziął za osobę, której nie można zaufać. Taka wrażliwa, płaczliwa dziewczyna nie budzi ochoty do zwierzeń. Ale choćby nawet wyjechał z Genewy na jakiś czas, jestem pewna, że się jeszcze spotkamy.

— Ach... jest pani pewna. A na czym opiera pani tę pewność?

— Bo powiedziałam mu, że bardzo potrzebuję kogoś, rodaka, współideowca, któremu mogłabym się zwierzyć w pewnej sprawie.

— Rozumiem. Nie pytam, co odpowiedział na to. Przyznaję, iż miała pani powody wierzyć, iż pan Razumow ukaże się niezadługo, ale dzisiaj się nie zjawił?

— Nie — rzekła spokojnie — dzisiaj nie.

I staliśmy jakiś czas w milczeniu, jak ludzie, którzy nie mają już sobie nic do powiedzenia i których myśli odbiegły już daleko, zanim ich ciała rozejdą się każde w inną stronę. Panna Haldin spojrzała na zegarek na bransoletce i poruszyła się żywo. Okazało się, że przeciągnęła swój spacer ponad zwykłą normę.

— Nie lubię zostawiać mamy samej — szepnęła, powtrząsając głową. — Nie dlatego, żeby była teraz bardzo chora, ale jakoś, gdy nie jestem przy niej, czuję się bardziej niespokojna niż kiedyś.

Od tygodnia przeszło pani Haldin ani jednym słowem nie wspomniała o synu. Siadywała, jak zwykle, w fotelu przy oknie, patrząc w milczeniu na beznadziejną perspektywę bulwaru des Philosophes. Jeżeli zaś przemówiła, to o zupełnie obojętnych, codziennych sprawach.

— Dla każdego, kto wie, o czym biedaczka wciąż myśli, taka mowa jest jeszcze boleśniejszą niż milczenie. Ale i ono jest okropne, znieść go nie mogę, a lękam się jej przerwać.

Panna Haldin westchnęła, zapinając guziczek u rękawiczki, który się odpiął. Wiedziałem dobrze, jak ciężkie jest teraz jej życie. Nieszczęście, które

tak nagle na nią spadło, jego przyczyny, jego skutki byłyby podkopały zdrowie córki Zachodu, ale natury rosyjskie odznaczają się szczególną odpornością na przeciwności życia. Wyprostowana i giętka, w rozpiętym krótkim zakieciku na czarnej sukni, w czym postać jej wydawała się smuklejsza, z twarzyczką świeżą, ale bardzo bladą, budziła we mnie zdumienie i podziw.

— Nie mogę zostać ani chwili dłużej. Powinien pan przyjść wkrótce odwiedzić mamę. Pan wie, że ona zawsze nazywa pana „l'ami”. To doskonała nazwa i nie jest prostym dźwiękiem w jej ustach. A teraz au revoir, uciekam. Spojrzała machinalnie w aleję — ręka, którą wyciągnęła ku mnie, rozminęła się z moją niespodziewanym ruchem ku górze i opadła na moje ramię. Pąsowe jej usta rozchyliły się lekko, nie w uśmiechu wszelako, lecz z wyrazem przyjemnego zdziwienia. Popatrzyła ku bramie i rzekła prędko, odetchnąwszy gwałtownie:

— A co. Wiedziałam. Otóż i on.

Zrozumiałem, że ma na myśli pana Razumowa. Jakiś młodzieniec szedł aleją bez pośpiechu. Miał na sobie ciemnobrązowy garnitur, a w ręku laskę. Gdym spojrzał na niego, głowa jego była zwieszona na piersi, jak gdyby w głębokiej zadumie, lecz wnet podniósł ją i przystanął. Jestem pewny, że przystanął, lecz trwało to tak krótko, że było raczej zwolnieniem kroku, opanowaniem natychmiast. Po czym szedł dalej, patrząc na nas spokojnie. Panna Haldin dała mi znak, żebym pozostał i postąpiła parę kroków na jego spotkanie. Odwróciłem głowę i spojrzałem na nich dopiero wtedy, gdy usłyszałem głos panny Haldin wymawiający jego nazwisko w formie przedstawienia. W ślad za tym pan Razumow dowiedział się, że nie dość, iż jestem „nadmierzającym nauczycielem”, lecz byłem też wielką podporą „w naszym nieszczęściu i bólu”.

Oczywiście panna Haldin nie omieszkała dodać, że jestem Anglikiem, Mówiła szybciej niż słyszałem ją mówiącą kiedykolwiek, co siłą kontrastu uczyniło jeszcze wymowniejszym spokój jej oczu.

— Ufam mu bezwzględnie — dodała, patrząc wciąż na pana Razumowa. Młodzieniec ten spoglądał także na pannę Haldin, ale z pewnością nie patrzył jej w oczy, które oczekiwały tego z taką gotowością. Następnie przenosił wzrok kolejno to na nią, to na mnie, z czymś w rodzaju początku wymuszonego uśmiechu, po czym zjawilo się jakby ściągnięcie brwi, i oba te objawy wnet znikły. Zauważyłem to, choć ktoś mniej skłonny do obserwowania pana Razumowa niż ja, nie byłby tego spostrzegł. Nie wiem, co zauważyła Natalia Haldin, ale ja pochwyliłem najsubtelniejsze odcienie tych odruchów. Wymuszony uśmiech znikł; ściągnięcie brwi wygładziło się i nie pozostał z niego żaden ślad, ja jednak wyobrażałem sobie, że Razumow zawołał w duchu:

— Bezwzględne zaufanie do tego wiekowego człowieka! Do tego cudzoziemca!

Wyobrażałem to sobie, dlatego, że on sam wydał mi się dostatecznie cudzoziemcem. Ogólnie jednak odniosłem wrażenie korzystne. Powierzchność Razumowa zdradzała inteligencję, a nawet pewną dystynkcję,

wyróżniając go spośród typowych studentów i niższych mieszkańców de la Petite Russie. Rysy miał bardziej prawidłowe niż większość Rosjan; szczęki były zarysowane wyraźnie, starannie wygolone policzki miał ściągłe, a nos jego był kształtem, nie zaś po prostu wypukłością. Kapelusz miał nasunięty na oczy; ciemne włosy wiły mu się nisko na karku; źle dopasowany garnitur pokrywał krzepkie członki, lekkie pochylenie uwydatniało zadowalniającą szerokość ramion.

Ogólnie rzecz biorąc, nie byłem rozczarowany. Poważny, dobrze rozwinięty fizycznie, nieśmiały...

Zanim panna Haldin przestała mówić, uczułem uścisk jego ręki, muskularny, silny uścisk, ale nieoczekiwanie gorący i suchy. Ani jedno słowo, żadne nawet mruknięcie nie towarzyszyło temu krótkiemu i oschłemu powitaniu.

Chciałem zostawić ich samych ale panna Haldin dotknęła z lekka mojej ręki, w sposób wyraźnie uwydatniający jej życzenie. Niech się śmieje, kto chce, ale byłem aż nadto chętny, by pozostać przy Natalii Haldin i nie wstydzę się powiedzieć, że nie było w tym dla mnie nic śmiesznego. Zostałem, nie jak zostałby młodzieniec, wniebowzięty tym tajemnym znakiem porozumienia, lecz trzeźwo, z nogami na ziemi i umysłem usiłującym przeniknąć jej zamiary. Ona zaś zwróciła się do Razumowa.

— Tak, to tu. Pragnęłam, żeby tu pan przyszedł. Spacerowałam tu codziennie... Niech się pan nie tłumaczy. Rozumiem. Jestem wdzięczna, że przyszedł pan dzisiaj, ale mimo to nie mogę teraz zostać. To niepodobieństwo. Muszę spieszyć do domu. Tak, nawet widząc pana stojącego przede mną, muszę uciekać. Już i tak byłam za długo poza domem. Pan wie, dlaczego?

Te ostatnie słowa były zwrócone do mnie. Zauważyłem, że pan Razumow przesunął końcem języka po wargach, zupełnie jakby to mógł uczynić człowiek trapiiony gorączką. Ujął jej rękę w czarnej rękawiczce, która objęła jego dłoń, trzymała ją, przytrzymała ją zupełnie wyraźnie, wbrew mimowolnemu ruchowi, zdradzającemu chęć cofnięcia się.

— Dziękuję panu raz jeszcze, za... za to, żeś mnie zrozumiał — ciągnęła dalej ciepło panna Haldin.

Przerwał jej z pewnym odcieniem szorstkości. Nie podobało mi się, że mówił do tej szczerej istoty spod runda kapelusza, nasuniętego na oczy. I głos jego był słaby, chropowaty, zupełnie jak u człowieka z zaschniętym gardłem.

— Za co pani mi dziękuje? Zrozumiałem panią? W jaki sposób zrozumiałem panią? Ależ nic nie rozumiem. Powiedziała mi pani, że chciałyby zobaczyć się ze mną tu, w ogrodzie. Nie mogłem przyjść... Przeszkodziło mi. A nawet dzisiaj, jak pani widzi... późno.

Ona wciąż trzymała jego rękę.

— Mogę w każdym razie podziękować panu, że mnie pan nie usunął z pamięci, jako słabą, ulegającą wrażeniom istotę. Niewątpliwie potrzebuję

pokrzepienia. Jestem bardzo nieświadoma. Ale można mi zaufać. Doprawdy można.

— Jest pani nieświadoma — powtórzył w zamyśleniu.

Podniósł głowę i patrzył jej teraz prosto w twarz, podczas gdy trzymała jego rękę.

— Tak. Przyszedł pan późno. Ale był pan tak dobry, że przyszedł, choć spotkaliśmy się tylko dzięki mojemu opóźnieniu. Zagawędziłam się z moim przyjacielem. Rozmawiałam o panu. Tak, Cyrylu Sidorowiczu, o panu. Ten pan był u nas wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszałam, że jest pan w Genewie. Może panu powiedzieć, jaką pociechą była ta nowina dla mego skołatanego umysłu. Wiedział, że chciałam pana odszukać. Był to jedyny powód, dla którego przyjął zaproszenie Piotra Iwanowicza,

— Piotr Iwanowicz mówił pani o mnie?—przerwał tym niepewnym, ochryplym głosem, który nasuwał myśl o straszliwie suchym gardle.

— Bardzo mało. Powiedział mi tylko nazwisko pana i to, że pan tu przyjechał. Czemu miałabym pytać o więcej? Co więcej mógł był mi powiedzieć, czego bym już nie wiedziała z listu mego brata. Trzy linijki. Ale ile znaczyły one dla mnie! Pokażę je panu kiedyś, Cyrylu Sidorowiczu. Teraz jednak muszę iść. Pierwsza nasza rozmowa nie może być kwestią pięciu minut, więc lepiej nie zaczynajmy...

Stałem nieco z boku i widziałem ich oboje z profilu. W owej chwili wydało mi się, że twarz pana Razumowa wygląda starzej niż jego lata.

— Gdyby mama — panna Haldin zwróciła się nagle ku mnie— obudziła się podczas mojej nieobecności, o tyle dłuższej niż zazwyczaj, zaczęłaby mnie może wypytywać. W ostatnich czasach zdaje się bardziej odczuwać brak mojej osoby. Chciałby wiedzieć, co mnie wstrzymało, a mnie, widzi pan, byłoby bardzo przykro ją okłamywać.

Zrozumiałem doskonale tę jej drażliwość. Dla tej samej przyczyny powstrzymała to, co mi się wydało ze strony pana Razumowa zamiarem towarzyszenia jej.

— Nie! Nie! Pójdę sama. Ale proszę, niech pan spotka się tu ze mną, jak tylko będzie pan mógł.

Po czym dodała znużonym, znaczącym głosem, zwracając się do mnie:

— Mama w tej chwili może siedzieć przy oknie i patrzeć na ulicę. Nie powinna wiedzieć o obecności pana Razumowa tutaj, dopóki... dopóki się czegoś nie obmyśli.

Umilkła, zanim dodała trochę głośniejszym, lecz wciąż mówiąc do mnie:

— Pan Razumow nie jest w stanie do końca zrozumieć trudności mego położenia, ale pan wie, jak to jest.

V

Z szybkim skinieniem głowy dla nas obu i szczerym, przyjaznym spojrzeniem dla młodzieńca, panna Haldin zostawiła nas, nakładających z powrotem kapelusze i patrzących za jej wyprostowaną, giętką postacią, oddalającą się prędko. Chód jej nie był tym niepewnym, ślizgającym się posuwem, który przybierają niektóre kobiety, lecz był to szczerzy, silny, zdrowy ruch naprzód. Odległość zwiększała się szybko i wreszcie panna Haldin zniknęła nagle. Wtedy dopiero spostrzegłem, że Razumow, nasunawszy mocno kapelusz na czoło, ogląda mnie od stóp do głów. Wnioskuje, że byłem dla tego młodego Rosjanina zgoła niespodziewanym okazem. W jego twarzy, w jego całym zachowaniu odkryłem wyraz ciekawości i lekceważenia, połączony z jakimś przestachem; jak gdyby wstrzymywał oddech, gdy na niego nie patrzyłem. Ale oczy jego spotkały mój wzrok dość pewnym spojrzeniem. Dostrzegłem wtedy po raz pierwszy, że były jasnobrunatne, ocienione gęstymi, czarnymi rzęsami. Był to najbardziej młodzieńczy rys w jego twarzy. Wcale przyjemne oczy. Kołysał się, lekko wsparty na lasce, jakby zdany na łaskę wiatru. Przemknęło mi wtedy przez myśl, że panna Haldin, zostawiając nas razem, miała jakiś zamiar, że mi powierzyła jakąś misję, skoro przypadkiem znalazłem się pod ręką. Wychodząc z tego założenia, postanowiłem zachować się jak mogłem najbardziej po przyjacielsku. Szukałem tedy w głowie, co by tu stosownego powiedzieć, gdy nagle w ostatnich słowach panny Haldin znalazłem wskazówkę dla siebie.

— Nie — rzekłem poważnie, choć nie bez uśmiechu — pan nie może zrozumieć istotnego stanu rzeczy.

Jego starannie wygolone wargi zadrżały trochę, zanim rzekł z lekkim odcieniem złośliwej żartobliwości:

— Alboż nie słyszał pan? Przecież ta młoda osoba dziękowała mi, że tak dobrze wszystko rozumiem.

Spojrzałem na niego ostro. Byłóż to jakieś ukryte, niepojęte szyderstwo w tej odpowiedzi? Nie; to nie było to.

To mogła być uraza. Tak. Ale o co? Wyglądał, jak gdyby nie wysypiał się w ostatnich czasach. Czułem prawie na sobie ciężar jego zmęczonego, nieruchomego spojrzenia, spojrzenia człowieka, który leży z otwartymi oczami w ciemności, gniewnie bierny w udęce okropnych myśli. Teraz, gdy wiem, jak dalece było to prawdziwe, mogę szczerze zapewnić, że takie właśnie sprawił na mnie wrażenie. Było ono przykre, w szczególnie nieokreślony sposób, bo, oczywiście, określić mogę je dopiero teraz, gdy siedzę, pisząc w pełni świadomości. Ale takie wrażenie odniosłem w owym czasie całkowitej niewiedzy. Staralem się jednak otrząsnąć z tego niepokoju, jakim mnie napełniał, przybierając ton swobodnej pogawędki.

— Ta wyjątkowo urocza i zachwycająca osóbka, a jestem, jak pan widzisz dość stary, by sobie pozwolić na taką szczerą wyrażenie, miała na myśli swoje własne uczucia. Tyle chyba musiałeś pan zrozumieć?

Zachnął się tak gwałtownie, że się aż zachwiał.

— Muszę zrozumieć to! Nie mogę zrozumieć tamtego. Mogę mieć co innego na głowie. A osóbką jest uroczą i zachwycającą. No i cóż z tego? Sam to chyba potrafię ocenić.

Ta odpowiedź zabrzmiałaby obelżywie, gdyby głos jego nie był tak wyczerpany i wychodzący z zaschniętego gardła; wysiłek, z jakim mówił, był zbyt bolesny, żeby się można było obrazić.

Milczałem, tocząc walkę między chęcią odejścia niezwłocznie a poczuciem tej odpowiedzialności, jaką mnie obciążyło ostatnie spojrzenie panny Haldin.

Po chwili namysłu rzekłem:

— Może przeszlibyśmy się trochę razem?

Wzruszył ramionami tak gwałtownie, że zachwiał się znowu. Widziałem to kącikiem oka, gdy zacząłem iść obok niego. Właściwie pozostał trochę w tyle i mogłem go widzieć dopiero wówczas, gdy odwróciłem głowę w jego stronę. Nie chciałem naprzykrzać mu się dalej objawami wyraźnej ciekawości. Mogło to być bardzo nieprzyjemne dla takiego młodego i tajemniczego zbiega z pod zatrutego cienia, kryjącego istotne, dobrotliwe oblicze jego ojczyzny. A ten cień, nieodłączny towarzysz jego rodaków, ciągnący się poprzez środkową Europę, leżał teraz na nim i przyćmiewał jego postać memu duchowemu wzrokowi.

— Niewątpliwie — powiedziałem sobie — musi to być ponury, a nawet zropaczony rewolucjonista; ale jest młody; musi być niesamolubny i ludzki, a nawet zdolny do współczucia, do...

Usłyszałem, że odchrząknął chrypliwie i nadstawiłem pilnie uszu.

— To przechodzi wszystko — to były jego pierwsze słowa — to przechodzi wszystko. Spotykam tu pana dla niezrozumiałych mi powodów i jest pan w posiadaniu czegoś, czego jakoby nie potrafię zrozumieć. Powiernik! Cudzoziemiec! Mówiący o zachwycającej młodej Rosjance! Zaczynam zastanawiać się, czy przypadkiem uroczej Rosjance nie brak piątej kleпки. Do czego pan zdąża? O co panu właściwie chodzi?

Mówił tak niewyraźnie, jak gdyby w gardle zamiast krtani miał jakiś suchy łachman, kawał próchna. Było w tym coś budzącego taką litość, że z największą łatwością przyszło mi zapanować nad oburzeniem.

— Gdy pan pożyje dłużej, panie Razumow, nie będzie pan tak pochopnie ferować wyroków o piątej klepce, zwłaszcza gdy chodzi o kobietę. Nie jestem feministą, jak ten sławny autor Piotr Iwanowicz, który, prawdę rzekłszy, wydaje mi się mocno podejrzanym...

Przerwał mi szeptem ogromnego zdumienia:

— Podejrzanym!... Pan podejrzewa Piotra Iwanowicza!.. Pan!..

— Tak, pod pewnym względem — odpowiedziałem niedbale. — Jak mówiłem, panie Razumow, gdy pan pożyje dłużej, nauczy się pan odróżniać szlachetną ufność natury niezdolnej do jakiegokolwiek fałszu, od otumanionej próżnością łatwowierności niektórych kobiet, ale nawet i te, aczkolwiek

niemądre i niewątpliwie nieszczęśliwe, mają klepki bardziej w porządku, niżby się zdawać mogło. Wierzę mocno, że żadna kobieta nie da się całkowicie oszukać. A i te oszukane skaczą w przepaść z otwartymi oczami, jeżeli się dotrze do prawdy.

— Słowo daję! — wykrzyknął nagle Razumow tuż przy moim łokciu. — A cóż mnie to obchodzi, czy kobiety są głupie czy wariatki? Niech sobie będą, jakie chcą, a pan może sobie myśleć o nich, co zechce. Ja... ja mam co innego na głowie. Nie jestem młodzieńcem z powieści. Skąd pan wie, że ja chcę dowiedzieć się czegoś o kobietach? Co to wszystko znaczy?

— Pan pyta, jaki jest cel tej rozmowy, którą, przyznaję, do pewnego stopnia panu narzuciłem...

— Cel! Narzucił pan!.. — powtórzył, wciąż trzymając się o parę kroków w tyle. — Chciał pan widocznie rozmawiać o kobietach. Oto pański cel. Ale ja o to nie dbam... Nie dbałem nigdy. Miałem o czym innym do myślenia.

— Mnie chodzi o jedną tylko kobietę — o siostrę pańskiego ukochanego przyjaciela, o pannę Haldin. O niej przecież może pan trochę pomyśleć. Ja zaś od początku miałem na myśli to, że wytworzyła się tu sytuacja, której pan nie może zrozumieć.

Słuchałem przez kilka chwil odgłosu jego nierównych stapań przy moim boku.

— Sądzę, że mógłbym przygotować grunt do następnej rozmowy pana z panną Haldin, jeżeli panu to powiem. Zdaje mi się, że miała coś takiego na myśli, gdy nas zostawiła samych. Uważam się za upoważnionego do mówienia. Wyjątkowe położenie, o którym napomknąłem, powstało w pierwszych chwilach rozpaczki po straceniu Wiktora Haldina. Było coś osobliwego w okolicznościach towarzyszących jego aresztowaniu. Pan niewątpliwie zna całą prawdę...

Tu uczułem, że Razumow chwyta mnie powyżej łokcia i gwałtownie ku sobie obraca.

— Wyrasta mi pan jak spod ziemi z taką mową. Kto pan jest do licha? To nie do zniesienia! Dlaczego? Za co? Skąd pan wie, co jest lub nie jest osobliwe? Co pan ma wspólnego z jakimiś przekłętymi okolicznościami lub w ogóle ze wszystkim, co się dzieje w Rosji?

Oparł się ciężko na lasce, a gdy puścił moje ramię, byłem pewny, że ledwie trzyma się na nogach.

— Usiądźmy przy którym z tych pustych stolików — zaproponowałem, udając, że nie widzę tego niespodzianego głębokiego wzruszenia, które, przyznaję, podziałało na mnie. Zrobiło mi się go żal.

— Przy jakich stolikach? O czym pan mówi? Ach!.. O pustych stolikach? O stolikach tam?... Dobrze, usiądę przy jednym z tych pustych stolików...

Poprowadziłem go na sam środek placyku przed restauracją. Szwajcarska para odeszła przez ten czas. Byliśmy sami wśród tego szeregu drewnianych sprzętów, jak na tratwie. Razumow osunął się ciężko na krzesło, upuścił laskę i,

wsparty na łokciach, wpatrywał się we mnie uparcie i otwarcie bez przerwy, podczas gdy, przywoławszy kelnera, kazałem podać piwa. Nie mogłem mieć do niego pretensji o to milczące oglądanie mnie, gdyż prawdę rzekłszy, czułem się trochę winnym, że narzuciłem mu moją osobę, „wyrosłem spod ziemi”, jak on to określił.

Czekając na piwo, nadmieniłem, że urodzony z rodziców zamieszkałych w Petersburgu, od dziecka uczyłem się rosyjskiego. Miasta nie pamiętam, opuściwszy je na dobre jako dziewięcioletni chłopiec, ale w późniejszych latach odnowiłem znajomość z językiem. Słuchał, nie odrywając ode mnie oczu ani na chwilę. Musiał zmienić postawę, gdy przyniesiono piwo; wychylony duszkiem kufel orzeźwił go. Oparł się o poręcz krzesła i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, wpatrywał się we mnie w dalszym ciągu. Przyszło mi na myśl, że jego czysto wygolona, smągła twarz musiała być z natury bardzo ruchliwa i że jej zupełna nieruchomość była nabytym przyzwyczajeniem rewolucjonisty, spiskowca, wciąż mającego się na baczności, aby się z czymś nie zdradzić w świecie tajnych szpiegów.

— Ale pan jesteś Anglikiem, nauczycielem języka angielskiego — szepnął głosem, który nie pochodził już z zaschniętego gardła. — Słyszałem o panu. Mówiono mi, że pan tu mieszka od dawna,

— Istotnie. Więcej niż dwadzieścia lat. I pomagałem panie Haldin w jej angielskich studiach.

— Czytywał pan z nią poezje angielskie — rzekł, nieporuszony teraz, zgoła inny człowiek, niepodobny do tego, który ciężko i niepewnie stapał obok mnie przed niedawną chwilą.

— Tak, poezje angielskie. Ale cios, o którym mówiłem, spadł na nią za pośrednictwem angielskiego dziennika.

Razumow wciąż patrzył na mnie. Nie sędzę, żeby wiedział, iż angielski dziennikarz wyszperał wiadomość o aresztowaniu o północy i podał ją światu. Gdy mu to objaśniłem, mruknął pogardliwie:

— Mogło to wszystko być kłamstwem.

— Pan chyba może być najlepszym sędzią w tym względzie — rzekłem, nieco stropiony. — Co do mnie, wyznaję, że w istocie wygląda to na prawdę.

— Jakże pan zdoła odróżnić prawdę od kłamstwa? — zagadnął z tym nowym, niewzruszonym spokojem.

— Nie wiem, jak się to dzieje w Rosji — zacząłem, coraz bardziej zbity z tropu jego zachowaniem się.

Przerwał mi:

— W Rosji, jak w ogóle wszędzie w dziennikach na przykład. Kolor atramentu i kształt liter są te same.

— Zapewne, bywają jednak wskazówki, którymi można się powodować. Rodzaj dziennika, ogólne prawdopodobieństwo wiadomości, wzgląd na powody i tak dalej. I ja nie wierzę ślepo wszystkiemu, co piszą specjaliści korespondenci,

ale czemu ten właśnie zadawałby sobie trud gromadzenia fałszów w sprawie obojętnej dla świata?

— Otóż to—sarknął Razumow —wszystko, co się u nas dzieje, jest obojętne dla świata, jest prostą historyjką sensacyjną gwoli zabawienia czytelników gazet wyższej, pogardliwej Europy. Wstręt bierze, gdy się o tym pomyśli. Ale niech trochę poczekają.

Rzuciwszy tę pogroźkę zachodniemu światu, umilkł. Nie zważając na jego gniewny wzrok, zwróciłem mu uwagę, że czy dziennikarz był źle czy dobrze poinformowany, przyjaciółom tych pań chodziło o skutek, jaki tych kilka drukowanych zdań wywołało, tylko o ten skutek. A on przecież musi się zaliczać do owych przyjaciół, choćby tylko przez pamięć zmarłego towarzysza i zaufanego współrewolucjonisty. Tu wydało mi się, że Razumow chce mi przerwać gwałtownie, ale tylko zdziwił mnie nagłym zachnięciem się całego ciała. Powściągnął się wnet, skrzyżował jeszcze mocniej ręce na piersiach i siedział z uśmiechem, w którym drgała pogarda i złośliwość.

— Tak... towarzysza i zaufanego... Bardzo dobrze—— rzekł.

— Na tej zasadzie odwołuję się do pana. I nie mogę się mylić. Byłem obecny, gdy Piotr Iwanowicz oznajmił panie Haldin o pańskim przybyciu tutaj i widziałem, jaką ulgą i pociechą było dla niej wymówienie pańskiego nazwiska. Pokazała mi potem list brata i odczytała kilka słów, dotyczących się pana. Kimże innym niż przyjacielem mógł pan być?

— Oczywiście! To rzecz doskonale znana. Przyjacielem, zupełnie ściśle. Mów pan dalej. Wspomniał pan o jakimś skutku?

Powiedziałem sobie: Udaje zatwardziałość srogiego rewolucjonisty; obojętność na pospolite uczucia człowieka, oddanego niszczyielskiej idei. Jest młody i szczerzość jego przybiera kształt pozy przed cudzoziemcem, obcym mu i w dodatku starym. Młodość musi się trochę sobą popisać...

Jak mogłem najzwyczajniej, przedstawiłem mu stan umysłu biednej pani Haldin, w który ją wtrąciła wieść o przedwczesnej śmierci syna.

Słuchał — czułem to — z głęboką uwagą. Stopniowo wzrok jego zsunął się z mojej twarzy, aż spoczął na ziemi u jego stóp.

— Może pan wnikać w uczucia siostry. Jak pan powiedział, czytywałem z nią tylko angielskie poezje i nie będę ośmieszał się w pańskich oczach, próbując mówić o niej. Ale widział ją pan. Jest ona jedną z tych rzadkich ludzkich istot, które nie potrzebują omówień. Przynajmniej ja tak sądzę. Ten syn, ten brat był dla tych kobiet jedynym łącznikiem z szerszym światem, z przyszłością. Natalia Haldin, tracąc go, straciła grunt czynnego życia pod stopami. Czy możesz się pan dziwić, że zwraca się tak skwapliwie do człowieka, o którym brat jej wspomina w swoich listach? Nazwisko pana jest rodzajem legatu.

— Cóż on tam o mnie mógł pisać! — zawołał Razumow rozdrażnionym głosem.

— Kilka słów tylko. Nie do mnie należy powtarzać je panu, ale może pan wierzyć memu zapewnieniu, że są one wystarczające, by zarówno matka jak siostra pokładały bezwzględną ufność w wartość pańskiego sądu i w prawdę wszystkiego, co może pan mieć im do powiedzenia. Nie może pan żadną miarą uważać ich teraz za osoby panu obce.

Umilkłem i jakąś chwilę wsłuchiwałem się w odgłos kroków nielicznych przechodniów, idących w tę i w drugą stronę szerokiej, środkowej alei. Podczas gdy mówiał, głowa Razumowa opadła mu na piersi ponad skrzyżowanymi rękami. Podniósł ją raptem.

— Mam więc iść kłamać przed tą starą kobietą?

W głosie jego dźwięczało coś przejmującego. Nie był to gniew, była to jakaś nieokreślona męka, która napełniła mnie współczuciem i zdumieniem.

— Po cóż kłamać? Alboż prawda nie wystarczy? Spodziewałem się, że będziesz pan mógł powiedzieć im coś pocieszającego. Mam teraz biedną matkę na myśli. Wasza Rosja jest okrutnym krajem.

Poruszył się nieco na krześle.

— Tak — powtórzyłem. — Myślałem, że będzie pan miał coś prawdziwego do powiedzenia.

Usta Razumowa zadrgały w szczególny sposób.

— A jeśli tego nie warto powtarzać?

— Nie warto powtarzać? Z jakiego punktu widzenia? Nie rozumiem.

— Z każdego punktu widzenia.

— Sądziłbym — rzekłem cierpko — że wszystko, co mogłoby rozjaśnić okoliczności tego aresztowania o północy...

— Opowiedzianego przez angielskiego dziennikarza dla rozrywki cywilizowanej Europy — przerwał pogardliwie.

— Tak, opowiedzianego... Alboż te okoliczności nie są prawdziwe? Nie mogę zrozumieć pańskiego stanowiska w tej sprawie? Albo ten człowiek jest dla pana bohaterem, albo...

Przysunął twarz z rozdętymi dziko nozdrzami tuż do mojej twarzy tak nagle, że z największą trudnością powściągnąłem chęć cofnięcia się.

— Pan pyta? Przypuszczam, że wszystko to bawi pana. Niechże więc pan posłucha. Jestem człowiekiem pracy. Uczyłem się. Tak, uczyłem się bardzo gorliwie. Jest tu pewien zasób inteligencji. — Dotknął czoła końcami palców.

— Pan nie przypuszcza, że Rosjanin może mieć zdrowe ambicje? Otóż ja je miałem. Miałem nawet widoki powodzenia. Niewątpliwie. Miałem. A teraz widzi mnie pan tu, za granicą, widzi pan człowieka, który wszystko stracił, poświęcił... Widzi mnie pan tu i pyta! Wszak jestem tu, siedzę przed panem!

Rzucił się gwałtownie w tył. Co do mnie, zachowałem spokój zewnętrzny.

— Tak. Widzę pana tu. I przypuszczam, że jest pan tu z powodu sprawy Haldina.

Coś zmieniło się nagle w jego obejściu.

— Pan to nazywa sprawą Haldina — zauważył obojętnie.

— Nie mam prawa pytać pana o cokolwiek — rzekłem. — I nie roszczę go sobie. Ale w tym wypadku matka i siostra tego, który w oczach pańskich musi być bohaterem, nie mogą być panu obojętne. Panna Haldin jest szczerą, szlachetną istotą, mającą najwznioślejsze... no, złudzenia. Powiesz pan jej wszystko, albo nic. Ale ja w tej naszej rozmowie miałem na celu chorobliwy stan matki. Może pod powagą słów pańskich dałoby się wymyślić coś, co ulżyłoby tej cierpiącej, zrozpaczonej damie, przepełnionej miłością macierzyńską.

Obojętność jego zaznaczyła się jeszcze wyraźniej i, jak mi się wydało, umyślnie.

— O tak, można by — bąknął niedbale.

Przyłożył dłoń do ust, by ukryć ziewnięcie. Gdy odjął rękę, usta uśmiechały się lekko.

— Przepraszam pana. Rozmawiamy dość długo, a ja przez ostatnie dwie noce mało spałem.

To niespodziane, a poniekąd brutalne oświadczenie było na wskroś prawdziwe. Nie sypiał po nocach, od dnia, kiedy na gruncie Chateau Borel ukazała mu się siostra Wiktora Haldina. Udreki i strachy — że tak powiem — bezsenności opisał szczegółowo w pamiętniku, który potem miał się dostać w moje ręce i który jest głównym źródłem mego opowiadania. Na razie widoczne było, że jest na wskroś zmęczony i wyczerpany, jak człowiek, który przeszedł przez jakiś kryzys.

— Miałem dużo pilnej pisaniny — dodał.

Wstałem z krzesła natychmiast, a on poszedł za moim przykładem bez pośpiechu, z pewną ociężałością.

— Przepraszam, że zatrzymałem pana tak długo.

— Czemu przepraszać? Nikt przecież nie chodzi spać przed nocą. A pan mnie wcale nie zatrzymywał. Mogłem odejść każdej chwili.

Nie chciałem się obrazić.

— Rad jestem, że mogłem pana zainteresować dostatecznie — rzekłem spokojnie. — Nie jest to bynajmniej moją zasługą, najprostszy wzgląd na matkę pańskiego przyjaciela wystarczył... Co się tyczy panny Haldin, była ona w pewnym czasie skłonna myśleć, że brat jej padł ofiarą zdrady.

Ku memu wielkiemu zdumieniu, Razumow usiadł raptownie.

— Zdrady — wyszeptał, jak gdyby nie zrozumiał lub nie chciał wierzyć własnym uszom.

— Jakaś nieprzewidziana okoliczność, prosty przypadek mógł to sprawić — ciągnąłem dalej — lub, jak ona to charakteryzuje, głupota albo słabość jakiegoś nieszczęśliwego towarzysza-rewolucjonisty.

— Głupota albo słabość — powtórzył z goryczą.

— Panna Haldin jest bardzo szlachetną istotą — zauważyłem po jakimś czasie.

Ten, którego Wiktor Haldin uwielbiał, wbił oczy w ziemię, ja zaś, nie żegnając się i nie zwróciwszy, jak mi się zdawało, jego uwagi, odszedłem. Nie żywiłem do niego urazy za nadąsaną szorstkość, z jaką mnie potraktował. Z rozmowy odniosłem wrażenie zupełnej beznadziejności. Nim wyszedłem poza szeregi krzeseł i stolików, dogonił mnie.

— Hm!... tak...—usłyszałem znów tuż przy sobie.— A pan co myśli? Nie odwróciłem się nawet.

— Myślę, że nad waszym narodem ciąży przekleństwo.

Nic nie odpowiedział. Dopiero gdy wyszliśmy za bramę, usłyszałem znowu jego głos.

— Przeszedłbym się z panem kawałek,

Nie widziałem powodu, dla którego powinien bym być specjalnie uprzejmym, aczkolwiek przyznać muszę, że ten zagadkowy młodzieniec bardziej mi się podobał niż jego sławny rodak, wielki Piotr Iwanowicz.

— Idę na dworzec najkrótszą drogą. Oczekuję kogoś z Anglii — odrzekłem sucho, wyczerpując odpowiedź na tę nieoczekiwaną propozycję.

Spodziewałem się, że coś usłyszę. Gdyśmy stali na kamiennej wysepce, czekając na przejście tramwaju, Razumow zauważył pośepnie:

— Podobało mi się to, co pan powiedział.

— Czy tak?

Zeszliśmy razem na jezdnię.

— Cała rzecz w tym — ciągnął dalej — żeby zrozumieć dokładnie naturę tego przekleństwa.

— Myślę, że to nie jest tak bardzo trudne,

— I ja również — przytaknął, a ta skwapliwość nie uczyniła go, rzecz dziwna, ani trochę mniej zagadkowym.

— Przekleństwo to zły znak — spróbowałem znowu — a najważniejszą rzeczą byłoby znaleźć sposób zniweczenia go.

— Tak. Znaleźć sposób.

Było to również przytaknięcie, ale powiedział to tak, jak gdyby myślał o czym innym. Przeszliśmy ukośnie otwartą przestrzeń przed teatrem i zaczęliśmy iść nieco w dół szerokiej, mało uczęszczanej ulicy, w kierunku jednego z mniejszych mostów. Razumow szedł przy mnie, milcząc przez dłuższy czas,

— Pan nie zamierza prędko opuścić Genewy? — zapytałem.

Milczał tak długo, iż zacząłem przypuszczać, że pytanie moje wydało mu się niedyskretnym i że nie odpowie mi wcale. Spojrzawszy na niego, zauważyłem zgoła inny, całkiem niezrozumiały objaw. Razumow zacisnął silnie ręce, jakby z ukrywaną rozpaczą. Skoro jednak opanował to bolesne wahanie, żeby mi powiedzieć, iż nie ma takiego zamiaru, stał się nagle niemal wylewny, przynajmniej w porównaniu z lakonizmem jego poprzednich odpowiedzi. I ton również był uprzejmiejszy. Powiadomił mnie, iż zamierza tu studiować, a także pisać. Zapędził się tak daleko, iż powiedział mi, że był w Stuttgarcie, o którym to mieście wiedziałem, że należało do ośrodków rewolucyjnych. Znajdował się

tam komitet kierowniczy jednej z partii rosyjskich (nie umiem powiedzieć teraz której). Tam też Razumow zetknął się z czynną działalnością rewolucjonistów poza obrębem Rosji.

— Nie byłem nigdy dotąd za granicą — oznajmił matowym teraz głosem, po czym, po chwili wahania całkowicie odmiennego niż rozpaczliwa niepewność, jaką obudziło moje proste pytanie „Czy zamierza pozostać w Genewie?”, uczynił zgoła niespodziewane zwierzenie:

— Przyznam się panu, że przybyłem tu z pewnym zleceniem od nich.

— Które zatrzyma pana tu, w Genewie?

— Tak, tu, w tym wstrętnym...

Byłem dość zadowolony z moich zdolności zestawiania ze sobą faktów, dzięki czemu wywnioskowałem, że zlecenie to miało coś wspólnego z osobą wielkiego Piotra Iwanowicza. Ale oczywiście zachowałem ten domysł dla siebie i Razumow nie odzywał się znowu przez dłuższy czas. Dopiero gdyśmy już dochodzili do mostu, otworzył nagle usta:

— Czy mógłbym gdzieś zobaczyć ten sławetny artykuł?

Musiałem zastanowić się chwilę, nim zrozumiałem o co mu chodzi,

— Tutejsza prasa przedrukowała z niego wyjątki. Można trafić na nie tu i owdzie. Mój egzemplarz angielskiego dziennika wręczyłem panie Haldin nazajutrz po otrzymaniu i widywałem go z przykrością tygodniami całymi na stoliku, przy fotelu biednej matki. Potem zniknął. Przyniosło mi to wielką ulgę, zapewniam pana.

Razumow przystanął.

— Spodziewam się — ciągnąłem — że znajdzie pan czas, żeby odwiedzać te panie, i to często.

Popatrzył na mnie tak dziwnie, że mnie to znowu stropiło. Nie mogłem zrozumieć związku między tym spojrzeniem a moim powiedzeniem. „Co mu jest?”, zadałem sobie pytanie. Jaka dziwna myśl przyszła mu do głowy? Jakie widmo tych wszystkich okropności, które się dzieją w jego nieszczęsnym kraju, nawiedziło nagle mózg Razumowa? Jeżeli to jest związane z losem Wiktora Haldina, to niechby lepiej zatrzymał to przy sobie. Byłem, mówiąc szczerze, tak wstrząśnięty, że usiłowałem pokryć to wrażenie, Boże odpuść, uśmiechem i przybraną żartobliwością,

— To chyba nie przyjdzie panu z trudem! — zawołałem.

Odwrócił się ode mnie i oparł o parapet mostu. Poczekałem chwilę, patrząc na jego plecy, i mogę zapewnić, że wcale nie miałem ochoty zobaczyć jego twarzy. Widząc, że się nie rusza i nie myśli się ruszyć, odszedłem z wolna w stronę dworca. U końca mostu obejrzałem się. Nie, nie poruszył się. Stał przechylony przez barierę, jak gdyby urzekł go prąd błękitnej wody, płynącej pod arkadą. Prąd ten jest tak szybki, że przyprawia niektóre osoby o zawrót głowy. Ja sam nie mogę patrzeć nań dłużej, bo zaczynam się bać, że mnie porwie jego niszcząca siła. Pewne umysły nie mogą oprzeć się urokowi nieprzepartej potęgi i bezcelowego ruchu.

Widocznie Razumow podlegał temu urokowi. Zostawiłem go wychylonego za barierę. Jego zachowanie się względem mnie nie mogło być wynikiem prostej gburowatości. Coś innego kryło się tam na dnie. Może, pomyślałem z nagłym wyczuciem ukrytej prawdy, może to było to samo, co mu nie pozwoliło dłużej niż przez tydzień, przez prawie przez dziesięć dni spotykać się z panną Haldin. Ale co to było takiego, nie umiałem sobie odpowiedzieć.

CZEŚĆ TRZECIA

I

Woda pod mostem płynęła gwałtownym, głębokim prądem. Patrzącemu na nią mogło się zdawać, że ten lekko chybotliwy prąd potrafiłby utorować sobie drogę wskroś twardego granitu, a jednak, gdyby przepłynął wskroś piersi Razumowa, nie zdołałby zmyć pokładów gorzkości, jakie zwichnięcie jego życia tam nagromadziło.

— Co to wszystko znaczy? — myślał, wpatrując się w rwący nurt, tak czysty i gładki, że tylko mignięcie lekkiej powietrznej bańki lub cieniutkiego pasemka piany, niby białego piórka, zdradzało jego zawrotną szybkość, jego straszliwą siłę. — Czemu się ten stary, nudny Anglik przyczepił do mnie? I co znaczy ta głupia gadanina o jakiejś starej wariatce?

Umyślnie silił się na brutalność określeń, ale unikał wspomnienia o pannie Haldin,

— Starej wariatce — powtórzył sobie. — Ależ trzeba mieć pecha. Albo machnąć na to wszystko ręką. Jednak nie! Mylę się! Mnie nie wolno na nic machać ręką. Lada głupstwo może się stać przyczyną najniebezpieczniejszych powikłań. Jak się ustrzec przed tym? Inteligencja mi tu nie pomoże. Im się jest inteligentniejszym, tym mniej myśli się o głupstwach, mniej się je podejrzewa. Fala wściekłości zalała mu mózg, tak gwałtowna, że zatrzęsł się cały, po czym wrócił do swych milczących rozmyślań, jak i do tajemnej rozmowy ze sobą samym. Ale nawet w takim duchowym sam na sam myśli jego ulegały pewnym zastrzeżeniom, z czego podświadomie zdawał sobie sprawę.

— Zresztą to nie są głupstwa. To są po prostu drobiazgi, bez najmniejszego znaczenia. Jakaś stara wariatka, jakiś stary natrętny Anglik. Po kiego licha wlaził mi w drogę? Chyba okazałem mu dostatecznie moje lekceważenie. Alboż nie miałem racji. To jedyny sposób na takich natrętów. Czy podobna, żeby stał jeszcze i czekał na mnie?

Dreszcz nim wstrząsnął. Nie był to lęk, nie lękał się o siebie, ale jakby rodzaj zatrwożenia się o kogoś, kogo znał, nie mogąc uprzytomnić sobie, kto to

był taki. Ale przypomnienie, że ten natrętny Anglik spieszył się na pociąg, uspokoiło go. Przecież nie będzie tracił czasu na czekanie. Nie warto się nawet obejrzeć, aby nabrać pewności.

— Ale co on takiego plótł o jakimś dzienniku i tej starej wariatce? — pomyślał nagle. — I kto go tego upoważnił? Tylko Anglik zdolny jest do czegoś podobnego. I to wszystko ot tak sobie, dla sportu, dla rewolucyjnego sportu, dla zabawy, na którą spoglądałby ze szczytu swojej wyższości. A co, u licha, znaczył ten jego wykrzyknik: „Alboż prawda nie wystarczy?”

Razumow przycisnął skrzyżowane ręce do parapetu i oparł się z całej siły.

— Alboż prawda nie wystarczy? Prawda dla starej, obłąkanej matki tego...

Wzdrygnął się znowu.

— Tak. Prawda wystarczy. Właśnie. Powiedzieć prawdę, a potem przyjmować podziękowania — myślał, formułując cynicznie niewymówione słowa. — Z wdzięczności rzuciłaby mi się na szyję — zadrzał w duchu. Ale ten nastrój opuścił go wnet. Natomiast ogarnął go smutek, jak gdyby nagła pustka wyjałowiła mu serce.

— Muszę być ostrożnym — zakonkludował w myśli, jak gdyby ocknąwszy się ze snu. — Nikogo i niczego lekceważyć nie można. Muszę być bardzo ostrożnym — pomyślał ze znużeniem.

Razumow odepchnął się ręką od balustrady i, zawróciwszy, poszedł prosto do swego mieszkania, gdzie przez następne kilka dni pędził życie samotne i zamknięte. Zaniedbał nawet Piotra Iwanowicza, któremu go poleciła grupa działaczy w Stuttgarcie; nie odwiedzał zbiegłych rewolucjonistów, z którymi go po przyjeździe zapoznano. A jednocześnie czuł, że podobne postępowanie, budząc zdziwienie i podejrzenia, zawierało pierwiastek niebezpieczeństwa dla niego.

Nie znaczy to, żeby przez dni kilka wcale z domu nie wychodził. Owszem, spotkałem go parokrotnie na ulicy, udawał jednak, że mnie nie poznaje. Raz, wracając z wieczornych odwiedzin od pani Haldin, zobaczyłem go przechodzącego w poprzek Bulwaru Filozofów. Miał kapelusz miękki, o szerokim rondzie, i podniesiony kołnierz paltota. Szedł prosto ku domowi tych pań, ale zamiast wejść do środka, stanął naprzeciwko oświetlonych jeszcze okien i po jakimś czasie skręcił w boczną uliczkę.

Wiedziałem, że nie był jeszcze u pani Haldin. Panna Natalia mówiła mi, że ociągał się i wymawiał, a co więcej, umysłowy stan pani Haldin uległ zmianie. Zaczęła myśleć, że syn jej żyje, i oczekiwać jego przyjazdu. Siedziała nieruchomo w wielkim fotelu i patrzyła ciągle w okno, nawet gdy rolety były już spuszczone i lampy zapalone.

Co do mnie, byłem pewny, że to są przedśmiertne przywidzenia i że koniec jej już bliski. Panna Haldin, której, oczywiście, nie zwierzyłem się z moich przypuszczeń, była zdania, że nic dobrego nie wyniknie z bytności Razumowa przy takim stanie rzeczy, ja zaś dzieliłem ten pogląd w zupełności.

Wiedziałem, że spotyka się z nim na Bastionach. Kilkakrotnie widziałem ich z daleka, spacerujących zwolna po głównej alei. Spotykali się codziennie i trwało to tygodnie całe, w trakcie których unikałem chodzenia tamtędy w porze tych wspólnych przechadzek.

Pewnego dnia jednak, pogrążony w myślach, wszedłem niebacznie do ogrodu i spotkałem ją samą. Przystanąłem, żeby zamienić z nią parę słów. Razumow nie zjawił się i, oczywiście, zaczęliśmy mówić o nim.

— Czy powiedział pani coś określonego o działalności brata pani, o jego końcu? — odważyłem się zapytać.

— Nie — przyznała panna Haldin z pewnym wahaniem. — Nic określonego.

Odczułem jednak, że wszystkie ich rozmowy musiały się obracać bezwiednie dookoła tego zmarłego, który stał się łącznikiem pomiędzy nimi. To było nieuniknione. Ale gdy posunąłem dalej moje badania, odkryłem, że Razumow ujawnił się jej jako zgoła nieprzeciętny rewolucjonista, lekceważący teorie i ludzi również. Zdziwiło mnie to trochę, ale w dodatni sposób.

— Umysł jego wyprzedza obecny czas walki — wyjaśniła mi panna Haldin. — Oczywiście i on działa także — dodała.

— A pani go rozumie? — zapytałem wręcz.

Zawahala się nagle.

— Niezupełnie — szepnęła.

Jasne dla mnie się stało, że oczarował ją swą tajemniczą wstrzemięźliwością.

— Wie pan, co myślę? — ciągnęła, poruszając swą własną, niemal oporną wstrzemięźliwość. — Myślę, że on mnie obserwuje, bada, aby się przekonać, czy jestem godna jego zaufania.

— I to się pani podoba?

Czas jakiś milczała tajemniczo, po czym z mocą, ale tonem poufnym:

— Jestem przekonana — oświadczyła — że ten nadzwyczajny człowiek obmyśla jakieś rozległe plany, jakieś szerokie zamierzenia, że to go pochłania całkowicie i że boleje nad tym, iż jest sam na świecie.

— Ogląda się więc za pomocnikami? — uzupełniłem, odwracając głowę. Znowu nastąpiło milczenie.

— Czemu by nie? — rzekła wreszcie.

Zmarły brat, umierająca matka, przyjaciel cudzoziemiec zeszli na drugi plan. Ale jednocześnie i Piotr Iwanowicz znikł z horyzontu. Ta myśl pocieszyła mnie. Widziałem jednak wyraźnie olbrzymi cień rosyjskiego życia, ogarniający ją niby mrok zapadającej nocy. Mało brakuje, a pochłonie ją całkowicie. Zapytałem o panią Haldin — tę drugą ofiarę cienia.

Coś jakby wyrzut i niepokój mignęło w jej szczerych oczach. Z matką nie było gorzej, ale... Ach! Gdybym tylko wiedział, jakie dziwaczne przywidzenia miewała czasem! Tu pana Haldin spojrzęła na zegarek, oświadczyła, że ani chwili dłużej pozostać nie może i, uściskawszy mi szybko rękę, odbiegła.

Zdecydowanie, Razumow nie miał się pokazać tego dnia. Niepojęty młodzieniec!...

Ale w niespełną godzinę potem, przechodząc placem Mollard, dostrzegłem go w tramwaju Południowego Brzegu.

— Jedzie do Chateau Borel — pomyślałem.

Wysadziwszy Razumowa u bramy Chateau Borel, o jakieś pół mili od miasta, tramwaj podążał dalej pomiędzy dwoma szeregami cienistych drzew. W poprzek drogi, w słońcu, krótka drewniana grobla sterczała nad płytką, bladą wodą, która dalej przybierała mocno błękitny kolor, nieprzyjemnie odbijający od zielonych regularnych pochyłości przeciwległego brzegu. Cały ten krajobraz z przystaniami z białego kamienia, podkreślającymi szarociemny front miasta na lewo, i rozległą przestrzeń wody na prawo, ze sterczącymi z niej przyładkami bez żadnego charakteru, błyszczący i bezduszny, sprawiał wrażenie bardzo świeżego oleodruku. Razumow odwrócił się od niego z pogardą. Wydał mu się wstrętnym w swem nieuduchowionym wykończeniu; upostaciowaniem mierności, osiągniętej po całych wiekach trudów i kultury. I, odwróciwszy się, stanął na wprost wejścia do Chateau Borel.

Kraty środkowej drogi i żelazna, ażurowa arkada pomiędzy kamiennymi słupami, poplamionymi pleśnią, były bardzo zardzewiałe, a choć świeże ślady kół biegły pod nią, brama wyglądała tak, jak gdyby jej już od dawna nie otwierano. Ale tuż obok domu, budowanego z tego samego szarego kamienia co słupy, było małe, boczne wejście. Kraty jego były również zardzewiałe, a same drzwi uchylone, wyglądały, jakby już od dawna nie były zamykane. Gdy jednak Razumow chciał je trochę szerzej otworzyć, nie dały się poruszyć.

— Demokratyczna cnota. Widocznie nie ma tu złodziei — mruknął z niezadowolaniem.

Lecz zanim wszedł, obejrzał się cierpko na jakiegoś robotnika, który siedział beczynnie na ławce, w czystej, szerokiej alei. Robotnik siedział z wyciągniętymi nogami na tej publicznej ławce, rękę przewiesił przez niską poręcz i wypoczywał z taką miną, jak gdyby wszystko wkoło należało do niego.

— Wyborca! Wybieralny! Oświecony — mruknął Razumow do siebie — a w gruncie rzeczy bydlę.

Razumow wszedł i podążył szybko szeroką, podjazdową drogą, starając się nie myśleć o niczym, aby dać wypoczynek głowie i nerwom. Ale doszedłszy do stóp tarasu przed domem, przystanął, jak gdyby wstrzymany fizycznie przez jakąś niewidzialną siłę. Serce biło mu tak gwałtownie, że tajemniczość tych przyspieszonych uderzeń przeraziła go. Popatrzył na ceglany mur tarasu i jego płytkie arkady, skąpo przybrane w liche pnącze i wąski, zaniedbany kwietnik u jego stóp.

— To tu — pomyślał z rodzajem zabobonnej trwogi — tu, na tym samym miejscu....

Chciał zawrócić i uciec już na wspomnienie pierwszego spotkania z Natalią Haldin. Uświadomił to sobie, ale nie ruszył się, i nie dlatego, żeby

zwyciężyć jakąś niegodną słabość, ale ponieważ wiedział, że nie ma gdzie uciec. Co więcej, nie mógł opuścić Genewy. Zrozumiał, nawet nie zastanawiając się, że to było niepodobieństwem, czymś w rodzaju moralnego samobójstwa. Było też również fizycznie niebezpiecznym. Zaczął więc z wolna wstępować po stopniach tarasu, zdobnych w duże, zielonawe od wilgoci urny kamienne o pogrzebowym wyglądzie.

Na szerokiej platformie, gdzie kilka kępek trawy wyrastało spomiędzy wypełzłego żwiru, drzwi frontowe stały otwarte na oścież. Razumow pomyślał, że musiano zauważyć jego przyjście, gdyż w obramowaniu tych drzwi Piotr Iwanowicz, bez zwykłego wysokiego kapelusza, zdawał się oczekiwać na gościa.

Ceremonialny czarny frak, przypominający krojem surdut, i obnażona głowa podkreślały wątpliwe stanowisko największego feministy Europy w domu jego egerii, pani de S. Było w tym jakby połączenie etykietalności gościa ze swobodą domownika. Brodaty, czerwony na twarzy, osłonięty ciemnobłękitnymi okularami, przywołał młodzieńca i od razu ujął go poufale pod ramię.

Razumow powściągnął wszelką oznakę odrazy wysiłkiem, który ciągle konieczność ostrożności uczyniła prawie machinalnym. Ta sama konieczność narzuciła mu na twarz wyraz surowej, prawie fanatycznej nieprzystępności. „Bohaterski zbieg”, na którym sztywność tego nowego przybysza z Rosji rewolucyjnej czyniła, jak zawsze, wrażenie, przybrał pojednawczy, poufny ton. Pani de S. spoczywała po źle przespanej nocy. Miewała często takie noce; on zaś, zostawiwszy kapelusz w sieni na górze, zszedł, by zaproponować „młodemu przyjacielowi” przechadzkę i serdeczną pogawędkę po cienistych alejach parku za domem. Wypowiedziawszy to jednym tchem, wielki feministą spojrzął na nieruchomą, kamienną niemal twarz swego towarzysza i wykrzyknął mimo woli:

— Na honor, młodzieńcze, nadzwyczajny z ciebie człowiek!

— Zdaje mi się, że się mylisz, Piotrze Iwanowiczu. Gdybym był naprawdę nadzwyczajnym człowiekiem, nie byłbym tu, w Szwajcarii i nie spacerowałbym z panem po ogrodzie Kantonu Genewskiego, gminy... jakże się nazywa gmina, do której ta miejscowość należy? Mniejsza z tym, w każdym razie w samym sercu demokracji. Zresztą serce to jest jej godne: nie większe niż dziurawy groch i tyleż co on warte. Nie jestem bardziej nadzwyczajny niż my wszyscy, Rosjanie, podróżujący za granicą.

— Nie! Nie! Nie jesteś przeciętny. Znam dobrze Rosjan, mieszkających zagranicą. Ty zaś wydajesz się mnie i innym także, człowiekiem wybitnym.

„Co on przez to rozumie?” pomyślał Razumow, patrząc bystro na towarzysza. Twarz Piotra Iwanowicza wykazała powagę pełną zadumy.

— Nie przypuszczasz chyba, Cyrylu Sidorowiczu, żebym nie słyszał o tobie z różnych miejscowości, gdzie się dałeś poznać, jadąc tutaj. Miałem listy.

— Oho! Jesteśmy bardzo pochopni do mówienia jedni o drugich — wtrącił Razumow, który słuchał z wielką uwagą. — Plotki, podejrzenia, potwarze nawet! Jesteśmy biegli w tym wszystkim.

Mówiąc to żartobliwym tonem, Razumow bardzo dobrze ukrył pod nim ogarniający go niepokój, a jednocześnie pawtarzał sobie, że nie ma najmniejszego powodu, by się niepokoić. Jakoż szczerłość, dźwięcząca w głosie Piotra Iwanowicza, rozproszyła jego wątpliwości.

— Nieba! — wykrzyknął wielki feminista. — O czym mówisz, Cyrylu Sidorowiczu? Chyba ty nie możesz mieć powodu...

Podniósł ręce w górę, jak gdyby nie znajdował dostatecznych słów. Razumow był zadowolony. Ale coś go korciło, żeby dalej mówić w tym samym tonie.

— Mówię o trujących chwastach, które rosną w świecie spiskowców, jak muchomory w ciemnej piwnicy.

— Szafujesz oszczerstwami — zreflektował go Piotr Iwanowicz — które, o ile chodzi o ciebie...

— Nie — przerwał Razumow chłodno — nie chcę szafować oszczerstwami, ale wolę nie mieć złudzeń.

Piotr Iwanowicz przesunął po nim spojrzeniem z poza swoich ciemnych okularów i uśmiechnął się z lekka.

— Człowiek, który mówi, że nie ma złudzeń, ma przynajmniej to jedno — rzekł przyjacielsko. — Ale widzę, jak się rzeczy mają, Cyrylu Sidorowiczu. Dążysz do stoicyzmu.

— Do stoicyzmu! Poza Greków i Rzymian, niech im służy. My jesteśmy Rosjanie, to jest dzieci, dzieci szczerze, albo raczej cyniczne, jeżeli pan woli. Ale to nie jest poza.

Nastąpiło długie milczenie. Obaj mężczyźni chodzili z wolna pod lipami. Piotr Iwanowicz założył ręce w tył. Razumow czuł pod stopami niewyżwirowany, wilgotny, jakby śliski grunt mocno zacienionej alei. Zapytywał siebie z niepokojem, czy mówił to, co powinien był powiedzieć. Myślał, że powinien bardziej kontrolować kierunek i bieg rozmowy. Wielki feminista zdawał się również pogrążony w zadumie. Wreszcie odchrząknął, a Razumow uczuł natychmiast powracające obawy.

— Dziwię się — zaczął Piotr Iwanowicz łagodnie. — Przypuśćmy, że masz słuszność w swoim akcie oskarżenia, ale czy może być mowa o potwarzach lub plotkach ma twój temat? To nierozsądne. Faktem jest, Cyrylu Sidorowiczu, że nie dość się wie o tobie, aby dać pole do płotek, lub nawet potwarzy. Teraz, oto, osoba twoja związana jest z wielkim czynem, o którego dokonanie kuszono się na próżno. Ludzie ginęli za usiłowanie tego, co wyście obaj z Haldinem spełnili wreszcie. Przybywasz tu do nas z Rosji w aureoli tego czynu. Ale nie możesz zaprzeczyć, Cyrylu Sidorowiczu, że niewiele można się od ciebie dowiedzieć. Ludzie, z którymi się stykałeś, udzielali mi swoich spostrzeżeń. Jeden napisał to, drugi tamto, ale ja sam sobie wyrabiam zdanie.

Czekałem, aby cię poznać. I powtarzam: jesteś człowiekiem niepospolitym. Jesteś zamknięty w sobie; bardzo zamknięty w sobie. Ta małowówność, to surowe czoło, to coś nieugiętego i tajemniczego w tobie budzi nadzieje i trochę zaciekawienia co do twoich zamysłów... Jest w tobie coś z Brutusa ...

— Proszę, oszczędź mi pan tych klasycznych aluzji — wybuchnął Razumow nerwowo. — Co tu Junius Brutus ma do roboty? To śmieszne! Pan chcesz powiedzieć — dodał sarkastycznie, ale zniżając głos — że wszyscy rewolucjoniści są patrycjuszami i że ja jestem arystokratą?

Piotr Iwanowicz, który w trakcie tego wykonał kilka gestów, założył znów ręce w tył i postąpił parę kroków w zamyśleniu.

— Nie wszyscy są patrycjuszami — mruknął wreszcie. — Ale ty w każdym razie jesteś jednym z nas.

Razumow uśmiechnął się gorzko,

— To pewna, że nie nazywam się Gugenheimer — rzekł szyderczo. — Nie jestem demokratycznym Żydem, cóż ja na to poradzę? Nie każdy ma takie szczęście. Co do mnie, nie mam nazwiska, nie mam...

Europejska znakomitość okazała wspaniałomyślne współczucie. Wielki ten człowiek cofnął się o parę kroków i wyciągnął przed siebie ręce niemal błagalnie. Jego głęboki, basowy głos zadrżał bolesnym wzruszeniem.

— Ależ drogi przyjacielu! — zawołał. — Kochany Cyrylu Sidorowiczu!...

Razumow potrząsnął głową.

— Tak, legalnie nie mam prawa do tego „otczestwa”, jakim mnie pan łaskawie obdarzasz — ale cóż stąd? Nie mam ojca. Tym lepiej. Ale powiem panu, że dziadek mojej matki był chłopem, niewolnikiem. Widzisz, pan, jak bardzo jestem jednym z was. Nie żądam, żeby się kto do mnie przyznawał. Ale Rosja nie może się mnie wyrzec. Nie może.

Uderzył się pięścią w piersi.

— Ja jestem nią!

Piotr Iwanowicz postępował w dalszym ciągu z wolna, ze zwieszoną głową. Razumow szedł za nim, zły sam na siebie. Niepotrzebnie się z tym wrywał. Wszelka szczerłość była nieroztropna. A jednak, myślał z rozpaczą, niepodobieństwem było mijać się wciąż z prawdą. Piotr Iwanowicz, dumający za swymi ciemnymi szklami, stał mu się nagle tak wstrętnym, że gdyby był miał nóż, byłby go pchnął nie tylko bez skrupułów, ale z jakimś straszliwym, pełnym triumfu zadowoleniem. Wyobraźnia wbrew jego woli krążyła dokoła tej okropności. Było z nim tak, jak gdyby tracił zmysły.

— Nikt nie posądziłby mnie o to — powtarzał sobie. — Nikt. Mógłbym wyjść przez furtkę w tylnym parkanie, którą tu widzę. Nic łatwiejszego niż wyrwać tę lichą kłódkę. Nikt w domu zdaje się nie wiedzieć, że on tu jest ze mną. Ach!... tak. Kapelusz. Te baby zobaczyłyby wnet kapelusz, który zostawił w sieni. Poszłyby go szukać i znalazłyby go martwym na mokrej trawie. Ale ja

byłbym już wtedy daleko i nikt nigdy... Wielki Boże, czy ja zwariowałem? — pomyślał z trwogą.

A tymczasem wielki człowiek pomrukiwał w zamyśleniu:

— Hm... tak! Niewątpliwie, do pewnego stopnia... Ale ty jesteś bardzo dumnym, młodzieńcze!

Głos Piotra Iwanowicza zabrzmiał poufale, niemal rubasznie, jak gdyby w bezwiednym przystosowaniu się do chłopskiego pochodzenia Razumowa.

— Bardzo dumnym, bracie Cyrylu. I nie mówię, żebyś nie miał do tego prawa. Sam to przyznałem. Potrąciłem o twoje urodzenie po prostu dlatego, że przywiązuję pewną wagę do tej okoliczności. Ty i tak jesteś jednym z nas, un des notres. Podkreślam to z zadowoleniem.

— I ja również przywiązuję do tego pewną wagę — rzekł Razumow spokojnie. — Nie zaprzeczę nawet, że i dla pana może to mieć niejakie znaczenie — dodał po chwilowym milczeniu z odcieniem posepności, z której sam zdawał sobie sprawę dość niechętnie, pocieszając się tylko że uszła ona uwagi Piotra Iwanowicza. — Ale może nie poruszałibyśmy tego przedmiotu?

— Owszem, teraz tylko, po raz pierwszy i ostatni — wymówił szlachetny arcykapłan rewolucji. — To będzie ostatnia sposobność. Nie przypuszczasz chyba, żebym chciał cię dotknąć. Jesteś bez wątpienia naturą wyższą... takim cię odgaduję... Wyższą ponad hm... przeciętne drażliwości. Ale, faktem jest, Cyrylu Sidorowiczu, że twoje własne drażliwości są mi zgoła nieznane. Nikt, poza obrębem Rosji nie wie o tobie nic, tak jak dotychczas.

— Śledziłeś mnie pan? — zagadnął Razumow.

— Tak.

Wielki człowiek wymówił to głosem zupełnej szczerości, ale gdy zwrócili się twarzami do siebie, ciemne okulary stropiły Razumowa. Spoza tych okularów, jak zza szafca, Piotr Iwanowicz napomknął, że już od dłuższego czasu oglądał się za człowiekiem energicznego charakteru, a to w związku z pewnym planem. Nie dodał jednak nic bardziej określonego i po kilku krytycznych uwagach o różnych członkach komitetu rewolucyjnego w Stuttgarcie zawiesił rozmowę na dłuższy przeciąg czasu. Przechadzali się po alei tam i z powrotem. Razumow, milcząc również, od czasu do czasu podnosił wzrok na tył domu. Zdawał się całkiem niezamieszkały. Jego ponure, wilgocią nasiąknięte mury, okna z pozamykanymi szczelnie żaluzjami sprawiały wrażenie pustki i opuszczenia. Mógł tu przebywać, dla zadośćuczynienia tradycji, jakiś płaczliwy, bolejący duch niższego rzędu. Cienie, które według pogłosek rzucała pani de S. na opinię mężów stanu, dyplomatów, deputowanych rozmaitych parlamentów europejskich musiały być innego rodzaju. Razumow widywał dotąd panią de S. tylko w powozie.

Wreszcie Piotr Iwanowicz ocknął się z zadumy.

— Dużo rzeczy mogę ci powiedzieć od razu, młodzieńcze. Po pierwsze, według mego przekonania ani przywódca, ani żaden stanowczy czyn nie może powstać z motłochu. Jeżeli mnie zapytasz, co nazywam motłochem, hm...

odpowiedź na to byłaby zbyt długa. Zdziwiłaby cię mnogość ingredjencji, które według mnie składają się na ten osad narodowy, na to wszystko, co powinno i musi pozostać na spodzie. Co więcej, taki pogląd mógłby wywołać dyskusję. Ale mogę ci powiedzieć, co nie jest motłochem. Na tym punkcie nie może być różnicy zdań pomiędzy nami. Ani chłopstwo nie jest w narodzie motłochem, ani jego wyższe sfery, jednym słowem szlachta. Zastanów się nad tym, Cyrylu Sidorowiczu, a ja sądzę, że umiesz się zastanawiać. Wszystko co w narodzie nie jest rdzenne, nie jest jego własne z pochodzenia lub przez rozwój, to wszystko męty! Źle umiejscowiona inteligencja, cudzoziemskie doktryny, męty! Motłoch! A teraz druga rzecz, którą zechciej rozważyć: pomiędzy naszą przeszłością a przyszłością leży w tej chwili przepaść. Cudzoziemski liberalizm mostu ponad nią przerzucić nie zdoła. Wszystkie próby w tym kierunku są albo głupotą, albo oszukaństwem. Tę przepaść trzeba zapełnić.

Coś złowrogo żartobliwego zadźwięczało w tonie barczystego feministy. Chwyił rękę Razumowa powyżej łokcia i wstrząsnął nią z lekka.

— Rozumiesz to, zagadkowy młodzieńcze? Trzeba ją zapełnić!

Razumow zachował twarz niewzruszoną.

— A jeśli ja już przemyślałem tę sprawę na wszystkie strony — rzekł, wyzwalając rękę z ujęcia Piotra Iwanowicza spokojnym ruchem, który zwiększył trochę odległość pomiędzy nimi, gdy szli przed siebie w dalszym ciągu. I dodał, że z pewnością całe furgony słów i teorii nie zapełnią tej przepaści. — Nie potrzeba tu żadnych rozmyślań. Jedynie poświęcenie wielu egzystencji mogło...

Umilkł, nie kończąc zdania.

Piotr Iwanowicz schylił z wolna swą wielką głowę o bujnej czuprynie. Po chwili zaproponował, żeby wrócili do domu dowiedzieć się, czy pani de S. była widziana.

— Dostaniemy herbaty — rzekł, opuszczając przyspieszonym krokiem ponurą aleję.

„Dama do towarzystwa” czekała na nich. Jej ciemna spódnica mignęła we drzwiach frontowych, gdy obaj mężczyźni ukazali się spoza węgła. Po czym odbiegła gdzieś i znikła, gdy weszli do holu. W surowym świetle, padającym przez zakurzone szyby szklanego sufitu na zabłocone białe i czarne tafelki posadzki, kroki ich odbijały się słabym echem. Wielki feministą poprowadził swego towarzysza na górę. Na balustradzie przeszła pierwszego piętra spoczywał dnem do góry wysoki, błyszczący kapelusz naprzeciwko podwójnych drzwi salonu, o którym mówiono, że go nawiedzały wywoływane duchy i do którego uczęszczali zbiegli rewolucjoniści. Popękany biały lakier i wypelzłe złocenia tych podwoi nie nasuwały przybyszowi żadnych innych obrazów prócz kurzu i pustki. Przed naciśnięciem masywnej, mosiężnej klamki, Piotr Iwanowicz obrzucił swego młodego towarzysza na w pół krytycznym, na w pół taksującym spojrzeniem.

— Nikt nie jest doskonałością — szepnął dyskretnie, w taki sposób, w jaki posiadacz rzadkiego klejnotu przed otwarciem puzderka ostrzegałby profana, że żadna perła może nie jest bez skazy.

Stał z ręką na klamce, dopóki Razumow nie przytaknął mu w zamyśleniu.

— Doskonałość sama nie sprawiałaby tego wrażenia — ciągnął dalej Piotr Iwanowicz — w świecie, który nie jest do tego przeznaczony. Ale znajdziesz tu umysł... Nie! Kwintesencję kobiecej intuicji, wnikającej w każdy najskrytszy zakątek cierpiącej duszy nieprzepartą siłą sympatii. Nic nie może pozostać ciemne wobec tej... tej natchnionej, tak, natchnionej przenikliwości, tego prawdziwego światła kobiecości.

Spojrzenie ciemnych okularów w swej szklistej nieruchomości nadawało jego twarzy wyraz bezwzględного przekonania. Razumowa jakby coś odepchnęło od tych drzwi zamkniętych.

— Przenikliwość? Światło! — wyszeptał... — Czy ma pan na myśli rodzaj jasnowidzenia?

Piotr Iwanowicz był zgorszony.

— Mam na myśli zupełnie co innego — odparł ze słabym uśmiechem politowania.

Razumowa pomimo chęci zaczął ogarniać gniew.

— To brzmi bardzo tajemniczo — mruknął przez zęby.

— Przecież nie masz nic przeciwko temu, żeby cię zrozumiano! — zagadnął wielki feminista.

Razumow wybuchnął rozdrażnionym szeptem:

— W jakim sensie? Proszę, zechciej pan zrozumieć, że jestem człowiekiem poważnym. Za kogo mnie pan bierze?

Popatrzyli na siebie uważnie. Pod nieprzeniknionym spojrzeniem błękitnych okularów, Razumow ochłonął. Piotr Iwanowicz nacisnął wreszcie klamkę.

— Przekonasz się zaraz — rzekł, otwierając drzwi.

Cichy, ochrypły głos ozwał się z głębi pokoju:

— Enfin! Vous voilà!

Stojąc we drzwiach i zasłaniając wewnątrz swą barczystą, czarno odzianą postacią, Piotr Iwanowicz zahuczał tubalnie i jakby chełpliwie:

— Tak! Jestem! — Spojrzał przez ramię na Razumowa, który czekał, by się tamten poruszył. — I przyprowadzam pani wypróbowanego spiskowca, prawdziwego tym razem. Un ami, celui-là!

Z tymi słowy usunął się nieco w bok, odsłaniając „wypróbowanego spiskowca”, który zdążył przez ten czas ułożyć twarz w ten sposób, by nie zdradzała jego gniewnej ciekawości i wewnętrznego niesmaku.

Razumow przyznaje się do tych uczuć w swoim pamiętniku, opisując pierwszą bytność u pani de S. Używam w moim opowiadaniu jego własnych słów, o których szczerości wątpić nie można. Pisał bowiem, o ile wnioskować mogę, jedynie dla siebie, ulegając nieprzepartemu popędowi wyładowywania

swych uczuć, właściwemu ludziom wiodącym tajemnicze, samotne życie, co tłumaczy owo nieuniknione istnienie „kompromitujących dokumentów” we wszystkich spiskach i sprzysiężeniach historycznych. Pamiętnik był dla Razumowa tym, czym jest zwierciadło dla człowieka patrzącego w nie z zaciekawieniem, a może z niepokojem, gniewem lub rozpaczą. Tak jak człowiek zagrożony mógłby patrzeć trwożnie na własną twarz w lustro, prawiąc sobie uspakajające wymówki o swym wyglądzie, napiętnowanym rysem czyhającej nań dziedzicznej choroby.

II

Egeria „rosyjskiego Mazziniego” sprawiała na pierwszy rzut oka bardzo mocne wrażenie trupią wprost nieruchomością swej mocno wymalowanej twarzy. Oczy wydawały się nadzwyczajnie błyszczące. Obcisła, doskonale uszyta, ale już nieświeża suknia uwydatniała elegancką smukłość kibici. Chrypliwy głos, zapraszający Razumowa, aby usiadł; sztywność wyprostowanej postawy, z jedną ręką wzdłuż poręczy kanapy; czarność rozszerzonych źrenic, odbijająca rażąco od wypukłych białek — wszystko to sprawiło na Razumowie wrażenie silniejsze niż cokolwiek bądź od chwili jego potajemnego wyjazdu z Petersburga.

„Czarownica w paryskiej sukni”, pomyślał. „Wiedźma!” I aż się zawahał, czy podejść do niej, nie rozumiejąc, co chrypliwy głos mówi.

— Usiądź pan, proszę. Przysuń sobie krzesło. Tu...

Usiadł. Z bliska ta wymalowana twarz o ostrych bruzdach po obu stronach ukarminowanych ust zdumiała go. Przyjęto go uprzejmie, z uśmiechem, który mu przypomniał trupią czaszkę z wyszczerzonymi zębami

— Od pewnego czasu słyszymy wciąż o panu.

Razumow nie wiedział, co ma odpowiedzieć i mruknął kilka słów bez związku.

— A wie pan na co się skarżą powszechnie? Na pańską wielką wstrzemięźliwość słów.

Razumow pomilczał chwilę, myśląc, co ma odpowiedzieć.

— Ja, proszę pani, jestem człowiekiem czynu — rzekł wreszcie zmatowiałym głosem, spoglądając w sufit.

Piotr Iwanowicz stał przy swoim krześle w poważnym, wyczekującym milczeniu. Razumowowi uczyniło się ckliwie. Jakim mógł być wzajemny stosunek tych dwojga ludzi? Ona, jak zgalwanizowany trup z jakiejś powieści Hoffmana; on — apostoł feministycznej Ewangelii dla całego świata i ultrarewolucjonista prócz tego! Ta stara, wymalowana mumia o niezgłębionych oczach i ten krępy, o byczym karku feminista... Co to było? Czym ona go oczarowała?...

„Pewnie pieniędzmi”, pomyślał Razumow. „Baba ma miliony.”

Ściany i posadzka pokoju były nagie jak stodoła. Nieliczne sprzęty powyciągano z lamusów i wzięto do użytku, nie odkurzywszy ich nawet porządnie. Były to rupiecie, które pozostawiła wdowa po bankierze. Okna bez firanek wyglądały brzydko i nieprzytulnie. W dwóch były spuszczone brudne, żółtawobiałe rolety. Wszystko to mówiło nie o nędzy, lecz o niechlujnym skąpstwie.

Ochrypli głos z kanapy zaskrzypiał gniewnie:

— Rozgląda się pan, Cyrylu Sidorowiczu. Ograbiono mnie bezwstydnie, zrujnowano.

Skrzekliwy, jakby mimowolny wybuch śmiechu przerwał jej na chwilę.

— Niewolnicza natura znalazłaby pociechę w tym, że głównym grabieżcą był ktoś wysoko postawiony, ni mniej ni więcej tylko Wielki Książę. Rozumie pan, panie Razumow? Wielki Książę! Nie! Nie ma pan pojęcia, jacy to są złodzieje! Skończeni złodzieje!

Pierś jej podniosła się gwałtownie, ale wyciągnięte wzdłuż poręczy ramię ani drgnęło.

— Zaszkożysz sobie tylko — wymówił głęboki głos, który przerażonym oczom Razumowa wydał się wychodzącym raczej z pod okularów Piotra Iwanowicza, niż z jego ust, które się ledwo poruszyły.

— I cóż stąd? Powtarzam, złodzieje. Voleurs! Voleurs!

Razumowa oszołomił zupełnie ten niespodziewany wybuch, zawodzący i skrzekliwy, ale nadewszystko histeryczny.

— Voleurs! Voleurs! Vol...

— Żadna siła na ziemi nie zdoła ograżyć cię z twego geniuszu! — zahuczał Piotr Iwanowicz potężnym basem, nie poruszywszy się wcale.

Nastąpiło głębokie milczenie.

Razumow pozostał pozornie niewzruszony.

„Co znaczy ta komedia?” pomyślał.

Wtem jakieś drzwi za nim stuknęły i „dama do towarzystwa” w poszarzałej spódnicy i przetartej bluzce weszła szybko, stąpając na piętach i niosąc w obu rękach duży samowar, widocznie za ciężki dla niej. Razumow poruszył się instynktownie, żeby jej pomóc, co ją tak wystraszyło, że omal nie upuściła swego syczącego ciężaru. Dodźwigała go jednak do stołu i miała tak przerażoną minę, że Razumow pośpieszył usiąść z powrotem. Następnie przyniosła z sąsiedniego pokoju cztery szklanki, czajnik i cukiernicę na czarnej, żelaznej tacy. Skrzekliwy głos zapytał nagle z kanapy:

— Les gateaux? Pamiętałeś o ciastkach?

Piotr Iwanowicz, nie rzekłszy słowa, wyszedł do sieni i wrócił natychmiast z paczką, owiniętą w biały, połyskujący papier, którą widocznie dobył z wnętrza swego kapelusza. Z niewzruszoną powagą rozwiązał sznurek i, wygładziwszy papier, położył paczkę na stole w pobliżu ręki pani de S—, „Dama do towarzystwa” nalała herbatę, poczem zaszyła się w najdalszy kąt pokoju. Raz po raz pani de S. wyciągała szponiastą rękę, połyskującą

kosztownymi pierścieniami, ku ciastkom, brała z nich jedno i pochłaniała, ukazując żarłocznie duże sztuczne zęby. W trakcie tego mówiła ochryplym głosem o położeniu na Bałkanach, budując wielkie nadzieje na powikłaniach politycznych, które tam mogły wyniknąć i wywołać w Rosji ruch oburzenia narodowego przeciw tym złodziejom, złodziejom, złodziejom...

— Zaszkożysz sobie tylko — wtrącił Piotr Iwanowicz, podnosząc swój szklany wzrok.

Palił papierosy i pił herbatę w milczeniu, bez przerwy. Gdy skończył jedną szklanę, kiwał ręką przez ramię. Na ten znak „dama do towarzystwa”, czekająca w swoim kąciku, z okrągłymi oczami, jak czujne zwierzę, podbiegała do stołu i nalewała mu pełną szklanicę.

Razumow spojrzał na nią parę razy. Była zmieszana, drżąca, choć ani pani de S., ani Piotr Iwanowicz nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

„Co oni zrobili temu biednemu stworzeniu?” zapytywał siebie Razumow. „Czy pomieszali jej w głowie duchami, czy po prostu biją ją, gdy nikt nie widzi?”

Gdy podawała mu drugą szklanę, zauważył, że usta jej drżą jak u wystraszonej osoby, która tylko co ma przemówić. Ale, oczywiście, nie rzekła nic i wróciła do swego kącika, jakby tuląc do łona uśmiech, jakim ją na podziękowanie obdarzył.

„Może warto by nawiązać z nią znajomość?” pomyślał nagle Razumow.

Uspokajał się stopniowo, zdając sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazł, może po raz pierwszy od chwili, gdy Wiktor Haldin wszedł do jego pokoju... i wyszedł. Uświadamiał sobie wyraźnie, że jest przedmiotem upiornej uprzejmości sławnej, osławionej pani de S.

Pani de S. przekonywała się z zadowoleniem, że ten młodzieniec nie był podobny do innych typów członków rewolucyjnych komitetów, tajnych emisariuszy, pospolitych i nieobytych towarzysko zbiegłych profesorów, ordynarnych studentów, eksszewców z twarzami apostołów, suchotniczych obdartych zapaleńców, młodych Żydków i wszelkiego rodzaju hołoty, skupiającej się zazwyczaj dokoła Piotra Iwanowicza — fanatyków, pedantów, proletariuszy. Przyjemnie było mówić do tego młodzieńca o wybitnie urodziwej powierzchowności — pani de S. bowiem nie zawsze bywała usposobiona mistycznie, a małomówność Razumowa usposabiała ją do tym większej gadatliwości. Przedmiotem jej były wciąż Bałkany. Znała wszystkich mężów stanu w tamtych stronach, Turków, Bułgarów, Czarnogórców, Rumunów, Greków, Ormian, młodych i starych, żywych i umarłych. Za pieniądze łatwo było wzniecić pożar na Półwyspie i oburzyć uczucia narodu rosyjskiego... Dałoby się słyszeć wołanie opuszczonych braci, a wówczas, przy ogólnym podnieceniu ludu wystarczy parę pułków, by wszcząć rewolucję wojskową w Petersburgu i skończyć z tymi złodziejami...

„Widocznie trzeba mi tylko siedzieć i słuchać”, pomyślał milczący Razumow. „Co się tyczy tego włochatego, wstrętnego grubasa (takim epitetem

obdarzył Razumow w duchu popularnego głosiciela koncepcji feministycznej ustroju społecznego), co się jego tyczy, to i on przy całej swej przebiegłości wygada się z czasem”.

Razumow przestał myśleć na chwilę. Potem zrodziła się w jego mózgu posepna uwaga, ironiczna i gorzka: „Mam dar budzenia zaufania”. I roześmiał się głośno. To dodało bodźca wymalowanej, błyszczącookiej starej wiedźmie na kanapie.

— Tak, tak, śmieję się pan — wrzasnęła ochryple. — Cóż innego tu można począć! Skończeni oszuści, jacy nikczemni oszuści! Tandetni Niemcy, Holstein- Gottorps. Może to i niebezpiecznie mówić, kim i czym oni są. Rodzina, która ma taką istotę jak Katarzyna Wielka pośród swoich przodków, pan rozumie...

— Zaszkodzisz sobie tylko — rzekł Piotr Iwanowicz cierpliwie, ale stanowczo.

To upomnienie wywarło zwykły wpływ na jego egerię. Przymknęła ciężkie, bezbarwne powieki i poprawiła się na kanapie. Jej ruchy, kanciaste i pozbawione życia, zdawały się zupełnie automatyczne teraz, gdy oczy miała zamknięte. Niebawem otworzyła je szeroko. Piotr Iwanowicz pił herbatę spokojnie, bez pośpiechu.

— Nie, doprawdy — rzekła, zwracając się wprost do Razumowa — ci, co pana w drodze tutaj poznali, mieli słuszość. Jest pan ogromnie wstrzeźliwym. Nie powiedział pan nawet dwudziestu słów, odkąd pan jest tutaj. A i twarz pana nie zdradza tego, o czym pan myśli.

— Słuchałem pani — rzekł Razumow, po raz pierwszy posługując się francuszczyzną z niejakim wahaniem, nie był bowiem pewny swego akcentu.

Ale ta francuszczyzna sprawiła doskonale wrażenie. Pani de S. spojrzała znacząco na okulary Piotra Iwanowicza, jak gdyby chcąc mu przekazać swoje przekonanie o zaletach tego młodzieńca. Skinęła nawet z lekka głową w jego kierunku i Razumow usłyszał, jak szepce słowa: „Później w służbie dyplomatycznej”, co mogło się odnosić tylko do korzystnego wrażenia, jakie sprawił. Fantastyczna niedorzeczność tego powiedzenia wzburzyła go; zdała się mu urągówiskiem wobec jego zwichniętej kariery. Piotr Iwanowicz, niewzruszony, jak gdyby głuchy, popijał herbatę. Razumow uczuł, że musi coś powiedzieć.

— Tak — zaczął z wolna, jakby wypowiadając pogląd już przemyślany. — Istotnie. Nawet gdy się planuje wojskową rewolucję, usposobienie ludu musi być brane w rachubę.

— Zrozumiał mnie pan doskonale. Niezadowoleni muszą być uduchowieni. Ale tego przeciętne mózgi komitetów rewolucyjnych nie chcą zrozumieć. Nie są do tego zdolne. Zeszłego miesiąca, na przykład, był w Genewie Mordatiew. Piotr Iwanowicz przyprowadził go tutaj. Zna pan Mordatiewa? Musiałeś o nim słyszeć! Nazywają go orłem, bohaterem! A nie zrobił nawet połowy tego, czego pan dokonał. Nie próbował nawet...

Pani de S. poruszyła się sztywno na kanapie.

— Oczywiście, chcieliśmy usłyszeć jego zdanie. Czy pan wie co mi powiedział? „Co nam do intryg bałkańskich? Musimy poprostu wytepić łotrów”. Wytepić, to bardzo dobrze... Ale co potem? Głupiec! Krzyknęłam na niego: „Ależ panie, wy musicie uduchować, rozumiesz pan, uduchować szemrzące masy!”

Nerwowym ruchem poszukała w kieszeni chusteczki i przycisnęła ją do ust.

— Uduchować? — powtórzył Razumow pytająco, patrząc na jej falującą pierś. Długie końce starej czarnej koronki, która okrywała jej głowę, zsunęły się z ramion i wisiały po obu stronach wyróżzowanych policzków.

— Wstrętny typ — wybuchnęła pani de S. — Wyobraź pan sobie gościa, który wkłada pięć kawałków cukru do herbaty... Tak, powiadam: uduchować. Jakże inaczej uczynić niezadowolenie skutecznym i powszechnym?

— Słuchaj tego, młodzieńcze — wtrącił Piotr Iwanowicz z namaszczeniem. — Skutecznym i powszechnym.

Razumow spojrział na niego podejrzliwie.

— Niektórzy twierdzą, że dokona tego głód.

— Tak, wiem! Nasz lud bywa stale głodny. Ale głodu nie można uczynić powszechnym. Zresztą, nam nie chodzi o wytworzenie rozpacz. Rozpacz nie jest podporą moralną. Nam trzeba oburzenia, buntu...

Pani de S. opuściła swą chudą rękę na kolana.

— Nie jestem jakimś Mordatiewem — zaczął Razumow.

— Bien sûr — szepnęła pani de S.

— Chociaż i ja również gotów jestem powiedzieć: wytepić, wytepić! Ale w mojej nieświadomości roboty politycznej pozwolę sobie zadać jedno pytanie: czy ta... hm... intryga bałkańska nie zajęłaby zbyt wiele czasu?

Piotr Iwanowicz wstał i spokojnie podszedł do okna. Równocześnie Razumow usłyszał stuk zamykających się drzwi. Odwrócił głowę i zobaczył, że dama do towarzystwa wysunęła się z pokoju.

— W sprawach politycznych jestem superrealistką — pani de S. brutalnie przerwała milczenie.

Piotr Iwanowicz odstąpił od okna i dotknął z lekka ramienia Razumowa. Był to znak do odwrotu, ale jednocześnie wielki feministka rzekł ze szczególnym naciskiem, zwracając się do pani de S.:

— Eleonoro!

Cokolwiek bądź to miało oznaczać, zdawała się nie słyszeć. Siedziała, wsunięta w kąć kanapy, jak figura drewniana. Nieruchoma cierpkość jej twarzy, obramowana czarną, zrudziałą koronką, miała w sobie coś okrutnego.

— Co się tyczy wytepienia — zakrakała, zwracając się do słuchającego uważnie Razumowa — w Rosji istnieje tylko jedna klasa, którą trzeba wytepić. Tylko jedna. A ta klasa składa się z jednej tylko rodziny. Rozumiesz mnie pan? Tę rodzinę trzeba wytepić.

Jej sztywność miała w sobie coś przerażającego, jak sztywność trupa galwanizowanego siłą morderczej nienawiści, by mówił srogo i patrzył błyszczącym wzrokiem. Widok ten niejako urzekł Razumowa, który mimo to czuł się bardziej niż kiedykolwiek panem siebie, od chwili gdy wszedł do tego niesamowicie pustego pokoju. Ale stojący przy nim wielki feministą powtórzył znowu ostrzegawczo:

— Eleonoro!

Lecz i tym razem puściła upomnienie mimo uszu. Jej wykarminowane usta poruszały się z nadzwyczajną szybkością i trzepały dalej, że duch wyzwolenia użyje broni, przed którą rzeki rozstąpią się jak Jordan, a twierdze padną jak mury jerychońskie. Plagi, klęski, cuda i wojny dokonają dzieła wyswobodzenia. Kobiety...

— Eleonoro!

Umilkła; wreszcie go usłyszała. Przycisnęła rękę do czoła.

— Co takiego?... Ach, tak!... Ta dziewczyna... siostra... Miała na myśli pannę Haldin. Te panie prowadziły bardzo odosobniony tryb życia. W Rosji mieszkały na prowincji, nieprawdaż? Matka miała być bardzo piękną; pozostały jeszcze ślady. Piotra Iwanowicza uderzyło to po prostu, gdy odwiedził je po raz pierwszy. Ale przyjęły go tak zdumiewająco chłodno...

— Jego! Naszą chlubę narodową! — wykrzyknęła pani de S. w nagłym uniesieniu. — Cały świat go uwielbia!...

— Nie znam tych pań — rzekł Razumow głośno, wstając z krzesła.

— Co pan mówi, Cyrylu Sidorowiczu! Przecież, jak słyszę, rozmawiał pan tu z nią w ogrodzie, któregoś dnia?

— Tak, w ogrodzie — rzekł Razumow posepnie. Potem dodał z wysiłkiem:

— Sama mi się przedstawiła.

— A potem uciekła od nas wszystkich — ciągnęła dalej pani de S. z upiorną żywością. — Przyszedszy tu, do samych drzwi. Co za szczególne postępowanie! Ja sama byłam kiedyś nieśmiałą, prowincjonalną gąską. Tak, Razumowie — temu poufałemu zwrotowi towarzyszył taki przerażający grymas rzekomej serdeczności, że Razumow aż się wzdrygnął — tak. Pochodzę z przeciętnej rodziny prowincjonalnej.

— Ty, Eleonoro, jesteś wyjątkową istotą — ogłosił Piotr Iwanowicz najgłębszym basem.

Ona jednak obdarzyła nie jego, lecz Razumowa, uśmiechem trupiej głowy, po czym rzekła nakazująco:

— Musi pan przyprowadzić tu tę młodą dziczkę. Potrzebujemy jej. Liczę na pana w tym względzie. Pamiętaj!

— Ona wcale nie jest dziczka — mruknął Razumow cierpko.

— A więc... zresztą mniejsza z tym. Może być jakąś zarozumiałą demokratką. Wie pan, co myślę? Myślę, że jesteście bardzo podobni do siebie

pod względem charakterów. W panu tleje ogień pogardy. Jesteś z tych, co sobie sami wystarczają. Ale ja widzę duszę pana na wskroś.

Jej błyszczące oczy patrzyły z suchym napięciem gdzieś w dal, a Razumowa ogarnęła nedorzeczna trwoga, że ta wiedźma widzi coś stojącego poza nim. Nawymyślałszy sobie w duchu od wrażliwych głupców, zapytał z wymuszonym spokojem:

— Co pani widzi? Coś podobnego do mnie?

Poruszyła swą sztywno ściągniętą twarzą od lewej do prawej strony, przecząco.

— Coś w rodzaju mego widma? — ciągnął dalej Razumow z wolna. — Bo przypuszczam, że dusza, gdy się ją widzi, tak musi wyglądać. Coś nikłego. Bywają widma zarówno ludzi żywych, jak umarłych.

Napięcie wzroku pani de S. opadło; patrzyła teraz na Razumowa w milczeniu, które stawało się kłopotliwe.

— Ja sam doświadczyłem tego — wybełkotał Razumow, jakby pod przymusem. — Widziałem raz widmo.

Z nienaturalnie czerwonych warg pani de S. wypadło ostre pytanie:

— Zmarłej osoby?

— Żyjącej.

— Przyjaznej?

— Nie.

— Wrogiej?

— Nienawidziłem go.

— Ach! Więc to nie była kobieta?

— Kobieta! — powtórzył Razumow, patrząc prosto w oczy pani de S. — Dlaczego miałyby to być kobiety? Skąd taki wniosek? Dlaczego nie miałbym nienawidzić kobiety?

W gruncie rzeczy, myśl, że mógłby znienawidzić kobietę, była dla niego nową. W tej chwili nienawidził pani de S. Właściwie nie była to nienawiść, lecz odraza, jaką mogłaby w nim wzbudzić jakaś wstrętna drewniana lub gipsowa figura. Ona była prawie równie nieruchoma jak taka figura; nawet oczy jej, których niewzruszony wzrok zatapiał się w jego źrenicach, pomimo że błyszczały, były bez życia i wydawały się tak samo sztuczne jak jej zęby. Po raz pierwszy Razumow uczuł w tej chwili jakąś nikłą woń, która, pomimo że nikła, była dla niego mdlącą w najwyższym stopniu.

Piotr Iwanowicz dotknął znów z lekka jego ramienia. Razumow tedy skłonił się i chciał odejść, gdy nagle jako dowód nadzwyczajnej łaski wyciągnęła się ku niemu koścista, martwa ręka, a ukarminowane usta wymówiły ochryplą francuszczyzną:

— Au revoir!

Razumow pochylił się nad tą kościotrupią ręką i wyszedł z pokoju w towarzystwie wielkiego męża, który go przepuścił przodem. Głos z kanapy zawołał za nimi:

— Zostajesz tu, Pierre!

— Oczywiście, ma chère amie!

Wyszedł jednak z Razumowem, zamykając za sobą drzwi. Sień przedłużała się na prawo i na lewo w długi, nagi korytarz, tworząc rozpaczliwe, białe-złote perspektywy, bez kawałka dywanika. Światło nawet, wlewające się przez wielkie okno u samego końca korytarza, wyglądało jak zakurzone, a samotny kleks, sterczący na balustradzie z białego marmuru — jedwabny cylinder wielkiego feministy — odcinał się nadzwyczajną czernią i połyskiem na tej całej surowej bieli.

Piotr Iwanowicz prowadził gościa nie otwierając ust. Nawet gdy doszli do schodów, nie przerwał milczenia. Razumow zamierzał zejść na dół i wyjść z domu nie ukloniwszy się nawet, lecz ta chęć opuściła go nagle. Przystanął na pierwszym stopniu i oparł się plecami o ścianę. Wdole ogromny hol ze swą posadzką z czarnych i białych płyt wydawał się niedorzecznie wielki i podobny do jakiegoś publicznego wnętrza, gdzie potęga rezonansu czeka, aby ją wywołały kroki i głosy.

— Doprawdy — zaczął z cicha Razumow, jak gdyby lękając się zbudzić głośnie echa tego pustego domu — nie mam zgoła zamiarów zostać dyletanckim spirytystą.

Piotr Iwanowicz z wielką powagą pokiwał z lekka głową.

— Ani trawić czas na duchowych ekstazach lub rozmyślaniach nad ewangelią feminizmu — ciągnął Razumow. — Przybyłem tu, aby wziąć udział w działaniu, najszanowniejszy Piotrze Iwanowiczu! I nie szukałem tu, w tym wstrętym mieście wolności, pisarza europejskiej sławy. Szukałem kogoś znacznie większego. Pociągała mnie sama idea przywódcy. Są w Rosji przymierający głodem młodzi ludzie, którzy tak wierzą w pana, iż można rzec, że tylko ta wiara utrzymuje ich przy życiu w ich nędzy. Pomyśl pan o tym, Piotrze Iwanowiczu. Nie! Pomyśl tylko o tym!

Wielki mąż, interpelowany w ten sposób, stał nieruchomy i milczący, jak uosobienie cierpliwej, pogodnej czci i godności.

— Oczywiście nie mówię o ludzie — dodał Razumow tym samym przyciszonym lecz dobitnym głosem. — To bydło!

Tu szept przeczący wyszedł z brody „bohaterskiego zbiega”; szept władny:

— Powiedz: dzieci!

— Nie. Bydło — powtórzył Razumow szorstko. — I pan nie może zaprzeczyć wrodzonej niewinności bydłęcia. Lecz po co mamy się sprzeczać o nazwy. Niechże pan spróbuje dać tym dzieciom władzę i postawę dorosłych mężczyzn, zobaczy pan, co uczynią. Spróbuj pan tylko! Ale mniejsza o to. Mówię panu, Piotrze Iwanowiczu, że gdy w nędznej izdebce studenckiej zbierze się pół tuzina głodomorów, zaraz zaczynają szeptać o panu, nie jako o przywódcy myśli, lecz jako o człowieku ogniskującym w sobie energię rewolucyjną, o człowieku będącym środowiskiem działania. Jak pan myśli, co

mnie tu do pana przywiodło? Z pewnością nie to, co cały świat wie o panu, lecz właśnie to, o czym ten szeroki świat nie wie. Tak, to mnie tu nieodparcie pociągało, powiedzmy, zmuszało, lub raczej pchało! Pchało! — powtórzył Razumow głośno i umilkł, jakby wystraszony głuchym pogłosem słowa „pchało”, rozlegającym się po obu nagich korytarzach i wielkim pustym holu.

Piotr Iwanowicz nie zdawał się być w najmniejszym stopniu zaskoczonym. Młodzieniec nie mógł się powstrzymać od wybuchu suchego, niespokojnego śmiechu. Wielki rewolucjonista pozostał niewzruszony, jakby na piedestale swej pospolitej, parafiańskiej wyższości.

„Bodaj go lichu wzięło”, pomyślał Razumow. „Czeka za swymi okularami, żebym się wygadał”. Po czym głośno, z szatańską chętką zadrwienia sobie z wielkości wielkiego męża, rzekł:

— Ach! Piotrze Iwanowiczu! Gdyby pan tylko wiedział, jaka siła pociągnęła mnie, nie, przywiodła mnie do pana! Jaka nieprzeparta siła!

Nie czuł teraz ochoty do śmiechu. Tym razem Piotr Iwanowicz przekrzywił głowę na ramię, jak gdyby chciał powiedzieć: „Doprawdy?”. Ten wymowny ruch był prawie niedostrzegalny.

Razumow ciągnął z ukrytym szyderstwem:

— Odkąd tu jestem, próbował pan mnie przeniknąć, Piotrze Iwanowiczu. To bardzo naturalne. Spostrzegłem to i byłem szczery. Myśli pan może, iż nie byłem dostatecznie się wywnętrzającym. Ale z takim człowiekiem jak pan to było zbyt łatwe, mogło zakrawać nawet na impertynencję. A przy tym my, Rosjanie, jesteśmy na ogół zbyt gadatliwi. Zawsze to czułem. Zaś jako naród jesteśmy niemi. Upewniam pana, iż nieprędko rozgadam się tak znowu, ha! ha!

Razumow, wciąż stojąc na niższym stopniu, przybliżył się trochę do wielkiego męża:

— Był pan aż nadto wyrozumiały. Domyśliłem się, że chciał pan niejako oswoić mnie ze sobą w ten sposób. Musi mi pan oddać sprawiedliwość, że nie starałem się podobać. Namówiono mnie, a raczej posłano, powiedzmy, posłano do pana, aby dokonać czegoś, czego nikt inny prócz mnie dokonać nie może. Nazwie pan to może nieszkodliwym urojeniem, śmiesznym, zasługującym nawet na uśmiech z pańskiej strony. Niedorzeczny jestem, mówiąc w ten sposób, jednak mam nadzieję, że kiedyś przypomni pan sobie moje słowa. Dość na tym. Oto stoję przed panem wyspowiadany. Ale jedno jeszcze muszę dodać dla uzupełnienia: nigdy nie zgodzę się być ślepem narzędziem.

Razumow mógł być przygotowany na wiele rzeczy, tylko nie na to, że wielki feminista uchwyci obie jego ręce. Ruch ten był tak szybki, że można się go było przestraszyć, bo równie dobrze mógł być objawem serdeczności, jak zdradzieckim zepchnięciem Razumowa ze schodów i wpakowaniem go do ciemnej nory, w jakie ten dom o tyłu zamkniętych drzwiach zdawał się obfitować. Myśl ta nasunęła się nawet Razumowowi i gdy krępy feminista puścił jego ręce po milczącym uścisku, serce młodzieńca biło jak młotem, lecz uśmiechnął się, patrząc prosto w brodę i okulary, kryjące tego

nieprzeniknionego człowieka. Równocześnie zaś Razumow pomyślał (jest to zapisane wyraźnie w jego pamiętniku): „Nie ruszę się stąd, dopóki albo nie przemówi, albo nie odejdzie. To pojedynek”.

Mineła długa chwila milczenia,

— Tak, tak — rzekł wielki mąż spiesznie, głosem przyciszonym, jak na jakiej potajemnej, ukradkowej schadzce. — Właśnie. Przyjdź do nas za parę dni. Musimy to przetrwać obaj do gruntu... do gruntu. Ale, ale, musisz przyprowadzić Natalię Wiktorownę... Wiesz, siostrę Haldina.

— Czy mam to uważać za pierwsze pańskie zlecenie? — zapytał Razumow sztywno.

Piotr Iwanowicz stropił się trochę tym nowym zachowaniem młodzieńca.

— Hm! Hm!... Pan oczywiście jest najodpowiedniejszym... la personne indiquée. Wszyscy będą potrzebni wkrótce... wszyscy.

Pochylił się z przęsła ku Razumowowi, który spuścił oczy.

— Chwila działania zbliża się — szepnął.

Razumow nie podniósł oczu. Nie ruszył się z miejsca, aż usłyszał drzwi salonu, zamykające się za największym z feministów, powracającym do swej wymalowanej egerii, po czym zszedł z wolna do holu. Drzwi frontowe były otwarte i cień domu padał ukośnie na taras. Mijając go, Razumow zdjął kapelusz i otarł wilgotne czoło, oddychając głęboko i mocno, aby się pozbyć resztek tego powietrza, którym oddychał w tym domu. Popatrzył na dłonie i z lekka przesunął nimi po udach.

Doznał dziwnego wrażenia, jak gdyby jakieś drugie jego ja, samoistnie przebywające w jego umyśle, świdrowało go niemal na wskroś.

— To ciekawe — pomyślał i po chwili dodał:

— Bodaj to wszyscy diabli...

Ogarnął go niezmierny niesmak i niepokój.

— A to wszystko z wyczerpania nerwowego — pomyślał ze znużeniem.

— I jakże to będzie dalej, jeżeli stracę władzę odporności, moralnej odporności?

Ruszył ścieżką u stóp tarasu,

— Moralnej odporności, moralnej odporności — powtarzał w duchu.

Tak, to była konieczność sytuacji. Ogarnęła go istna żądza wydostania się stąd i znalezienia się na drugim końcu miasta, by tam, we własnym pokoju, rzucić się na łóżko i spać godzinami, zapomnieć o wszystkim choć na chwilę.

— Czy podobna, żebym był tak słaby? — zapytał sam siebie z nagłym przestrawieniem.

— A! Co to jest?

Drgnął, jak zbudzony ze snu i aż się zachwiał.

— O! Opuściła nas pani niepostrzeżenie, żeby tu spacerować — rzekł.

„Dama do towarzystwa” stała przed nim, piastując kota w objęciach, ale skąd się tu wzięła, nie miał pojęcia.

— Musiałem chyba iść i nie wiedzieć, co się ze mną dzieje — pomyślał Razumow ze zdumieniem. Podniósł kapelusz i ukłonił się z wyszukaną grzecznością.

Chuda kobieta splonęła ciemnym rumieńcem. Miała swój zwykły, wystraszony wyraz twarzy, jak gdyby tylko co przekazano jej jakąś okropną wiadomość. Ale nie ustępowała z placu dosyć rezolutnie, jak zauważył Razumow.

„Jak ona marnie wygląda”, pomyślał.

W słonecznym oświetleniu jej czarna odzież wydawała się zielonkawa i, tu i owdzie, poprzecierana i jakby zaszuszone ze starości. Nawet jej włosy i brwi miały zniszczony wygląd. Razumow byłby jej dał ze sześćdziesiąt lat. Ale kibić miała dosyć młodą. Zauważył również, iż nie sprawiała wrażenia istoty zagłodzonej, tylko takiej, która się żywi niezdrowymi odpadkami i resztkami z talerzy.

Razumow uśmiechnął się uprzejmie i usunął jej się z drogi. Ale ona odwróciła głowę, by spojrzeć na niego swymi wystraszonymi oczyma.

— Wiem, co tam panu powiedziano — stwierdziła bez żadnego wstępu, głosem dziwnie pewnym w zestawieniu z jej zabiedzoną i załęknioną miną.

— Doprawdy? — rzekł Razumow swobodnie. — Musiała się tu pani niejednego nasłuchać w rozmaitych okolicznościach.

— Wiem na pewno, co panu tam polecono uczynić — powiedziała, zmieniając treść zdania, lecz z tą samą śmieszną stanowczością.

— Istotnie? — Razumow wzruszył z lekka ramionami.

Chciał już wyminąć ją z ukłonem, gdy nagle uderzyła go pewna myśl.

— Tak. Z pewnością. Na pani stanowisku musi pani wiedzieć wiele rzeczy — szepnął, patrząc na kota.

„Dama do towarzystwa” obdarzyła kota przelotną pieśczęcią.

— Wszystko od dawna stało mi się jasne — oświadczyła.

— Wszystko — powtórzył Razumow mechanicznie.

— Piotr Iwanowicz jest straszliwym despotą! — sarknęła.

Razumow w dalszym ciągu wpatrywał się w popielate, centkowane futerko kota.

— Żelazna wola jest nieodłączną cechą takich charakterów. Jakże bez tego mógłby być przywódca? Ale sądzę, że pani się myli!...

— Otóż to! — wykrzyknęła. — Pan mi mówi, że ja się mylę. Ale mówię panu, że on nie dba o nikogo. — Wyrzuciła głowę w górę. — Nie przyprowadzaj pan tutaj tej dziewczyny. Wszak to panu kazano uczynić: przyprowadzić ją tutaj. Niechże więc mnie pan posłucha. Uwiąż jej lepiej kamień u szyi i wrzuć ją do jeziora.

Razumowowi zrobiło się nagle zimno, jakby czarna chmura przesłoniła słońce.

— A cóż ja mam z nią wspólnego? — rzekł.

— Ale powiedziano panu, żeby pan przyprowadził Natalię Haldin? Czy nie mam racji? Oczywiście, że mam. Nie byłam w pokoju, ale wiem. Znam dostatecznie Piotra Iwanowicza. To wielki człowiek. Wielcy ludzie są straszni. Otóż to. Nie ma pan z nią nic wspólnego. I nie miej nadal. Chyba, że chcesz, żeby się tak, jak ja, rozczarowała! Rozczarowała!

— Jak pani? — powtórzył Razumow, patrząc na jej twarz tak pozbawioną wszelkiego powabu rysów i cery, jak najnędzniejsza żebraczka pozbawiona jest pieniędzy. Uśmiechnął się, wciąż czując się zziębniętym i to szczególne wrażenie sprawiało mu przykrość. — Rozczarowana co do Piotra Iwanowicza? Czy to wszystko, co pani w życiu straciła?

— Piotr Iwanowicz starczy za wszystko — rzekła, wciąż wystraszona, lecz z głębokim przekonaniem. I wnet innym już tonem dodała:

— Trzymaj ją pan z dala od tego domu.

— Więc pani koniecznie namawia mnie do sprzeciwienia się życzeniu Piotra Iwanowicza dlatego... dlatego, żeś się do niego rozczarowała.

Zaczęła mrugać powiekami.

— Jak tylko pana po raz pierwszy zobaczyłam, doznałam pociechy. Zdjął pan przede mną kapelusz, tak grzecznie. Pan budzi zaufanie. Och!

Cofnęła się z lekkim okrzykiem, Razumow bowiem aż parsknął z wściekłości.

— Już mi to kiedyś powiedziano — szepnął.

„Dama do towarzystwa” stropiła się tak ogromnie, że długi czas mrugała powiekami.

— Bo ma pan takie ludzkie obejście — wytłumaczyła mu żałośnie — a ja po prostu łaknęłam bodaj odrobiny już nie dobroci, ale uprzejmości. A teraz pan się gniewa...

— Ależ nie, bynajmniej — zaprzeczył, — Jestem bardzo rad, że mi pani ufa. Może kiedyś będę mógł...

— Tak, gdyby pan zachorował — przerwała żywo — lub gdyby pana jakie nieszczęście spotkało, przekonałby się pan, że i ja mogę się na coś przydać. Tylko daj mi pan znać. Przyjdę do pana. Doprawdy przyjdę. I nie odstąpię pana. Nędza i ja jesteśmy stare znajome, ale to życie tutaj gorsze jest niż niedostatek.

Umilkła, zaniepokojona, po czym, głosem po raz pierwszy nieśmiałym, dodała:

— Albo gdyby pan rozpoczął jakąś niebezpieczną robotę... Czasem taka skromna pomocnica... Ja nie potrzebowałabym o niczym wiedzieć... Szłabym wszędzie za panem z radością... Albo gdzie by mnie pan posłał. Jestem odważna.

Razumow wpatrywał się uważnie w jej okrągłe, wystraszone oczy i zwiędłe policzki, drżące koło kącików ust.

„Chciałaby stąd uciec”, pomyślał.

— A gdybym pani powiedział, że zacząłem istotnie pewną niebezpieczną robotę?— wymówił z wolna.

Przycisnęła kota do piersi z zadyszaniem okrzykiem: „Ach!”, po czym dodała szeptem:

— Pod kierunkiem Piotra Iwanowicza?

— Nie, nie pod kierunkiem Piotra Iwanowicza.

W oczach jej wyczytał uwielbienie i próbował się uśmiechnąć:

— Więc — sam?

Pokazał jej zaciśniętą pięść z podniesionym do góry wskazującym palcem.

— Jak ten palec.

Zadrżała z lekka. Lecz Razumowowi przyszło na myśl, że z domu mogliby ich widzieć i chciał już odejść co prędzej.

Ona zaś, mrugając powiekami, podniosła ku niemu swą zmiętą twarz, zdając się błagać milcząco o coś więcej, o jakieś słowo zachęty dla swej łaknącej, śmiesznej, a zarazem rozrzewniającej tkliwości i wierności.

— Czy nas mogą widzieć z domu? — zapytał Razurnow poufnie.

Nie okazując najmniejszego zdziwienia z powodu tego zapytania, odpowiedziała:

— Nie, stajnie zasłaniają. — I dodała z bystrością, która w podziw wprowadziła Rozumowa:

— Ale ktoś patrzący zgóry przez okno wiedziałby, że pan jeszcze nie wyszedł za bramę.

— A któżby mnie szpiegował przez okno? — zapytał Razumow. — Piotr Iwanowicz?

Skinęła głową milcząco,

— Miałby czym zaprzętać sobie głowę,

— Spodziewa się dzisiaj kogoś.

— Pani zna tę osobę,

— Będzie ich więcej niż jedna.

Spuściła powieki, Razumow patrzył na nią ciekawie,

— Oczywiście. Pani słyszy wszystko, o czym mówią.

— Tak samo jak stoły i krzesła — szepnęła bez żadnej zawziętości.

Razumow odgadł, że gorycz nagromadzona w sercu tej zabiedzzonej istoty weszła jej w żyły i niby subtelna trucizna zwarzyła jej wierność względem tamtej nienawistnej pary. Pomyślał, że to się szczęśliwie składało dla niego, ponieważ kobiety nie są tak sprzedajne jak mężczyźni, których można kupić dla względów materialnych. Mógł pozyskać w niej dobrą współpracowniczkę, choć wątpliwym się zdawało, żeby powołono jej słyszeć tyle co słyszą stoły i krzesła w Chateau Borel. W każdym razie można ją było pociągnąć za język.

Gdy podniosła oczy, spotkała się z badawczym spojrzeniem Razumowa, który zaczął żywo:

— No, no, droga... kiedyż, bo, słowo daję, nie wiem dotąd, jak się pani nazywa... Jakież to dziwne, nieprawdaż?

Po raz pierwszy wzruszyła ramionami.

— Wcale nie dziwne. Nikomu się nie mówi mego nazwiska. Nikt o to nie dba. Nikt ze mną nie rozmawia, nikt do mnie nie pisze. Nawet rodzice moi nie wiedzą, czy żyję jeszcze. Nazwisko mi jest niepotrzebne i sama prawie zapomniałam o nim.

Razumow szepnął poważnie:

— Tak, ale w każdym razie...

Mówiła dalej, znacznie wolniej, obojętnym tonem:

— Może mnie pan nazywać Teklą. Mój biedny Andrzej tak mnie nazywał. Byłam bardzo przywiązana do niego. Cierpiał, był nieszczęśliwy i umarł w nędzy. To los nas wszystkich Rosjan, bezimiennych Rosjan. Nic innego dla nas nie ma i żadnej nadziei, chyba...

— Chyba że co?

— Chyba że ci wszyscy z nazwiskami znikną ze świata — dokończyła, mrugając powiekami i sznurując usta.

— Łatwiej mi przyjdzie nazywać panią Teklą, jak mi to pani każe — rzekł Razumow—jeśli pani sama zechce mi mówić po imieniu. Cyryl mi na imię, skoro nam się zdarzy rozmawiać tak spokojnie, we dwoje...

I powiedział sobie: „To jest istota, która musi niezmiernie lękać się świata, jeżeli dotąd nie uciekła z takiego położenia”.

Ale nasunęła mu się uwaga, że sam fakt opuszczenia wielkiego męża wzbudziłby wobec niej podejrzenie. Nie znalazłaby nigdzie opieki i poparcia.

Postąpiła z nim parę kroków, wciąż mrugając powiekami i z lekka kołyszając kota w objęciach.

— Tak, tylko my we dwoje. Zupełnie jak z moim biednym Andrzejem, tylko że on był umierający, te bydlęta urzędnicy go zabili, a pan... pan jest silny. Sam zabijasz te potwory. Spełniłeś wielki czyn. Sam Piotr Iwanowicz musi mieć dla ciebie uznanie. A więc, nie zapomnij pan o mnie, zwłaszcza, jeżeli będzie pan wracał do Rosji, żeby tam działać. Mogłabym pojechać za panem, przewieźć co byłoby potrzeba... oczywiście zachowując dystans. Albo mogłabym czatować na ulicy godzinami, w śnieg czy w deszcz, tak, mogłabym, bodajby cały dzień. Albo mogłabym pisać za pana jakieś niebezpieczne dokumenty, zlecenia, listy nazwisk, by w razie niepowodzenia pismo nie skompromitowało pana. A gdyby mnie złapali, to i tak nie potrzebowałyby się pan niczego obawiać. My, kobiety, nie tak łatwo dajemy się zastraszyć bólowi. Słyszałam Piotra Iwanowicza mówiącego, że to dzięki naszym niewrażliwym nerwom, czy coś takiego. I to jest prawda. Jesteśmy wytrzymalsze. Ja bym sobie prędzej odgryzła język i wypluła go na nich. A co mi po mowie. Kto by tam dbał o to, co powiedzieć mogę. Odkąd zamknęłam oczy memu biednemu Andrzejowi, nie spotkałam człowieka, który by się zatroszczył o dźwięk mego głosu. I do pana nie odezwałabym się także, gdyby pan od pierwszej bytności

tutaj nie był dla mnie taki grzeczny. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie powiedzieć o panu tej ślicznej, kochanej panience. Ach, jaka to urocza istota! I taka silna. Od razu to widać. Jeżeli ma pan Boga w sercu, nie przyprowadzaj jej tutaj. Do widzenia!

Razumow chwycił ją za rękę. W pierwszej chwili chciała się wyrwać, ale potem stanęła cicho, nie patrząc na niego.

— Ale to może mi pani powiedzieć — szepnął jej do ucha — dlaczego im tu w domu tak chodzi o to, żeby ją pozyskać?

Wyszarpnęła mu się, jak gdyby nagle rozgniewana.

— Alboż pan nie rozumie, że Piotr Iwanowicz musi kierować, rządzić, przewodzić. Nie potrafiłby żyć bez tego. Nigdy mu nadto uczniów... Nie może znieść, żeby mu się kto wymknął. A cóż dopiero kobieta! Powiada, że bez kobiet niczego dokonać nie można. Napisał to. On...

Mówiła z tak namiętym wybuchem, że młodzieniec aż się zdumiał; gdy nagle urwała, pobiegła i znikła za węglem stajen.

III

Razumow, zostawiony tak samemu sobie, skierował się ku bramie. Ale nie sądzone mu było odejść stąd bez jednej jeszcze rozmowy.

Spoza domku odzwiernego ukazali się oczekiwani goście Piotra Iwanowicza, grupka złożona z dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Oni też natychmiast sostrzegli Razumowa i przystanęli nagle, jakby dla naradzenia się. Ale w chwilę potem kobieta, usunąwszy się, dała znak ręką obu mężczyznom, którzy, zeszedłszy z drogi podjazdowej, podążyli przez zapuszczony trawnik, ona zaś pozostała na drodze, oczekując nadejścia Rozumowa. Rozpoznali się nawzajem. On zetknął się z nią w Zurychu, gdzie przerwał podróż, przybywszy tam z Drezna, i w ciągu trzydniowego pobytu bardzo często się z nią widywał.

Miała na sobie to samo ubranie, w jakim ją po raz pierwszy zobaczył. Po karmazynowej jedwabnej bluzce można ją było poznać z daleka. Do tego krótka, brązowa spódnica i skórzany pasek. Cerę miała koloru kawy z mlekiem, ale bardzo jasnej; oczy były czarne i błyszczące, kibić prosta jak trzcina. Podniszczony kapelusz z ciemnego sukna tyrolskiego leżał na gęstych, luźno upiętych, prawie białych włosach. Wyraz jej twarzy był skupiony i poważny; tak poważny, że Razumow, zbliżywszy się, poczuł się prawie zmuszony do uśmiechu. Powitała go miękkim uściskiem ręki.

— Jak to? Odchodzi pan! — zawołała. — Jakże to, Razumowie?

— Odchodzę, bo nie proszono mnie, abym został — odpowiedział Razumow, odwzajemniając jej powitalny uścisk dłoni ze znacznie mniejszą siłą. Przekrzywiła głowę na bok, jak ktoś, kto zrozumiał. Tymczasem oczy Razumowa podążyły za idącymi trawnikiem mężczyznami. Przecinali murawę na ukos, bez pośpiechu. Niższy z nich był opięty wąskim paltotem z jakiegoś

cienkiego, popielatego materiału, sięgającym mu prawie do pięt. Jego towarzysz, znacznie wyższy i bardziej barczysty, ubrany był w krótką, obcisłą marynarkę i również obcisłe spodnie, wsunięte w zniszczone buty z cholewami.

Kobieta, która oddaliła ich (zapewne aby się nie zetknęli z Razumowem) rzekła spokojnym głosem:

— Musiałam przyjechać z Zurychu umyślnie, aby spotkać tych dwóch na stacji i przyprowadzić ich tu do Piotra Iwanowicza.

— Ach tak! — odparł Razumow, bardzo niezadowolony z tej rozmowy.

— Z Zurychu, oczywiście... A ci dwaj przyjechali...

Przerwała mu bez pośpiechu:

— Zupełnie z innych stron. Z daleka... Z bardzo daleka.

Razumow wzruszył ramionami. Przybysze „z daleka” doszli tymczasem do ściany tarasu i znikli nagle u jego stóp, jak gdyby ich ziemia pochłonęła.

Kobieta w karmazynowej bluzce wzruszyła również z lekka ramionami i rzekła:

— Ano tak. Przybyli z Ameryki. Czas się zbliża — wtrąciła, jak gdyby mówiąc do siebie. — Nie powiedziałam im, kim jesteś. Jakowlicz byłby chciał z pewnością cię uściskać.

— Czy to ten z kosmykiem włosów, wiszącym mu u podbródka, w długim palcie?

— Zgadł pan, Razumowie. To Jakowlicz.

— I nie mogli tu trafić ze stacji, tylko pani musiała przyjechać z Zurychu, żeby im drogę pokazać? Doprawdy, bez kobiet nic się nie da zrobić. Tak napisano i tak widocznie jest.

Powiedział to z sarkazmem, spod którego przebijało bezgraniczne znużenie. I zauważył, że dostrzegła to swymi błyszczącymi, czarnymi oczami.

— Co panu jest, panie Razumow?

— Nie wiem. Nic. Miałem szatański dzień.

Czekala, wpatrując się wciąż w niego. Po czym...

— I cóż z tego? Wy, mężczyźni, jesteście tak wrażliwi, ufni w siebie. Jeden dzień jest podobny do drugiego, ciężki, ciężki i tak być musi, dopóki wielki dzień nie przyjdzie. A ja tu byłam potrzebna. Donieśli Piotrowi Iwanowiczowi o swoim przyjeździe, ale skąd? Dopiero z Cherbourg, na kawałku papieru okrętowego. Jakowlicz długie lata mieszkał w Ameryce. Ja byłam jedyną osobą pod ręką, która знаła go w dawnych czasach. I znałam go bardzo dobrze. Więc Piotr Iwanowicz zatelegrafował do mnie, prosząc, żebym przyjechała. To chyba bardzo proste.

— I pani przyjechała stwierdzić tożsamość jego osoby? — zapytał Razumow,

— Tak, coś w tym rodzaju. Piętnaście lat takiego życia, jakim było jego życie, może zmienić człowieka. Samotny jak wrona, w obcym kraju. Gdy pomyślę o Jakowliczu przed jego wyjazdem do Ameryki...

Miękkość jej cichego głosu sprawiła, że Razumow spojrział na nią z ukosa. Westchnęła; czarne oczy patrzyły w dal. Zanurzyła palce prawej ręki głęboko w gęstwinę swych mlecznych prawie włosów i przesuwając je tam z roztargnieniem. Gdy cofnęła rękę, tyrolski kapelusik, sterczący na czubku głowy, przekrzywił się w sposób dość zabawny i jakby pytający, co stanowiło silną sprzeczność z szeptem wspomnienia, jaki jej się wymknął.

— I wtedy już nie byliśmy oboje pierwszej młodości. Ale mężczyzna jest zawsze dzieckiem.

Razumow pomyślał nagle: „Żyli ze sobą”, po czym zapytał bez ogródek:

— Dlaczego nie pojechała pani z nim do Ameryki?

Spojrzała na niego z pewnym pomieszaniem.

— Alboż nie pamięta pan, co się działo przed piętnastoma laty? Były to czasy działania. Rewolucja ma już swoją historię do tej pory. Pan wciąż działa, a zdaje się nie wiedzieć. Jakowlicz pojechał wtedy z pewną misją. Ja wróciłam do Rosji. Tak było trzeba. A potem... nie miał już po co wracać.

— Ach, doprawdy? — mruknął Razumow z udanym zdziwieniem. — Nie miał po co wracać!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zawołała żywo. — A choćby i zniechęcił się trochę... to cóż z tego?

— Z tą kozią bródką wygląda na Jankesa. Istny wuj Sam — warknął Razumow. — No a pani? Pani wróciła do Rosji. Pani się nie zniechęciła.

— Mniejsza z tym, Jakowlicz jest w każdym razie człowiekiem, któremu bezwzględnie można zaufać!

Jej czarne, przenikliwe oczy tkwiły w twarzy Razumowa podczas gdy mówiła i jeszcze chwilę potem.

— Przepraszam panią — zagadnął Razumow chłodno — czy to ma znaczyć, że na przykład ja nie jestem człowiekiem, któremu można zaufać bezwzględnie?

Nie zaprzeczyła, zdawać się mogło, że nie słyszała pytania; patrzyła wciąż na niego, ale w sposób, który mu się wydał dość życzliwym. W Zurychu wzięła go niejako pod swoją opiekę i przez dwa dni jego tam pobytu była z nim od rana do nocy. Zaprowadziła go do różnych osób. Z początku mówiła dużo i poufnie, zawsze jednak unikając wzmianki o sobie samej, w połowie jednak drugiego dnia stała się milcząca, nie przestając opiekować się nim gorliwie; odprowadziła go nawet na stację, ucisnęła mu mocno rękę ponad opuszczoną szybą i, odstąpiwszy bez jednego słowa, czekała, aż pociąg ruszy. Razumow zauważył, że odnoszono się do niej z pewnymi względami. Nie wiedział nic o jej stosunkach rodzinnych, o jej prywatnych dziejach lub działalności politycznej; osądził ją z osobistego punktu widzenia, jako stanowiącą poważne niebezpieczeństwo na jego drodze. „Osądził” nie jest może właściwym określeniem. Było to raczej jakieś odczucie, zreasumowanie przelotnych wrażeń, łącznie z uświadomieniem sobie, że nie może pogardzać nią tak jak pogardzał innymi. Nie spodziewał się zobaczyć jej tak prędko.

Nie, stanowczo: nie patrzyła na niego nieżyczliwie. A jednak uczył przyśpieszone bicie serca. Rozmowa nie mogła być przerwana w tym miejscu. Ciągnął więc skrupulatnie dalej, pytającym tonem:

— Może dlatego, że nie przyjmuję ślepo każdego rozwinięcia ogólnej doktryny, tak na przykład, jak feminizmu naszego wielkiego Piotra Iwanowicza. Jeżeli to czyni mnie podejrzanym, to mogę tylko powiedzieć, że gardziłbym samym sobą, gdybym był niewolnikiem najwznioślejszej nawet idei.

Patrzyła na niego przez cały czas, nie jak patrzy ktoś, co słucha mówiącego, lecz jak gdyby słowa, którymi się posługiwał, miały dla niej drugorzędne znaczenie. Gdy skończył, wsunęła mu nagłym i stanowczym ruchem rękę pod ramię i skierowała łagodnie ku bramie. Wyczuł jej stanowczość i posłuchał od razu, jak tamci dwaj mężczyźni przed chwilą bez pytania usłuchali skinienia jej ręki.

Postąpili tak razem kilka kroków.

— Nie, panie Razumow, pojęcia pańskie są zapewne słuszne — rzekła. — Może pan być jednostką cenną, bardzo cenną. Tylko rzecz w tym, że pan nas nie lubi.

Puściła go. Spojrzał na nią z lodowatym uśmiechem.

— Czy to ma znaczyć, że mam być nie tylko człowiekiem przekonań, ale i człowiekiem ukochań?

Wzruszyła ramionami.

— Pan bardzo dobrze wie, co mam na myśli. Uchodzi pan za człowieka oschłego serca. Słyszałam tę opinię z różnych stron, ale ja zrozumiałam pana pod koniec pierwszego dnia.

Razumow przerwał jej, mówiąc spokojnie:

— Upewniam panią, że przenikliwość zawiiodła panią tym razem.

— Jakich on wyrażen używa! — zawołała, jakby do siebie. — Ach! Cyrylu Sidorowiczu, jest pan jak inni mężczyźni, drażliwy, samolubny i lęka się drobnostek. A co więcej, brak panu, że się tak wyrażę, tresury. Potrzebna panu ręka kobiety. Żałuję, że nie pozostanę tu dłużej. Wracam jutro do Zurychu i prawdopodobnie zabiorę ze sobą Jakowlicza.

Wiadomość ta sprawiła ulgę Razumowowi.

— I ja żałuję również — rzekł. — Mimo to, jednak, nie sądzę, żeby mnie pani rozumiała.

Odetchnął swobodniej. Ona nie zaprzeczyła, lecz spytała:

— A jak wygląda sytuacja z Piotrem Iwanowiczem? Widujecie się często. Więc jakże jest pomiędzy wami?

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, młodzieniec schylił z wolna głowę.

Usta jej były rozchylone, jakby w oczekiwaniu. Zacisnęła je i zdawała się namyślać.

— To dobrze.

Brzmiało to, jak gdyby uważała rozmowę za skończoną. Nie odchodziła jednak. Niepodobieństwem było odgadnąć, co miała na myśli, Razumow zamruczał:

— Nie mnie powinna pani była zadać to pytanie. Za chwilę zobaczy pani Piotra Iwanowicza i rozmowa sama przez się zejdzie na ten temat. Piotr Iwanowicz będzie ciekaw dowiedzieć się, co panią tak długo zatrzymywało w ogrodzie.

— Niewątpliwie, Piotr Iwanowicz będzie mi miał niejedno do powiedzenia. Może nawet wypytywać się o pana. On mi w ogóle ufa.

— Będzie panią wypytywał?... To bardzo prawdopodobne.

Uśmiechnęła się na wpół serio.

— Więc cóż mu mam powiedzieć?

— Nie wiem. Może mu pani powiedzieć o swoim odkryciu.

— O czym znowu?

— No o tym moim braku miłości dla...

— Och! To tylko między nami — przerwała takim tonem, że trudno było odgadnąć, czy mówi serio, czy żartuje.

— Widzę, że chce pani powiedzieć coś na moją korzyść Piotrowi Iwanowiczowi — rzekł Razumow z posępną żartobliwością. — Może mu więc pani powiedzieć, że moja misja bardzo mi leży na sercu i że ufam, iż mi się powiedzie,

— Powierzono ci jakąś misję! — wykrzyknęła z żywością.

— Wychodzi na to. Powiedziano mi, żebym czegoś dokonał.

Popatrzyła na niego badawczo,

— Misję! — powtórzyła, spoważniawszy nagle i z wielkim zainteresowaniem. — Jakiego rodzaju misję?

— Coś w rodzaju propagandy.

— Ach! Daleko stąd?

— Nie. Nie bardzo daleko — odparł, wstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem, choć mu wcale wesoło nie było.

— Tak — rzekła w zamyśleniu. — No, nie pytam. Wystarcza, żeby Piotr Iwanowicz wiedział, co każde z nas robi, a wszystko musi się dobrze skończyć!

— Pani tak myśli?

— Nie myślę, młodzieńcze. Po prostu wierzę.

— I to Piotrowi Iwanowiczowi zawdzięcza pani tę wiarę?

Nie odpowiedziała na pytanie i stali w milczeniu, jak gdyby ociągając się z rozstaniem,

— Otóż i prawdziwie męska logika — szepnęła wreszcie. — Jak gdyby można było powiedzieć, skąd komu przychodzi wiara. — Jej cienkie, mefistofelesowskie brwi poruszyły się z lekka. — Doprawdy, są miliony ludzi w Rosji, którzy pozazdrościliby życia psom w tym tu kraju. Wstyd i zgroza przyznać się do tego nawet między nami. Więc trzeba wierzyć przez litość. Tak dłużej trwać nie może. Nie! Tak dłużej trwać nie może. Od dwudziestu lat

jeżdżę i wracam, nie oglądając się ani na prawo ani na lewo. Czemu pan się uśmiecha? Jesteś dopiero u początku. Zaczął pan dobrze, ale poczekaj, aż rozdepcesz swoje własne ja na miazgę w ciągłych wędrówkach. Bo do tego się dochodzi. Musisz rozdeptać każdą cząsteczkę twoich uczuć, a stanąć nie możesz, nie powinienes. Ja także byłam młodą... ale może pan myśli, że się skarżę?

— Nic podobnego nie myślę — zaprzeczył Razumow obojętnie.

— O! z pewnością, ty wyższy człowieku! Nie dbasz o to.

Zanurzyła znowu palec w pukle włosów z lewej strony, wskutek czego tyrolski kapelusz wyprostował się jej na głowie. Ściągnęła pod nim brwi badawczo, bez gniewu. Razumow on niechcienia odwrócił twarz.

— Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście jednacy — mówiła dalej. — Szczęście bierzecie za zasługę. I czynicie to w dobrej wierze. I dlatego nie będę zbyt surową dla ciebie. To twoja męska natura. Wy, mężczyźni, jesteście śmiesznie godni współczucia w waszej zdolności do pielęgnowania złudzeń aż do grobu. Jest pomiędzy nami wielu, którzy byli w robocie przez piętnaście lat bez przerwy, próbując dróg skrytych i jawnych, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo! Mogę mówić o tym. Jestem jedną z tych, którzy nigdy spoczynku nie zaznali... Tak, co tu mówić... spójrz na moje siwe włosy. A tu przychodzi dwóch dzieciaków, mam na myśli pana, Razumowie, i Haldina, i oto udaje się wam dokonać dzieła od jednego zamachu.

Na dźwięk nazwiska Haldina, wypadającego z energicznych ust rewolucjonistki, Razumowa ogarnęła świadomość czegoś nieodwołalnego. Ale przez te wszystkie miesiące, jakie przeszły nad jego głową, otrząsał się z tym wrażeniem. Świadomości tej nie towarzyszyło już blade przerażenie, ani ślepy gniew, jak w początkach. Zgromadził nowe wrażenia, stworzył sobie duchową atmosferę ponurego, sardonicznego marzycielstwa, rodzaj mrocznego medium, poprzez które ów fakt ukazywał się jak kształt bezcielesny, mający nieujętą postać znaną doskonale, lecz zgoła bierną, zdającą się tylko czekać dyskretnie w cieniu. To nie miało w sobie nic zastraszającego.

— Jak on wyglądał? — zapytała niespodzianie rewolucjonistka.

— Jak on wyglądał? — powtórzył Razumow, hamując się z trudem, by jej do oczu nie skoczyć. Ale ulżył sobie, zaśmiaawszy się i rzucając na nią spojrzenie spod oka. Takie przyjęcie jej pytania zbiło ją z tropu.

— Jakże to typowo kobiece! — ciągnął Razumow. — Co panią może obchodzić jego wygląd? Jaki by nie był, już go żaden wpływ kobiecy osiągnąć nie może.

Zmarszczyła swe skośne, mefistofelesowskie brwi, co utworzyło trzy fałdy u osady jej nosa.

— Cierpisz, Razumowie — wymówiła cichym, konfidencjonalnym tonem.

— Co za niedorzeczność! — sarknęła Razumow, patrząc jej prosto w oczy.
— Ale teraz, gdy o tym myślę, nie jestem pewny, czy wpływ jednej

przynajmniej kobiety nie zdoła go osiągnąć. Pani de S. mianowicie. Dawniej zmarłych zostawiano w spokoju, ale teraz okazuje się, że są na zawołanie jakiejś starej czarownicy. My, rewolucjoniści, czynimy nadzwyczajne odkrycia. Co prawda, nie są one właściwie nasze własne. My nic swego własnego nie mamy. Ale wszak przyjaciółka Piotra Iwanowicza mogłaby zaspokoić pani kobiecą ciekawość. Niech wywoła dla pani jego ducha — żartował, jak człowiek tłumiący w sobie ból.

Jej skupiona twarz rozpogodziła się, odrzekła z pewnym naciskiem:

— Miejmy nadzieję, że zamiast duchami, poczęstuje nas herbatą. Ale to bynajmniej pewne nie jest. Jestem zmęczona, Razumowie.

— Pani zmęczona! Co za wyznanie! Ale co się tyczy herbaty, to była podana i ja też dostałem. Jeśli pani podąży za Jakowliczem, zamiast tracić czas z takim niedowiarkiem jak ja, to może znajdzie pani jej cień, tylko zimny cień, błakający się jeszcze w świątyni. Ale żeby pani była zmęczoną, w to prawie uwierzyć nie mogę. Nam tego nie wolno. Nie powinniśmy. Nie możemy przyznawać się do tego. Któregoś dnia czytałem w jakimś dzienniku alarmujący artykuł o niezmordowanej działalności partii rewolucyjnej. To wywołuje wrażenie. To nasz prestiż!

— Ciągłe tylko szydzi — wymówiła kobieta w karmazynowej bluzce, jak gdyby odwołując się spokojnie do kogoś trzeciego, ale jej czarne oczy nie schodziły z twarzy Razumowa. — I dlaczego, pytam? Po prostu dlatego, że go w jego utartych pojęciach zadraśnięto, przyłapano na pewnych maleńkich, męskich przyzwyczajeniach. Myślałby kto, że to jeden z tych nerwowców, którzy źle kończą. A jednak — ciągnęła po chwili milczenia, zmieniając sposób odzywania się do Razumowa — a jednak właśnie teraz dowiedziałam się czegoś, co mnie przekonywa, że ma pan, Cyrylu Sidorowiczu, silny charakter. Taki doprawdy silny charakter.

Tajemnicza stanowczość tego twierdzenia zwróciła uwagę Razumowa. Oczy ich spotkały się. On odwrócił wzrok i przez zardzewiałe pręty bramy patrzył na czystą, szeroką ulicę, ocienioną liściastymi drzewami. Tramwaj elektryczny, zupełnie pusty, biegł wzdłuż alei metalicznym chrzęstem. Razumowowi wydało się, że dałby wszystko, żeby mógł siedzieć sam w tym tramwaju. Był niewysłowienie znużony; znużony aż do najmniejszego atomu swego ciała, ale miał powody, dla których nie chciał pierwszy przerywać rozmowy. W każdej chwili w pełnej urojeń, występnej paplaninie rewolucjonistów jakieś ważne słowo wpaść mu mogło w ucho — z jej ust, z czyichkolwiek ust. Dopóki tylko potrafi zachować trzeźwość umysłu i powściągać rozdrażnienie, nie miał się czego obawiać. Jedyńm warunkiem powodzenia i bezpieczeństwa była niedająca się pokonać siła woli — mówił sobie.

Ale mimo to pragnął co najprędzej znaleźć się za bramą, jak gdyby był rzeczywiście więźniem w tym środowisku spisków rewolucyjnych, w tym domu głupoty, ślepoty, niegodziwości i zbrodni. W milczeniu pozwalał swemu

zranionemu duchowi pławić się w poczuciu umysłowego i duchowego odosobnienia. Nie uśmiechnął się nawet, gdy usłyszał kobietę w karmazynowej bluzce powtarzającą:

— Tak! Silny charakter!

Patrzył wciąż przez kraty bramy, jak zadumany więzień, niemarzący o ucieczce, lecz po prostu goniący myślą zblakłe wspomnienia wolności.

— Jeżeli pani będzie się jeszcze ociążać — bąknął — to nie zobaczy pani nawet cienia owej herbaty.

Ale ona nie dała się odstraszyć w taki sposób. A i on też nie spodziewał się, aby mu się to powiodło.

— Mniejsza z tym, nie będzie to wielka strata, mówię o herbacie. Ale co się tyczy samej pani domu, to bądź przekonany, że jest ona zupełnie przy zdrowych zmysłach. Widzi pan to, panie Razumow?

Odwrócił głowę na nakazujące wezwanie i zobaczył, że rewolucjonistka wykonuje gest liczenia pieniędzy.

— Tak, w tym rzecz. Rozumie pan?

Razumow wymówił z wolna: „Rozumiem”. I znów zaczął patrzeć wzrokiem więźnia na czystą, ocienioną ulicę.

— Środki materialne trzeba zdobywać w jakikolwiek sposób, a ten jest łatwiejszy niż napady na banki. I bezpieczniejszy również... Ot! Żartuję!...

— Co on tam znowu mruży? — sarknęła półgłosem.

— Podziwiam bezinteresowne poświęcenie Piotra Iwanowicza!

Doprawdy, aż mdło się robi!

— Ach! Jaki wybredniś z pana! Mdło mu się robi. A czy pan wie, jak rzeczy naprawdę stoją? Któż zbada tajemnicę ludzkiego serca... Piotr Iwanowicz znał ją przed laty, za czasów swej światowości, gdy był młodym oficerem Gwardii. Zresztą, nie nam sądzić człowieka natchnionego. Tu wy, mężczyźni, macie nad nami przewagę. Bywacie czasem natchnieni, zarówno w myślach, jak w uczynkach. Zawsze przyznawałam, że gdy jesteście natchnieni, gdy wam się uda wyzwolić z waszej męskiej próżności i tchórzostwa, wtedy żadna z nas dorównać wam nie może. Tylko... tak rzadko się to trafia... A tymczasem najgłupsza kobieta może zawsze przydać się na coś. A dlaczego? Dlatego, że nami rządzi namiętność, nienasycona namiętność... Chciałabym wiedzieć, czemu on się tak uśmiecha.

— Nie uśmiecham się — zaprzeczył Razumow posepnie

— No proszę! A jakże nazwać te miny, jakie pan przyjmuje? O, wiem! Wy, mężczyźni, umiecie kochać tu, nienawidzić tam, a ówdzie czegoś pożądać! Ale my, kobiety, kochamy się w samym uczuciu miłości i nienawiści, i w pożądaniu. I dlatego nie tak łatwo zamydlić nam oczy jak wam, mężczyznom. W życiu, widzisz, niewiele jest do wyboru. Trzeba albo zgnić, albo spłonąć. A każda z nas, wymalowana czy niewymalowana, woli raczej spłonąć niż zgnić.

Mówiła emocjonalnie, ale tokiem racjonalnego rozumowania. Myśl Razumowa pobiegła znów własnym szlakiem, poza pręty bramy, lecz nie poza sprawność słuchu. Zanurzył ręce w kieszenie paltota.

— Zgnić lub spłonąć. Wybornie określone. Wymalowana czy niewymalowana! Świetnie. Wymalowana lub... Powiedz mi, pani, ona musi być wściekle o niego zazdrosna?

— Kto? Co? Baronowa? Eleonora Maksymowna? Zazdrosna o Piotra Iwanowicza? Wielkie nieba! Czy to nad takimi rzeczami zastanawia się umysł męski? Ależ to nie do pomyślenia!

— Dlaczego? Czy stara bogaczka nie może być zazdrosna? A może to są tylko owe czyste duchy?

— Skąd panu takie pytanie przyszło do głowy? — zdziwiła się rewolucjonistka.

— Znikąd. Spytałem tak sobie. A może przez męską płochosć, jeżeli to się pani podoba?

— Wcale mi się nie podoba — odparła. — Teraz nie czas na płochosć. O co ty rozbijasz serce? A może grasz tylko jakąś rolę?

Razumow uczuł na sobie przenikliwość tej kobiety, jakby jakieś fizyczne dotknięcie, jak rękę, kładącą się lekko na jego ramieniu. I doznał w tej chwili tajemniczego wrażenia, że ta ręka chce go ująć silniej. Uzbroidł się więc w odporność, aby to znieść i nie zdradzić się.

— Rolę — powtórzył, ukazując jej swój niewzruszony profil. — Muszę ją grać bardzo źle, skoro się pani na tym poznała.

Patrzyła na niego z czołem ściągniętym w prostopadłe fałdy, podczas gdy jej czarne, cienkie brwi rozbiegły się w górze jak różki owada. On zaś dodał ledwo słyszalnie:

— Pani się myli. Nie gram jej bardziej niż reszta z nas.

— Któż ją gra? — prychnęła.

— Kto? Wszyscy — rzekł niecierpliwie. — Pani jest materialistką, nieprawdaż?

— Ech, mój drogi! Wyrosłam z tych wszystkich bredni,

— Ale pani musi pamiętać określenie Cabanisa: „Człowiek jest trawiącym naczyniem”. Otóż wyobrażam sobie...

— Pluję na niego,

— Co? Na Cabanisa? Bardzo dobrze. Ale nie może pani lekceważyć doniosłość dobrego trawienia. Radość życia... Pani zna radość życia? Zależy ona od zdrowego żołądka, podczas gdy złe trawienie skłania nas do sceptycyzmu, pielęgnuje czarne urojenia i myśli o śmierci. To są fakty stwierdzone przez fizjologów. Otóż zapewniam panią, że odkąd opuściłem Rosję, najadłem się różnych niestrawnych cudzoziemskich smakołyków, aż do mdłości, tfu!

— Żartuje pan! — szepnęła niedowierzająco.

Przytaknął z roztargnieniem.

— Tak. To są wszystko żarty. Nie warto rozmawiać z takim człowiekiem, jak ja. Jednak dla tej samej przyczyny ludzie odbierali sobie życie.

— Przeciwnie. Uważam, że naprawdę warto rozmawiać z panem.

Spoglądał na nią z pod oka. Zdawała się myśleć o jakiejś ciętej puencie, lecz skończyła na lekkim wzruszeniu ramionami.

— Czcza gadanina! Ale trudno, panu trzeba tę słabostkę wybaczyć — rzekła ze specjalnym naciskiem na słowie „pan”. Było coś niepokojącego w tej pobłażliwej konkluzji.

Uwadze Razumowa nie uszedł najłżejszy odcień tej rozmowy, której się nie spodziewał, na którą nie był przygotowany. W tym tkwił sęk.

„Nie byłem przygotowany”, mówił do siebie. „Zaskoczyło mnie to.”

Wydało mu się, że gdyby tylko mógł się otwarcie wyziajać, jak zmęczony pies, to przytłaczające uczucie opuściłoby go.

„Ale ja nigdy nie będę przygotowany”, pomyślał z rozpaczą. Zaśmiał się lekko, mówiąc, najswobodniej jak potrafił:

— Dziękuję. Nie proszę o miłosierdzie. — Po czym, udając żartobliwy niepokój:

— Ale czy pani nie lęka się, że Piotr Iwanowicz może nas podejrzewać o jakieś niedozwolone konszachty tu, pod tą bramą?

— Nie, nie lękam się. Żadne podejrzenia nie mogą pana dosięgnąć, gdy jesteś ze mną, mój drogi młodzieńcze. — Żartobliwy blask w jej czarnych oczach zniknął.

— Piotr Iwanowicz ufa mi — ciągnęła dalej z rodzajem surowej powagi. — Zasięga mojej rady. W wielu ważnych sprawach jestem jego prawą ręką... To pana bawi, co? Może pan myśli, że się przechwalam?

— Boże uchowaj. Mówiłem sobie tylko, że Piotr Iwanowicz rozwiązał kwestię kobiecą do gruntu, jak się wydaje.

Ale jeszcze nie skończył, gdy pożałował i tych słów i tonu, jakim je wypowiedział. Przez cały dzień mówił wręcz przeciwne rzeczy niż było trzeba. To było głupie, gorzej niż głupie. Było to słabością. Jakaś chorobliwa przekora obezwładniła jego wolę. Czy w taki sposób należało rozmawiać z tą kobietą, której wypowiedzi zdawały się być zapowiedzią przyszłych wynurzeń, która niewątpliwie posiadała duży zasób tajemniczych wiadomości i musiała być bardzo wpływowa. Po co było ją zrażać tymi głupimi drwinami? Ale ona nie zdawała się być wrogo usposobioną. W głosie jej nie było gniewu. Brzmiało w nim tylko jakieś dziwne zastanowienie.

— Nie wiadomo, co myśleć o panu, panie Razumow. Musiał pan jeszcze w kołysce zjeść coś bardzo gorzkiego.

Spojrzał na nią z ukosa.

— Hm! Coś bardzo gorzkiego. To wiele tłumaczy — zamruczał. — Tylko to było znacznie później. A pani, Zofio Antonówna, nie bierze pod uwagę, że mamy wspólną kołyskę?

Kobieta, której imię zmusił się wreszcie wymówić (doznał szczególnej odrazy, gdy przeszło mu przez usta), szepnęła po chwili:

— Ma pan na myśli... Rosję?

Nie raczył nawet skinąć głową. Zdawała się być udobruchana; jej czarne oczy zaćmiły się mgłą, jak gdyby rozwijała w myśli tę przenośnię we wszystkich jej tkliwszych zastosowaniach. Lecz nagle ściągnęła mefistofelesowskie brwi.

— Tak. Więc może nie ma się czemu dziwić. Tak. Od urodzenia zło spowija nas i obezwładnia, a potwory, gorsze od wampirów i szatanów, czuwają nad nami. Trzeba je zniszczyć i wytepić do cna. W obliczu tego zadania wszystko inne jest bez znaczenia, jeżeli tylko mężczyźni i kobiety mają w sobie dosyć stanowczości. Do takiego przekonania w końcu doszło. Główna rzecz w tym, żebyśmy się nie spierali o drobnostki. Pamiętaj o tym, Razumowie.

Razumow nie słuchał. Stracił nawet poczucie, że go pilnują, ogarnięty jakimś ociężałym spokojem. Rozdrażnienie, pogarda, obawa stępiały wreszcie w męce tych wszystkich godzin. Wydało mu się, że już zatracił je na zawsze.

„Potrafię sprostać im wszystkim:, pomyślał z przekonaniem, zbyt stanowczym, żeby mogło go cieszyć.

Rewolucjonistka przestawała mówić. Nie patrzył na nią, na drodze nie było nikogo. Zapomniał prawie, że nie był sam. Lecz wnet usłyszał jej głos, urywany, trzeźwy, a jednak zdradzający wahanie, które było przyczyną jej przedłużonego milczenia:

— Słuchajcie, Razumow...

Razumow, stojący z odwróconą twarzą, skrzywił się, jak człowiek, który usłyszał fałszywą nutę.

— Powiedz mi pan, czy to prawda, że w dzień zamachu byłeś na wykładach w uniwersytecie?

Minęła znaczna część sekundy, nim istotna treść pytania dosięgła go jak kula, która uderza w pewien czas po błysku wystrzału. Na szczęście mógł się chwycić wolną ręką za pręt bramy. Uczepił się go ze straszliwą siłą, ale przytomność umysłu opuszczała go. Zdołał tylko wydać jakiś niezrozumiały dźwięk.

— No, no, Cyrylu Sidorowiczu, wiem, że nie lubi pan się chełpić. To jedno musi pana usprawiedliwić. Jest pan skryty. Zbyt skryty może. Przetrawia pan jakąś gorycz osobistą. Nie jest pan zapaleńcem. Może dlatego właśnie tym większa jest twoja siła. Ale mnie mógłby pan powiedzieć. Chciałabym rozumieć pana trochę lepiej... To mnie tak nadzwyczajnie przejęło... Czy istotnie poszedł pan na wykłady?

Razumow odzyskał głos. Strzał go ominął. Oddany był na oślepa, bardziej jako sygnał zbliżania się. Miała to być otwarta walka o własne istnienie. A ta kobieta była niebezpiecznym przeciwnikiem. Lecz on był już gotowy do bitwy; tak gotowy, że gdy zwrócił się ku niej, ani jeden mięsień nie drgnął mu w twarzy.

— Niewątpliwie — rzekł bez ożywienia, preżąc się wewnątrz, ale zupełnie pewny siebie. — Na wykłady... niewątpliwie. Ale dlaczego pani pyta?

Kobieta ożywiła się.

— Pisano mi o tym. Doniósł mi w liście pewien młodzieniec z Petersburga, oczywiście jeden z naszych. Widziano pana z notatnikiem... spokojny, niewzruszony, robił pan notatki.

Ogarnął ją badawczym spojrzeniem,

— I cóż stąd?

— Dla mnie taka zimna krew jest czymś wspaniałym. To wszystko. Dowodzi niezwykłej siły charakteru. Ów młodzieniec pisze mi, że nikt z twarzy pana i zachowania nie byłby odgadł, jaką rolę odegrał pan przed paru godzinami, wielką, pamiętną rolę!

— Och nie! Nikt by się nie domyślił — potwierdził Razumow z powagą. — Bo widzi pani, nikt wtedy...

— Tak, tak. A jednak jest pan człowiekiem o wyjątkowej mocy panowania nad sobą. Wyglądał pan jak zwykle... Przypominano to sobie później ze zdumieniem.

— Przyszło mi to bez żadnego wysiłku — oświadczył Razumow z tą samą powagą,

— W takim razie to jest jeszcze bardziej zdumiewające! — wykrzyknęła i zamilkła, podczas gdy Razumow zadawał sobie pytanie, czy nie powiedział znowu czegoś niepotrzebnego lub nie postąpił jeszcze gorzej.

Zofia Antonowna podniosła żywo głowę.

— Zamierzał pan pozostać w Rosji?... Układał pan sobie...

— Nie — przerwał Razumow bez pośpiechu. — Nie miałem żadnych zamiarów.

— Tylko po prostu odszedłeś — wtrąciła. Schylił z wolna głowę, potakując,

— Tak po prostu. — Stopniowo coraz luźniej trzymał się pręta, jak gdyby nabrał przekonania, że żaden strzał oddany naoslep nie zdoła go teraz obalić, aż nagle coś mu podszeptało, aby dodał:

— Śnieg padał gęsty, uważa pani.

Skinęła głowę z uznaniem, jak ktoś biegły w takich przedsięwzięciach, bardzo zainteresowany i zdolny traktować każdy szczegół zawodowo. Razumow przypomniał sobie coś, co słyszał.

— Skręciłem w boczną uliczkę, wie pani — ciągnął niedbale i umilkł, jak gdyby nie warto było mówić o tym. Potem przypomniał sobie inny szczegół i rzucił go jej, jak pogardliwą jałmużnę dla jej ciekawości.

— Ogarnęła mnie chęć, by położyć się tam i zasnąć.

Młasnęła językiem na ten objaw, istotnie, bardzo przejęta, po czym odezwała się:

— A notatnik! Ten zdumiewający notatnik, przecież nie powie mi pan, że go przedtem włożyłeś do kieszeni! — wykrzyknęła.

Razumow drgnął, co mogło być oznaką zniecierpliwienia.

— Poszedłem do domu. Prosto do domu — rzekł wyraźnie.

— Co za zimna krew! Odważył się pan?

— Czemu nie? Upewniam panią, że byłem zupełnie spokojny.

Ha! Spokojniejszy może niż w tej chwili.

— Wolę pana takim, jakim teraz jesteś, panie Razumow, niż kiedy szydzisz i bryzgasz goryczą. I nikt w domu nie widział, jak pan wracał? Mogło się to wydać dziwnem.

— Nikt — odpowiedział Razumow stanowczo. — Ani stróż, ani gospodyni, ani dziewczyna. Nikogo nie było. Wsunąłem się do domu, jak cień! Ranek był mroczny. Schody ciemne. Wśliznąłem się jak widmo. Przeznaczenie? Szczęście? Jak pani myśli?

— Widzę to! — Oczy rewolucjonistki błysnęły posepnie. — No, a potem, zastanowił się pan...

Razumow miał już wszystko ułożone w głowie.

— Nie. Spojrzałem na zegarek, skoro pani chce wiedzieć i przekonałem się, że jeszcze zdążę. Wziąłem ów notatnik i na palcach zbiegłem ze schodów. Wsłuchiwała się pani kiedy w odgłos kroków człowieka, zbiegającego na palcach po krętych schodach? Na dole palił się gaz, zawsze, dniem i nocą. Myślę, że pali się i teraz... Kroki cichną... milkną... płomień mruga...

Zauważył odcień zdziwienia, przełamujący chwilowo natężoną ciekawość czarnych oczu, utkwionych w jego twarzy, jak gdyby rewolucjonistka chwyciła dźwięki jego głosu żrenicami, a nie uszami. Urwał, przeciągnął ręką po czole, zmieszany, jak człowiek, który głośno śni.

— Dąkądże student mógłby biec rano, jeżeli nie na wykłady? Wieczorem, to rzecz inna. Ale wtedy cały dom mógł mnie widzieć. Sądzę jednak, że nie było nikogo. Zawsze lepiej nie być ani widzianym, ani słyszonym, aha! Jedynie tacy ludzie, który nie są ani widziani, ani słyszani, są szczęśliwi w Rosji. Nie podziwia pani mojego szczęścia?

— Zdumiewające! — rzekła. — Jeżeli pan posiada tyle szczęścia, ile silnej woli, to istotnie może się pan stać dla nas nieocenionym nabytkiem.

Mówiła z powagą i namysłem, jak gdyby już zastanawiała się, jaką mu pracę powierzyć. Spuściła wzrok. On czekał, już nie mając się na baczności, lecz z nieodstępującym go nigdy poczuciem niebezpieczeństwa, co nadawało mu wyraz skupionej powagi. Kto mógł pisać o nim w tym liście z Petersburga? Jakiś kolega zapewne, jakaś idiotyczna ofiara propagandy rewolucyjnej, jakiś głupi niewolnik wywrotowych idei cudzoziemskich. Przed oczami wyobraźni mignął mu długi, chudy, wygłodzony student z czerwonym nosem. To musiał być on! Uśmiechnął się w duchu z tej całej sprawy, która się tak na opak ułożyła, z tego złudzenia zbrodniczego idealisty, który zdruzgotał mu życie, jak piorun, padający z jasnego nieba, i odbijał się echem wśród tej ruiny, w błędnych mniemaniach tamtych głupców. Pomyśleć tylko o tym głodnym, zabiedzonym idiocie, dostarczającym ciekawości rewolucyjnych zbiegów tak na

wskroś fantastycznego szczegółu! Ocenił go jako nieprzedstawiającego żadnego niebezpieczeństwa dla niego. Wprost przeciwnie. W takim stanie rzeczy była to raczej okoliczność pomyślna: rodzaj smutnego szczęścia, które należało przyjąć z odpowiednią ostrożnością.

— A jednak, panie Razumow — przemówił zamyślony głos kobiety — nie wygląda pan jak człowiek szczęśliwy.

Z odnowionym zainteresowaniem, podniosła na niego oczy.

— Więc to się tak odbyło. Dokonawszy swego, odszedł pan po prostu i wrócił do siebie. Takie rzeczy udają się czasem. Zapewne było już naprzód ułożone pomiędzy wami, że potem każdy pójdzie w swoją stronę.

Razumow zachował poważny wyraz twarzy i ostrożność w słowach.

— A cóż lepszego mogliśmy zrobić? — zapytał spokojnie. — W każdym razie — dodał, odczekawszy chwilę — nie zastanawialiśmy się nigdy bardzo nad tym, co będzie potem. Nie nakreśliliśmy sobie żadnego planu postępowania. To się jakoś samo przez się rozumiało.

Skinęła kilkakrotnie głową z uznaniem.

— Pan, oczywiście, chciał pozostać w Rosji?

— W samym Petersburgu — poprawił Razumow z naciskiem. — To była jedyna bezpieczna droga dla mnie. A co więcej, nie miałem gdzie się udać.

— Tak! Tak! Wiem. Oczywiście. A tamten, ten nadzwyczajny Haldin, zjawiający się tylko po to, by go żałowano, nie wie pan, co on zamierzał?

Razumow przewidywał, że wcześniej czy później usłyszy to pytanie. Podniósł z lekka rękę i opuścił ją bezwładnie wzdłuż ciała; nic więcej.

Białowłosa konspiratorka pierwsza przerwała milczenie.

— Bardzo ciekawe — rzekła z wolna. — I nie przychodziło panu na myśl, Cyrylu Sidorowiczu, że on może byłby chciał porozumieć się z panem znowu?

Razumow uczył, że nie potrafi powściągnąć drżenia ust. Pomyślał jednak, że koniecznie należy coś powiedzieć. Przeczący znak nie wystarczy tym razem. Musi przemówić, choćby dlatego, by dotrzeć do jądra tego, co ów petersburski list zawierał.

— Cały następny dzień pozostałem w domu — rzekł, pochylając się nieco i zatapiając wzrok w czarnych oczach kobiety, by nie zauważyła drżenia jego ust. — Tak, pozostałem w domu. Ponieważ moje postęпки są rozpamiętywane i opisywane, więc może wiadomo pani, że następnego dnia nie widziano mnie na wykładach. Co? Nie wiedziała pani o tym? Otóż, siedziałem w domu przez cały dzień.

Jak gdyby wzruszona jego drżącym głosem, szepnęła ze współczuciem:

— Wyobrażam sobie. To musiało być okropne.

— Widać, że pani rozumie uczucia drugich — rzekł Razumow spokojnie. — To było okropne. To było straszne. To był ohydny dzień. I nie ostatni.

— Rozumiem. Potem, gdyś się pan dowiedział, że go złapali... Alboż ja nie wiem, co się czuje, straciwszy towarzysza w walce. Człowiekowi wstyd, że został. A ja ich pamiętam tylu. Mniejsza z tym. Niezadługo będą pomszczeni. I

czymże jest śmierć? W każdym razie czymś nie tak silnie hańbiącym jak pewne rodzaje życia.

Razumow uczył, że mu coś nieprzyjemnie drgnęło w piersiach.

— Pewne rodzaje życia? — owtórzył, patrząc na nią badawczo.

— Tak, służalczego, spodłonego życia. Życia? Nie! Wegetacji na tej plugawej kupie niegodziwości, jaką jest świat. Życie, Razumowie, jeżeli nie ma być nikczemnym, musi być buntem, bezlitosnym, nieustającym buntem.

Uspokoila się; żar uniesienia osuszył łzy błyszczące w jej oczach.

Ciągnęła dalej swym zwykłym trzeźwym, rozsądnym tonem:

— Pan mnie rozumie, panie Razumow. Nie jesteś zapaleńcem, ale masz w sobie olbrzymie pokłady buntu. Wyczułam to natychmiast, skoro tylko spojrzałam na pana, pamięta pan, w Zurychu. Gorzki bunt przepełnia całe twoje jestestwo. I to dobrze. Oburzenie zużywa się z czasem, a mściwość sama może się stać słabością, ale to poczucie konieczności i sprawiedliwości, które uzbroiło ręce twoje i Haldina przeciwko temu potwornemu fanatykowi... tak, zastanawiałam się nad tym długo i doszłam do przekonania, że to nie mogło być co innego.

Razumow skłonił się z lekka, kryjąc ironiczność tego ukłonu pod niemal złowrogą nieruchomością twarzy.

— Nie mogę odpowiadać za zmarłego. Co do mnie, upewniam panią, że postępowaniem moim kierowała konieczność... no i poczucie sprawiedliwości odwetu.

„To było dobre”, rzekł do siebie, podczas gdy jej oczy spoczywały na nim, czarne i nieprzeniknione, jak duchowe pieczary, w których myśl rewolucyjna czaiłaby się, snując marzenia zmian, dokonywanych gwałtownymi sposobami. Jak gdyby coś mogło się zmienić! Na tym świecie ludzkim nic nie może się zmienić — ani szczęście, ani niedola. Mogą być tylko przesunięte z mniejsza na miejsce kosztem zepsutego sumienia i złamanego życia wielu jednostek; czcza zabawka dla zarozumiałych filozofów i zapalczywych bałamutów. Te myśli przesuwaly się po głowie Razumowa, podczas gdy stał, patrząc na starą działaczkę rewolucyjną, szanowaną, zaufaną i wpływową Zofię Antonownę, której słowo miało takie znaczenie w czynnym wydziale partii. Była ona znacznie więcej reprezentacyjna niż wielki Piotr Iwanowicz. Wyzbyta z retoryki, mistycyzmu i teorii, była prawdziwym duchem niszczycielskiej rewolucji. A jednocześnie była dlań osobistym przeciwnikiem, z którym miał się zmierzyć. Oszukiwać ją jej własnymi ustami sprawiało mu przyjemność pełną triumfu. Przypomniiał sobie epigramatyczne twierdzenie, że mowa dana jest dla ukrycia myśli. A to był bardzo subtelny i bardzo urągliwy przykład tej cynicznej teorii, zawierający w swoich własnych słowach ducha bezlitosnej rewolucji, wcielonego w tę kobietę o białych włosach i czarnych brwiach, brwiach jakby narysowanych cienko indyjskim atramentem i ściągniętych w prostopadłe fałdy posępnej zadumy.

— Otóż to! Odwet! Żadnej litości — wybuchnęła po długim milczeniu i, raz je przerwawszy, mówiła dalej z zapalem, krótkimi, urywanymi zdaniem:

— Posłuchaj moich dziejów, Razumowie...

Ojciec jej był zdolnym, ale nieszczęśliwym rzemieślnikiem. Żadna radość nie opromieniała jego pracowitych dni. Umarł w pięćdziesiątym roku życia, a przez wszystkie lata dyszał pod ręką panów, których chciwość wyciskała z niego cenę wody, soli, nawet powietrza, którym oddychał; obciążała podatkiem pot jego czoła i żądała krwi jego synów. Żadnej opieki, żadnej wskazówki! Cóż społeczeństwo miało mu do powiedzenia? Bądź uległym i bądź uczciwym. Jeżeli się zbuntujesz, zabiję cię. Jeżeli ukradniesz, wtrącę cię do więzienia. Ale jeżeli będziesz cierpiał, nie mam nic dla ciebie, prócz może jałmużniczego kęsa chleba, ale żadnej pociechy dla twoich trosk, żadnego szacunku dla twego człowieczeństwa, żadnej litości dla bólów twego nędznego życia.

I tak pracował, cierpiał i umarł. Umarł w szpitalu. Stojąc przy wspólnym grobie, myślała o jego udręczonej egzystencji i ujrzała ją całą. Wspominała proste radości życia, przyrodzone prawo najlichszych, z których jego tkliwe serce było wyzute, przez zbrodnię społeczeństwa, jktórej nic nie może rozgrzeszyć.

— Tak, Razumowie — ciągnęła zniżonym, przejętym głosem — to było jakieś ponure światło, w którym stałam, jako prawie jeszcze dziecko i przeklełam nie trud, nie nędzę, jaka była jego udziałem, ale wielką, społeczną niegodziwość systemu, opartego na niewynagradzanym trudzie i niepożalowanych przez nikogo cierpieniach. Od tej chwili stałam się rewolucjonistką.

Razumow, usiłując wznieść się ponad niebezpieczną słabość pogardy lub współczucia, zachował postawę niewzruszoną. Ona, z lekkim odcieniem goryczy (pierwszy raz, odkąd znał ją znał), ciągnęła dalej: .

— Ponieważ nie mogłam udać się do kościoła, gdzie rządowi księża nawoływali takie marne robaki jak ja do rezygnacji, udałam się do potajemnych stowarzyszeń, skoro tylko dowiedziałam się, jak znaleźć do nich drogę. Miałam zaledwie szesnaście lat, nie więcej, Razumowie! A teraz... patrz pan na moje siwe włosy.

W tych ostatnich słowach nie było ani pychy, ani smutku. Gorycz zniknęła również.

— Jest ich jeszcze obfitość. Miałam zawsze wspaniałe włosy, nawet jako młodziutka dziewczyna. Tylko w owych czasach obcinałyśmy je krótko, myśląc, że to jest pierwszy krok ku zmiżdżeniu nikczemności społecznej. Zmiżdźć nikczemność! Świetne hasło. Wypisałabym je na ścianach więzień i pałaców, wykułabym w twardych skałach, zawiesiłabym ognistymi literami na tym pustym niebie, jako znak nadziei i trwogi, jako zwiastun końca...

— Jest pani elokwentna, Zofio Antonowna — przerwał jej nagle Razumow. — Tylko jak dotąd, zdaje się, pisze pani na wodzie...

Umilkła, ale nie obraziła się.

— Kto wie! Wkrótce stanie się to może faktem, wypisanym na całej powierzchni naszego olbrzymiego kraju — rzekła znacząco. — A wtedy dość będzie życia. Białe włosy nic nie będą znaczyć.

Razumow spojrzał na jej białe włosy i ta oznaka tylu ciężkich lat wydała mu się niczym innym niż tylko świadectwem niezwykłej potęgi buntu. Uwydatniały one w nadzwyczajny sposób gładkość niepomarszczonej twarzy, błyszczące, czarne oczy, smukłą, prostą, kobiecą rzeźkość panującej nad sobą dojrzałości, jak gdyby w swych wędrówkach rewolucyjnych odkryła tajemnicę nie wiecznotrwałej młodości lecz wiecznotrwałej wytrzymałości.

Razumowa uderzył jej typ nierosyjski. „Matka jej była zapewne Żydówką, albo Amerykanką, albo diabli wiedzą kim”, pomyślał. Rewolucjoniści rzadko odpowiadają ustalonemu typowi. Każdy bunt jest zawsze wyrazem silnej indywidualności. Rozpoznać ich można na milę w każdym społeczeństwie, w każdym otoczeniu. Dziwić się należy, że policja...

— Nieprędko zapewne się zobaczymy — stwierdziła Zofia Antonowna.
— Wyjeżdżam jutro.

— Do Zurychu? — zapytał Razumow zdawkowo, doznając jednak uczucia ulgi, nie przez wyzbycie się jakichś określonych obaw, lecz jakby po odbyciu walnej potyczki.

— Tak, do Zurychu, i może dalej, znacznie dalej. Nowa podróż. Gdy pomyślę o wszystkich moich podróżach! Musi kiedyś przyjść ostatnia... Mniejsza z tym, Razumowie. Nagadaliśmy się dosyć. W każdym razie postarałabym się zobaczyć z panem, gdybyśmy się nie byli spotkali. Piotr Iwanowicz wie, gdzie pan mieszka? Tak. Chciałam go zapytać, ale tak jest lepiej. Widzi pan, spodziewamy się jeszcze dwóch osób i wolałam czekać tu, rozmawiając z panem, niż tam w domu, z...

Rzuciwszy wzrokiem za bramę, przerwała:

— Otóż i oni — rzekła szybko. — No, Cyrylu Sidorowiczu, musimy się pożegnać.

IV

W niepewności gruntu, na którym stał, Razumow stropił się znowu. Odwróciwszy głowę, zobaczył dwóch mężczyzn po drugiej stronie drogi. Ci, widząc, że Zofia Antonowna ich zauważyła, skierowali się natychmiast ku furcie obok pustego domku odzwiernego i przeszli ją jeden za drugim. Obaj popatrzyli bystro na nieznanego, ale bez podejrzliwości, gdyż karmazynowa bluzka była wystarczającym sygnałem bezpieczeństwa.

Pierwszy, o wielkiej, białej, bezwłosej twarzy, podwójnym podbródku, wystłającym brzuchu, który zdawał się nosić z przejęciem pod mocno rozciągniętym paltotem, skłonił się tylko i odwrócił oczy niechętnie; towarzysz jego, chudy, o zaczerwienionych kościach policzkowych, rudym, wojskowym

wąsę pod krótkim, zadartym nosem zbliżył się odrazu do Zofii Antonowny, witając ją gorąco.

Głos jego był silny lecz niewyraźny. Miał w sobie coś huczącego. Rewolucjonistka zachowała się ze spokojną serdecznością.

— To Razumow — oznajmiła donośnie.

Chudy przybysz odwrócił się żywo.

— Rzuci mi się w objęcia — pomyślał młodzieniec z głęboką odrazą całej istoty, podczas gdy członki jego zbyt mu ciążyły, by mógł się poruszyć.

Ale była to obawa bezpodstawna. Miał do czynienia z pokoleniem rewolucjonistów, którzy nie obcałowują się po obu policzkach i tylko ręką, podniósłszy się ciężko, jak gdyby była z ołowiu, opadła w szeroko wyciągniętą dłoń, chudą i gorącą, jak gdyby wysuszoną przez gorączkę. Dłoń ta obdarzyła go kościstym, znaczącym uściskiem, jak gdyby dając do poznania: „Pomiędzy nami słowa są zbyteczne”.

Człowiek ten miał duże, szeroko otwarte oczy. Razumowowi wydało się, że spoza ich smutku wyziera uśmiech.

— To Razumow — powtórzyła Zofia Antonowna głośno, na użytek tłuściocha, który w pewnej odległości wystawiał profil swego brzucha.

Nikt się nie poruszył. Wszystko — dźwięki, postawy, ruchy, nieruchomość — zdawało się być częścią jakiegoś eksperymentu, którego wynikiem był cienki głosik, świergocący z zabawnym nadąsaniem:

— Och tak! Razumow. Od wielu miesięcy nie słyszy się o niczym innym, tylko o panu Razumowie. Co do mnie, wyznaję, że wolałbym widzieć na tym miejscu Haldina niż pana Razumowa.

Skrzekliwy nacisk, który położył na nazwisku — „Razumow”, „pana Razumowa” — wdarł się do uszu śmiesznie, jak falset klauna cyrkowego, rozpoczynającego jakiś wypracowany koncept. Zdumienie, które w pierwszej chwili ogarnęło Razumowa, ustąpiło miejsca oburzeniu.

— Co to ma znaczyć? — zapytał ostro.

— Cyt! Cyt! On zawsze taki.

Zofia Antonowna była widocznie niezadowolona, ale rzuciła półgębkiem objaśnienie: „Nekator”; dość głośno, by Razumow mógł słyszeć. Urywkowe skrzeki tłuściocha zdawały się pochodzić z tego balonu, który nosił pod paltotem. Tężyzna jego podstawy, olbrzymie stopy, obwisłe jakby bez życia ręce, rozlane, bezbarwne policzki; cienkie kosmyki włosów wiszące na tłustym karku, wprawiły Razumowa w osłupienie, będące mieszaniną zgrozy i chęci do śmiechu.

Nikita, przezwany Nekatorem, ze złowrogą skłonnością do aliteracji! Razumow słyszał o nim. Od chwili przebycia granicy tyle się nasłuchał o tych znakomitościach wojującej rewolucji, legend, podań, autentycznych kronik, które od czasu do czasu ukazują się ukradkiem przed na wpół niedowierzającym światem. Razumow słyszał o nim. Podobno zabił więcej żandarmów i

policjantów niż którykolwiek z żyjących rewolucjonistów. Powierzano mu wykonywanie wyroków.

Kawałek papieru z literami N. N., istnym pseudonimem mordu, przypięty do martwej piersi pewnego znanego szpiega (ten malowniczy szczegół sensacyjnego zabójstwa przedostał się do gazet) ogłosił światu, że to było jego dzieło: „Z rozkazu komitetu. N. N.” Coś jakby rąbek kurtyny, uniesiony gwoli ciekawości gapiącego się świata. Mówiono o tym Nekatorze biurokratów, prowincjonalnych gubernatorów i lichych donosicieli, że niezliczoną ilość razy jeździł do Rosji, by tam siać postrach wśród figur urzędowych, a w międzyczasie mieszkał nad jeziorem Como z uroczą żoną, całkowicie oddaną sprawie i dwojgiem małych dzieci. Ale jakim sposobem ten człowiek o powierzchowności tak dziwacznej, że miejskie psy wyły z pewnością na jego widok, mógł się wyślizgiwać z sieci policji?

— No i co? No i co? — zaskrzeczał. — Jestem tylko szczery. Przecież wiadomo, że tamten był głównym działaczem. Przeto byłoby lepiej, żeby pozostał przy życiu. Byłby pożyteczniejszy. Nie jestem sentymentalny. Mówię co myślę. To chyba proste.

Kwak! Kwak! Kwak! skrzeczał bez najłżejszego poruszenia ten człowiek o złowrogim pseudonimie, ten groteskowy przykład zazdrości zawodowej, ten wykonawca wyroków rewolucyjnych, straszliwy N. N., rozdrażniony, jak modny tenor, gdy śpiew jakiegoś podrzędnego amatora zwróci na siebie uwagę. Zofia Antonowna wzruszyła ramionami. Towarzysz z wojskowym rudym wąsem pośpieszył ku Razumowowi, pełen pojednawczych chęci w swym silnym, huczącym głosie.

— Do stu diabłów! I w dodatku tutaj, prawie na publicznej drodze. Ale pan sam widzisz, co to jest. Jeden z jego żartobliwych wybryków. Zupełnie bez znaczenia.

— Proszę, nie troszcz się pan o to — zawołał Razumow, wybuchając przeciągłym śmiechem. — Nie wspominaj o tym.

Tamten, ze swymi suchotniczymi rumieńcami jak dwa wypalone piętna na kościach policzkowych, popatrzył na niego przez chwilę i także wybuchnął śmiechem. Razumow, którego wesołość szybko zamarła, postąpił krok naprzód.

— Dość tego — zaczął donośnym, ostrym głosem, choć nogi pod nim drżały. — Nie ścierpię tego więcej. Nie pozwolę nikomu... Rozumiem doskonale, co znaczą te wszystkie przytyki... Pytaj pan, badaj. Nie lękam się, ale nie chcę być czyjąś igraszką.

Wypowiedział już raz takie słowa, zmuszony do tego, w obliczu innych podejrzeń. Był to rodzaj błędnego koła, sprowadzającego znów ten sam protest, niby fatalną konieczność jego życia. Ale to się na nic nie zdało. Zawsze będzie czyjąś igraszką. Na szczęście życie nie trwa wiecznie.

— Nie ścierpię tego! — wrzasnął, uderzając pięścią w dłoń drugiej ręki.

— Cyrylu Sidorowiczu, co ci się stało? — z powagą zatroskała się rewolucjonistka.

Wszyscy teraz patrzyli na Razumowa. Morderca żandarmów i szpiegów zwrócił się ku niemu frontem, wystawiając swój olbrzymi brzuch, niby tarczę.

— Nie wrzeszcz. Ludzie tędy chodzą. — Zofia Antonowna obawiała się nowego wybuchu.

Parowiec z Monrepos przybił do przystani na wprost bramy; z ochrypłym gwizdem, którego nikt nie zauważył; wysadził na brzeg garść pasażerów, którzy się rozeszli w różne strony. Tylko jakiś wczesny turysta w knickerbockerach, z niewielkim żółtym skórzonym futerałem na lornetkę, przystanął chwilę, węsząc coś niezwykłego w tej gromadce czterech osób za zardzewiałą bramą czegoś, co wyglądało jak zapuszczony park pustego prywatnego domu. Ale był człowiekiem dobrze wychowanym; odwrócił wzrok i poszedł drobnym krokiem wzdłuż alei, oczekując tramwaju.

Skinienie ręki Zofii Antonowny odprawiło obu mężczyzn; huczący, niewyraźny głos, stawał się coraz słabszy, a cieniutki skrzek: „Co takiego? Co się stało?” z dystansu skurczył się do rozmiarów pisku gumowej zabawki. Zostawili go jej. Tyle rzeczy powierzano bezpiecznie doświadczeniu Zofii Antonowny! Jakoż natychmiast jej czarne oczy zwróciły się na Razumowa, a umysł próbował sięgnąć do jądra owego wybuchu. Musiał on mieć jakąś przyczynę. Nikt się nie rodzi działaczem rewolucyjnym. Zmiana przychodzi jak wstrząs, z mocą nagłego powołania, przynosząc ze sobą dręczące wątpliwości, gwałtowne wybuchy, niepewny stan duszy, aż wszystko ułoży się i ukoji w namiętnej bezwzględności przekonania. Zofia Antonowna widywała, a często odgadywała wewnętrzny kryzys, jaki przechodziło mnóstwo młodych mężczyzn i młodych kobiet. Ten młodzieniec wyglądał na posępnego egotystę, a przy tym był to specjalny — jedyny — okaz. Nie spotkała się nigdy z indywidualnością, która by ją tak zaciekawiała i dziwiła.

— Trzeba panować nad sobą, Razumowie, kochany przyjacielu. Jeżeli tak dalej pójdzie, zwariuje pan. Gniewasz się pan na każdego, na siebie jest pan rozgoryczony, ciągle coś wynajdujesz, żeby siebie zadrećcać.

— To nie do zniesienia — wybuchnął Razumow urywanym głosem. — Musi pani przyznać, że nie mogę się łudzić co do zachowania... jest ono niejasne... a raczej... aż nadto jasne.

Uczynił rozpaczliwy gest. Nie odwagi mu brakło, lecz po prostu dławił się tą całą atmosferą fałszu, w której sądzone mu było obracać się bez nadziei zaczerpnięcia odrobiny bodaj świeżego powietrza.

— Szklanka zimnej wody przydałaby się panu, ot co — Zofia Antonowna, potrząsając głową, spojrzała na dom, a potem na niczym niezmacony spokój jeziora. Z lekkim, na wpół żartobliwym wzruszeniem ramion poradziła na lekarstwo wodę, w obliczu takiej jej obfitości. — Toż pan sam, drogi przyjacielu, rzucasz się na coś, co nie istnieje. Dlaczego? Wyrzuty pan sobie czyni czy co? To nie ma sensu. Przecież nie mógł pan iść i oddać się im sam w ręce, dlatego, że pańskiego towarzysza złapali.

I zaczęła przekładać mu rozsądnie i obszernie, że nie miał powodu skarżyć się na sposób, w jaki go przyjęto. Każdego trzeba było zrozumieć do gruntu, nim go przyjęto. Owszem, nikomu, o ile pamiętała, nie okazano od początku tyle zaufania. Niezadługo, bardzo niezadługo, może wcześniej niż się spodziewa, dadzą mu sposobność wykazania poświęcenia świętej sprawie zmiążdżenia Sromoty.

Razumow, słuchając spokojnie, myślał:

— Chce może uspić moje podejrzenia. Chociaż, z drugiej strony, nie ulega wątpliwości, że większość ich to głupcy.

Postąpił parę kroków na bok i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, oparł się o kamienny portal bramy.

— Co się tyczy tego co pozostało ciemne w losie tego biednego Haldina — zaczęła z wolna Zofia Antonowna, a każde jej słowo było dla Razumowa kroplą roztopionego ołowiu, kapiącą jedna po drugiej na czaszkę — co się tyczy tego, chociaż nikt ani na chwilę nie przypisywał ci najmniejszej winy z niedbalstwa, albo tchórzostwa wypływającej, to, mam niejaki wskazówki.

Razumow mimo woli podniósł na nią oczy; Zofia Antonowna skinęła lekko głową.

— Mam. Pamiętasz ten list z Petersburga, o którym wspominałam przed chwilą?

— List? Doskonałe! Jakiś żarliwiec opisywał moje zachowanie się w pewien dzień, To przecież aż się niedobrze robi. Wyobrażam sobie, jak się nasza policja cieszy, otwierając te zajmujące i... i... zbyteczne listy.

— O, bynajmniej! Listy nasze nie tak łatwo wpadają w ręce policji, jak sobie wyobrażasz. Ten, o którym mowa, wyszedł z Petersburga, dopiero gdy lody puściły. Zabrał go pierwszy angielski parowiec, który odpłynął Newą tej wiosny. Mamy na nim palacza... jednego z naszych oczywiście. List doszedł mnie z Hull...

Umilkła, jakby zdumiona wyrazem ponurego skupienia w spojrzeniu Razumowa, lecz wnet ciągnęła dalej, znacznie prędzej:

— Mamy tam także naszych, którzy... ale mniejsza z tym. Autor listu opisuje mi pewien wypadek, mogący mieć, według niego, związek z zaarrestowaniem Haldina. Miałam ci właśnie powiedzieć o tym, gdy tamci dwaj nadeszli.

— To był także wypadek — mruknął Razumow — bardzo przyjemny dla mnie.

— Ach! Zostaw pan! — zawołała Zofia Antonowna — Kto zważa na szczeranie Nikity. To człowiek bez zółci. Słuchaj lepiej, co ci powiem. Może będziesz mógł rzucić na to jakie światło. Był w Petersburgu człowiek, rodzaj miejskiego chłopca, trudniącego się wynajmem koni... Przybył do stolicy, by pracować jako woźnica u kogoś ze swoich krewnych, a skończył na tym, że sam został właścicielem jednego, czy paru powozów.

Mogła sobie oszczędzić trudu rzucenia mu gestem rozkazu: „Poczekaj”, bo Razumow nie myślał się odezwać; nie przerwałby jej teraz, gdyby nawet chodziło o jego życie. Tylko mięśnie twarzy ściągnęły mu się mimowolnie; ale był to ruch powierzchowny, w głębi zaś zachował to samo ponure skupienie jak przedtem.

— Nie był on pospolitym typem w swojej sferze — ciągnęła dalej. — Mieszkańcy domu... mój korespondent rozmawiał z wieloma spośród nich, a był to jeden z tych olbrzymich domów, w których gnieździ się hańba i nędza.

Zofia Antonowna nie potrzebowała rozwodzić się nad charakterem tego domu. Razumow ujrzał wyraźnie wznoszący się poza jej plecami wielki, murowany budynek, przesłonięty płatkami śniegu, z długim rzędem okien jadłodajni, błyszczących tłusto tuż przy ścianie. Widmo tej nocy prześladowało go. Zwrócił się przeciwko niemu z wściekłością i znużeniem.

— Czy nieboszczyk Haldin nie wspominał ci kiedyś o tym domu? przerwała nagle Zofia Antonowna.

— Tak. — Razumow dając tę odpowiedź, zastanowił się, czy nie wpadł w pułapkę, ale ciągle okłamywanie tych ludzi było czymś tak upokarzającym, że prawdopodobnie nie powiedziałyby: nie. — Raz mi coś wspomniał — dodał, jak gdyby usiłując to sobie przypomnieć. — Bywał tam u robotników.

— Właśnie.

Zofia Antonowna triumfowała. Jej korespondent dowiedział się o tym zupełnie przypadkowo w rozmowie z mieszkańcami domu, zaprzyjaźniwszy się z robotnikiem, który zajmował tam izbę. Opisał mu dokładnie powierzchowność Haldina. Mówił im krzepiące słowa nadziei w ich nędzy. „Przychodził nieregularnie, ale bardzo często” (pisał ów korespondent) „i czasami spędzał noc w tym domu, śpiąc, jak mi się zdawało, w stajni, znajdującej się w drugim podwórzu”. Zapamiętaj to, Razumowie. W stajni.

— Tak. Na słomie. Był to zapewne najczystszy kąt w całym domu — zauważył Razumow i mimo woli uśmiechnął się, choć w duszy miał piekło.

— Zapewne — przytaknęła kobieta, marszcząc brwi, przy czym czarne oczy zbliżyły się ku sobie złowrogo. — Żadne czworonogie bydlę nie zniosłoby tego niechlujstwa nędzy, w jakiej miliony ludzkich istot żyć muszą w Rosji. Odkrycie to dowodziło, iż istniała zażyłość, pomiędzy Haldinem a tym chłopem, właścicielem koni, człowiekiem luźnych obyczajów, którego nie lubiono w domu. Podejrzewano go, że utrzymywał stosunki z szajką rzezimieszków. Wielu z nich zaaresztowano. Nie wtedy, kiedy ich wiozł, lecz było podejrzenie, że to on dawał znać policji i...

Rewolucjonistka urwała nagle.

— Czy przyjaciel pana wspominał kiedykolwiek o jakimś Ziemianiczu?

Razumow był przygotowany na to pytanie. „Gdy mi je postawią, nie zaprzeczę”, powiedział sobie. Ale długo się namyślał.

— Z pewnością — zaczął z wolna. — Ziemianicz, chłop trudniący się wynajmem koni. Tak. Raz z powodu pewnej okoliczności. Ziemianicz!..

Właściciel koni. Że mi to wyszło z pamięci. Była to przecież jedna z ostatnich naszych rozmów.

— To znaczy — rzekła Zofia Antonowna i spoważniała bardzo — to znaczy, Razumowie, że to było bardzo krótko przed...

— Przed czym? — wrzasnął Razumow do zdumionej kobiety, która się pomimo to nie cofnęła. — Przed... Ach! tak! Oczywiście, że przedtem. Jakżeby mogło być potem? Na kilka godzin przedtem.

— I mówił o nim pochlebnie?

— Z zachwytem! Konie Ziemianicza! Wolna dusza Ziemianicza!

Razumow znajdował jakąś dziką przyjemność w głośnym wymawianiu tego nazwiska, które jeszcze nigdy przedtem przez usta jego nie przeszło. Utkwił pałający wzrok w rewolucjonistce, aż wyraz jej twarzy, jakby urzeczony, przywołał go do porządku.

— Nieboszczyk Haldin — rzekł ze spuszczonej oczyma, hamując się — skłonny był do przeceniania ludzi, powodując się nagłymi sympatiami, niedostatecznie, że tak powiem, ugruntowanymi.

— Otóż to! — Zofia Antonowna klasnęła w dłonie. — W tym leży — według mnie — rozwiązanie zagadki. Mój korespondent, powziąwszy podejrzenia...

— Aha! Pani korespondent — rzekł Razumow, niemal otwarcie drwiącym głosem. — Jakież to podejrzenia?.. I kto mu ich napędził? Ten Ziemianicz? Jakiś pijaczyna, gaduła...

— Mówisz, jak gdybyś go znał. Razumow podniósł oczy.

— Nie. Ale znałem Haldina.

Zofia Antonowna z powagą skinęła głową.

— Rozumiem. Każde twoje słowo potwierdza podejrzenia, udzielone mi w tym bardzo zajmującym liście. Tego Ziemianicza znaleziono pewnego dnia wiszącego na haku w stajni.

Razumow zmieszał się tak widocznie, że Zofia Antonowna, spostrzegłszy to, rzekła z żywością:

— Aha! Zaczynasz pojmować.

Pojmował doskonale i widział wyraźnie przy świetle latarni, rzucającej smugi cieniów, ciało w baranym kozuchu i długich butach, wiszące na tle ściany; spiczasta czapka, z końcami związanymi aż po oczy, kryła twarz.

„Ale mnie to nie dotyczy”, pomyślał. „Nie, to nie wpływa na moje położenie. Ten człowiek nie wiedział, kto go zbił. Nie mógł wiedzieć.”

I zrobiło mu się żal tego starego miłośnika butelki i kobiet.

— Tak. Niektórzy z nich tak kończą — mruknął. — A pani co o tym myśli, Zofio Antonowna?

Zofia Antonowna myślała to, co myślał jej korespondent, i myśl tę zamknęła w dwóch wyrazach:

— Wyrzuty sumienia.

Razumow na to szeroko otworzył oczy. Korespondent Zofii Antonowny, nasłuchawszy się opowiadań mieszkańców owego domu, zestawivszy jedno z drugim, okazał się bardzo bliskim prawdy co do stosunku Haldina z Ziemianiczem.

— To ja mogę ci powiedzieć — ciągnęła dalej Zofia Antonowna — że przyjaciel twój chciał się ocalić, a w każdym razie planował ucieczkę z Petersburga, resztę zdając na los szczęścia, i że konie Ziemianicza były częścią tego planu.

„Doszli prawdy”, pomyślał Razumow ze zdumieniem, a głośno przytaknął:

— Tak, to możliwe, to bardzo możliwe.

Ale rewolucjonistka twierdziła stanowczo, że tak było. Naprzód ktoś słyszał, jak Haldin i Ziemianicz rozmawiali o koniach. Po wtóre, gdy „młody pan” (nie znali nazwiska Haldina) przestał pokazywać się w domu, mieszkańcy poczęli podejrzewać Ziemianicza, że wie coś o przyczynach tej nieobecności. Ziemianicz zapierał się z rozdrażnieniem, faktem jednak było, że od czasu zniknięcia Haldina spochmurniał i schudł. Wreszcie, w kłótni o jakąś kobietę (do której się umizgał), w której to kłótni uczestniczyła większość mieszkańców, główny jego przeciwnik, atletyczny kramarz, nazwał go wręcz donosicielem i zarzucił mu, że posłał „naszego młodego pana, jak przedtem niejednego rabusia, na Syberię”. Wywiązała się bójka; Ziemianicza zrzuciono ze schodów, on zaś pił przez tydzień na umór, wreszcie powiesił się.

Zofia Antonowna wyciągnęła swoje wnioski z tej opowieści. Oskarżała Ziemianicza, że albo wygadał się po pijanemu w szynku, może w tym samym, który się mieścił na dole w owym domu, że ma wieść kogoś za miasto i zapewne jakiś szpieg go podsłuchał, albo po prostu dał znać policji, po czym zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia. Taki człowiek zdolny był do wszystkiego. Mówiono o nim, że był starym wygą. A jeżeli raz wdał się w konszachty z policją — co się zdawało pewne, choć się tego zapierał — w związku z owymi rzezimieszkami, oczywiście policja miała go zawsze przez swych podrzędnych agentów na oku, żeby w odpowiedniej chwili coś z niego wyciągnąć. Prawdopodobnie z początku nie przywiązywano wagi do jego gadaniny, aż do dnia, kiedy ten łotr de P. spotkał się z zasłużonym losem. Ach! Ale wtedy, każda najlżejsza wskazówka miała wartość i ostatecznie tak się fatalnie złożyło, że musieli schwytać Haldina.

Zofia Antonowna rozpostarła ręce:

— Fatalne.

Fatalność, a to traf! Razumow pochylił się w milczącym zdumieniu nad dziwnym prawdopodobieństwem tych wiadomości. Były one niezaprzeczenie korzystne dla niego.

— A teraz, słuszną jest rzeczą podać ten ostateczny wynik do ogólnej wiadomości. — Zofia Antonowna była znów bardzo spokojna i rozważna. List ten otrzymała już trzy dni temu, lecz nie mówiła o tym zaraz Piotrowi

Iwanowiczowi. Wiedziała, że wkrótce będzie miała sposobność spotkać kilku działaczy, zgromadzonych w bardzo ważnym celu.

— Pomyślałam, że większe wrażenie wywołam, gdy będę mogła pokazać list wszystkim. Mam go przy sobie w kieszeni. Pojmuje pan, jak byłam rada, natknąwszy się na pana.

„Mnie go nie pokaże”, pomyślał Razumow. „Nie zanoszę się na to. Ciekawym, czy powiedziała mi wszystko, co ten jej korespondent wyszperał?”

Ogarnęła go trawiąca chęć zobaczenia listu, ale czuł, że nie powinien tego żądać.

— Proszę, niech mi pani powie, czy to było śledztwo przeprowadzone w tej sprawie?

— Nie, nie — zaprzeczyła. — Znowu ta drażliwość. To pana ogłupia. Alboż nie widzi pan, że nie było o co się zaczepić dla rozpoczęcia śledztwa, gdyby nawet komuś przyszłoby to na myśl. Zupełna próżnia i na to właśnie powoływały się niektóre osoby jako na przyczynę przyjęcia cię z ostrożnością. A tamto stało się całkowicie przypadkowo, dlatego, że mój korespondent zaznajomił się z pewnym inteligentnym garbarzem, mieszkającym właśnie w owej speluncie. Nadzwyczajny zbieg okoliczności.

— Ktoś pobożny — zauważył Razumow z bladym uśmiechem — powiedziałby, że to ręka Boga tak wszystkiemu pokierowała.

— Mój ojciec nieboszyk powiedziałby tak. — Zofia Antonowna nie uśmiechnęła się. Spuściła oczy. — Chociaż jemu Bóg nigdy nie dopomógł. Dawne to czasy, kiedy Bóg cośkolwiek dla ludzi czynił, W każdym razie tak się stało.

— Wszystko to byłoby zupełnie przekonujące — rzekł Razumow tonem bezstronnego namysłu — gdybyśmy mieli pewność, że ów „nasz młody pan” z opowieści tych ludzi był istotnie Wiktorem Haldinem. Ale czy ją mamy?

— O, tak. Co do tego nie może być wątpliwości. Mój korespondent znał tak dobrze powierzchowność Haldina jak twoją — stwierdziła rewolucjonistka stanowczo.

„To z pewnością ten czerwono nosy student” — powiedział sobie Razumow z rozbudzonym na nowo niepokojem.

Czy też jego własna bytność w tym przeklętym domu przeszła niepostrzeżenie? Było to możliwe. Jednak było mało prawdopodobne. Stanowiła ona przecież odpowiedni pokarm dla pospolitych plotek, jakie ten chudeusz zbierał. Jednakże list nic o tym nie wspominał, chyba że Zofia Antonowna zataiła przed nim ten szczegół. A jeżeli zataiła, to — dlaczego? Jeżeli tamten głodomór, posiadający taki talent poznawania ludzi z opisu, nie wyszperał tego jeszcze, to tylko kwestia czasu. Wyszpera niewątpliwie i pospieszy napisać drugi list, a wtedy!...

Pomimo całego opanowania swego temperamentu, karmionego nienawiścią i pogardą, Razumow zadrzał w duchu. Nie był to pospolity strach, lecz rodzaj niesmaku, że w jakikolwiek sposób ci ludzie się nim posługują. A

dołączyła się do tego jakaś przesadna obawa. Teraz, gdy jego położenie stało się pewniejsze dzięki ich własnej głupocie, kosztem Ziemianicza, uczuł potrzebę zupełnego bezpieczeństwa, aby nie być zmuszonym ciągle kłamać, aby móc obracać się pośród nich milcząc, słuchając, nieprzenikniony jak samo przeznaczenie ich zbrodni i głupoty. Czy ten przywilej był już jego własnością? Czy jeszcze nie? Czy nigdy nią nie będzie?

— A więc, Zofio Antonowna — zaczął, a jego ociąganie się było o tyle szczere, że niesporo mu było rozstawać się z nią, nie wypróbowałszy jej szczerości pytaniem, na które w żaden sposób nie mógł się zdobyć — a więc, Zofio Antonowna, skoro tak jest, to...

— Sam sobie wymierzył sprawiedliwość — zauważyła kobieta, myśląc głośno.

— Co? Ach! tak! Wyrzuty sumienia! — mruknął Razumow z dwuznaczną pogardliwością.

— Nie sądzę go tak surowo, Cyrylu Sidorowiczu, dlatego, że stracił pan przez niego przyjaciela. — Nie było cienia miękkości w jej głosie, tylko czarny blask jej oczu zdawał się jakby na chwilę oderwany od mściwych obrazów. — To był człowiek z ludu. Prosta dusza rosyjska jest zawsze skłonna do skruchy. Trzeba o tym pamiętać.

— Na pociechę? — podchwycił Razumow pytająco.

— Przestań szydzić! — wybuchnęła z uniesieniem. — Pamiętaj pan, Razumowie, że kobiety, dzieci i rewolucjoniści nienawidzą ironii, która jest zaprzeczeniem wszelkich zbawczych instynktów, wszelkiej wiary, wszelkiego poświęcenia, wszelkiego czynu. Nie szydź! Zaprzestań! Nie wiem, doprawdy, czym się to dzieje, ale są chwile, kiedy pan mi jesteś wstrętny!

Odwróciła twarz. Nastąpiła chwila martwego milczenia, jak gdyby całe napięcie sytuacji wyładowało się w tym wybuchu. Razumow ani drgnął. Nagle Zofia Antonowna dotknęła końcami palców jego rękawa.

— Nie zważaj pan na to!

— Nie zważam — odpowiedział bardzo spokojnie. Poczul się dumny, że ta kobieta nic z jego twarzy wyczytać nie potrafi.

To go ułagodziło, przyniosło mu bodaj chwilową ulgę w tym mętным przytłoczeniu, jakie go gnębiło. I nagle zadał sobie pytanie: „Po co ja tam, u diabła, chodziłem do tego domu? To była dopiero głupota.”

Ogarnął go głęboki niesmak. Zofia Antonowna nie odchodziła i zaczęła mówić tonem przyjacielskim, pojednawczym, opowiadając w dalszym ciągu o owym sławetnym liście i bardzo drobiazgowych szczegółach, odnoszących się do Ziemianicza, którego jej korespondent nigdy nie widział. Pochowano „ofiary wyrzutów sumienia” na kilka tygodni przedtem, nim autor zaczął uczęszczać do owego domu. Zawierał on — ten dom — sporo bardzo dobrego materiału rewolucyjnego. Duch bohaterskiego Haldina wniknął w te siedliska bezdennej nędzy z obietnicą powszechnego zadośćuczynienia za wszystkie krzywdy i niedole, nekające ludzkość. Razumow słuchał, nie słysząc, nurtowany żądzą

bezpieczeństwa bez tej poniżającej potrzeby kłamstwa, które chwilami wydawało mu się nie do zniesienia.

Nie. To, czego pragnął się dowiedzieć, nie wysnuje się nigdy z rozmowy. Nie było sposobu potrącić o ten przedmiot. Zaczął żałować, że nie przygotował sobie na użytek zagranicy jakiejś historyjki, w której jego nieszczęsna bytność w owym domu znalazłaby jakieś usprawiedliwienie. Ale gdy opuścił Rosję, nie wiedział, że Ziemianicz się powiesił. I, w ogóle, kto mógł powiedzieć, że ów „korespondent” trafi do tej właśnie spelunki pośród wszystkich spelunek, oczekujących zniszczenia w oczyszczającym ogniu rewolucji socjalnej? Kto by to powiedział? Nikt!

„To iście diabelska niespodzianka”, pomyślał Razumow, spokojny w swej postawie nieprzeniknionej wyższości; potakując uwagom Zofii Antonowny o psychologii „ludu”. „O tak, istotnie”, wtórował chłodno, doznając nerwowego swędzenia w palcach, by wydrzeć jej z gardła upragnioną wiadomość.

I dopiero w ostatniej chwili, na odchodnym, kiedy już nastąpiło w nim niejako odprężenie, Zofia Antonowna dotknęła tak bardzo obchodzącej go sprawy. Jak do tego doszło, mógł tylko zgadywać, bo umysł jego uległ roztargnieniu w owym momencie, ale musiało to wynikać z utyskiwań Zofii Antonowny na nielogiczną głupotę ludu. Na przykład ten Ziemianicz. Był skończonym niedowiarkiem, drwił z religii, a jednak w ostatnich tygodniach życia uroił sobie, że mu się ukazał diabeł i pobił go.

— Diabeł? — powtórzył Razumow, jak gdyby się przesłyszał.

— Tak. Diabeł we własnej osobie. Słusznie możesz się dziwić, Cyrylu Sidorowiczu.

Tego samego dnia, kiedy zaarrestowano biednego Haldina, wczesnym wieczorem zjawił się jakiś nieznamy i zbił na kwaśne jabłko Ziemianicza, kiedy ten leżał pijany na śmierć w stajni. Biedaczysko miał całe ciało w sińcach. Pokazywał je mieszkańcom domu.

— Ale pani, Zofio Antonowna, pani nie wierzy w rzeczywistego diabła?

— A ty? — odparła krótko kobieta i mruknęła sama do siebie:

„Wystarczy złych ludzi, gorszych od diabłów, by ziemię w piekło zamienić.”

Razumow popatrzył na nią, siwowłosą lecz krzepką, z głęboką bruzdą pomiędzy brwiami i czarnymi oczyma, patrzącymi bez celu w dal. Widocznie niewiele sobie robiła z tej historyjki, chyba że i ta obojętność była szczytem przewrotności z jej strony,

— Jakiś młody brunet — tłumaczyła dalej. — Nigdy przedtem ani potem niewidziany. Dlaczego się pan uśmiecha, Razumowie?

— Dlatego, że diabeł pozostał młody po tylu wiekach — odpowiedział spokojnie. — Ale któż go mógł opisać, skoro Ziemianicz, jak pani powtórzyła, był pijany na śmierć i spał?

— Och! Opisał go właściciel szynku. Jakiś hardy, smagły młodzieniec w studenckim płaszczu wpadł, zapytał o Ziemianicza, zbił go niemiłosiernie i wyleciał ze stajni, nie rzekłszy słowa, pozostawiając szynkarza oniemiałego

ze zdziwienia.

— Czy i ten szynkarz wierzy także, że to był diabeł?

— Tego nie umiem powiedzieć. Podobno okazał się bardzo wstrzemięźliwy na tym punkcie. Ci szynkarze to przeważnie skończone lotry. Myślę, że wie o tym więcej niż ktokolwiek.

— A jakie jest zdanie pani na ten temat, Zofio Antonowna? — zapytał Razumow tonem wielkiego zainteresowania. — Pani i jej korespondenta, który tam jest na miejscu.

— Zgadzam się z nim. Zapewne jakiś przebrany wyżeł policyjny. Któż inny mógłby zbić tak nielitościwie bezbronnego człowieka? Zresztą, jeżeli tego dnia weszli za każdym śladem dawnym czy nowym, to zapewne chcieli mieć Ziemianicza pod ręką dla wskazówek lub sprawdzenia tożsamości, albo ja wiem... Posłali po niego jakiegoś łotra wywiadowcę, a ten, rozzłoszczony, że go zastał pijanym, połamał na jego żebrach widły stajenne. A później, gdy im poszukiwana zwierzyna wpadła w ręce, już się o tego chłopca nie troszczono.

Takie były ostatnie słowa rewolucjonistki w tej rozmowie, tak bliskie prawdy, a tak daleko odbiegające od niej w swym prawdopodobieństwie myśli i wniosków, jakby dla stwierdzenia raz jeszcze niezwykłej natury ludzkich pomyłek, jakby dla ukazania na jedno mgnienie oka najgłębszego dna samooszukiwania się. Razumow, pożegnawszy Zofię Antonownę, wyszedł za bramę, przeszedł w poprzek gościniec i, wstąpiwszy na małe moło parowcowe, oparł się o barierę.

W umyśle jego zapanował spokój; spokój, jakiego nie znał od wielu dni, ani na chwilę od owej nocy... owej nocy. Rozmowa z rewolucjonistką ukazała mu grożące niebezpieczeństwo i w tej samej chwili niebezpieczeństwo to rozwiało się w sposób charakterystyczny.

„Powinienem był przewidzieć wątpliwości, jakie powstaną w głowach tych ludzi”, pomyślał.

Potem uwagę jego zwrócił kamień osobliwego kształtu, leżący na dnie i dokładnie widoczny, i zaczął się zastanawiać nad głębokością wody w tym miejscu. Ale wnet, drgnąwszy, zdumiony nadzwyczajnym przykładem tak nie w porę przychodzącego roztargnienia, powrócił do pierwotnego biegu myśli.

„Powinienem był nagadać im różnych kłamstw okolicznościowych od samego początku”, powiedział sobie, nabierając śmiertelnej odrazy do sugestii, która na krótką chwilę przerwała znów tok jego rozmyślań.

„Na szczęście, wszystko już teraz w porządku”, zastanowił się, a po pewnym czasie dodał na wpół głośno: „Dzięki diabłu” — i zaśmiał się. Tu uwaga jego zatrzymała się na samobójstwie Ziemianicza. Właściwie sposób, w jaki je wytłumaczono, nie ubawił go, ale powoli dopatrzył się w nim pewnej satyrycznej cierpkości. Przyznał sam przed sobą, że gdyby był wiedział o tym samobójstwie przed opuszczeniem Rosji, nie byłby zdolnym zrobić z tego tak doskonałego użytku dla swych własnych celów. Powinien był czuć się

nieskończenie zobowiązanym studentowi z czerwonym nosem za jego cierpliwość i bystrość,

„Nadzwyczajny psycholog, jak się okazuje”, pomyślał sarkastycznie. „Wyrzuty sumienia! Właśnie! Oto jaskrawy przykład ślepoty prawdziwych spiskowców, głupiej drobiazgowości ludzi, opanowanych jedną myślą. To był dramat miłości a nie sumienia — ciągnął dalej w duchu Razumow, drwiąco. — Kobieta, do której się ten stary dziad umizgał! Barczysty kramarz, oczywiście rywał, zrzucający go ze schodów”...

A w sześćdziesiątym roku życia taki wieczysty kochanek nie przechodzi łatwo do porządku dziennego nad podobną sprawą. To był feministą innego pokroju niż Piotr Iwanowicz. Nawet pociecha butelki nie wystarczyła, być może, w tym najwyższym kryzysie. W tym wieku tylko stryczek mógł ukoić cierpienia niezaspokojonej namiętności. A do tego dołączyło się jeszcze głębokie rozdrażnienie, wywołane niesprawiedliwymi potwarzami i obelgami całego domu oraz doprowadzająca do szału niemożność wytłumaczenia tajemniczego pobicia.

„Diabeł, co?”, wykrzyknął w duchu Razumow z takim podnieceniem, jak gdyby dokonał jakiegoś zajmującego odkrycia. „Ziemianicz skończył na mistycyzmie. Tyle naszych prawdziwie rosyjskich dusz kończy w ten sposób. Bardzo typowe!”

Zdjęła go litość nad Ziemianiczem, wielka, bierna litość, taka, jaką odczuwałoby się nad nieświadomym tłumem, biednym ludem widzianym z góry, niby społeczność pełznących mrówek, pracujących nad swoim przeznaczeniem. Zdawało się, że ów Ziemianicz nie był mógł postąpić inaczej. A zarozumiałe i pogardliwe wyrażenie się Zofii Antonowny: „jakiś wyżeł policyjny” było także charakterystycznie rosyjskie na inny sposób. Ale nie było w tym tragedii. Prawdziwa komedia pomyłek! Zupełnie jak gdyby sam diabeł płatał figle wszystkim po kolei. Naprzód jemu, potem Ziemianiczowi, potem tym rewolucjonistom. Iście po diabelsku. Przerwał sobie ten poważny myślowy monolog żarcikiem z samego siebie:

— Cóż to? Czy i ja także wpadłem w mistycyzm?

Spokojniejszy był niż kiedykolwiek. Odwróciwszy się, oparł się wygodnie plecami o barierę.

— Wszystko to składa się wprost cudownie — ciągnął w myślach. — Los mojego rzekomego współnika nie przyćmiewa już świetności przypisywanego mi czynu. Zawdzięczam to mistycznemu Ziemianiczowi. Los przysłużył mi się w sposób nieprawdopodobny. Nie potrzebuję już kłamać! Należy tylko słuchać i baczyć, by pogarda nie wzięła we mnie góry nad przezornością.

Westchnął, skrzyżował ręce, zwiesił podbródek na piersi; długi czas minął, nim ocknął się, przypomniawszy sobie, że ma coś ważnego do zdziałania tego dnia. Co to było, nie mógł sobie natychmiast uprzytomnić, lecz nie wysiłał pamięci, bo miał jakąś mglistą świadomość, że przypomni sobie niebawem.

Uszedł nie więcej niż sto jardów ku miastu, gdy zwolnił kroku i prawie się wzdrygnął na widok postaci, zdążającej w przeciwnym kierunku, w udrapowanym płaszczu i w miękkim kapeluszu o szerokim rondzie; malowniczej, ale drobnej, jak gdyby widzianej przez drugi koniec lornetki teatralnej. Niepodobieństwem było uniknąć tego maleńkiego człowieka, bo nie było gdzie się cofnąć!

„Jeszcze jeden idący na to tajemnicze zebranie”, pomyślał Razumow. Nie omylił się w swym przypuszczeniu, tylko że ten jeden, w przeciwieństwie do tamtych, przybyłych z daleka, był mu osobiście znany. Miał nadzieję wyminąć go, poprzestając na ukłonie, ale nie sposób było udać, że się nie widzi chudej, włosami porośniętej rączki, wyciągającej się przyjacielsko spomiędzy fałd płaszcza, zarzuconego na ramię z hiszpańska pomimo bardzo ciepłego dnia.

— Jak się miewa Herr Razumow — zabrzmiało po niemiecku, przez to samo jeszcze wstrętnej przedmiotowi tego uprzejmego powitania.

Ten drobniutki człowieczek wyglądał zbliżony jak obraz w zmniejszonej skali normalnie wyrosłego mężczyzny o wyniosłym czole, odsłoniętym na chwilę przez uchYLENIE kapelusza oraz o obfitej szpakowatej brodzie, rozkładającej się na stosunkowo szerokiej piersi. Kształtny, śmiało zarysowany nos sterczał nad cienkimi ustami, tonącymi w obfitości cienkich włosów. Wszystko to — wydatne rysy, silne w swej względnej małości członki — wydawało się delikatne, ale bynajmniej nie wątle, za wielkie jedynie wydawały się oczy w migdał wycięte i brunatne, o białkach z lekka nabiegłych krwią, jakby od częstego pisania przy lampie. Ta swojego rodzaju znakomitość w środowisku rewolucyjnym była dobrze znaną Razumowowi. Poliglota, niewiadomego pochodzenia, anarchista o pedantycznym a mimo to wściekłym temperamencie, niesłychanie zapalczywy, był on potęgą w odwodzie; ten gwałtowny pamflecista, domagający się rewolucyjnej sprawiedliwości, ten Juliusz Laspara, wydawca „Żyjącego Świata”, powiernik spiskowców, nakładca podżegawczych broszur i manifestów uchodził za wtajemniczonego w każdą robotę konspiracyjną. Mieszkał w starej dzielnicy miasta, w wąskim, ponurym domku, podarowanym mu przez pochodzącego ze średniej sfery naiwnego wielbiciela jego wymowy humanitarnej. Wraz z nim mieszkwały tam dwie jego córki, przerastające go o głowę i ramiona oraz blade, chude, sześciolatek chłopczyk, snujący się cicho po ciemnych pokojach w bawełnianym niebieskim ubranku i niezgrabnych bucikach, którego przynależności do tej rodziny nikt z obcych nie mógłby określić. Juliusz Laspara wiedział niewątpliwie, która z jego córek, zniknąwszy niespodzianie z domu na lat parę, wróciła równie niespodzianie jako posiadaczka tego dziecka, ale z nadzwyczajną pedanterją powstrzymywał się od pytania o szczegóły, nie wyłączając z nich nazwiska ojca, ponieważ dochodzenie ojcostwa nie należało do funkcji anarchistów. Razumow dwukrotnie przestępował próg mieszkania złożonego z kilku ciemnych pokoików na najwyższym piętrze, o oknach zakurzonych, pełnych śmieci wszelkiego rodzaju, niedopitych szklanek herbaty na każdym stole; podczas

gdy obie panny Lasparówny wałęsały się dookoła, zagadkowo milczące, z zaspanymi oczami, bez gorsetów, podobne w swych zmiętych sukniach i ogólnym nieporządku do starych lalek, a wielki lecz nieznany ogółowi Juliusz sterczał na stołku o trzech nogach, zawsze gotów do przyjęcia gości, porzucając natychmiast pióro i w jakiś szczególny sposób prezentując wyniosłe czoło i wielką, poważną brodę. Gdy schodził ze swego trójnoga, wyglądał jak gdyby zstępował z wyżyn Olimpu. Wszystko dokoła czyniło go wtedy jeszcze bardziej karzełkowatym: jego córki, sprząty, każdy gość przeciętnego wzrostu. Toteż bardzo rzadko opuszczał swe stanowisko, a jeszcze rzadziej wychodził z domu w biały dzień. Widocznie jakaś ważna przyczyna skłoniła go do tego dzisiaj. Widoczne również było, że pragnie być uprzejmym dla Razumowa, którego przyjazd wywołał pewne wrażenie w świecie zbiegów politycznych. Już po rosyjsku, którym to językiem mówił i pisał, jak kilkoma innymi europejskimi, nie wykwinicie lecz biegle, zapytał, czy Razumow zapisał się już na uniwersytet. A gdy młodzieniec wstrząsnął głową przecząco:

— Ma pan jeszcze dosyć czasu, a nim to nastąpi, mógłbyś coś dla nas napisać..

Laspara po prostu nie mógł zrozumieć, jak ktoś może się wstrzymać od napisania artykułu, czy to z dziedziny ekonomii, czy historii, czy rewolucji socjalnej. A właśnie zdarzyło się, że jeden z jego przyjaciół zawiązał stosunki z pewnym pismem londyńskim o bardzo postępowym kierunku.

— Musimy kształcić, kształcić wszystkich, rozwijać wielką ideę bezwzględnej swobody i sprawiedliwości rewolucyjnej.

Razumow mruknął kwaśno, że nawet nie zna języka angielskiego.

— Pisz pan po rosyjsku. Damy to do przetłumaczenia. O to nie ma kłopotu. Ot, nie szukając daleko, mamy pannę Haldin, moje córki odwiedzają ją czasem. — Skinął głową znacząco. — Ona nic nie ma do roboty, nic nigdy nie robiła. Wywiąże się z tego dobrze z małą pomocą. Tylko pan pisz. Musisz pisać. Wiesz. Więc jak na teraz: do widzenia.

Skinął ręką i odszedł. Rozumów oparł się o niski mur, popatrzył za nim, splunął gwałtownie i zawrócił w swoją stronę, mruknąwszy gniewnie:

— Przeklęty Żyd!

Dlaczego tak go nazwał, nie wiedział. Juliusz Laspara mógł być również dobrze Transylwańczykiem, Turkiem, Hiszpanem lub obywatelem któregoś z miast hanzeatyckich. Powieść ta nie jest historią Zachodu, więc wykrzyknikowi temu musi towarzyszyć objaśnienie, że był on po prostu wyrazem pogardy i nienawiści, najbardziej stosownym wobec uczuć rozsadzających w owej chwili piersi Razumowa. Zionął cały wściekłością, jak gdyby go spotkała jakaś osobista zniewaga. Szedł na oślep, instynktownie trzymając się wybrzeża, przez ładny, nudny ogród, w którym nudni ludzie siedzieli na krzesłach pod drzewami, a gdy złość go opuściła, spostrzegł, że znajduje się na środku długiego, szerokiego mostu. Zwolnił od razu kroku. Na prawo, za maleńkimi

przystaniami zobaczył zielone wzgórza okalające Petit Lac w całej cudnej banalności krajobrazu, malowanego na tekturze, z daleką perspektywą wody, nieruchomej i błyszczącej jak płachta blachy.

Odwrócił głowę od tego widoku, stworzonego dla turystów i szedł dalej z oczyma utkwionymi w ziemi. Parę osób musiało mu zejść z drogi, a potem odwróciło się, patrząc ze zdumieniem na jego głęboką zadumę. Nalegania wywrotowego dziennikarza dziwnie utkwily mu w mózgu. Pisać. Musi pisać! On! Pisać! Olśniło go nagle światło. Pisać, to było właśnie to, co postanowił uczynić tego dnia. Postanowił nieodwołalnie, a potem zapomniał. Ta niepoprawna skłonność do wymykania się z narzuconych mu warunków sytuacji przedstawiała poważne niebezpieczeństwo. Gotów był pogardzać sobą za to. Co to było? Lekkomysłność czy głęboko zakorzeniona słabość? A może jakiś lęk bezwiedny?

— Czyżbym się cofał? To niemożliwe. To być nie może. Cofać się teraz byłoby gorzej, niż popełnić samobójstwo duchowe; byłoby czymś w rodzaju moralnej zagłady — myślał. — Czy podobna, abym miał konwencjonalne sumienie?

Odrzucił tę hipotezę z pogardą i, przystanąwszy na brzegu chodnika, chciał przejść na drugą stronę i dalej iść szeroką ulicą na wprost mostu, nie dla żadnej innej przyczyny, tylko dlatego, że ją miał przed sobą. Ale w tej samej chwili nadjechało parę powozów i jakaś wolno wlokąca się fura, i Razumow nagle skręcił na lewo i szedł znów wzdłuż wybrzeża, ale tym razem oddalając się wciąż od jeziora.

— Może to wypływa ze stanu mego zdrowia — pomyślał, podając w wątpliwość swój stan fizyczny, co było u niego rzeczą bardzo niezwykłą, bo wyjąwszy parę niedomagań w dzieciństwie, nigdy dotąd nie chorował. Ale i w tym także tkwiło niebezpieczeństwo. Z drugiej strony jednak mogło się zdawać, że jest przedmiotem jakiejś osobliwej opieki.

— Gdybym wierzył w Opatrzność — rzekł do siebie z jakąś posepną żartobliwością — widziałbym w tym działanie Jej ironicznego palca. Żeby taki Juliusz Laspara zaszedł mi drogę, jakby umyślnie, aby mi przypomnieć, że... „Pisz pan” — powiedział. „Powinieneś pisać!”

— Wiem o tym, że powinienem... I będę pisał, nie ma obawy. Po to wszak tu jestem. A w przyszłości będę miał o czym pisać.

Podniecał się tym myślowym monologowaniem. Ale konieczność pisania wywoływała wizję jakiegoś spokojnego miejsca, odosobnienia, więc oczywiście powrotu do domu, co znowu napełniało go nieokreślonym lękiem, jak gdyby niewiadome niebezpieczeństwo czyhało na niego wśród tych wstrętnych czterech ścian.

— A gdyby tak któremu z tych rewolucjonistów — zapytał sam siebie — przyszła ochota odwiedzić mnie, podczas gdy będę pisał? — i samo przypuszczenie takiej przerwy przejęło go dreszczem. Wprawdzie mógł się zamknąć na klucz lub poprosić sklepikarza z dołu (który sam był jakimś

zbiegiem politycznym), żeby powiedział, jeśli kto zapyta o niego, że go nie ma w domu. Ale tego rodzaju ostrożność nie mogłaby mu wyjść na dobre. Musi prowadzić życie nie dające najlżejszego powodu do podejrzeń lub nawet zaciekawienia z powodu choćby tak błahego, jak zwłoka w otwarciu drzwi na klucz zamkniętych.

— Chciałbym być gdzieś w polu, o całe mile z dala od każdego zamieszkanego miejsca — pomyślał.

Bezwiednie skręcił jeszcze raz na lewo i teraz uświadomił sobie, że jest znów na jakimś moście. Ten był znacznie węższy niż tamten i tworzył rodzaj załamania pod kątem, w którym to miejscu krótka odnoga łączyła go z sześciokątną wysepką, wyżwirowaną, o brzegach ocembrowanych kamieniem z nadzwyczajną starannością. Parę wysokich topoli i kilka innych drzew stało na czystym, ciemnym żwirze, a pod nimi umieszczono kilka ogrodowych ławek i brązowe popiersie Jana Jakuba Rousseau na piedestale.

Zaszedłszy tu, Razumow przekonał się, że oprócz kobiety w drewnianej altance, sprzedającej napoje orzeźwiające, na wysepce nie było żywej duszy. Ten maleńki okruch ziemi, noszący imię Jana Jakuba Rousseau, tchnął jakąś naiwną, obrzydliwą i ckliwą prostotą. Było to zarazem pretensjonalne i liche. Zażądał szklanki mleka, którą wypił duszkiem (nie miał w ustach od rana nic oprócz herbaty), po czym już odchodził zmęczonym, ociążalym krokiem, gdy myśl pewna zatrzymała go nagle. Znalazł przecież to czego szukał. Jeżeli można było zapewnić sobie samotność na otwartym powietrzu, pośrodku miasta, to chyba tu, na tej głupiej wysepce, do której jedyny dostęp przez ową odnogę mostku widoczny był jak na dłoni.

Zawrócił i usiadł ciężko na ławce. To było właśnie odpowiednie miejsce do owego pisania, które tak mu niesporo było rozpocząć. Potrzebne przybory miał przy sobie.

— Będę tu zawsze przychodził — powiedział w duchu i siedział długo bez poruszenia, jak odrętwiały, nie myśląc, nie patrząc i nie słysząc, prawie bez życia. Dopiero gdy słońce zaczęło zsuwać się za dachy domów za jego plecami i rzucać cień na domy po drugiej stronie jeziora, na wprost wysepki, wydobyl z kieszeni wieczne pióro, położył mały notes na kolanie i zaczął pisać prędko, podnosząc od czasu do czasu oczy na łącznikowy odcinek mostku. Spojrzenia te były niepotrzebne, gdyż widzianym z daleka przechodniom nawet nie śniło się spojrzeć w stronę wysepki, gdzie osadzona w odosobnieniu podobizna autora *Umowy społecznej* górowała nad pochyloną głową Razumowa w ponurej nieruchomości brązu. Skończywszy pisanie, Razumow z pewnym gorączkowym pośpiechem odłożył pióro, po czym wpakował notes do kieszeni, wydarłszy z niego poprzednio zapisane kartki, które następnie wygładził bardzo starannie na kolanie. Wtedy oparł się o poręcz ławki i siedział bez ruchu, trzymając papiery w lewej ręce. Gdy zapadł zupełny mrok, wstał i zaczął przechadzać się z wolna pod drzewami.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, że teraz jestem bezpieczny — pomyślał.

Bystry jego słuch wyłowił ledwo słyszalny szmer prądu, rozbijającego się o cypel wysepki i zaczął z zainteresowaniem wsłuchiwać się w ten odgłos. Ale nawet dla tak wyostrzonego słuchu był on zbyt nieuchwytny.

— Nadzwyczajne zajęcie wynalazłem sobie — mruknął.

I przyszło mu na myśl, że był to może jedyny odgłos, którego mógł słuchać niewinnie i dla własnej przyjemności. Tak, plusk wody, szmer wiatru; oba tak zupełnie obce ludzkim namiętnościom. Wszystkie inne odgłosy tej ziemi plugawiły samotność duszy.

Takiego uczucia doznawał Razumow, mając na myśli oczywiście swoją własną duszę i używając tego określenia nie w znaczeniu teologicznym lecz w zastosowaniu do tej części jego jestestwa, które nie było jego ciałem, i której groziło większe niebezpieczeństwo niż pożary tej ziemi. I trzeba przyznać, że w danym wypadku gorycz samotności, z powodu której tak cierpiał Razumow, nie była zgoła chorobliwym zjawiskiem.

CZEŚĆ CZWARTA

Jeżeli przy okazji tego rzutu oka wstecz wspominam znów, że młodość Razumowa nie miała nikogo na świecie, tak literalnie nikogo, jak się to da jedynie o ludzkiej istocie powiedzieć, jest to tylko stwierdzenie faktu przez człowieka wierzącego w psychologiczne znaczenie faktów. Jest to może również chęć skrupulatnej szczerości. Nie indentyfikując się z żadną z osób tego opowiadania, w którym poglądy na honor i hańbę są tak bardzo dalekie od pojęć Świata Zachodniego i stając jedynie na stanowisku ogólnoludzkim, czuję dziwną niechęć do gołosłownego stwierdzenia tutaj tego, co każdy czytelnik już sam prawdopodobnie sobie uświadomił. Taka niechęć mogłaby się wydawać nedorzeczną, gdyby nie myśl, że z powodu niedoskonałości mowy jest zawsze coś niezręcznego (a nawet sromotnego) w ujawnieniu nagiej prawdy. Ale przyszedł czas, kiedy nie można już dłużej zapominać o radcy stanu Mikulinie. Jego proste pytanie: „Dokąd?”, przy którym zostawiliśmy Razumowa w Petersburgu, rzuca światło na ogólne znaczenie tego poszczególnego wypadku.

„Dokąd?” było odpowiedzią w formie łagodnego zapytania na to, co możemy nazwać wyznaniem niepodległości Razumowa. Pytanie nie miało w sobie nic groźnego; dźwięczało niewinnie. Gdyby było zrozumiane dosłownie, w sensie topograficznym, jedyna odpowiedź na nie mogła być wydać się Razumowowi dostatecznie przerażającą. Dokąd? Czy wróci do swego mieszkania, gdzie go wyszukała rewolucja, by wystawić nagle ma próbę jego uśpione instynkty, jego na wpół świadome myśli i prawie całkiem nieświadome

ambicje, jakby pod dotknięciem jakiejś fanatycznej i dogmatycznej religii, z jej domaganiem się najjaskrawszych poświęceń, z jej tkliwą rezygnacją, z jej marzeniami i nadziejami podnoszącymi duszę, tuż obok najbardziej ponurej rozpacz.

I Razumow, puściwszy kłamkę, postąpił z powrotem na środek pokoju, zapytując gniewnie radcę Mikulina:

— Co pan przez to rozumie?

O ile mi wiadomo, radca Mikulin nie odpowiedział na pytanie, natomiast zawiązał z Razumowem poufną rozmowę. Jest charakterystyczną cechą natur rosyjskich, że choćby najbardziej pochłonięte jakimś działaniem, nadstawiają zawsze uszu ma szept idei abstrakcyjnych. Rozmowy tej (i innych późniejszych) nie potrzebuję powtarzać. Wystarczy powiedzieć, że nadała ona inny kierunek przekonaniom Razumowa. Nie było w tym nic oficjalnego i radca Mikulin przeszedł do porządku dziennego nad jego argumentami,

— Dla człowieka takiego pokroju jak pan — powiedział mu — położenie takie jest niemożliwe. Nie zapominaj pan, że widziałem to pańskie, że tak powiem, wyznanie wiary. Rozumiem pański liberalizm. Sam mam zapatrywania pokrewne. Reforma dla mnie jest po prostu kwestią metody. Ale zasada buntu jest fizycznym odurzeniem, rodzajem hysterii, od której trzeba bronić masy. Wszak pan się zgadza na to bez zastrzeżeń? Bo widzi pan, Cyrylu Sidorowiczu, bierność, wstrzeźliwość w pewnych okolicznościach stają się czymś bardzo bliskim zbrodni politycznej. Starożytni Grecy rozumieli to doskonale.

Razumow, słuchający z bladym uśmiechem, zapytał wręcz radcy Mikulina, czy to ma znaczyć, że on, Razumow, będzie zostawał pod dozorem?

Wysoki urzędnik nie obraził się o to cyniczne zapytanie.

— Nie, Cyrylu Sidorowiczu — odpowiedział z powagą — nie mam zamiaru rozciągać nad panem dozoru.

Razumow, podejrzewając kłamstwo, usiłował ujawnić jak największą swobodę umysłu przez krótki czas, jaki trwała jeszcze ta rozmowa. Radca Mikulin wyrażał się w sposób potoczny z rodzajem chytrej prostoty; Razumow wywnioskował, że dotrzeć do dna tego umysłu było czystym niepodobieństwem. Wielki niepokój przyśpieszył bicie jego serca. Dygnitarz, wyszedłszy zza swego biurka, podał mu rękę.

— Żegnam pana, panie Razumow. Dojście do porozumienia pomiędzy ludźmi inteligentnymi jest zawsze pomyślną okolicznością. Nieprawdaż? A oczywiście ci panowie buntownicy nie mają monopolu na inteligencję.

— Sądzę, że nie będę już potrzebny? — Razumow zadał pytanie, podczas gdy ręka jego spoczywała jeszcze w uścisku radcy Mikulina. Ten puścił ją powoli.

— To, panie Razumow — rzekł z wielką powagą — może być tak lub nie. Bogu jednemu wiadoma jest przyszłość. Ale mogę zapewnić pana, że nigdy nie myślałem o rozciąganiu dozoru nad panem. Jesteś pan młodzieńcem o

wysoce niezależnym charakterze. Tak. Odchodzisz pan stąd wolny jak ptak, ale to nie przeszkadza, że wkońcu wrócisz do nas.

— Ja! Ja! — wykrzyknął Razumow tonem zaprzeczenia i przerażenia,

— Tak. Ty sam, Cyrylu Sidorowiczu — powtórzył urzędnik z głębokim przeświadczeniem. — Powrócisz do nas. Niektórzy z największych naszych ludzi musieli to w końcu uczynić.

— Naszych największych ludzi... — powtórzył Razumow, oszołomiony.

— Tak... istotnie. Naszych największych ludzi... Do widzenia.

Razumow opuścił pokój i drzwi zamknęły się za nim. Ale nim doszedł do końca korytarza, posłyszał ciężkie kroki i głos wołający, aby się zatrzymał.

Odwrócił głowę i ujrzał, że radca Mikulin we własnej osobie goni za nim.

Wysoki urzędnik biegł lekko zdyszany, jak zwykły śmiertelnik.

— Chwileczkę! Co do tego, o czym mówiliśmy teraz, to będzie jak Bóg da. Ale może się zdarzyć, że będę pana znowu potrzebował. Nie dziw się pan, Cyrylu Sidorowiczu. Tak, znowu... dla pewnych wyjaśnień.

— Ależ ja nic nie wiem — wybełkotał Razumow. — Ja absolutnie nie mógłbym nic wiedzieć.

— Kto zaręczy? Rzeczy tak dziwnie składają się czasem. Kto zgadnie, co nam dzisiejszy dzień jeszcze przynieść może, zanim się skończy. Pan stałeś się już raz narzędziem Opatrzności. Uśmiechasz się, Cyrylu Sidorowiczu, jesteś *un esprit fort*.

Razumow wcale nie czuł, że się uśmiecha.

— Ale ja wierzę mocno w Opatrzność. Takie wyznanie w ustach starego, zahartowanego w służbie urzędnika brzmi może śmieszne. Ale sam pan uznasz to kiedyś. Inaczej to, co cię spotyka, nie dałoby się niczym wytłumaczyć. Tak, stanowczo będę musiał zobaczyć się z panem, ale nie tutaj. To nie byłoby... hm! Dam panu znać, gdy znajdę odpowiednie miejsce. A nawet będzie lepiej, jeżeli i w naszych stosunkach listownych uciekniemy się do pośrednictwa naszego, jeżeli się tak wyrazić mogę, wspólnego przyjaciela Księcia K. Ani słowa, Cyrylu Sidorowiczu. Jestem pewny, że Książę się zgodzi. Możesz mi pan zaufać, że wiem co mówię. Nie masz pan lepszego przyjaciela nad Księcia, a co do mnie, to z dawna zaszczyca on mnie swoim..

Spojrzał na swoją brodę.

— Nie będę zatrzymywał pana dłużej. Żyjemy w trudnych warunkach, w czasach potwornych mrzonek i zbrodniczych szaleństw. Z pewnością spotkamy się jeszcze. Może jakiś czas upłynie, nim to nastąpi, ale nastąpi. A do owej chwili, oby nieba zesłały panu zbawienne postanowienia.

Znalazłszy się na ulicy, Razumow zaczął iść szybko przed siebie, nie bacząc na kierunek. Zrazu nie myślał o niczym, ale stopniowo świadomość położenia, w jakim się znajdował, stanęła przed nim jako coś brzydkiego, niebezpiecznego i tak wikłającego go bez wyjścia w swoje sieci, że przemknęła mu przez chwilę myśl, by wrócić i wyznać wszystko radcy Mikulinowi.

„Wrócić! Po co? Wyznać! Co takiego?”

„Mówiłem wszak z nim z największą otwartością” ,pomyślał zupełnie szczerze. „Cóż innego mogłem mu powiedzieć? Że podjąłem się zanieść zlecenie temu bydłociu Ziemianiczowi? I tym sposobem ściągnąć na siebie niesłuszny zarzut współnictwa, niweczając tę jedyną możliwość bezpieczeństwa, jaką z takim trudem zdobyłem. Co za głupota”! Jednak nie mógł oprzeć się myśli, że radca Mikulin był może jedynym człowiekiem na świecie, który potrafiłby zrozumieć jego postępowanie. Być zrozumianym wydało mu się czymś nadzwyczaj kuszącym.

W drodze do domu musiał przystawać kilkakrotnie; siły zdawały się go opuszczać całkowicie i stał przez parę minut w gwarze ruchliwych ulic, odosobniony jak na pustyni, zanim mógł iść dalej. Wreszcie dowlókl się do domu.

A potem przyszła choroba, coś w rodzaju uporczywej gorączki, która od razu przeniosła go gdzieś daleko od trosk bieżących, nawet z granic własnego pokoju. Nie tracił przytomności; zdawało mu się tylko, że istnieje drętwo gdzieś bardzo daleko od wszystkiego, co mu się kiedykolwiek zdarzyło. Otrząsał się z tego stanu z wolna, z wrażeniem, że to trwa niesłychanie długo, chociaż istotna liczba dni nie była bardzo znaczna. A gdy wreszcie zaczął powracać do rzeczywistości, wszystko co go otaczało zmieniło się w jakiś subtelny, drażniący, wyzywający sposób: martwe sprzęty, ludzkie twarze, gospodyni, usługująca mu wiejska dziewczyna, schody, ulice, powietrze samo. Zdawał sobie sprawę z tych zmienionych warunków z jakąś szczególną surowością. Uczęszczał na uniwersytet, słuchał wykładów, przechodził schody i korytarze, robił notatki, mijał dziedzińce w jakimś gniewnym odosobnieniu, z zębami tak zaciśniętymi, że aż go szczęki bolały.

A jednocześnie wiedział, że narwaniec Kostia patrzy na niego z daleka jak młody wyżeł, że wygłodzony student o czerwonym spuszczonej nosie sumiennie schodzi mu z drogi, jak sobie tego życzył, że ze dwudziestu innych, których znał dostatecznie dobrze, by z nimi mógł rozmawiać, czyni to samo. A wszyscy mieli miny zaciekawione i zatroskane, jak gdyby oczekiwali, że się coś stanie.

— To nie może dłużej trwać — parokrotnie dochodził do wniosku Razumow.

Czasem zdejmował go lęk, że gdy kto zagadnie go nagle w pewien sposób, on nie wytrzyma i obrzuci tamtego najbrutalniejszymi pomówieniami. Często, powróciwszy do domu, osuwał się na krzesło w czapce i płaszczu, i pozostawał tak godzinami, trzymając w ręce książkę, którą przyniósł z biblioteki, lub brał scyzoryk i siedział, skrobiąc bez końca paznokcie i kipiąc przez cały ten czas wściekłością, po prostu kipiąc.

— To niemożliwe — mruknął nagle w ciszy pustego pokoju.

Tu rzecz godna podkreślenia: ten pokój powinien stać mu się fizycznie wstrętnym, moralnie nie do zamieszkania, ale —nie, nic podobnego (a on sam lękał się tego z początku) się nie zdarzyło. Wprost przeciwnie; polubił swoje

mieszkanie, on, który nigdy nie miał rodzinnego domu, bardziej, niż jakiegokolwiek inne z tych, które w życiu zajmował. Polubił je tak bardzo, że często z tego powodu musiał się przymuszać, żeby wyjść. Było to tak trudne, jak trudno jest odejść od ciepłego pieca w zimny dzień.

Chociaż w owym czasie mało wychodził, poza wyjściem na uniwersytet (gdzież indziej miał iść?), tak się składało, że gdziekolwiek się zwrócił, wnet otaczały go moralne skutki jego czynu. Było to tak, jak gdyby zły urok tajemnicy Haldina padał na niego i obejmował go, jak zatruta szata, którą niepodobieństwem było zrzucić. Cierpiał z tego powodu niewysłowienie, jak również gdy musiał zamienić z konieczności kilka zdawkowych słów z kolegami.

„Muszą się dziwić zmianie, która we mnie zaszła”, zastanawiał się z niepokojem. Przypomniawszy sobie, że powiedział paru bardzo grzecznym i sympatycznym studentom, żeby sobie poszli do diabła. Raz pewien żonaty profesor, u którego bywał dawniej, zagadnął go w przejściu:

— Czemu się to dzieje, Cyrylu Sidorowiczu, że nie widzimy teraz pana na naszych środach?

Razumow na ten dowód uprzejmości odburknął tak gburowato, że profesor z wielkiego zdumienia nie obraził się nawet.

Wszystko to było okropne, a przyczyną wszystkiego był Haldin, zawsze Haldin, jedynie Haldin, wszędzie Haldin, widmo moralne, stokroć wyraźniejsze niż widome zjawianie się zmarłego. I tylko w tym pokoju, do którego ten człowiek zabłądził w drodze od zbrodni ku śmierci, widmo to zdawało się tracić swą władzę prześladowczą. Tutaj Razumow był górą w spokojnym poczuciu swej wyższości. Często wieczorem, gdy naprawiony zegarek tykał słabo na stole obok lampy, Razumow podnosił głowę znad pisania i spoglądał na łóżko z wyrazem beznamietnej uwagi. Ale nic się nie pokazywało. W gruncie rzeczy nie przypuszczał nigdy, żeby się coś mogło pokazać. Po chwili wzruszał z lekka ramionami i pochylał się nad robotą. Bo zabrał się do pracy, z początku z pewnym powodzeniem. Jego niechęć do porzucania tego miejsca, gdzie się czuł bezpiecznym od Haldina, tak wzrosła, że w końcu przestał zupełnie wychodzić. Od wczesnego ranka do późnej nocy pisał i pisał, blisko przez tydzień, nie patrząc na godzinę, a tylko rzucając się na łóżko dopiero wtedy, kiedy mu się oczy zaczynały kleić.

Aż pewnego dnia spojrzawszy przypadkiem na zegarek i z wolna odłożył pióro.

„O tej właśnie godzinie”, pomyślał, „on się tu wśliznął niepostrzeżenie podczas mojej nieobecności. A tam siedział spokojnie, jak mysz, może na tym samym krześle”. Razumow wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, spoglądając raz po raz na zegarek.

„A o tej porze wróciłem i zastałem go stojącego pod piecem”, pomyślał znowu. Gdy się ściemniło, zapalił lampę. Przerwał na chwilę chodzenie, by odprawić gniewnym ruchem ręki dziewczynę, która chciała wejść do pokoju z

herbatą na tacy. Następnie zauważył, że zegarek wskazuje godzinę, o której wyszedł z owym fatalnym zleceniem,

„Wspólnictwo!” — mruknął z cicha i chodził znowu, nie spuszczać oczu ze wskazówek, które posuwały się powoli, aż do chwili jego powrotu.

„A zresztą”, pomyślał nagle, „może i byłem narzędziem Opatrzności; to się tak mówi, ale w każdym powiedzeniu tego rodzaju może się kryć prawda. A gdyby tak ta nedorzeczna gadanina była w swej treści prawdziwa?”

Podumał chwilę a potem usiadł, wyciągnawszy nogi, z kamiennym wzrokiem i rękoma zwieszonymi po obu stronach krzesła, jak człowiek znękany, którego Opatrzność całkiem opuściła.

Zauważył czas odejścia Haldina, przesiedział jeszcze w ten sposób z pół godziny i, mruknawszy: „A teraz do roboty”, chwycił za pióro, ale wnet upuścił je pod wpływem wielce niepokojącej myśli: „Trzy tygodnie minęło, a dotąd ani słowa od Mikulina?”

Co to znaczy? Czy zapomniano o nim? Być może, A więc, niechby tak pozostał nadal. Gdybyż móc się ukryć... Ukryć? Ale gdzie? Jak? U kogo? W jakiej dziurze? I, czy już tak zawsze, czy co?

Ale ucieczka groziła poważnym niebezpieczeństwem. Rewolucja socjalna miała go na oku i Razumow doznał przez chwilę uczucia rozpaczliwego lęku, połączonego z ohydny upokorzeniem. Czyżby istotnie nie należał już do siebie? Przekleństwo! Ale czemu raczej nie prowadzić poprzedniego trybu życia? Uczyć się. Pracować. Pracować tak gorliwie, jak gdyby nic się nie stało (a przede wszystkim zdobyć srebrny medal absolwenta), wyróżnić się, stać się wybitnym sługą najpotężniejszego z mocarstw. Stać się jednocześnie sługą olbrzymiej masy ludzkości, ze zdolnością do logicznego, uświadomionego rozwoju w bratnim zespoleniu sił i celów, jakiego dotąd świat nie widział... Rosyjskiego narodu!...

Uspokojony, pełen silnego postanowienia wytrwania w swoim wielkim zamiarze, wyciągnął rękę po pióro, gdy przypadkowo spojrzął na łóżko. Zerwał się, wściekły, i podskoczył w tę stronę z niemym krzykiem: „To ty, szalony fanatyku, stoisz mi na drodze!”

Zrzucił gwałtownie poduszkę, ściągnął kołdrę i prześcieradło. Nic. Ale odwróciwszy się, ujrzał na chwilę w powietrzu, niby żywy szczegół w obrazie, widmo dwóch rozplywających się we mgle głów; oczy generała T. i tajnego radcy Mikulina, jedno obok drugich, utkwione w nim, różne w charakterze, ale z tym samym nieugiętym i znużonym, a jednak pełnym świadomości wyrazem... sług narodu!

Razumow, wystraszony o siebie, dowlóknął się do umywalki, wypił trochę wody i zwilżył czoło.

„To minie, nie zostawi śladu”, pomyślał z otuchą. „Jestem zupełnie zdrow, przytomny”.

Przypuszczenie, że o nim zapomniano, było istną nedorzecznością. Już go tam sobie dobrze zakarbowano. Ale to nic nie znaczyło. Chodziło jedynie o

to, żeby się pozbyć tego, wskutek czego nędzne widmo tam stoi... Gdyby tak można wypluć to wszystko na któregoś z nich — i ponieść skutki.

Wyobraził sobie, że zaczepia czerwono-nosego studenta i nagle wygraża mu pięścią przed twarzą.

„Chociaż z tego właśnie”, pomyślał, „nie można niczego wydobyć, bo to skończony wariat. Żyje w czerwonym transie demokratycznym. Aha! Chcesz sobie utorować drogę do powszechnego szczęścia, mój chłopcze! Dam ja ci powszechne szczęście, ty głupi, zahipnotyzowany durniu, ty! A jakże to będzie z moim własnym szczęściem, co? Czy nie mam do niego prawa, dlatego, że umiem myśleć samodzielnie?”

I znowu, ale już z inną intonacją duchową, Razumow powiedział sobie. „Jestem młody. Wszystko przeżyć można”.

W owej chwili przechodził z wolna pokój, zamierzając usiąść na sofie i zebrać myśli. Ale w tej samej chwili uczuł, że opuszcza go wszystko: nadzieja, odwaga, wiara w siebie i w ludzi. W sercu uczuł pustkę. Na nic się nie zdała walka. Spokój, praca, samotność, swobodne stosunki z ludźmi, wszystko to było dlań niedostępne. Wszystko zniknęło. Życie jego było wielką, chłodną pustką, czymś na kształt olbrzymiej płaszczyzny całej Rosji, zniwelowanej zaspami śniegu i pogrążającej się stopniowo w mroku mgły.

Usiadł z szumem w głowie, zamknął oczy i spędził tak, siedząc wyprostowany na sofie, bezsennie resztę nocy, aż do chwili, gdy dziewczyna, przynosząca mu samowar, zaczęła dudnić pięścią w drzwi i wołać:

— Proszę pana! Cyrylu Sidorowiczu! Już pora wstawać.

Wówczas, błądy jak trup, posłuszny straszliwemu wezwaniu rzeczywistości, Razumow otworzył oczy i podniósł się z miejsca.

Nikt się chyba nie dziwi słysząc, że gdy przyszło wezwanie, Razumow udał się do radcy Mikulina. Przyszło ono tego samego ranka, kiedy błądy i trzęsący się, jak człowiek, który tylko co powstał z ciężkiej choroby, Razumow próbował się ogolić. Na kopercie poznał pismo adwokata. W kopercie tej była druga, zaadresowana ręką księcia K., z dopiskiem na boku: „Proszę posłać to natychmiast adresatowi”. List był od radcy Mikulina. Donosił, że nic nowego nie zaszło, lecz że mimo to pragnąłby zobaczyć się z Razumowem i naznacza mu miejsce spotkania w poczekalni pewnego okulisty.

Razumow przeczytał list, skończył się golić i ubierać, po czym spojrzał znowu na list i mruknął ponuro:

— U okulisty!

Zdawał się ważyć te słowa przez czas pewien, Potarł zapałkę i spalił starannie obie koperty wraz z zawartością. Potem czekał, siedząc zupełnie beczynnie i na nic w szczególności nie patrząc, aż zbliżyła się oznaczona godzina — wtedy wyszedł.

Czy, zważywszy na nieurzędowy charakter wezwania, mógł go nie posłuchać, trudno orzec. Prawdopodobnie tak. W każdym razie poszedł i, co więcej, poszedł z pewną skwapliwością, co mogłoby się wydawać rzeczą nie do

uwierzenia, o ile nie przypomnimy sobie, że radca Mikulin był jedyną osobą na świecie, z którą Razumow mógł mówić o sprawie Haldina jako o fakcie dokonanym. A Haldin, raz traktowany z tego punktu widzenia, przestawał być prześladowczym, fałszywie płodzącym widmem. W innych miejscach na ziemi mógł być jakąś spokój macającą potęgą, ale Razumow wiedział bardzo dobrze, że u tego okulisty będzie on tylko powieszonym mordercą pana de P., niczym więcej. Bo umarły może żyć tylko tym rodzajem życia i takim jego natężeniem, jakich mu żyjący udziela. Razumow więc, pewien ulgi, poszedł spotkać się z radcą Mikulinem ze skwapliwością człowieka ściganego, który spostrzega jakieś schronienie.

To powiedziawszy, nie widzę potrzeby przytaczania pierwszej rozmowy, ani kilku innych. Dla moralności Czytelnika Zachodniego sprawozdanie z tych spotkań przybrałoby może złowrogi charakter starych, legendarnych opowieści, w których Wróg Ludzkości prowadzi osukańcze dialogi z jakąś kuszoną przez siebie duszą. Nie do mnie należy przeczytać temu. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że Czart, ze swą namiętnością pychy szatańskiej, skierowaną ku jednemu tylko celowi, nie bywa, z szerszego, współczesnego punktu widzenia malowany tak czarno jak ongiś. Z tym większą więc względnością powinniśmy odnosić się do wiernej sylwetki zwykłego śmiertelnika, z jego różnorodnymi namiętnościami i oplakaną skłonnością do błędzenia; śmiertelnika zawsze zdradzanego przez krótkowzroczną mądrość.

Radca Mikulin był jednym z tych potężnych urzędników, którzy na stanowisku nie podrzędnym i nie ukrytym, ale po prostu nie rzucającym się w oczy, wywierają wielki wpływ bardziej na teoretyczny niż na praktyczny bieg spraw urzędowych. Wierność dla kościoła i tronu nie jest sama przez się uczuciem występny, a jeżeli ktoś woli ulegać jednostce niż tłumowi, to jeszcze nie dowodzi, że jest pozbawiony rozumu i serca. Radca Mikulin był nie tylko mądrym, lecz jednocześnie wiernym urzędnikiem. W prywatnym życiu był starym kawalerem, rozmiłowanym w wygodach; mieszkał sam w pięciopokojowym, z przepychem urządzonej apartamencie, zaś w kołach poufnych znany był jako gorliwy opiekun sztuki tańca kobiecego. Szerszy świat usłyszał o nim po raz pierwszy w godzinie jego upadku, podczas jednego z owych procesów stanu, które przeciętnemu człowiekowi, czytającemu o nich w gazetach, otwierają horyzonty niepojętych zgoła dla niego intryg. W jednym z takich tajemniczych poruszeń mętnych wód radca Mikulin poszedł na dno z godnością i spokojem, z naciskiem zapewniając o swojej niewinności, nic więcej. Żadnych zeznań, mogących zaszkodzić udręczonej autokracji; bezwzględna wierność tajemnicy tyłu nędznym arkanom imperium, złożonym w jego patriotycznej piersi i przechowywanym z wprost wzniosłym u rosyjskiego urzędnika stoicyzmem milczenia, zrozumiałym tylko dla szczupłej garstki wtajemniczonych, z pewnym szczytnym zaparciem się siebie-sybaryty. A za to wszystko — wyrok straszliwie surowy, który cywilnie uczynił z radcy Mikulina trupa, a w rzeczywistości coś w rodzaju pospolitego przestępcy.

Pokazuje się, że żarłoczna autokracja, zarówno jak boska demokracja, nie poprzestają wyłącznie na ciałach swoich wrogów. Pożerają również swoich przyjaciół i swoje sługi. Upadek ekscelencji Grigorija Grigoriewicza Mikulina (stało się to dopiero w kilka lat potem) dopełnia to co o nim wiadomo. Ale w epoce zamordowania (czy też stracenia) pana de P. radca Mikulin — na skromnym stanowisku Naczelnika Departamentu w Sekretariacie Generalnym — wywierał potężny wpływ jako powiernik i prawa ręka swego niegdyś szkolnego kolegi i długoletniego przyjaciela generała T.. Można wyobrazić ich sobie rozmawiających o sprawie Razumowa, z całym poczuciem nieograniczonej władzy nad życiem wszystkich mieszkańców Rosji i ze wzdorliwym milczeniem Olimpijczyków, spoglądających na lichego robaka. Stosunek z Księciem K. wystarczył, aby uchronić młodzieńca od zbyt arbitralnego postępowania w stosunku do niego. Prawdopodobnie pozostawiono by go w spokoju po pierwszej rozmowie w Sekretariacie. Radca Mikulin nie byłby o nim zapomniał (nie zapomniał nigdy nikogo, kto raz zwrócił jego uwagę), lecz po prostu byłby go poniechał na zawsze. Radca Mikulin bowiem był w gruncie rzeczy człowiekiem dobrym i nikomu źle nie życzył. Zresztą (przy swoich tendencjach reformatorskich) czuł się życzliwie usposobionym do tego młodego studenta, syna Księcia K., przy tym nieprzeciętnie inteligentnego, jak się zdawało.

Ale losy zrzędziły, że właśnie kiedy Razumow dochodził do przekonania, że żaden rodzaj życia nie był dla niego możliwy, radcę Mikulina, w nagrodę za jego rozmaite usługi i zdolności, powołano na bardzo odpowiedzialne stanowisko, czyniąc go, ni mniej ni więcej tylko szefem nadzoru policyjnego nad całą Europą. I wówczas dopiero, wzięwszy w ręce udoskonalenie służby policyjnej, czuwającej nad działalnością rewolucjonistów za granicą, radca Mikulin pomyślał o Razumowie. Ten niezwykle młodzieniec, którego już miał w ręku, wydał mu się wyjątkowo pożyteczny, jako osobnik o niezwykłym temperamencie, niezrównoważonym umyśle i podminowanym sumieniu, uwikłanym w dodatku w sieci fałszywego położenia... Było to tak, jak gdyby rewolucjoniści sami wkładali radcy Mikulinowi w ręce to narzędzie, o ileż doskonalsze od pospolitych, nędznych najemników; tak niezwykle odpowiednie do wniknięcia w środowiska niedostępne dla przeciętnych szpiegów. Opatrznościowe! Opatrznościowe! I Książę K., dopuszczony do tajemnicy, z całą gotowością podzielił ten pogląd mistyczny.

— Trzeba mu będzie jednak przygotować potem jakąś karierę — zastrzegł sobie troskliwie.

— O bez wątpienia! To będzie naszym zadaniem — zapewnił Mikulin.

Mistycyzm Księcia K. był dość naiwnego pokroju, ale radca Mikulin był dostatecznie chytry za nich obu.

Ludzie i rzeczy mają zawsze pewną słabą stronę, którą trzeba uchwycić, jeżeli się chce nad nimi zapanować. Radca Mikulin miał talent wynajdywania w ludziach takich stron, którymi się posługiwał dla swoich celów. Czy była to

miłość, próżność, rozpacz, nienawiść, chciwość, rozumna duma, czy głupia zarozumiałość, to mu było obojętne, o ile mogło mu się na coś przydać. Pozbawionemu rodziny i stosunków młodemu studentowi Razumowowi w chwili wielkiego moralnego osamotnienia pozwolono uczuć, że interesuje się nim parę wysoko postawionych osób. Książę K. dał się nakłonić do osobistego zetknięcia się z nim i przy sposobności dał ujście męskiemu wzruszeniu, które, zgoła niespodziewane, wstrząsnęło silnie Razumowem. Nagły uścisk tego człowieka, miotanego wiernością dla tronu i tłumionym ojcowskim przywiązaniem, znalazł oddźwięk podobnych uczuć w jego własnej piersi.

— Więc to jest to! — wykrzyknął w duchu.

Rodzaj wzgardliwej tkliwości złagodził ponury pogląd tego młodzieńca na własne położenie, gdy rozważał swoje spotkanie z Księciem K. Czy ten światowy eksgwardzista i senator, którego miękkie, siwe, urzędowe wąsy musnęły jego policzek, czy ten jego arystokratyczny domniemany ojciec był choć odrobinę mniej godnym szacunku lub bardziej niedorzecznym niż ów wygłodzony, fanatyczny rewolucjonista, student o czerwonym nosie?

A przy tym, oprócz perswazji, był za tym wszystkim pewien nacisk. Razumow doznawał wciąż wrażenia, że jest zdany na łaskę i niełaskę radcy Mikulina i że łagodne, ciche zapytanie „Dokąd?” było tym czymś, od czego nigdzie nie mógłby uciec... Radca Mikulin potrafił jednak tak lawirować, by nie potrafić o żadne drażliwości... Oto nastęczała się pewna niebezpieczna misja w Genewie, której zadaniem miało być zasięgnięcie wiarygodnych wiadomości z bardzo niedostępnego środowiska — koła rewolucyjnego. Były pewne wskazówki, że dojrzewa bardzo poważny spisek... Spokój, tak nieodzownie potrzebny wielkiemu państwu, był zagrożony... Ucierpi na tym wzniosłe zadanie reform praworządnych. Najwyższe osobistości w kraju były patriotycznie zaniepokojone i tak dalej. Krótko mówiąc, radca Mikulin wiedział, co powiedzieć. Ta umiejętność jego uwydatnia się jasno w autowyznaniach psychologicznych, autoanalizach dziennika Razumowa, jedynej pociechy młodzieńca, niemającego nikogo, komu mógłby zaufać, przed kim wywnętrzyłby się serdecznie.

W jaki sposób odbywała się cała ta robota przygotowawcza, zabezpieczona przeciw wszelkiej niepożądaney obserwacji, to nie należy do rzeczy. Ale choćby ten jeden przykład — naznaczenie schadzki u okulisty — dowodzi, jak drobiazgowo wszystko było przewidywane, Każdy student, nawet ów czerwono nosy, śmiało mógł widzieć Razumowa, wchodzącego do prywatnego domu dla poradzenia się okulisty. Ostatecznie powodzenie zależało wyłącznie od błędnego mniemania rewolucjonistów, przypisujących Razumowowi tajemniczy udział w sprawie Haldina. Być zaplątanym w nią stanowiło dostateczną rękojmię — a to było ich własnym dziełem. I właśnie to czyniło z Razumowa owego „człowieka opatrnościowego”, tak biegunowo różniącego się od przeciętnego typu agenta dla „nadzoru europejskiego”.

Natomiast sekretariat wziął sobie za zadanie utwierdzać rewolucjonistów w tym mniemaniu za pomocą obrachowanych i fałszywych niedyskrecji! Doszło do tego, że pewnego wieczoru w odwiedziny do Razumowa przyszedł niespodzianie jeden z „myślących” studentów, z którym przed sprawą Haldina Razumow widywał się na różnych prywatnych zebraniach; wysoki młodzieniec o spokojnym obejściu i przyjemnym głosie.

Poznawszy ten głos, pytający z przedpokoju: „Czy można wejść?”, Razumow zerwał się z sofy, na której siedział beczynnienie.

„Może przychodzi mnie zasztyletować?” pomyślał sardonicznie i, nałożywszy zieloną przepaskę na lewe oko, rzekł surowo:

— Proszę.

Tamten wszedł zakłopotany, przepraszając za najście.

— Nie pokazywaliście się, kolego, od kilku dni, więc pomyślałem...

Zakaszłał.

— Oko lepiej?

— Znacznie lepiej.

— To dobrze. Nie będę zajmował koledze czasu. Ale widzi kolega, ja... to jest my... w każdym razie ja, podjąłem się ostrzec cię, Cyrylu Sidorowiczu, że może łudzisz się co do twego bezpieczeństwa.

Razumow siedział z głową opartą na rękę, kryjąc w ten sposób i drugie oko.

— Mnie się to również zdaje.

— W takim razie w porządku. Teraz wszystko wydaje się spokojne, ale ci ludzie przygotowują jakieś srogie ogólne represje. To nie ulega wątpliwości. Ale nie to przyszedłem powiedzieć.

Przysunął się z krzesłem i zniżył głos.

— Obawiamy się, że... zaaresztują was niedługo. Jakiś pisarzyna w sekretariacie podsłuchał urywek pewnej rozmowy i zerknął na pewien raport. Tego nie można było lekceważyć.

Razumow zaśmiał się z lekka, co zaniepokoiło jego gościa.

— Ach! Cyrylu Sidorowiczu, to nie są żarty. Zostawili cię dotąd w spokoju, ale... Doprawdy, lepiej będzie, jeżeli postarasz się wyjechać za granicę, póki czas.

Razumow zerwał się z sofy i zaczął dziękować za radę z tak drwiącą wylewnością, że tamten, czerwieniąc się, wyszedł, unosząc przeświadczenie, że ten tajemniczy Razumow nie jest jednostką, której zwykli śmiertelnicy mogliby udzielać rad lub przestróg.

Radca Mikulin, powiadomiony następnego dnia o tym co zaszło, okazał wielkie zadowolenie.

— Hm!... Ha!... Właśnie to, czego nam było potrzeba — i spojrzał na brodę.

— Wnoszę z tego — rzekł Razumow — że przyszła chwila odpowiednia dla mego wyjazdu.

— Tak, moment psychologiczny — zauważył radca Mikulin z wielką powagą i przejęciem.

Poczyniono wszystkie przygotowania, aby nadać temu wyjazdowi pozór z trudem obmyślanej ucieczki. Radca Mikulin nie spodziewał się zobaczyć już Razumowa przed jego wyjazdem. Spotkanie było bądź co bądź ryzykowne, a do omówienia nic już nie pozostało.

— Powiedzieliśmy sobie już wszystko, Cyrylu Sidorowiczu — rzekł wysoki urzędnik, ściskając rękę Razumowa z tą serdecznością, jaką Rosjanie umieją nacechować swoje obejście. — Nie ma nic niedopowiedzianego między nami. I wie pan, co panu powiem? Poczytuję sobie za szczęście, że pozyskałem... hm!... pański... — Spojrzał na brodę, a po chwili milczenia w zamyśleniu podał Razumowowi kartkę, na której w skrócie spisane były sprawy już omówione, pewne zapytania, uwagi dotyczące się pewnych osób i tym podobne. Był to jedyny kompromitujący dokument w danym wypadku, ale, jak radca Mikulin zauważył, można go było łatwo zniszczyć. Lepiej byłoby nie widywać się teraz z nikim, aż dopiero po drugiej stronie granicy gdzie, oczywiście... trzeba będzie patrzeć i słuchać i...

Spojrzał na brodę, ale kiedy Razumow oświadczył, że z jedną przynajmniej osobą zamierza widzieć się przed wyjazdem z Petersburga, radca Mikulin nie mógł ukryć pewnego zaniepokojenia. Samotne, surowe, nauce poświęcone życie młodzieńca było mu dobrze znane. Stanowiło to największą rękojmię powodzenia. Przybrał postawę proszącą. Czy kochany Cyryl Sidorowicz zastanowił się, że wobec tak wielkiego zadania należałoby, doprawdy, poświęcić wszelkie sprawy uczuciowe...

Razumow przerwał mu pogardliwie. Tu nie chodziło wcale o kobietę, lecz o młodego głupca, z którym chciał się zobaczyć w pewnym celu... Radca Mikulin odetchnął ale zdziwił się.

— A!... I w jakim to celu, mianowicie?

— By uprawdopodobnić jeszcze bardziej moją ucieczkę — odparł Razumow krótko, chcąc zaznaczyć swoją niezależność. — Trzeba mi zaufać w tym co czynię.

Radca Mikulin ustąpił taktownie, szepcąc:

— Och! Bez wątpienia, bez wątpienia... Pański rozsądek...

I rozstali się z ponownym uściskiem dłoni.

Głupiec, o którym pomyślał Razumow, był to bogaty, hulający student, znany jako narwaniec Kostia. Można było liczyć na niedyskrecję tego wartogłowa. Ale gdy Razumow przypomniał mu, że się swojego czasu ofiarował z pieniężną pomocą, młody hulaka wpadł w bezgraniczną rozpacz.

— Ach! Cyrylu Sidorowiczu, najdroższy przyjacielu! Zbawco mój! Co ja pocznę! Puściłem wczoraj do ostatniego rubla wszystko, co mi dał mój papa przed paru dniami. Możesz mi dać czas do czwartku? Oblecę wszystkich znajomych lichwiarzy... Nie, oczywiście, nie możesz. Nie patrz tak na mnie! Co

ja zrobię? O starym ani myśleć. Powiadam ci, że całą garść weksli za mnie przed trzema dniami zapłacił. Ach! Ja nieszczęsny!

Załamiał ręce z rozpaczą. Wtajemniczyć starego — niepodobieństwo. W przeszłym roku dali mu order, krzyż na szyję, i od tej pory przeklina wszystkie nowe prądy. Wolałby raczej widzieć wszystkich intelektualistów Rosji na stryczku niż rozstać się bodaj z jednym rublem.

— Cyrylu Sidorowiczu! Poczekaj chwileczkę. Nie pogardzaj mną. Już wiem, co zrobię. Tak... Ukradnę mu z biurka. Nie ma innej rady. Wiem w której szufladzie chowa gotówkę i, wracając do domu, kupię dłućko. Zmartwi go to okropnie, bo wiesz, poczciwy stary sknera kocha mnie naprawdę. Więc da się przebłagać i jakoś to przeżyje... i ja także. Cyrylu, duszo droga, poczekaj parę godzin — do wieczora. Ukradnę wszystko, co znajdę. Nie ufasz mi? Czemu? Powiedz tylko słowo.

— Więc ukradnij! — rzekł Razumow, patrząc na niego z kamiennym spokojem.

— Do diabła z dziesięciorgiem przykazań! — zawołał tamten z zapalem. — Tu chodzi o naszą przyszłość.

Ale gdy późnym wieczorem wszedł do pokoju Razumowa, był niezwykle poważny, uroczysty nawet.

— Zrobione! — rzekł.

Razumow, który siedział zgarbiony, z rękoma zwieszonymi między kolanami, drgnął na znajomy dźwięk tego słowa. Kostia położył z wolna w świetlnym kręgu lampy mały brązowy pakiecik, owiązany sznurkiem.

— Jak powiedziałem, wziąłem wszystko, co znalazłem. Biedny stary będzie myślał, że to koniec świata.

Razumow skinął głową z sofya i spoglądał na powagę młodego narwańca z uczuciem złośliwego zadowolenia.

— Złożyłem i ja swoją ofiarę — westchnął sowizdrzał Kostia. — I tobie, Cyrylu Sidorowiczu, zawdzięczam, że mi nastreczyłeś po temu sposobność.

— Więc cię to wiele kosztowało?

— Tak, trochę. Widzisz, poczciwy stary dusigrosz kocha mnie naprawdę. Ogromnie go to zmartwi.

— A ty wierzysz w to wszystko, co ci mówią o tej nowej przyszłości i świętej woli ludu?

— Bezwzględnie. Życie dałbym za to... Tylko, widzisz, jestem jak prosię przy korycie. Nic dobrego nigdy ze mnie nie będzie, już taka moja natura.

Razumow, pogrążony w myślach, zapomniał o obecności Kostii, aż jego głos, błagający, by nie tracił ani chwili czasu i uciekał, wyrwał go nieprzyjemnie z zadumy.

— Dobrze. No, to bądź zdrów.

— Nie. Nie opuszczę cię, dopóki nie ujrzę cię poza obrębem Petersburga — oświadczył Kostia niespodziewanie, ze spokojną stanowczością. — Nie możesz mi tego odmówić teraz. Na miłość Boga, Cyrylu, duszo moja, policja

może tu wpaść lada chwila, a gdy cię złapią, zamurują cię w jakiejś fortecy, aż ci włosy posiwieją. Na dole stoją najlepsze kłusaki ze stajen papy i lekkie saneczki. Upalimy ze trzydzieści wiorst, nim księżyc zajdzie i znajdziemy jaką boczną stacyjkę.

Razumow podniósł oczy, zdumiony. Podróż była postanowiona, nieodwołalnie. Miał zamiar wyjechać następnego dnia. A teraz przekonał się, że nie wierzył w to. Słuchał, mówił, myślał, układał swą rzekomą ucieczkę z rosnącym przekonaniem, że to wszystko było niedorzecznością. Jak gdyby coś podobnego mogło się dzieć w rzeczywistości! Było to jakby gra w udawanego. A teraz zdumiał się. Oto był ktoś, kto wierzył w to niezachwianie.

„Jeżeli nie pojedę w tej chwili”, pomyślał Razumow z przestraczem, jakby ocknąwszy się, „nie pojedę wcale”.

Wstał w milczeniu. Niespokojny Kostia wcisnął mu czapkę na głowę, nałożył płaszcz, bo inaczej byłby wyszedł tak, jak stał. Dążył z wolna ku drzwiom, gdy zatrzymał go nagły okrzyk.

— Cyrylu!

— Co? — odwrócił się niechętnie od progu.

Kostia, wyprostowany, z twarzą bladą i poważną, z wyciągniętą sztywno ręką, wymownym gestem wskazywał na leżący na stole w jasnym kręgu lampy zapomniany brązowy pakiecik. Razumow zawahał się i pod surowym spojrzeniem towarzysza wziął pakiecik, usiłując się uśmiechnąć. Ale chłopięcy wartogłów stał ze zmarszczoną brwią.

— To sen — pomyślał Razumow, kładąc pakiecik do kieszeni i zstępując ze schodów. — Takie rzeczy nie dzieją się na jawie.

Tamten wziął go pod ramię, szepcząc o czekających niebezpieczeństwach i o tym, co zamierzał uczynić w pewnych okolicznościach.

— Bzdury — mruknął Razumow, gdy Kostia pomagał mu wsiąść do sanek i otulał go futrzanym fartuchem.

Oddał się cały, z nadzwyczajną uwagą, śledzeniu rozwoju tego snu. A ten trwał, nieuchronnie logiczny — naprzód długa jazda, potem czekanie pod piecem na małej stacyjce. Rozmowa się nie kleiła. Kostia, ponury, nie przerywał milczenia. Przy rozstaniu ucałowali się dwukrotnie; trzeba było to zrobić, po czym Kostia zniknął ze snu. Gdy zaczęło świtać, Razumow, siedząc cicho w dusznym wagonie, zapchanym śpiącymi i kiwającymi się na wszystkie strony pasażerami, wstał, opuścił trochę okno i wyrzucił na wielką, zaśnieżoną płaszczyznę brunatny pakiecik. Potem usiadł i pozostał tak, otulony płaszczem, bez ruchu.

— Dla ludu — myślał, patrząc w okno.

Ogromna, biała pustynia zmarzłej, twardej ziemi przesuwała się przed jego oczyma bez śladu życia ludzkiego.

Wyrzucenie pakiecika był to czyn na jawie, a potem sen pochwycił go na nowo: Prusy, Saksonia, Wirtembergia, twarze, widoki, słowa, wszystko sen, obserwowany z gniewną, skupioną uwagą. Zurych, Genewa... wciąż sen,

doprowadzający do ostrego śmiechu, do wściekłości, do śmierci — z dręczącą obawą zbudzenia się w końcu...

— Może takie właśnie jest życie — myślał Razumow, przechadzając się tam i na powrót pod drzewami wysepki, sam na sam z brązowym posągami Jana Jakuba Rousseau. — Sen i obawa.

Ściemniło się zupełnie. Zapisane i wydarte z notesu kartki były pierwszym owocem jego zadania. To nie było snem. Zawierały zapewnienie, że on, Razumow, znajdował się w przededniu ważnych odkryć: „Sądzę, że nic już nie stoi na przeszkodzie, aby mnie całkiem zaakceptowano”.

Streścił na tych kartkach swoje wrażenia, niektóre rozmowy i nawet posunął się tak daleko, że dodał: „Ale, ale, odkryłem osobistość tego straszliwego N. N. Wstrętne brutalne bydlę. Jeżeli dowiem się czegoś o jego przyszłych zamiarach, prześlę ostrzeżenie”.

Nicość tego wszystkiego zaciążyła na nim jak przekleństwo. Nawet teraz nie mógł uwierzyć w rzeczywistość swojej „misji”. Rozejrzał się dokoła rozpaczliwie, jak gdyby szukając sposobu pozbycia się tego nieprzewyciężonego uczucia. Zgniół gniewnie w rękę zapisane kartki.

— Trzeba to odnieść na pocztę — pomyślał.

Przeszedł most i znalazł się na północnym brzegu, gdzie przypomniał sobie, że na jednej z większych uliczek widział lichy sklepik, zapchany tanimi, drewnianymi rzeźbami, o ścianach małej czytelnicy pełnych nadzwyczaj brudnych książek w tekturowej oprawie. Sprzedawano tam również materiały piśmienne. Ponury, nędznie odziany staruszek trząsł się za ladą. Chuda kobieta w czerni, z chorowitą twarzą, podała Razumowowi kopertę, której zażądał, nie spojrzawszy nawet na nią. Razumow pomyślał, że bezpiecznie jest mieć do czynienia z tymi ludźmi, bo widocznie nic ich już na świecie nie obchodzi. Zaadresował kopertę na lądzie, wymieniając niemieckie nazwisko jakiejś osoby mieszkającej w Wiedniu. Ale wiedział, że ten pierwszy komunikat dla radcy Mikulina znajdzie drogę do tamtejszej ambasady, że go tam ktoś zaufany przekopiuje cyfrowanym alfabetem i pośle bezpiecznie na miejsce przeznaczenia, wraz z korespondencją dyplomatyczną. To było ułożone naprzód, by osłonić jego doniesienia przed wszelką możliwą niedyskrecją, by mu zapewnić zupełne bezpieczeństwo.

Razumow wyszedł ze sklepiku i udał się na pocztę. Wtedy to zobaczyłem go po raz drugi tego dnia. Szedł ulicą Mont Blanc, jak ten, kto się wybrał na przechadzkę bez celu. Nie spostrzegł mnie, ale ja poznałem go z daleka i pomyślałem, że jest bardzo przystojny ten nadzwyczajny przyjaciel brata panny Haldin. Widziałem, jak podszedł do skrzynki i zawrócił, Znowu przeszedł koło mnie bardzo blisko, ale jestem pewny, że i wtedy mnie nie zobaczył. Trzymał głowę prosto, ale wyglądał jak lunatyk, walczący ze snem, zmuszającym go do krążenia po niebezpiecznych miejscach. Myśli moje pobiegły ku Natalii Haldin, ku jej matce. To było wszystko, co im pozostało po synu i bracie.

Zaniepokoił się we mnie człowiek Zachodu. Było coś niesamowitego w wyrazie tej twarzy. Gdybym sam był spiskowcem, rosyjskim zbiegiem

politycznym, byłbym może potrafił wyciągnąć jakie praktyczne wnioski z tego przypadkowego spotkania. Ale w danym położeniu zbudził się we mnie tylko szczególny niepokój, tycający się Natalii Haldin. Wszystko to jest zgoła niewytłumaczalne, ale takie było źródło powziętego przeze mnie zamiaru odwiedzenia tych pań wieczorem, po samotnym obiedzie. Prawda, że pannę Haldin spotkałem przed kilku godzinami, pani Haldin nie widziałem jednak od dawna. Coś mnie od tego jakby odpychało w ostatnich czasach.

Biedna pani Haldin! Wyznaję, że napełniała mnie pewnym lękiem. Była ona jedną z tych natur, na szczęście dość rzadkich, obok których nie możemy przejść obojętnie, budzą w nas bowiem trwogę i litość. Człowiek lęka się zetknięcia z nimi — dla siebie, a bardziej jeszcze dla tych, o których się troszczy, tak jasne jest, że są stworzone, aby cierpieć i innym zadawać cierpienia. Dziwna to rzecz pomyśleć, że wolność, a nawet poglądy wolnościowe, które dla nas są kwestią słów, ambicji, głosowania (a jeżeli i uczucia, to tego rodzaju, który nie dotyka zgoła naszych najgłębszych ukochań), mogą być dla innych istot, bardzo do nas podobnych i żyjących pod tym samym niebem, ciężką próbą wytrwałości, powodem łez, męczarni i krwi. Pani Haldin nosiła w sobie bóle swego pokolenia, uzmysłowione w tragicznej śmierci brata — oficera, zapaleńca, rozstrzelanego za Mikołaja I. Lekko ironiczna rezygnacja nie jest puklerzem dla zranionego serca. Pani Haldin, dotknięta teraz w swych uczuciach macierzyńskich, skazana była, żeby cierpieć za przeszłość i czuć udrękę przyszłości. Należała ona do tych, którzy nie umieją leczyć się sami, którzy zbyt świadomi są własnego serca i nie tchórzliwie ani samolubnie, lecz namiętnie patrzą na jego ramy i obliczają ich koszt.

Takie i tym podobne myśli towarzyszyły memu skromnemu samotnemu obiadowi starokawalerskiemu, Jeżeli mi ktoś zarzuci, że był to okrężny sposób myślenia o Natalii Haldin, mogę tylko odpowiedzieć to, iż była warta tego, żeby się o nią troszczono. Całe życie było przed nią. Niech mi więc wolno będzie wyznać, że myślałem o życiu Natalii Haldin, zastanawiając się nad charakterem jej matki, co jest sposobem myślenia o młodej dziewczynie dopuszczalnym dla człowieka starego, nie dość jeszcze starego, by współczucie stało mu się obce. Miała ona całą prawie młodość przed sobą, młodość pozbawioną bezlitośnie właściwej jej radości swobody, na którą padał cień wschodniego despotyzmu, młodość straszliwie ponurą, wydaną na pastwę zacieklej walki pomiędzy równie zaciekłymi antagonizmami.

Rozmyślałem nad tym wszystkim dłużej może niż należało. Czuję się tak bezradny, gorzej jeszcze, tak w pewien sposób wyalienowany. W ostatniej chwili zawahałem się, czy wogóle powinienem iść do nich. Na cóż się to przyda?

Późno już było, gdy wyszedłszy na Boulevard des Philosophes, ujrzałem światło w oknie na rogu. Roleta była spuszczone, ale z łatwością wyobraziłem sobie panią Haldin, siedzącą za nią w fotelu, w wyczekującej postawie, która w ostatnich czasach stała się u niej rodzajem bolesnego marzycielstwa.

Osądziłem, że owo światło w oknie upoważniało mnie dostatecznie do zastukania we drzwi. Widocznie jeszcze nie udały się na spoczynek. Lękałem się tylko, żeby nie zastać gości — rodaków. Pewien stary emeryt rosyjski zachodził tam czasem wieczorami. Był niewysłowienie nudny i przygnębiał samym swym widokiem. Sądzę, że te panie znosiły jego częste odwiedziny przez pamięć dawnej przyjaźni z Haldinem mężem i ojcem, czy coś podobnego. Postanowiłem więc, że jeżeli go zastanę gładzącego cichym głosem, ulotnię się po kilku minutach.

Zdziwiło mnie, że drzwi otworzyły się, zanim zdążyłem zadzwonić. Zobaczyłem przed sobą pannę Haldin w kapeluszu i żakiecie, widocznie przygotowaną do wyjścia. O tej godzinie? Po doktora może?

Jej powitalny wykrzyknik uspokoił mnie. Dźwięczał w taki sposób, jak gdybym właśnie był tym, którego pragnęła zobaczyć. To mnie zaciekawiło. Wszedłem, a wierna stara Anna, służąca Niemka, zamknęła za mną drzwi, nie odeszła jednak. Została w pobliżu, jak gdyby czekając, żeby mnie wypuścić. Jakoż okazało się, że panna Haldin miała wyjść po mnie.

Powiedziała mi to z bardzo niezwykłym u niej pośpiechem. Pomimo spóźnionej pory wybierała się do pani Ziegler, wdowy po uczonym profesorze, wielkim moim przyjacielem, która po śmierci męża odnajęła mi trzy pokoje ze swego obszernego i pięknego apartamentu, z osobnym wejściem z sieni. Trwało to już od dziesięciu z górą lat. Usłyszawszy to, rzekłem, że bardzo rad jestem z tego zamiaru...

Panna Haldin jednak nie zapraszała mnie do saloniku i nie zdejmowała kapelusza i żakietu. Miała silne rumieńce na policzkach i coś stanowczego w głosie, gdy zagadnęła mnie, czy wiem, gdzie Razumow mieszka?

Gdzie mieszka Razumow? Razumow? O tej porze, tak koniecznie? Rozłożyłem ramiona na znak zupełnej nieświadomości. Nie miałem najmniejszego pojęcia gdzie mieszkał. Gdybym był mógł przewidzieć to zapytanie nie dalej niż przed trzema godzinami, byłbym go zapytał na chodniku przed nowym gmachem pocztowym i prawdopodobnie byłby mi powiedział, ale równie prawdopodobnie byłby mnie odprawił z kwitkiem. A gdy przypomniałem sobie ten nadzwyczajny, jakby zahipnotyzowany wyraz jego twarzy, nasunęło mi się na myśl trzecie prawdopodobieństwo, mianowicie że mógł dostać ataku nerwowego, gdyby go tak nagle zagadnięto. Nie powiedziałem nic o tym panie Haldin; nie napomknąłem nawet, że go spotkałem niedawno. Wrażenie, jakie na mnie sprawił, było tak nieprzyjemne, że sam rad byłem o nim zapomnieć.

— Nie wiem nawet, gdzie by się można dowiedzieć — szepnąłem bezradnie.

Byłbym jej z całej duszy dopomógł i sprowadziłbym bez wahania kogo by chciała, starego czy młodego, tak bardzo ufałem jej rozsądkowi.

— Skąd pani przyszło na myśl mnie o to zapytać? — powiedziałem.

— To nie tylko o to mi chodziło — rzekła cichym głosem. Wyglądała jak ktoś mający niemiłe zadanie do spełnienia,

— Czy to ma znaczyć, że pani musi dziś jeszcze porozumieć się z panem Razumowem?

Natalia Haldin skinęła głową twierdząco, po czym, spojrzawszy na drzwi saloniku, rzekła po francusku:

— C'est maman — i stała chwilę jakby niezdecydowana.

Zaciekawiło mnie to jeszcze bardziej. Natalia Haldin nie należała do osób wytwarzających sobie jakieś sztuczne trudności. I co znaczyła ta wzmianka o matce w odniesieniu do pana Razumowa? Przecież pani Haldin nie wiedziała o przyjeździe przyjaciela jej syna do Genewy.

— Czy mogę spodziewać się, że zobaczę dziś matkę pani? — zapytałem.

Panna Haldin wyciągnęła rękę, jak gdyby zagradzając mi drogę.

— Mama jest strasznie wzburzona dzisiaj... O! Pan nie dostrzegłby tego! To się na zewnątrz nie przejawia, ale ja, która znam mamę, jestem przerażona... Nie mam odwagi stawiać temu dłużej czoła. A to wszystko moja wina. Widocznie nie umiem grać komedii... i... tak nigdy nie miałam żadnych tajemnic przed mamą. Nie było nigdy powodu do tego. Ale panu wiadomo, dlaczego zataiłam przed nią na razie przybycie pana Razumowa tutaj. Pan przecież rozumie, nieprawdaż? To ze względu na jej nieszczęśliwy stan. Ale cóż! Nie jestem aktorką. Nie umiałam zapanować dostatecznie nad moimi uczuciami... i widocznie... Nie wiem... ale mama zauważyła coś w moim zachowaniu... spostrzegła, że coś przed nią kryję. Przy tym, spotykając się co dzień z panem Razumowem, bywałam dłużej nieobecna w domu niż dawniej... Mama to zauważyła... Pan wie przecież, że jakby nie jest sobą, odkąd... I oto dziś wieczorem ona, która była tak straszliwie milcząca przez tyle tygodni, zaczęła naraz mówić. Powiedziała, że nie chce mi czynić wymówek, że oczywiście ja mam swój charakter, jak ona swój i że nie chce wtrącać się w moje sprawy, ani w moje myśli, że co do niej nie miała nigdy żadnych tajemnic przed swymi dziećmi... okrutna rzecz do słuchania... I wszystko to tym jej spokojnym, cichym głosem, z tą bladą, wymizerowaną twarzą, martwą jak kamień. To było nie do zniesienia...

Panna Haldin mówiła zniżonym głosem i szybciej niż kiedykolwiek przedtem. To samo było już niepokojące. W jasno oświetlonym przedpokoju widziałem pod woalką silne rumieńce jej twarzyczki. Stała wyprostowana, z lewą ręką lekko opartą o stoliczek. Prawa nieruchomo zwieszała się z boku. Raz po raz ustami chwytała oddech.

— To było nad moje siły. Pomyśl pan tylko! Mama wyobraziła sobie, że czynię przygotowania do wyjazdu; że chcę ją cichcem opuścić. Uklękałam przy niej, błagając, by zastanowiła się nad tym co mówi. Położyła mi rękę na głowie, ale trwała przy swoim. Wierzyła zawsze, że własne dzieci darzą ją zaufaniem, ale okazało się, że była w błędzie. Syn nie zaufał ani jej miłości, ani jej umysłowi, a teraz ja chciałam opuścić ją w taki okrutny i niesprawiedliwy

sposób, i tak dalej, i tak dalej. Nie da rady wybić jej to z głowy... To już takie chorobliwe urojenie. Dowodziła, że czuje jakąś zmianę we mnie... Jeżeli mam ugruntowane przekonania, po cóż ta tajemniczość... czy matka jest jakąś tchórzliwą, słabą istotą, której niebezpiecznie jest zaufać? „Czyż moje serce potrafiłoby zdradzić moje dzieci?” mówiła, wciąż gładząc mnie po głowie. To było nie do zniesienia. A ona ciągle głaskała mnie po głowie... Zaprzeczać było rzeczą zupełnie zbyteczną... Biedaczka chora jest i nawet jej dusza...

Nie śmiałem przerwać milczenia, które zapanowało między nami. Spojrzałem jej w oczy błyszczące poprzez welon.

— Ja! Zmieniona! — wykrzyknęła tym samym cichym głosem. — Moje ugruntowane przekonania!.. Ach! Podwójnie mnie bolało słuchać tego, bo przecież ja tak cierpię nad tym, że jestem słaba i sama nie wiem, co mam zrobić. Wiem o tym. I aby temu kres położyć, postąpiłam samolubnie. Dla zrzucenia z siebie jej podejrzeń powiedziałam o panu Razumowie. Ach! To był krok bardzo samolubny. Pan wie, że postanowiliśmy zataić to przed nią. I mieliśmy zupełną słuszość. Skoro tylko powiedziałam jej, że przyjaciel naszego biednego Wiktora jest tutaj, przekonałam się, jak bardzo mieliśmy słuszość. Powinnam była ją przygotować, a ja, zrozpaczona, od razu wygadałam wszystko. A mama natychmiast wpadła w stan okropnego rozdrażnienia. Od jak dawna on tu jest? Co wie i czemu nie przyszedł do nas zaraz ten przyjaciel Wiktora? Co to znaczy? Czy nawet tego wspomnienia, jakie pozostało po jej synu, niegodna jest podzielić ze mną? Czy nawet w tym zaufać jej nie można? Pomyśl pan tylko, co czułam, widząc ją bladą jak papier, nieruchomą, chudymi rękoma ściskającą konwulsyjnie poręczę fotela. Powiedziałam jej, że to wszystko było z mojej winy.

Mogłem łatwo wyobrazić sobie nieruchomą, niemą postać matki za tymi drzwiami, w których pobliżu córka jej mówiła do mnie. Milczenie tam panujące zdawało się wołać głośno o pomstę za dawny czyn i współczesne jego następstwa. Ta myśl błysnęła mi w głowie, ale nie mogłem wątpić, że panna Haldin przeżyła okropne chwile. Zrozumiałem ją też doskonale, gdy powiedziała, że noc po takiej scenie wydała jej się nie do zniesienia. Pani Haldin puściła wodze najstraszliwszych przypuszczeń; miotały nią najfatalniejsze i najokropniejsze podejrzania. Wszystko to należało uśmierzyć za jaką bądź cenę. Toteż nie zdziwiłem się, usłyszawszy, że panna Haldin powiedziała matce: „Pójdę i przyprowadzę go natychmiast”. Nie było nic niedorzecznego w tym stwierdzeniu, ani żadnej przesady uczucia. I rzekłem bez wahania:

— Bardzo dobrze, ale jak?

Ze wszech miar słusznie, że pomyślała o mnie, ale cóż mogłem uczynić wobec mojej nieznanności miejsca zamieszkania Razumowa.

— I pomyśleć, że on tu może mieszkać gdzie blisko, o rzut kamieniem!
— wykrzyknęła panna Haldin.

Wątpiłem w to, ale poszedłbym po niego chętnie na drugi koniec Genewy. Przypuszczam, że była pewna mojej gotowości, skoro w pierwszej chwili

przyszło jej na myśl zwrócić się do mnie. I zresztą szło jej o to, żebym jej towarzyszył do Chateau Borel.

W wyobraźni mojej powstała przykra wizja tej posepnej wędrowki: ponury, podejrzany wygląd owego domu, siedliska czarnoksiężstwa, intryg i kultu feministycznego. Zauważyłem, że pani de S. również zapewne nie będzie nam mogła udzielić żadnych wskazówek, a co do tego, czybyśmy go tam zastali, było to nader wątpliwe. Przypomniało mi się, jak wyglądał, gdy go spotkał i nabrałem przekonania, że człowiek wyglądający jakby zobaczył umarłego, mógł iść tylko tam, gdzie zamknąłby się na cztery spusty, by go ludzkie oko nie widziało. I byłem dziwnie pewny, że szedł do swego mieszkania.

— Właśnie myślałam o Piotrze Iwanowiczu — rzekła panna Haldin spokojnie.

A! Ten oczywiście będzie wiedział. Spojrzałem na zegarek. Było dopiero dwadzieścia minut po dziewiątej... Jednakże...

— Trzeba by go poszukać w hotelu — zaproponowałem. — wiem, że mieszka w Kosmopolitanie, gdzieś na najwyższym piętrze.

Nie ofiarowałem się jednak sam z pójściem do niego, nie będąc pewnym dobrego przyjęcia. Ale gdyby tak posłać Annę, prosząc listownie o adres? Anna wciąż czekała przy drzwiach w drugim końcu pokoju, a my naradzaliśmy się szeptem. Panna Haldin oświadczyła, że pójdzie sama. Anna była powolna i nieśmiała. Prócz tego straciłoby się dużo czasu w oczekiwaniu na odpowiedź i z tego punktu widzenia mogło już być za późno, bo nie mieliśmy żadnej pewności, że Razumow mieszka w pobliżu.

— Jeżeli pójde sama — dowodziła panna Haldin — mogę iść do niego prosto z hotelu. W każdym razie, muszę się z nim przedtem zobaczyć, przygotować go poniekąd. Nie ma pan pojęcia, w jakim stanie jest biedna mama.

Mówiąc to, bladła i rumieniła się na przemian. Była nawet tego zdania, że zarówno dla matki, i jej, i metce dobrze zrobi chwilowe rozstanie. Anna, którą matka lubiła, będzie pod ręką.

— Usiądzie tam ze swoim szyciem — ciągnęła dalej panna Haldin, idąc ku drzwiom, po czym zwróciła się po niemiecku do służącej:

— Możesz powiedzieć mojej matce, że poszliśmy z panem na poszukiwanie pana Razumowa. Niech się nie niepokoi, jeżeli mnie dłuższy czas nie będzie.

Wyszliśmy szybko na ulicę i panna Haldin zaczerpnęła głęboko chłodnego, nocnego powietrza.

— Nawet pana nie poprosiłam — wyszeptała.

— To prawda — odrzekłem, śmiejąc się.

Nie troszczyłem się już o sposób, w jaki mnie przyjmie wielki feministka. Że będzie niezadowolony, ujrzawszy mnie i prawdopodobnie okaże mi to w sposób równie uroczysty, jak impertynencki, to wydawało mi się niewątpliwe;

sądziłem jednak, że nie ośmieli się wyrzucić mnie za drzwi. A o to tylko mi chodziło.

— Pozwoli pani podać sobie ramię? — spytałem.

Przyjęła je w milczeniu i wkrótce znaleźliśmy się w jasno oświetlonym holu hotelowym, gdzie kręciło się wiele osób.

— Równie dobrze mógłbym pójść na górę bez pani — oświadczyłem.

— Nie chcę tu zostać sama — odparła cichym głosem. — Pójdę z panem.

Poprowadziłem ją więc do windy. Na najwyższym piętrze windziarz wskazał nam drogę:

— Na prawo, w samym końcu korytarza.

Ściany były białe, dywan czerwony, światła elektryczne płonęły w obfitości, a pustka, cisza, mnóstwo jednakowych drzwi, pozamykanych i ponumerowanych, sprawiały wrażenie jakiegoś ekskluzywnego więzienia o wielu celach. Tu, pod samym dachem tego olbrzymiego schroniska podróżnych, nie dochodził żaden odgłos; karmazynowy filc tłumił całkowicie nasze kroki. Szliśmy prędko, nie patrząc na siebie, aż znaleźliśmy się przed ostatnimi drzwiami tego długiego korytarza. Wówczas oczy nasze spotkały się i staliśmy tak przez chwilę, nadstawiając ucha na dochodzący z wewnątrz słaby szmer pomieszanych głosów.

— Przypuszczam, że to tu — szepnąłem niepotrzebnie.

Zobaczyłem, że usta panny Haldin poruszyły się bezdźwięcznie, a gdy zapukałem dość mocno, szmer głosów wewnątrz ustał. Głębokie milczenie panowało przez kilka sekund, po czym drzwi otworzyły się raptem i stanęła w nich niska, czarnooka kobieta w czerwonej bluzce i z wielką obfitością białych prawie włosów, upiętych niedbale, w sposób nieporządny i nieestetyczny. Jej cienkie, mocno czarne brwi były ściągnięte. Dowiedziałem się potem, że to była sławna Zofia Antonowna lecz na razie uderzył mnie tylko osobliwy, mefistofelesowski charakter jej pytającego spojrzenia, ponieważ był tak całkowicie pozbawiony zła — powiedziałbym — taki nieszatański. A spojrzenie to złagodniało jeszcze bardziej, gdy panna Haldin dźwięcznym, spokojnym głosem oznajmiła, że pragnie się widzieć z Piotrem Iwanowiczem.

— Nazywam się Haldin — dodała.

Teraz czoło czarnookiej kobiety w czerwonej bluzce wygładziło się zupełnie, nie rzekła jednak ani słowa, tylko, cofnąwszy się, usiadła na sofie, zostawiając drzwi otwarte na oścież i patrząc na nas stamtąd swymi czarnymi, błyszczącymi oczyma.

Panna Haldin postąpiła na środek pokoju, ja zaś, wierny mojej roli biernego towarzysza, pozostałem przy drzwiach, zamknawszy je za sobą. Pokój był niski, duży, umeblowany skąpo. Nad dużym stołem (na którym leżała rozpostarta wielka mapa) zwieszała się lampa elektryczna z porcelanowym ciemnikiem, pograżającym głąb pokoju w sztucznej pomroce. Piotra Iwanowicza ani Razumowa nie było. Ale na sofie, obok Zofii Antonowny, siedział mężczyzna o kościstej twarzy, z kozią bródką, pochylony ku przodowi,

z rękami na kolanach i dobrotliwym wyrazem bystrych oczu. W najdalszym kącie glisty rysowała się przysadzista, barczysta postać o bladej, rozlanej twarzy. Jediną znajomą mi tu osobistością był Juliusz Laspara, ślęczący nad mapą, z nogami okręconymi wokół nóg krzesła. Ten zerwał się szybko i skłonił pannie Haldin, przy czym wyglądał jak chłopiec o haczykowatym nosie i pięknej szpakowatej brodzie. Zbliżył się, podając krzesło, lecz panna Haldin nie chciała usiąść. Przyszła tylko na chwilę, aby powiedzieć parę słów Piotrowi Iwanowiczowi.

Piskliwy głos Laspary rozległ się w pokoju w jakiś odpychająco ostry sposób:

— Szczególnym zbiegiem okoliczności myślałem dziś o pani, Natalio Wiktorowna. Spotkałem Razumowa. Prosiłem go, żeby mi napisał jakiś artykuł lub cokolwiek zechce. Pani mogłaby to przetłumaczyć na angielski. Z takim nauczycielem...

Skłonił się pochlebnie w moim kierunku. Na dźwięk nazwiska Razumowa jakieś słabe parsknięcie, jak gdyby rozgniewanego zwierzątka, dało się słyszeć z kąta, gdzie siedział ów mężczyzna, który się zdawał za wielki w stosunku do krzesła, które zajmował. Nie dosłyszałem odpowiedzi panny Haldin. Laspara kontynuował:

— Czas już coś zrobić, Natalio Wiktorowna. Przypuszczam, że pani wyrobiła już sobie własne poglądy. Czemu nie miałyby pani sama pisać? Może zechce nas pani odwiedzić wkrótce. Pogadamy o tym. Chętnie będę służył radą...

I znowu nie dosłyszałem słów panny Haldin. Natomiast głos Laspary zapiszczał po raz trzeci:

— Piotr Iwanowicz? Wyszedł na chwilę do drugiego pokoju. Czekamy wszyscy na niego.

Wielki mąż, który wszedł w tej chwili, wydawał się wyższym, tęższym, zgoła imponującym w długim szlafroku z jakiejś ciemnej materii. Sprawiał wrażenie mnicha lub proroka, czegoś w rodzaju dobrze odżywionego pustelnika azjatyckiego, a ciemne okulary w połączeniu ze strojem czyniły go w przyćmionym świetle jeszcze bardziej tajemniczym niż kiedykolwiek. Mały Laspara usiadł znowu na krześle i pochylił się nad mapą, jedynym jasno oświetlonym przedmiotem w tym pokoju. Nawet z mego oddalonego miejsca przy drzwiach mogłem dostrzec po kształcie błękitnej plamy, przedstawiającej wodę, że była to mapa prowincji nadbałtyckich. Piotr Iwanowicz na widok panny Haldin wydał lekki okrzyk, lecz stłumił go, ujrawszy mnie, zapewne bardzo niewyraźnie, bo wyteżył wzrok za przyciemnionymi szklami. Musiał mnie poznać po moich siwych włosach, wzruszył bowiem szerokimi ramionami i zwrócił się do panny Haldin z dobrotliwą pobłażliwością. Chwycił jej rękę w swą pulchną jak poduszka dłoń i położył na niej drugą potężną łapę, jak przykrywkę.

Podczas gdy tych dwoje stało pośrodku, zamieniając szeptem kilka zdań, nikt nie poruszył się w pokoju. Laspara, zwrócony do nas plecami i klęczący na krześle, z łokciami rozpartymi na wielkiej mapie; potwornie pękata postać w kącie; mężczyzna o szczerym spojrzeniu i koziej bródce na sofie; kobieta w czerwonej bluzce u jego boku; żadne z nich ani drgnęło. Zdaje mi się, że w gruncie rzeczy nie mieli na to czasu, gdyż panna Haldin cofnęła natychmiast rękę z uścisku Piotra Iwanowicza i, nim się zdążyłem obejrzeć, ruszyła ku drzwiom. Otworzyłem je pospiesznie i wyszedłem za nią, ogarnawszy ostatnim spojrzeniem tę nieruchomą grupę w jej rozmaitych pozach; wśród siedzących jeden tylko Piotr Iwanowicz stał; w swych ciemnych okularach wyglądał jak ogromny ślepy nauczyciel, mając za sobą jasny krąg światła na kolorowej mapie i ślęczącego nad nią maleńkiego Lasparę.

Później, znacznie później, w czasie, gdy dzienniki wspomniały coś o nieudanym spisku wojskowym w Rosji (wzmianki te były pobieżne i wkrótce umilkły), przypomniałem sobie tę ujrzaną przelotnie grupę ze stojącą pośrodku postacią. Dziennik nie przytaczał żadnych szczegółów, ale wiadome było, że zagraniczne partie rewolucyjne udzieliły pomocy, wysłały emisariuszy; że nawet znalazły się pieniądze na wyprawienie parowca z ładunkiem broni, na którym spiskowcy mieli wtargnąć do prowincji nadbałtyckich. I podczas gdy przebiegałem oczyma te skąpe, niedokładne wzmianki (którymi świat mało się interesował), przyszło mi na myśl, że starej, zorganizowanej Europie dane było w mojej osobie, jako towarzyszewi tej młodej Rosjanki, rzucić okiem za kulisy. Krótki to był i dziwny rzut oka, tam, na najwyższym piętrze wielkiego hotelu; oto wielki mąż we własnej osobie; w kącie nieruchomy, pękaty kształt mordercy żandarmów i szpiegów; Jakowlicz, weteran dawnych stowarzyszeń terrorystycznych; kobieta z włosami tak prawie białymi jak moje i pełnymi życia, czarnymi oczyma; wszystko to pograżone w półcieniu, z jasno oświetloną mapą Rosji na stole. Kobietę miałem sposobność zobaczyć ponownie. Gdyśmy czekali na windę, wybiegła na korytarz z oczyma utkwionymi w twarzy panny Haldin, odciągnęła ją na bok, jak gdyby dla udzielenia poufnej wiadomości. Rozmowa nie była długa. Parę słów zaledwie. Zjeżdżając windą, Natalia Haldin nie przerwała milczenia. Odezwała się dopiero wówczas, gdy znaleźliśmy się poza obrębem hotelu i szli wybrzeżem w rzeźwej ciemności, pocętkowanej nadbrzeżneyi światłami, odbijającymi się w czarnej wodzie małego portu po lewej stronie, i z szeregiem wielkich hoteli po prawej.

— To była Zofia Antonowna. Pan wie kto to taki?

— Tak, wiem. Sławna...

— Ta sama. Okazało się, że gdy wyszliśmy, Piotr Iwanowicz powiedział im, czego od niego chciałam. I dlatego za nami wybiegła. Przedstawiła mi się i rzekła: „Jest pani siostrą dzielnego człowieka, o którym pamięć nie zaginie. Może pani doczeka lepszych czasów”. Powiedziałam jej, że mam nadzieję doczekać takich czasów, kiedy to wszystko pójdzie w niepamięć, nie wyłączając

nazwiska mego brata. Coś mnie wprost pchało, żeby to powiedzieć. Pan mnie rozumie?

— Tak — rzekłem. — Myśli pani o erze zgody i sprawiedliwości?

— Tak, zbyt wiele zemsty i nienawiści jest w teraźniejszej robocie.

Oczywiście, poniechać jej nie można. To jest ofiara, niechże więc będzie jak największa. Zniszczenie jest dziełem gniewu. Niechże tyrani i mordercy pójdą w zapomnienie, a niech pozostanie jedynie pamięć o budowniczych,

— A Zofia Antonowna zgodziła się z panią? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Powiedziała tylko: „To dla pani dobrze, że wierzy pani w miłość”!

Zdaje mi się, że mnie zrozumiała. Potem zapytała, czy spodziewam się zobaczyć pana Razumowa niezwłocznie. Powiedziałam jej, że liczę na to, iż uda mi się zaprowadzić go jeszcze dzisiejszego wieczora do mojej matki, która dowiedziała się, że on tu jest i pragnie koniecznie usłyszeć coś od niego o Wiktorze. Był on bowiem jedynym przyjacielem i powiernikiem mojego brata, o ile nam wiadomo. Na to Zofia Antonowna rzekła: „Ach tak. Brata pani. Proszę, niech pani powie panu Razumowowi, że puściłam w kurs wiadomość otrzymaną z Petersburga. Dotyczy ona aresztowania brata pani” dodała. „Zdradził go człowiek z ludu, który się potem powiesił. Pan Razumow wytłumaczy pani to wszystko. I proszę, niech pani powie Razumowowi, że Zofia Antonowna przesyła mu pozdrowienia. Wyjeżdżam jutro wczesnym rankiem, bardzo daleko”.

Po chwili milczenia panna Haldin dodała:

— Byłam tak wzruszona tym co tak niespodzianie usłyszałam, że po prostu nie mogłam się odezwać do pana wcześniej... Człowiek z ludu... Och! Nasz biedny lud!

Zwolniła kroku i szła jakby nagle wyczerpana, ze spuszczoną głową. Z okien gmachu o tarasach i balkonach dolatywały banalne dźwięki muzyki hotelowej. Przed niskim, lichym portykiem kasyna dwóch czerwonych posłańców wyróżniało się w świetle lamp elektrycznych jakimś tanim, prowincjonalnym szykiem, a pustka bulwarów i rzeki tchnęła obłudną zacnością i niewysłowioną nudą.

Uważałem za rzecz pewną, że dowiedziała się, jaki jest adres Razumowa, towarzyszyłem jej więc, nie pytając, dokąd idziemy. Na moście Mont Blanc, gdzie parę ciemnych postaci ginęło w szerokiej i długiej perspektywie, obramowanej światłami, panna Haldin rzekła:

— To niedaleko naszego domu. Tak mi się też zdawało. Adres jest Rue de Carouge. Zdaje mi się, że to będzie jeden z tych wielkich domów, niedawno zbudowanych dla rzemieślników.

Wzięła mnie poufale pod rękę i przyśpieszyła kroku. Było coś pierwotnego w naszym postępowaniu. Nie pomyśleliśmy o zdobyczach cywilizacji. Zapóźniony tramwaj przejechał koło nas, dorożki stały rzędem pod parkanami ogrodów, a nam nie przyszło do głowy skorzystać z którego z tych

sposobów lokomocji... Pochłaniała ją zapewne jedna wyłącznie myśl, a co do mnie... tak ufnie wzięła mnie pod rękę... Gdy wstępowaliśmy po lekkiej pochyłości Corraterie, wszystkie sklepy były już pozamykane i w żadnym oknie się nie świeciło, jak gdyby cała handlująca tu ludność uciekła gdzieś z końcem dnia. Panna Haldin rzekła, jakby na próbę:

— Mogłabym na chwilę zajrzeć do mamy. Nie byłoby to bardzo nie po drodze.

Odwiodłem ją od tego zamiaru. Jeżeli pani Haldin rzeczywiście spodziewała się ujrzeć Razumowa tego wieczora, byłoby nierozsądkiem pokazywać się bez niego. Im wcześniej przydybiemy młodzieńca i przyprowadzimy go dla uspokojenia wzburzonej matki, tym lepiej. Przystąpiła na mój pogląd i przeszliśmy na ukos Plac Teatralny, błękitno-szary w świetle elektrycznym bijącym zza kamiennych flizów; z samotnym, całkiem czarnym konnym posągiem pośrodku.

Na ulicy Carouge znaleźliśmy się w uboższej dzielnicy, dochodzącej do krańców miasta. Wysokie nowe domy wznosiły się poprzegradzane pustymi placami. Na rogu bocznej uliczki ostre światło świeżo wybielonego sklepu padało wachlarzowato przez szerokie wejście. Z daleka można było dostrzec jego wewnętrzną ścianę z dosyć skąpo zastawionymu półkami i ladę sklepową, pomalowaną brunatno. To był ów dom. Zbliżywszy się wzdłuż parkanu z desek pomazanych smołą, zobaczyliśmy wąską, bladą powierzchnię ściętego kąta: pięć pojedynczych okien, jedno nad drugim, bez żadnego światła, uwiecznionych padającym na nie głębokim cieniem spadzistego dachu.

— Musimy zapytać w sklepie — zakomenderowała panna Haldin.

Chudy mężczyzna o wątlym zaroście, w brudnawym białym kołnierzyku i prążkowanym krawacie, położył dziennik i, wychyliwszy się poufale na obu łokciach poza pustą ladę, odpowiedział, że pan, o którego pytam, jest istotnie jego lokatorem z trzeciego piętra, w obecnej jednak chwili nie ma go w domu.

— W obecnej chwili — powtórzyłem, spojrzawszy na pannę Haldin. — Czy to ma znaczyć, że pan spodziewa się wkrótce jego powrotu?

Właściciel sklepu, człowiek o przymilnych oczach i łagodnych ustach uśmiechnął się z lekka, jak gdyby wiedział wszystko o wszystkim. Pan Razumow był cały dzień poza domem i wrócił wczesnym wieczorem. Ku jego (sklepikarza) wielkiemu zdziwieniu zszedł znowu po upływie pół godziny. Zostawił klucz i powiedział, że wychodzi, bo potrzebuje powietrza.

Mówiąc to, uśmiechał się w dalszym ciągu, z głową wspartą na obu dłoniach. Powietrza. Powietrza. Ale czy to oznaczać miało długą lub krótką nieobecność, tego powiedzieć nie potrafił. Noc była niewątpliwie bardzo duszna.

Po chwili milczenia, zwracając przymilne oczy ku drzwiom, dodał:

— Burza go przypędzi z powrotem.

— Będzie burza? — zapytałem.

— Tak, z pewnością.

I jakby na potwierdzenie tych słów usłyszeliśmy bardzo daleki, dudniący odgłos grzmotu.

Porozumiawszy się oczyma z panną Haldin i widząc, że bardzo nie chce dać za wygraną, powiedziałem sklepikarzowi, żeby, jeżeli pan Razumow wróci za pół godziny, poprosił go, aby poczekał na dole w sklepie. My znowu wstąpimy niezadługo..

Za całą odpowiedź poruszył niedostrzegalnie głową. Zgoda panny Haldin wyrażała się milczeniem. Wyszliśmy z wolna na ulicę i skierowaliśmy się za miasto; niskie parkany ogrodów, otaczających skromne wille, skazane na zburzenie, obwieszane zbitą masą zieleni, nurzały się w świetle gazowych latarni. Groźny, monotony huk lodowatych wód Arwy, toczących się ku nam po niskiej grobli, napełniał przestrzeń surowym tchnieniem, a dalej podwójny rząd latarni oznaczał niezabudowaną jeszcze ulicę. Z drugiego brzegu, nad którym wisiała straszliwa czarność brzemiennej burzą chmury, jakieś samotne, mętne światło zdawało się patrzeć na nas znużonym spojrzeniem. Gdy doszliśmy do mostu, rzekłem:

— Lepiej wracajmy.

Chudy właściciel sklepu ślęczał wciąż nad rozłożonym na ladzie dziennikiem. Gdy zajrzałem, podniósł tylko głowę i wstrząsnął nią przecząco, sznurując usta. Wróciłem do czekającej na zewnątrz panny Haldin i poszliśmy szybkim krokiem. Panna Haldin nadmieniła, że jutro raniutko pośle Annę z listem. Uszanowałem jej małomówność, sądząc, że milczenie będzie może najlepszym sposobem okazania mego współczucia.

Na wpół wiejska uliczka, jaką szliśmy z powrotem, zmieniła się stopniowo w zwykłą miejską jezdnię, szeroką i pustą. Spotkaliśmy zaledwie paru zapóźnionych przechodniów i droga wydawała się ciągnąć w nieskończoność, ponieważ naturalny niepokój mojej towarzyszki i mnie się udzielił. Nareszcie weszliśmy na Boulevard des Philisophes, bardziej szeroki, bardziej pusty, bardziej obumarły, istne upostaciowanie drzemiącej praworządności. Ujrawszy dwa oświetlone okna, bardzo widoczne z daleka, wyobrażałem sobie panią Haldin siedzącą w fotelu, udręczoną tym straszliwym oczekiwaniem, pozostającą pod złym urokiem despotyzmu — biedną ofiarę tyranii i rewolucji. A był to widok okrutny i nedorzeczny.

III

— Wstąpi pan na chwilę? — spytała Natalia Haldin.

Wymówiłem się spóźnioną porą. Ale ona nalegała:

— Mama pana tak lubi.

— Więc wejdę na chwilę dowiedzieć się, jak się miewa pani mama.

— Nie wiem nawet, czy uwierzy, że nie mogłam znaleźć pana Razumowa — rzekła panna Haldin, jakby do siebie — skoro ułożyła sobie, że coś przed nią kryję. Pan jej to może potrafi wytłumaczyć.

— Mama pani może i mnie nie uwierzy — zauważyłem.

— Panu? Dlaczego? Cóż mógłby pan ukrywać przed nią? Nie jest pan ani Rosjaninem, ani spiskowcem.

Odczułem głęboko moją odrębność europejską i nic nie rzekłem, postanowiwszy jedynie wytrwać do końca w roli bezradnego widza. Odgłos grzmotu w dolinie Rodanu podchodził coraz bliżej pod uśpione miasto cnót prozaicznych i powszechnej gościnności. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, na wprost wielkiej ciemnej bramy i panna Haldin zadzwoniła do drzwi swego mieszkania. Otworzyły się natychmiast, jak gdyby poczciwa Anna czekała w przedpokoju na nasz powrót. Płaska jej twarz wyrażała zadowolenie.

— Ten pan przyszedł — oświadczyła, zamykając drzwi.

Żadne z nas nie zrozumiało. Panna Haldin zwróciła się do niej żywo:

— Kto?

— Pan Razumow — objaśniła Anna.

Z rozmowy, którą prowadziliśmy przed wyjściem, domyśliła się, dokąd poszła jej młoda pani, więc gdy gość wymienił swoje nazwisko, wpuściła go natychmiast,

— Kto by to był przewidział! — szepnęła panna Haldin, patrząc na mnie swymi szarymi, poważnymi oczyma, a ja, przypomniawszy sobie wyraz twarzy Razumowa, gdym go spotkał przed jakimiś czterema godzinami, wyraz ściganego lunatyka, odczułem coś w rodzaju grozy.

— Powiedziałaś przedtem mojej matce? — zapytała panna Haldin.

— Nie. Zaanonsowałam tylko tego pana — odpowiedziała Anna, zdziwiona naszym pomieszaniem.

— Matka pani przecież była do pewnego stopnia przygotowana — rzekłem półgłosem.

— Tak. Ale on nie miał pojęcia...

Wydało mi się, że miała pewne wątpliwości co do jego taktu. W odpowiedzi na jej dalsze pytania Anna powiedziała nam, że „der Herr” przyszedł przed kwadrans, po czym oddaliła się z miną trochę wystraszoną. Panna Haldin patrzyła na mnie w milczeniu.

— Skoro tak się stało — stwierdziłem — pani wie przecież dokładnie, co przyjaciel brata może mieć do powiedzenia mamie. I zapewne potem...

— Tak — rzekła Natalia Haldin z wolna. — Myślę tylko, że skoro przyszedł podczas mojej nieobecności, to może lepiej będzie nie przeszkadzać im.

Zamilkliśmy oboje i sędzę, że natężyliśmy słuch, ale żaden dźwięk nie doszedł nas spoza drzwi zamkniętych. Twarz panny Haldin wyrażała bolesne niezdecydowanie. W pewnej chwili kobieta uczyniła taki ruch jak gdyby chciała wejść, powstrzymała się jednak. Usłyszała kroki za drzwiami, które otworzyły się,

i Razumow, nie zatrzymując się, wszedł do przedpokoju. Całodzienne zmęczenie i walka z sobą samym tak go zmieniły, że byłbym zawahał się w poznaniu tej twarzy, która przed kilku godzinami, gdy otarł się o mnie przed pocztą, była dostatecznie zmieniona, lecz zupełnie inna. Nie wydawała się wtedy tak blada i oczy nie były tak ponure. Patrzyły niewątpliwie przytomniej, ale leżał na nich cień czegoś świadomie złego.

Wspominam o tym dlatego, że w pierwszej chwili spojrzenie Razumowa padło na mnie, chociaż nie widać było, żeby mnie poznał, lub bodaj zauważył. Znalazłem się po prostu na linii jego wzroku. Nie wiem, czy usłyszał dzwonek, czy spodziewał się zobaczyć kogoś. Zamierzał ku drzwiom i mniemam, że nie widział panny Haldin, aż postąpiła ku niemu parę kroków. Nie zauważył też ręki, którą do niego wyciągnęła.

— To pani, Natalio Wiktorowna... Może się pani dziwi... że o tak spóźnionej porze... Ale, widzi pani, pamiętałem nasze rozmowy w ogrodzie. Pomyślałem, że pani istotnie życzyła sobie, bym bez straty czasu... więc przyszedłem. Nie dla żadnej innej przyczyny. Po prostu, by powiedzieć...

Mówił z trudnością. Zauważyłem to i przypomniałem sobie, co powiedział sklepikarzowi, że wychodzi, bo „potrzebuje powietrza”. Jeżeli taki był jego cel, to widocznie mu się nie powiodło. Ze spuszczonego oczyma i zwieszoną głową usiłował wydobywać z gardła dławiące go słowa.

— Powiedzieć, o czym sam dowiedziałem się dopiero dzisiaj... dopiero dzisiaj...

Przez drzwi, których nie zamknął, zobaczyłem salonik. Oświecała go jedna tylko zasłonięta ciemnikiem lampa — oczy pani Haldin nie znosiły ani gazu ani elektryczności. Był to względnie duży pokój, i w przeciwieństwie do jasno oświetlonego przedpokoju długość jego tonęła w przejrzystej pomroce, za którą kładły się głębokie cienie, i na tym tle zobaczyłem nieruchomą, lekko ku przodowi podaną postać pani Haldin z ręką bladą i chudą, spoczywającą na poręczy fotela.

Nie poruszała się. Siedząc przed oknem, nie miała już w postawie wyrazu oczekiwania. Roleta była spuszczone, a poza nią było tylko niebo nocy, zwiastujące burzę i miasto obojętne i gościnne w swej chłodnej, pogardliwej niemal tolerancji, szanowne miasto zbiegów, dla którego wszystkie ich bóle i nadzieje były niczym. Biała głowa pani Haldin zwieszała się na piersi, Przyszła mi myśl, że prawdziwy dramat autokracji rozgrywa się nie na wielkiej scenie polityki; los obdarzył mnie rolą widza i znów miałem sposobność rzucić okiem poza kulisy i objąć coś o wiele głębszego niż słowa i gesty widowiska publicznego.

Miałem pewność, że ta matka nie chciała w głębi serca wyrzec się swego syna. Było w tej rozpaczycy coś więcej niż niepocieszona żaloba Racheli, coś głębszego i bardziej niedostępnego w swym przerażającym spokoju. Rozpływający się na niewyraźnym tle fotela o wysokich poręczach jej biały,

pochylony profil sprawiał wrażenie, jak gdyby przyglądała się jakiejś ukochanej głowie, spoczywającej na jej łonie.

Takim był ten rzut oka za kulisy, po czym panna Haldin, przeszedłszy koło Razumowa, zamknęła drzwi. Wydało mi się przez chwilę, że pójdzie do matki, lecz ona posłała tam tylko zaniepokojone spojrzenie. Może gdyby pani Haldin poruszyła się... ale nie... W nieruchomości tej bezkrwistej twarzy była straszliwa obcość cierpienia, na które nie ma lekarstwa.

Przez ten czas młodzieniec stał z oczyma utkwionymi w ziemię. Myśl, że będzie musiał powtarzać to, co już powiedział, była dla niego nie do zniesienia. Spodziewał się zastać obie kobiety razem. A potem powiedział sobie, że skończy z nimi raz na zawsze, raz na zawsze.

„Całe szczęście, że nie wierzę w świat pozagrobowy”, pomyślał cynicznie.

Znalazłszy się sam w swoim pokoju, po wrzuceniu do skrzynki pocztowej owego tajnego listu, osiągnął pewne uspokojenie w pisaniu swego równie tajnego dziennika. Wiedział doskonale o niebezpieczeństwie takiego folgowania sobie. Wspomina o tym sam, ale nie mógł się powstrzymać. To mu sprawiało ulgę; godziło go z losem. Siadł więc i pisał przy świetle jednej świecy, aż przyszło mu na myśl, że usłyszawszy ową wersję o aresztowaniu Haldina, tak jak ją Zofia Antonowna podała, powinien powtórzyć ją sam tym paniom. Z pewnością dowiedzą się o tym z jakiegoś innego źródła, a wtedy jego milczenie może się wydać dziwne nie tylko matce i siostrze Haldina, ale i innym także. Doszedłszy do takiego wniosku, nie odkrył w sobie żadnego wyraźnego wstrętu do poddania się tej konieczności i wnet zaczęła go dręczyć chęć skończenia z tym jak najprędzej. Spojrzał na zegarek. Nie, nie było jeszcze za późno. Piętnaście minut, które spędził z panią Haldin, było dlań jakby zemstą Niewiedomego: ta biała twarz, ten słaby, wyraźny głos, ta głowa zrazu żywo ku niemu zwrócona, a po chwili znów opadająca na piersi i nieruchoma w przyćmionym świetle tego pokoju, w którym słowa jego, pomimo że starał się mówić głosem stłumionym, dźwięczały tak donośnie — wszystko to wstrząsnęło nim jakby jakieś dziwne odkrycie. Było coś tajemniczo upartego w tym bólu, coś czego nie mógł zrozumieć, a w każdym razie coś, czego się nie spodziewał. Czy było to mu wrogiem? Nie dbał o to, nic mu już teraz zaszkodzić nie mogło; w oczach rewolucjonistów nie było teraz żadnego cienia na jego przeszłości. Widmo Haldina pozostało za nim bezsilne i bierne na zaśnieżonym bruku. A to była matka tego widma, strawiona bólem i biała jak upiór. Ogarnęło go jakieś litosne zdziwienie. Ale to oczywiście było bez znaczenia. Mniejsza o matkę. Nie mógł się jednak otrząsnąć z przejmującego wrażenia, jakie na nim sprawiał widok tej milczącej, spokojnej, białowłosej kobiety, ale wnet jakaś surowa bezwzględność zapanowała w jego myślach. To były skutki. I coż stąd?

— A ja, alboż na różach spoczywam? — wykrzyknął w duchu, siedząc w pewnym oddaleniu od tego posągu boleści.

Powiedział wszystko co miał jej do powiedzenia, a gdy skończył, ona nie wyrzekła ani słowa. Odwróciła głowę podczas gdy mówił. Milczenie, jakie zapadło po jego ostatnich słowach, trwało jakieś pięć minut lub więcej. Cóż to mogło znaczyć? Wobec tego niepojętego objawu zaczął go zdejmować dawny gniew na Haldina, rozbudzony widokiem jego matki. Tylko teraz dołączyło się do tego coś w rodzaju zazdrości, jakby o przywilej, którego on tylko jeden ze wszystkich ludzi na tym świecie był pozbawiony. Oto tamten spoczął już w grobie, a przecież żył w przywiązaniu tej bolejącej kobiety; w pamięci tych wszystkich rzekomych miłośników ludzkości. Niepodobieństwem było się go pozbyć.

— Nie jego, lecz siebie wydałem na zgubę — pomyślał Razumow. — Zmusił mnie do tego. Nie mogę się od niego uwolnić.

Przestraszony tym odkryciem, wstał i wyszedł z milczącego, mrocznego pokoju, z tą milczącą staruszką w fotelu, z tą matką! Nie obejrzał się poza siebie. Po prostu uciekł. Ale otworzywszy drzwi, przekonał się, że odwrót jest odcięty. Zastąpiła mu drogę siostra. Nie zapomniał o siostrze, tylko nie spodziewał się zobaczyć jej teraz, może już nawet nigdy więcej. Jej obecność w przedpokoju była czymś tak nieprzewidywanym, jak swojego czasu zjawienie się brata. Razumow wzdrygnął się, jak gdyby spostrzegł, że wpadł w dowcipnie obmyśloną zasadzkę. Próbował się uśmiechnąć, ale nie mógł i spuścił wzrok.

„Czy mam znowu powtarzać tę głupią historię?”, pomyślał i uczył, że mu się robi słabo. Od poprzedniego dnia nie miał w ustach nic pożywnego, ale nie był w stanie zastanawiać się nad przyczynami swego osłabienia. Chciał wziąć kapelusz i odejść, powiedziawszy tylko parę słów koniecznych, ale panna Haldin uprzedziła go, zamykając szybko drzwi. Zwrócił się ku niej, nie podnosząc oczu, biernie, jakby się poruszyło piórko w rozchybotanym powietrzu. W chwilę potem ona wróciła na dawne miejsce, a on znów obrócił się za nią, tak, że znaleźli się znów na poprzednich względem siebie pozycjach.

— Tak, tak — rzekła pospiesznie pana Haldin. — Jestem panu bardzo wdzięczna, Cyrylu Sidorowiczu, że pan przyszedł zaraz... Tylko byłabym wołała... Czy mama powiedziała panu?

— Ciekawym co mogłaby mi powiedzieć, czego bym już przedtem nie wiedział? — rzekł, widocznie sam do siebie, ale całkiem wyraźnie. — Bo ja to zawsze wiedziałem — dodał głośniejszym głosem, jakby z rozpaczą.

Zwiesił głowę. Miał tak silne poczucie obecności Natalii Haldin, że sam jej widok sprawiał mu ulgę. To ona prześladowała go teraz. Cierpiał to prześladowanie od chwili, gdy ukazała mu się nagle w ogrodzie willi Borel, z wyciągniętą ręką i imieniem swego brata na ustach... W przedpokoju, na ścianie przy drzwiach, znajdował się szereg wieszaków, a przy ścianie przeciwległej stał mały, ciemny stoliczek i krzesło. Obicie było całkiem białe w jakiś nikły deseń. Światło lampy elektrycznej, wysoko pod sufitem umieszczonej, oświetlało jaskrawo ten czworobok o nagich kątach; była to zaiste dziwna widownia tego ponurego dramatu.

— Co pan przez to rozumie? — zapytała panna Haldin. — Co wiedział pan zawsze?

Podniósł twarz bladą, napiętnowaną niewysłowionem cierpieniem. Dziwny wyraz jego oczu, pełnych jakby tępego uporu, który musiał uderzać i dziwić każdego, kto z nim rozmawiał, zaczął ustępować. Było to tak, jak gdyby odzyskiwał przytomność w zbudzonym poczuciu tej cudownej harmonii rysów, kształtów, spojrzeń i głosu, co czyniło ze stojącej przed nim dziewczyny istotę tak rzadką, tak odrębną, tak przerastającą, że tak powiem, zwykłe pojęcie piękności. Patrzył na nią tak długo, aż się zaczerwieniła lekko.

— Co pan takiego wiedział? — powtórzyła machinalnie.

Tym razem zdobył się na uśmiech.

— Doprawdy, gdyby nie parę słów powitania, mógłbym wątpić, czy matka pani zauważyła w ogóle moją obecność. Rozumie pani?

Natalia Haldin skinęła głową; ręce jej, zwieszzone wzdłuż ciała, poruszyły się z lekka.

— Tak. To przecież serce matki się rozdziera. Nie uroniła dotąd ani jednej łzy. Ani jednej.

— Ani jednej łzy! A pani, Natalio Wiktorowna? Czy pani mogła płakać?

— Tak. Mogłam. A przy tym jestem jeszcze na tyle młoda, Cyrylu Sidorowiczu, żeby wierzyć w przyszłość. Ale gdy widzę mamę tak straszliwie zrozpaczoną, zapominam prawie o wszystkim. I zapytuję samą siebie, czy mam być z tego dumna, czy tylko zrezygnowana. Tyle osób nas odwiedza. Zupełnie obcy ludzie pisali do nas z zapytaniem, czy mogą przyjść złożyć swoje uszanowanie. Niepodobieństwem było zamykać drzwi przed nimi na zawsze... Pan wie, że sam Piotr Iwanowicz... O tak, okazano nam dużo współczucia... ale byli tacy, którzy otwarcie radowali się z jego śmierci. A potem, gdy zostawałam sama z moją biedną matką, wszystko to wydawało mi się takie marne, tak niewarte ceny, jaką ona za to płaciła. Ale skoro tylko dowiedziałam się, że pan przyjechał do Genewy, Cyrylu Sidorowiczu, uczułam, że jest pan jedyną istotą, która mi może pomóc...

— W pocieszeniu zbolącej matki?

— Tak!

Przerwał w taki sposób, że otworzyła szeroko swe jasne, ufne oczy.

— Tylko że tu zachodzi kwestia odpowiedniości. Czy pani pomyślała o tym?

Mówił tonem zdyszany, stojącym w sprzeczności z potwornym szyderstwem jego intencji.

— Dłaczego? — szepnęła Natalia Haldin z uczuciem. — Któż mógłby być odpowiedniejszym niż pan?

Odruchowo wzdragnał się rozdrażniony, ale się pohamował.

— Czyżby? I to z chwilą gdy usłyszała pani, że jestem w Genewie, i nawet nie widząc mnie? Jest to ponowny dowód tego zaufania, któremu...

I nagle głos jego się zmienił, stał się bardziej przenikliwy, oderwany.

— Ludzie są istotami upośledzonymi, Natalio Wiktorowna. Nie mają ani intuicji, ani odczucia. Aby móc mówić tak jak potrzeba zrozpaczonej matce o jej utraconym synu, trzeba mieć jakieś doświadczenie w tym względzie, jakieś pojęcie o uczuciach synowskich. A ja go nie mam, jeżeli pani chce wiedzieć całą prawdę. Nadzieje pani mają do czynienia z „piersią nieogrzaną żadnym przywiązaniem”, jak powiada poeta... To nie znaczy, że ta pierś jest nieczuła — dodał ciszej.

— Jestem pewna, że pan ma czułe serce — rzekła panna Haldin tkliwie.

— Niezupełnie. Nie jest tak twarde jak kamień — ciągnął dalej, z takim wyrazem twarzy, jak gdyby patrzył na swoje serce, leżące ciężko jak kamień w tej nieogrзанej piersi, o której mówił. — Nie. Nie jest twarde. Ale jak dowieść tego, co mi pani przypisuje? — A, to inna rzecz! Nikt nigdy czegoś podobnego ode mnie nie żądał. Nikt, komu moja czułość byłaby się na coś przydała. I oto teraz przychodzi pani. Pani! Teraz! Nie, Natalio Wiktorowna! Już za późno. Przychodzi pani za późno. Nie spodziewaj się niczego ode mnie.

Panna Haldin cofnęła się trochę, chociaż on się nie poruszył; jak gdyby dostrzegła w jego twarzy zmianę, nadającą jego słowom znaczenie ukrytego uczucia, które oboje dzielili. Dla mnie, milczącego widza, wyglądali jak ludzie, którzy nagle uświadamiają sobie czar, jaki owładnął nimi od chwili, gdy się ujrzeli po raz pierwszy. Gdyby jedno z nich spojrzeło było w moją stronę, byłbym spokojnie otworzył drzwi i wyszedł. Ale nie uczynili tego, więc zostałem, czując się zupełnie zwolniony z zarzutu niedyskrecji w mojej bezgranicznej obcości i oddaleniu od obejmujących ich ciemnych horyzontów rosyjskich zagadnień, będących jakby więzieniem ich spojrzeń, ich uczuć, ich dusz.

Szczera, odważna panna Haldin opanowała swój głos wśród tego pomieszania.

— Co to może znaczyć? — spytała, jak gdyby mówiąc do siebie.

— To może znaczyć, że pani oddaje się mrzonkom, podczas gdy ja zdołałem pozostać w rzeczywistości życia, naszego rosyjskiego życia.

— Ta rzeczywistość jest okrutna — szepnęła.

— I brzydka, niech pani nie zapomina o tym. I brzydka. Niech pani spojrzy, gdzie zechce. Dokoła siebie, blisko, tu zagranicą, gdzie pani jest, a potem niech pani spojrzy tam, na kraj, skąd pani przybyła.

— Trzeba patrzeć poza teraźniejszość — szepnęła.

— Ślepy to najlepiej potrafi. Ale ja, na nieszczęście, urodziłem się widzący. I gdyby pani wiedziała, na jakie dziwne rzeczy patrzyłem! Na jakie zdumiewające i niespodziewane zjawy!... Ale po co mówić o tym wszystkim?

— Przeciwnie, ja chcę mówić o tym wszystkim z panem — zaprzeczyła z pogodną powagą.

Nie zrażało jej ponure usposobienie przyjaciela brata; jak gdyby ta jego gorycz i ten hamowany gniew były oznakami prawości. Widziała, że nie był

jednostką przeciętną i może nie chciała, aby był inny, niż taki właśnie, jakim ukazywał się jej ufnym oczom.

— Tak, z panem — powtórzyła nalegająco. — Z panem bardziej niż z jakimkolwiek Rosjaninem na całym świecie.

Lekki uśmiech zaigrał przelotnie na jej ustach.

— Pod pewnym względem jestem jak moja biedna matka. Ja również nie mogę wyrzec się naszego ukochanego zmarłego, który, nie zapominaj pan, był dla nas wszystkim. Nie chcę nadużywać pańskiego współczucia, ale musi pan zrozumieć, że w panu jedynie możemy znaleźć to, co pozostało z jego szlachetnej duszy.

Patrzyłem na niego. Ani jeden mięsień nie drgnął mu w twarzy. A jednak nawet i wtedy nie posądziłem go o nieczułość. Był to raczej rodzaj zadumy ekstatycznej. Potem poruszył się z lekka.

— Odchodzi pan, Cyrylu Sidorowiczu? — zapytała.

— Ja? Czy odchodzę? Gdzie? Ach tak, ale muszę wprzód pani opowiedzieć.

Głos jego był stłumiony i widoczne było, że niemal ze wstrętem zmusza się do mówienia .

— Muszę pani opowiedzieć tę historię, wie pani, tę historię, którą usłyszałem dzisiaj popołudniu...

— Znam ją już — rzekła smutno.

— Zna ją pani! Czy pani także ma korespondentów w Petersburgu?

— Nie. To Zofia Antonowna. Widziałam ją właśnie przed chwilą.

Przesyła panu pozdrowienia. Odjeżdża jutro.

Spuścił nareszcie oczy, którymi wpatrywał się w nią jak urzeczony. Ona również patrzyła w ziemię i gdy tak stali oboje w ostrym świetle, na tle nagich ścian przedpokoju, wyglądali jak gdyby wyprowadzeni umyślnie ze wschodnich bezkresów pod obserwację moich oczu, oczu człowieka Zachodu, Więc obserwowałem ich. Nie było nic innego do zrobienia. Zdawało się, że zapomnieli tak całkowicie o moim istnieniu, iż nie śmiałem się teraz poruszyć! I mówiłem sobie, że oczywiście musieli się zejść, siostra i przyjaciel tego nieboszczyka. Pojęcia, nadzieje, požądania, sprawa Wolności — wyrażone w ich wspólnym przywiązaniu do Wiktora Haldina, moralnej ofiary autokracji — wszystko to musiało fatalnie pociągać ich ku sobie. Jej nieświadomość i jego osamotnienie, o którym tak dziwnie napomknął, musiały doprowadzić do takiego końca. I, w istocie, widziałem, że już doprowadziły. Oczywiście. Jasne było, że musieli myśleć o sobie na długo przedtem, nim się spotkali. Ona miała list ukochanego brata, list, który rozpałił jej wyobraźnię ową surową pochwałą, przywiązaną do jego nazwiska; a co się tyczy jego, wystarczyło, że zobaczył tę wyjątkową istotę. Jedno tylko mogło dziwić: to jego posepne trzymanie się z daleka wobec jej tak wyraźnie objawiającej się życzliwości. Był jednak młody i, pomimo całego oddania się sprawom rewolucyjnym, nie był ślepy. I oto przejrzał na koniec; epoka wstrzemięźliwości skończyła się. Nie mogłem

tłumaczyć sobie inaczej znaczenia tych jego odwiedzin o tak późnej porze, boć przecie nie było nic pilnego w tym co miał powiedzieć. Prawdziwa przyczyna stała mi się jasna: zrozumiał, że jej potrzebuje, a ona doświadczała tego samego uczucia. Po raz drugi widziałem ich razem i czułem, że gdy się znowu spotkają, już mnie pomiędzy nimi nie będzie. Zapomniany czy nie, przestanę istnieć dla tych dwojga młodych.

Uczyniłem to odkrycie w ciągu paru minut. A przez ten czas Natalia opowiadała Razumowowi zwięźle o naszych wędrówkach z jednego końca Genewy na drugi. Mówiąc, podniosła ręce nad głowę, by odwiązać welon i ruch ten odsłonił na chwilę czarujący wdzięk jej młodzieńczej postaci, przybranej w najskromniejszą żałobę. W przezroczyście cieniu, który rondo kapelusza rzucało na jej twarzyczkę, szare oczy błyszczały nęcąco. Głos o niekobiecym a jednak prześlicznym brzmieniu był spokojny; mówiła szybko, szczerze, bez najlżejszego zakłopotania. Gdy usprawiedliwiała swój postępek umysłowym stanem matki, kurcz bólu zmącił szlachetnie ufną harmonję jej rysów. On zaś, stojąc ze spuszczonej oczyma, wyglądał jak ktoś, kto słucha raczej muzyki niż mowy. A gdy skończyła, zdawał się słuchać jeszcze nieruchomo, jak pod urokiem cudnej jakiejś melodii. Ocknął się jednak, mrużąc:

— Tak, tak. Nie uroniła ani jednej łzy. Zdawała się nie słyszeć tego, co mówiłem. Mogłem mówić, co bym tylko chciał. Wyglądała, jakby już nie należała do tego świata.

Panna Haldin westchnęła głęboko. Głos jej się załamał.

— Ach! Pan nawet nie wie, jak z nią już źle! Ona teraz spodziewa się, że go zobaczy!

Welon wysunął się jej z rąk; załamała dłonie rozpaczliwie.

— I skończy się na tym, że go zobaczy! — wykrzyknęła.

Razumow poniósł szybko głowę i objął ją przeciągłym, zamyślnym spojrzeniem.

— Hm! To jest bardzo możliwe! — mruknął jakimś szczególnym tonem, jak gdyby wyrażając swój pogląd na coś dowiedzonego. — Ciekaw jestem, co... — Urwał nagle. — A wtedy będzie po wszystkim. Umysł jej obłąka się zupełnie, a za nim pójdzie dusza.

Panna Haldin rozplotła ręce i opuściła je wzdłuż ciała,

— Tak pani sądzi? — zapytał z przejęciem.

Usta panny Haldin rozchyliły się z lekka. Coś niepojętego i nieoczekiwanego w charakterze tego młodzieńca oczarowało ją od początku.

— Nie! Widma zmarłych nie przynoszą ani prawdy, ani pociechy — dodał po ważkiej przerwie. — To ja mogłem jej powiedzieć coś prawdziwego; na przykład, że brat pani chciał się ratować ucieczką. Co do tego nie może być żadnej wątpliwości. Ale nie uczyniłem tego.

— Nie uczynił pan tego. Czemu?

— Nie wiem. Inne myśli przyszły mi do głowy — odpowiedział.

Wyglądał tak, jak gdyby śledził siebie wewnątrz, jak gdyby starał się liczyć uderzenia własnego serca, podczas gdy oczy jego nie schodziły z twarzy panny Haldin.

— Pani nie było — ciągnął dalej. — Postanowiłem nigdy już więcej nie widzieć pani.

Te słowa zatamowały jej na chwilę oddech w piersiach.

— Pan!.. Jakże to jest możliwe?

— Łatwo pani pytać! Jednak zdaje mi się, że nie powiedziałem tego matce pani przez ostrożność. Mogłem też zapewnić ją, że w ostatniej rozmowie, jaką prowadził jako człowiek wolny, wspominał was obie!...

— Tę ostatnią rozmowę prowadził z panem — przerwała mu głębokim, wzruszonym głosem. — Kiedyś, musi pan...

— Tak, ze mną. O pani powiedział, że ma pani ufne oczy. I nie wiem dlaczego, nie mogłem zapomnieć tych słów. One znaczyły, że nie ma w pani ani fałszu, ani obłudy, ani podejrzliwości, niczego, co mogłoby dać pani pojęcie o żyjącym, działającym, mówiącym kłamstwie, gdyby ono kiedykolwiek zaszło pani drogę. Że wskutek tego jest pani przeznaczoną na ofiarę... Ha! Co za szatański podszept!

Konwulsyjne, niepohamowane brzmienie tych ostatnich słów dowodziło, jak kruche było jego panowanie nad sobą. Był jak człowiek, który drwi sobie z własnego odurzenia w miejscach niebezpiecznych i nagle chwieje się nad samą krawędzią przepaści. Panna Haldin przycisnęła rękę do piersi. Upuszczony czarny welon leżał pomiędzy nimi na podłodze. Jej ruch oprzytomnił go. Patrzył z napięciem na jej rękę aż opadła z wolna, po czym podniósł oczy na jej twarz. Ale nie dał jej przyjść do słowa.

— Nie? Nie rozumie pani? To bardzo dobrze. — Cudem woli odzyskał spokój. — Więc rozmawiała pani z Zofią Antonówną?

— Tak. Zofia Antonówną powiedziała mi... — Panna Haldin urwała, a coraz większe zdumienie malowało się w jej szeroko otwartych oczach.

— Hm! To jest szanowny wróg — mruknął, jak gdyby był sam.

— Sposób, w jaki wyrażała się o panu, był nadzwyczaj życzliwy — zauważyła panna Haldin, przeczekawszy chwilę.

— Takie pani odniosła wrażenie? A to jest przecież najinteligentniejszy umysł z całej bandy... Rzeczy tedy idą jak najlepiej. Wszystko sprzysięga się, żeby... Ach, ci spiskowcy! — mówił powoli, pogardliwym tonem — o władną oni panią, ani się pani spostrzeże. Wie pani, Natalio Wiktorowna, że ja sam z największym trudem uchroniłem się od przesądnej wiary w działającą Opatrzność. Jest w tym coś nieprzепartego. Albo... zostaje druga ostateczność: djabeł we własnej osobie, diabeł naszych prostodusznych przodków. Ale on się już przeżył, stary Ojciec Kłamstwa, nasz patron narodowy, nasz bóg domowy, którego zabieramy z sobą, gdy jedziemy za granicę. Przeżył się... Albo ja nie jestem dość prostoduszny... W tym rzecz cała, powinienem był wiedzieć... I

wiedziałem! — dodał z wyrazem rozdzierającego bólu, który przewyższył moje zdumienie.

„Ten człowiek zwariował!”, pomyślałem z przestachem.

W chwilę potem wywarł na mnie szczególniejsze wrażenie, którego niepodobna podciągnąć pod normę przeciętnych określeń. Było to tak, jak gdyby pchnął się sztyletem gdzieś na ulicy i przyszedł nam to pokazać; nie dość na tym: jak gdyby obracał nóż w ranie i patrzył, jak to wygląda. Takie było to wrażenie, uzmysłowione w słowach. I nie można się było oprzeć pewnemu porywowi litości. Co do mnie jednak, przede wszystkim współczułem panie Haldin już i tak głęboko dotkniętej w jej najdroższych uczuciach. Jej postawa, jej twarz wyrażały współczucie, walczące z powątpiewaniem i trwogą.

— Co panu jest, Cyrylu Sidorowiczu?! — wykrzyknęła z nutą kliwości w głosie.

Nie odpowiedział, wpatrywał się w nią tylko jakby z całkowitym skupieniem wszystkich władz w czymś, co u szczęśliwego kochanka mogło nosić nazwę ekstazy.

— Dlaczego patrzy pan na mnie w ten sposób, Cyrylu Sidorowiczu? Ja zbliżyłam się do pana z całą otwartością... A teraz muszę jasno zdać sobie sprawę...

Umilkła, jak gdyby chcąc mu dać czas do powiedzenia wreszcie czegoś, co byłoby godne tej egzaltowanej wiary, którą pokładała w przyjacielu brata. Milczenie jego stało się znaczące, jakby zapowiedź doniosłego postanowienia. W końcu panna Haldin podjęła niemal prosząco:

— Wyczekiwałam pana z takim upragnieniem... Ale teraz, kiedy powodowany dobrocią, przyszedł pan do nas, przeraża mnie pan. Mówi pan tak zagadkowo. Wydaje mi się, jak gdyby pan coś krył przede mną.

— Niech mi pani powie, Natalio Wiktorowna — wymówił wreszcie dziwnym, bezdźwięcznym głosem — kogo tam pani widziała?

Drgnęła, jak gdyby zawiedziona w oczekiwaniu.

— Gdzie? U Piotra Iwanowicza? Był pan Laspara i trzy inne osoby.

— Aha! Przednia straż wielkiego spisku! — mruknął sam do siebie. — Piastunowie iskry, mającej sprowadzić wybuch, który wstrząśnie podstawami bytu milionów ludzi po to, żeby Piotr Iwanowicz został Głową Państwa.

— Przekomarza się pan ze mną — rzekła. — Nasz ukochany powiedział mi kiedyś, bym pamiętała, że ludzie służą zawsze czemuś wyższemu od nich samych, służą idei.

— Nasz ukochany — powtórzył z wolna.

Wysiłek czyniony przezeń, by okazywać się niewzruszonym, pochłaniał wszystkie siły jego duszy. Stał przed nią jak człowiek zaledwie mogący oddychać. Nawet oczy, jakby pod wpływem wielkiego fizycznego cierpienia, straciły wszelki blask.

— Ach... brat pani... Ale w ustach pani, w głosie pani to brzmi... Bo, istotnie, wszystko w pani jest boskie... Chciałbym znać najgłębsze tajniki myśli pani, pani uczuć.

— Ale dlaczego, Cyrylu Sidorowiczu? — zawołała przestraszona tymi słowy, wychodzący z dziwnie martwych ust.

— Niech się pani nie lęka. To nie dlatego, by zdradzić panią... Więc pani tam poszła... A Zofia Antonowna, cóż pani powiedziała?

— Bardzo niewiele. Była pewna, że pan powie mi wszystko. Spieszyła się bardzo.

Głos panny Haldin załamał się, umilkła na chwilę.

— A tamten, odebrał sobie życie — rzekła smutno.

— Niech mi pani powie, Natalio Wiktorowna — zapytał po pewnym czasie. — Czy wierzy pani w wyrzuty sumienia?

— Co za pytanie!

— Tak, prawda, co pani o tym wiedzieć może — zamruczał niewyraźnie. — To nie dla takiej, jak pani, istoty... Chciałem tylko zapytać, czy pani wierzy w skuteczność wyrzutów sumienia?

Zawahała się, jak gdyby nie zrozumiał, po czym twarz jej się rozpozodziła,

— Tak — rzekła stanowczo.

— A więc dostąpił rozgrzeszenia. Tym bardziej, że to było istne bydlę, pijaczyna.

Natalia Haldin wzdrygnęła się.

— Ale to był człowiek z ludu — ciągnął dalej Razumow — tego ludu, któremu rewolucjoniści opowiadają bajkę wzniosłych nadziei. Ludowi trzeba wybaczyć... Pani jednakże nie powinna wierzyć wszystkiemu, co słyszała pani z tego źródła — dodał z niejakim ociąganiem.

— Pan coś kryje przede mną! — wykrzyknęła.

— Czy pani, Natalio Wiktorowno, wierzy w obowiązek odwetu?

— Posłuchaj, Cyrylu Sidorowiczu. Wierzę, że przyszłość będzie miłosierna dla nas wszystkich. Rewolucjonista i reakcjonista, ofiara i kat, zdrajca i zdradzony — wszyscy dostąpią zmiłowania, gdy wreszcie światło błysnie na naszym czarnym niebie. Zmiłowania i zapomnienia, gdyż bez tego nie może być zjednoczenia i miłości.

— Słyszę. Więc dla pani nie ma odwetu? Nigdy? W najmniejszym stopniu? — uśmiechnął się gorzko bezbarwnymi ustami. — Pani sama jest jak wcielenie tej miłosiernej przyszłości. Dziwna rzecz, że to mi nie ułatwia... Wcale! Ale przypuśćmy, że prawdziwy zdrajca twego brata... Ziemianicz, miał w tym także udział, ale mało znaczący i całkowicie mimowolny... przypuśćmy, że to był człowiek młody, wykształcony, pracujący umysłowo, ktoś, komu brat pani zaufał, lekkomyślnie może... jednakże... przypuśćmy. Ale to cała historia!..

— I pan zna tę historię!... Więc czemu?...

— Słyszałem ją. Wchodzą tu w grę schody, a nawet widma, ale o to mniejsza, skoro człowiek służy zawsze czemuś większemu od siebie... idei... Ciekawym tylko, kto jest największą ofiarą w tej całej historii.

— W tej całej historii — powtórzyła panna Haldin. Była jak skamieniała.

— Czy pani wie, dlaczego do niej przyszedłem? Oto po prostu dlatego, że na tym całym wielkim świecie nie mam nikogo, do kogo mógłbym pójść. Rozumie pani, co mówię? Nikogo! Pojmuje pani całą rozpaczliwość tej myśli? Nikogo... do kogo... mógłbym pójść!

Całkowicie wprowadzona w błąd swoim własnym entuzjastycznym pojmowaniem paru wierszy w liście marzyciela. Owładnięta lękiem własnych dni samotnych na ponurym świecie zaciekłych walk, niezdolna była dojrzeć prawdę, szamocząc się na jego ustach. Pojmowała tylko, że cierpiał, i chciała już wyciągnąć do niego rękę, gdy Razumow przemówił znowu:

— W godzinę po zobaczeniu pani wiedziałem, że tak będzie. Wyrzuty sumienia, zemsta, nienawiść, wszystko to jest niczym w porównaniu z tą straszliwą pokusą, jaką postawiła mi pani na drodze, ukazując mi się z tą twoją twarzą, z twoim głosem, w ogrodzie owej przeklętej willi.

Popatrzyła na niego zupełnie oszołomiona, po czym, z rodzajem rozpaczliwej przenikliwości sięgnęła wprost do jądra rzeczy.

— Ależ ta historia, Cyrylu Sidorowiczu, ta historia!

— Nie ma nic więcej do powiedzenia. — Posunął się ku niej, ona zaś położyła rękę na jego ramieniu, aby go odepchnąć, ale siły zawiodły ją, on zaś, choć drżący na całym ciele, nie ustąpił.

— Ta historia kończy się tu, w tym miejscu!

Z całą siłą przyłożył oskarżycielski palec do piersi i zamilkł.

Podbiegłem, chwytając po drodze krzesło, w samą porę, by posadzić na nim słaniającą się pannę Haldin. Osuwając się po moim ramieniu, na wpół odwróciła się i pozostała tak z twarzą ukrytą na poręczu krzesła. On stał i patrzył na nią z jakimś wprost przerażającym spokojem. Niedowierzanie, walczące ze zdumieniem, gniewem i odrazą, odjęło mi chwilowo mowę. Wnet jednak zwróciłem się ku niemu, szepcząc zdławionym z wściekłości głosem:

— To potworne! Czego pan tu stoi? Niechże już na ciebie nie patrzy. Idź! Nie poruszył się.

— Czy pan nie rozumie, że obecność pańska jest nie do zniesienia, nawet dla mnie? Jeżeli jest w panu choć odrobina wstydu...

Posępne jego oczy zwróciły się w moim kierunku.

— Skąd się ten stary tu wziął? — zamruczał zdumiony.

Nagle panna Haldin zerwała się z krzesła, postąpiła parę kroków i zachwiała się. Zapominając o moim oburzeniu, a nawet o Razumowie, pośpieszyłem jej na pomoc. Wziąłem ją pod rękę, a ona dała się zaprowadzić do saloniku. Z dała od lampy, w głębokim cieniu profil pani Haldin, jej ręce i cała postać swą martwością przypominały jakieś posępne malowidło. Panna Haldin przystanąła i bolesnym ruchem wskazała na tragiczną nieruchomość matki,

która zdawała się wpatrywać w jakąś ukochaną głowę, spoczywającą na jej łonie.

Ta postawa miała niezrównaną siłę wyrazu, sięgającą tak daleko w swej ludzkiej rozpacz, że nie można było uwierzyć, iż była jedynie wytworem bezlitosnego działania urzędów politycznych. Usadowiwszy pannę Haldin na sofie, odwróciłem się, by wrócić i zamknąć drzwi. W obramowaniu ich i jasnym świetle białego przedpokoju oczy moje padły na Razumowa. Stał wciąż przed pustym krzesłem, jakby przygwożdżony na zawsze do miejsca swego straszliwego wyznania. I ogarnęło mnie zdumienie, że ta tajemnicza siła, która je z niego wydarła, nie rozszarpała jednocześnie na kawałki jego ciała. Ale nie; stało przede mną nietknięte. Patrzyłem na szeroką linię jego ramion, na ciemną głowę, na zadziwiającą nieruchomość jego członków. U jego stóp welon, upuszczony przez pannę Haldin wyglądał przedziwnie czarno w białej surowości światła. Patrzył na niego jak urzeczony. Raptem, schyliwszy się, z błyskawiczną szybkością porwał go i obu rękoma przycisnął do twarzy. Coś, może zdziwienie, przesłoniło mi oczy, tak że zdawało się, iż zniknął, zanim się poruszył.

Trzaśnięcie drzwiami przywróciło mi wzrok i patrzyłem znowu na puste krzesło w pustym przedpokoju. Nagle znaczenie tego, co widziałem przed chwilą, uderzyło we mnie jak obuchem. Schwyciłem Natalię Haldin za ramię.

— Ten nędznik zabrał pani welon! — krzyknąłem, przerażony okropnością odkrycia. — Ten...

Reszta została niewypowiedziana. Odwróciłem się i patrzyłem na nią z milczącą zgrozą. Ręce jej spoczywały na kolanach martwo, dłońmi do góry. Podniosła z wolna szare oczy. Snuły się po nich zjawiające się i niknące cienie, jak gdyby czysty płomień jej duszy zmałował się wreszcie w przeciągach zatrutego powietrza tego ciemnego ogromu, który ją za swoją uznawał i którego nawet cnoty, w cynizmie ucisku i buntu, przekształcały się w zbrodnie.

— Nie można być nieszczęśliwszą... — Znękany szept jej głosu nappełniał mnie przerażeniem. — Nie można... Czuję, że serce moje lodowacieje.

IV

Razumow szedł prosto do domu po lśniącym wilgocią bruku. Burza rozpełtała się nad jego głową; dalekie błyskawice ślizgały się po milczących domach i pozamykanych sklepach ulicy de Carouge, a po każdym błysku dawał się słyszeć słaby grzmot; jednak największa siła nawałnicy zogniskowała się w dolinie Rodanu, jak gdyby gardząc tym szanownym, beznamiętym schroniskiem wolności demokratycznej, tym poważnym miastem posepnych hoteli, udzielających jednakowej, obojętnej gościny turystom wszelkich narodowości i międzynarodowym spiskowcom wszelkich odcieni.

Właściciel sklepu gotował się do zamknięcia, gdy Razumow wszedł i, nie wymówiwszy słowa, wyciągnął rękę po klucz od swego pokoju. Podając mu go z półki, sklepikarz miał już na ustach żarcik o używaniu powietrza podczas burzy, ale spojrzawszy na twarz swego lokatora, zauważył tylko, aby coś powiedzieć:

— Przemókł pan bardzo.

— Tak, przemokłem do nitki — mruknął Razumow, ociekający wodą od stóp do głowy, i wewnętrznymi drzwiami skierował się na schody, wiodące do jego pokoju.

Nie przebrał się, lecz zapaliwszy świecę, wyjął zegarek z łańcuszkiem, położył go na stole i zasiadł bezzwłocznie do pisania. Trzymał ten kompromitujący go pamiętnik w zamkniętej na klucz szufladzie, którą otworzył gwałtownie i nie zadał sobie potem trudu, by ją zasunąć.

W tym szczególnym pedantyzmie człowieka, który czytał, myślał, żył z piórem w rękę, przebija szczerą chęć zmierzenia się tymi samymi sposobami z inną, głębszą wiedzą. Po kilku ustępach, które były już zużytkowane w toku opowiadania lub nie dodają nic nowego do jego strony psychologicznej (mieści się tam nawet jeszcze jedna wzmianka o srebrnym medalu), następuje parę kartek bezładnej pisaniny; widoczne jest, że piszący borykał się z trudnościami wyrażenia nowości i tajemniczości tej strony naszego życia uczuciowego, która w jego samotnej egzystencji była mu zupełnie obca. Tu dopiero zaczyna zwracać się wprost do czytelnika, a raczej do czytelniczki, którą miał na myśli, usiłując wyrazić w urywanych zdaniach, pełnych zdziwienia i trwogi, najwyższą (używa tego określenia) władzę jej osoby nad jego wyobraźnią, w której spoczywał uśpiony posiew słów jej brata.

„Najufniejsze oczy na świecie”, tak powiedział brat o pani, gdy był już jak umarły — pisał Razumow. — A gdy pani stanęła przede mną z wyciągniętą ręką, przypomniałem sobie te słowa i dźwięk jego głosu, spojrzałem w oczy pani i to wystarczyło. Wiedziałem, że coś się stało, ale nie wiedziałem wtedy, że... Lecz niech pani nie tłumaczy sobie tego błędnie, Natalio Wiktorowna. Byłem głęboko przekonany, że nie masz w mojej piersi nic prócz bezdennej złości i nienawiści do was obojga. Przypomniałem sobie, że on widział w pani dalsze trwanie swej duszy wizjonerskiej. On, ten człowiek, który okradł mnie z mojej pracowitej, celowej przyszłości. Ja także miałem moją ideę, a przecież pani wie dobrze, że u nas trudniej jest pędzić życie moralne, z zaparciem się własnego ja, niż wyjść na ulicę i mordować z przekonania. Ale dosyć o tym. Tak czy inaczej, uczułem, że choćbym nie wiem jak unikał ciebie, pani, obraz twój pójdzie za mną wszędzie. Chciałem powiedzieć zmarłemu: „Czy to w ten sposób zamierzasz mnie prześladować?” I dopiero później... zrozumiałem; dopiero dzisiaj, dopiero przed paru godzinami. Skądże miałem wiedzieć, co darło mi duszę na strzępy i wywlekało wieczystą tajemnicę na moje usta? Pani sądzona było odrobić zło, sprawić, bym zdradził sam siebie, wracając na drogę prawdy i spokoju! I uczyniłaś to w ten sam sposób, w jaki on mnie zgubił,

narzucając mi swoje zaufanie. Tylko to, za co jego zmenawidziłem, w pani w końcu wydało mi się szlachetne i wzniosłe. Ale, powtarzam, nie łudź się pani. Byłem zaprzędany złemu. Radowałem się, że doprowadził tamtego głupca, by ukradł ojcu pieniądze. Był głupcem, ale nie był złodziejem. Ja uczyniłem z niego złodzieja. Tak być musiało. Musiałem utwierdzić się w mojej wzdardzie i nienawiści ku temu, co zdradziłem. Żaden socjalny demokrat nie zniósł piekielniejszych mąk nad te, jakie ja wycierpiałem. Żmije próżności, zazdrości, haniebnych pożądań, zemsty kasały mi serce. Okradziono mnie ze wszystkiego: z bezpieczeństwa, z pracy spokojnej i pożytecznej, z najlepszych nadziei na przyszłość. Posłuchaj pani, teraz przychodzi prawdziwe wyznanie. Tamto było jeszcze niczym. By mnie zbawić, twoje ufne oczy musiały zaprowadzić mnie na sam brzeg zdrady najczarniejszej. Widziałem je, patrzące na mnie wciąż z tym zaufaniem twego czystego serca, którego żadna zła myśl nie dotknęła nawet. Wiktor Haldin okradł mnie z prawdy mojego życia, mnie, który nic innego na świecie nie miałem i chełpił się zmartwychwstaniem w twojej osobie przede mną, dla którego nie było na tej ziemi miejsca, gdziebym złożyć mógł głowę. „Pójdzie kiedyś za męża” — powiedział — a oczy twoje były ufne... I wie pani, co sobie rzekłem? „Ukradnę duszę jego siostry”. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy w parku, a pani mówiłaś do mnie tak szczerze w szlachetności swego ducha, myślałem: „Tak, on sam, mówiąc o jej ufnych oczach, wydał ją w moje ręce. Gdybyś była mogła zajrzeć wtedy w moje serce, byłabyś krzyknęła ze wstrętu i zgrozy”.

Może nikt nie uwierzy, żeby tak nikczemny zamiar mógł powstać w ludzkiej duszy. A jednak prawdą jest, że rozkoszowałem się tą myślą. Rozwahałem, jaka droga będzie potem najlepsza. Ten stary Anglik, którego mi pani przedstawiła, naparł się iść ze mną. Nie wiem, kim on jest. Mówił o pani, o pani samotności, a każde słowo tego twego przyjaciela podlegało mnie do nieprzebaczalnej zbrodni ukradzenia duszy. Czyżby to szatan sam przybrał postać tego starego Anglika? Natalio Wiktorowna, ja byłem opętany. Przychodziłem codziennie patrzeć na ciebie i pić w twojej obecności truciznę mego nikczemnego zamiaru. Ale przewidywałem trudności. A potem Zofia Antonowna, o której nie myślałem, bo wyszła mi zupełnie z pamięci — zjawia się nagle z tą opowieścią z Petersburga, tą jedyną rzeczą, która mi była potrzebna, by zapewnić mi bezpieczeństwo, pozyskać na zawsze bezwzględne zaufanie rewolucjonistów.

Było to tak, jak gdyby Ziemiańczyk powiesił się jedynie dlatego, by mi dopomóc w dalszej zbrodni. Potęga fałszu stała się niezwyciężona. Ci ludzie ulegli głupocie i złudzeniu, które w nich tkwiły, bo oni sami byli niewolnikami kłamstw. Natalio Wiktorowna, i ja uległem tej potędze, rozkoszowałem się nią. Któż mógłby się jej oprzeć. Ty sama miałaś być nagrodą. Siedziałem sam w pokoju, układając plany na przyszłość, o których sama myśl przejmuję mnie teraz dreszczem, jak człowieka wierzącego, którego opanowała pokusa popełnienia strasznego świętokradztwa. Ale w danej chwili tonąłem namiętnie

w tych rojeniach. Tylko raz po raz chwytalo mnie coś za gardło, jak gdybym się dusił. A przy tym lękałem się matki pani. Ja mojej nigdy nie znałem. Nie znałem nigdy żadnej miłości. Jest coś w samym tym słowie... Ciebie nie lękałem się — przebac, że ci to mówię. Nie, ciebie nie. Byłaś samą prawdą. Nie mogłaś mnie podejrzewać. Co się zaś tyczy twojej matki, sama lękałaś się już, że jej umysł oszalał z rozpaczy. Któż mógł uwierzyć czemukolwiek przeciwko mnie? Alboż Ziemianicz nie powiesił się z wyrzutów sumienia? Powiedziałem więc sobie: „Zróbmy próbę i skończmy z tym raz na zawsze”. Drżałem, gdym wchodził, ale twoja matka zaledwie słyszała, com do niej mówił, a w chwilę potem zapomniała o mojej obecności. Siedziałem, patrząc na nią. Nic już nie stało pomiędzy mną a tobą. Byłaś bezbronna, a wkrótce, już wkrótce miałaś zostać sama... Myślałem o tobie. Bezbronna. Przez wiele dni rozmawiałaś ze mną, otwierając mi twoje serce. Przypomniałem sobie te długie rzęsy, ocieniające twoje ufne oczy. I twoje czyste czoło. Niskie jak czoło posągów, spokojne, nieskalane. Było to tak, jak gdyby z twego czystego czoła padło na mnie światło, przedostało się do mego serca i ocaliło mnie od podłości, od ostatecznego upadku. I ocaliło także ciebie. Daruj mi to przeświadczenie... ale było w twoich spojrzeniach coś, co zdawało się mówić mi, że ty... och! Ta twoja świetlaność! Ta twoja prawda!... Uczułem, że muszę powiedzieć ci, iż cię pokochałem. A żeby ci to powiedzieć, muszę wprzód wyznać całą prawdę. Wyznać, odejść i zginąć.

Nagle stanęłaś przede mną. Ty! Jedyna na całym świecie, przed którą muszę wyznać wszystko. Oczarowałaś mnie — wyzwoliłaś mnie z więzów złości i nienawiści, i prawda, jaśniejąca w tobie, wydobyła prawdę ze mnie. Stało się więc, a teraz, gdy to piszę, jestem zmiażdżony, ale nareszcie — oddycham! Oddycham! A potem ten stary Anglik wyskoczył skądś, gdym mówił do ciebie, wrzeszczał na mnie, jak zawiedziony szatan. Cierpię strasznie, ale nie rozpaczam. Jedno mi już tylko pozostaje uczynić... Potem, jeżeli mnie puszczą, odejdę i pogrążę się w nędzy i zapomnieniu. Wydając Wiktora Haldina, wydałem właściwie jak najnikczemniej siebie samego. Musisz uwierzyć temu, co mówię teraz, nie możesz mi nie uwierzyć. Jak najnikczemniej. I to przez ciebie odczułem to tak głęboko. Ostatecznie to nie ja, lecz oni mają za sobą słusność, z nimi jest siła niewidzialnych potęg. Niechaj tak będzie. Tylko niech się pani nie łudzi, Natalio Wiktorowna. Nie jestem nawrócony. Mamże więc duszę niewolnika? Nie! jestem niezależny i przeto zguba jest moim udziałem.

Tymi słowy zakończył pisanie, zamknął pamiętnik i owinał go w czarny welon, który przyniósł ze sobą. Następnie przetrząsnął szuflady, szukając papieru i sznurka, zrobił z tego wszystkiego paczkę, zaadresował do panny Haldin, Boulevard des Philosophes, po czym daleko w kąt odrzucił pióro. Uczyniwszy to, usiadł i położył przed sobą zegarek. Mógł wyjść zaraz, ale godzina nie wybiła jeszcze. Tą godziną miała być północ. Wybrał ją dlatego, że słowa i wypadki pewnego wieczora w jego przeszłości kierowały jego obecnym

postępowaniem. Tej samej przyczynie przypisywał nagłą władzę, jaką posiadała nad nim Natalia Haldin.

— Nie depce się bezkarnie po piersi widma — mruknął do siebie.

„I oto, jak on mnie ocala”, pomyślał nagle. „On sam, ten zdradzony”.

Wydało mu się, że panna Haldin stoi przed nim jak żywa i przygląda mu się pilnie. Ale mu to nie przeszkadzało. Skończył z życiem i myśl jego nawet w jej obecności starała się stanąć na bezstronnym gruncie. I osądził siebie pogardliwie.

„Nie miałem ani prostoty, ani odwagi, ani dość silnej woli, aby stać się łotrem, lub wyjątkowo uzdolnionym człowiekiem, Bo któż u nas, w Rosji, odróżni łotra od człowieka wyjątkowo zdolnego?”

Był tak dalece igraszką przeszłości, że z uderzeniem północy zerwał się i zbiegł ze schodów, jak gdyby był pewny, że siłą przeznaczenia drzwi same się otworzą przed koniecznością jego wyjścia. Jakoż, gdy znalazł się na dole, parę zamieszkałych w tym domu a zapóźnionych osób otwarło te drzwi: dwóch mężczyzn i kobieta, Razumow przemknął się koło nich i z podmuchem wiatru wybiegł na ulicę. Tamci przestraszyli się bardzo. Światło błyskawicy pozwoliło im zobaczyć go, jak szedł szybko chodnikiem. Jeden z mężczyzn krzyknął za nim i chciał się puścić w pogoń, ale kobieta poznała go.

— Daj pokój. To ten młody Rosjanin z trzeciego piętra.

Ciemność wróciła i zabrzmiał grzmot, niby wystrzał, ostrzegający o jego ucieczce z więzienia kłamstw.

Razumow musiał słyszeć w swoim czasie, a teraz przypomniał sobie mętnie, że tego wieczoru miało być zebranie rewolucjonistów u Juliusza Laspary. W każdym razie poszedł prosto tam i bez wahania zadzwonił do drzwi frontowych, które, oczywiście, były zamknięte. Po stromej pochyłości ulicy spływała woda, gęsto padający deszcz owijał go jak błyszcząca zasłona w świetle błyskawic. Razumow był zupełnie spokojny i w przerwie pomiędzy grzmotami słuchał uważnie, jak dzwonek dźwięczał cicho gdzieś w głębi domu.

Wpuszczono go nie bez trudności. Ten spomiędzy obecnych, który ofiarował się zejść na dół i zobaczyć, o co chodzi, nie znał go osobiście. Razumow wytłumaczył mu cierpliwie, że nie może być nic złego w przyjęciu gościa i że ma coś do powiedzenia towarzystwu na górze.

— Czy coś ważnego?

— To słuchacze osądzą.

— Pilne?

— Bez chwili zwłoki.

Tymczasem jedna z Lasparówien zeszła na dół z małą lampką w ręce w pomiętej sukni, która zdawała się wisieć na niej jakimś cudem, ona zaś sama bardziej niż kiedykolwiek wyglądała jak zniszczona lalka w zakurzonej, brązowej peruce, wyciągnięta z pod sofy. Poznała natychmiast Razumowa.

— Jak się pan ma? Oczywiście, że pan może wejść.

Idąc za światłem, Razumow wdrapał się po dwóch przesłach schodów. wychodząc z panującej na dole ciemności. Zostawiwszy lampkę na przymurku w sieni, Lasparówna otworzyła drzwi i weszła w towarzystwie niedowierzającego gościa. Razumow przybył tam jako ostatni, zamknął drzwi i, stanąwszy z boku, oparł się plecami o ścianę.

Trzy pokoiki w amfiladzie, o niskich i zadymionych sufitach, oświetlone parafinowymi świecami, zapchane były gośćmi. Rozmawiano głośno we wszystkich trzech pomieszczeniach; szklanki z herbatą, pełne, niedopite i próżne zupełnie, stały wszędzie, nawet na podłodze. Druga Lasparówna, rozczochrana i zaspana, siedziała za olbrzymim samowarem. W głębi mignął Razumowowi potężny brzuch, który poznał. O parę kroków od niego Juliusz Laspara schodził pospiesznie ze swego wysokiego stołka.

Ukazanie się północnego gościa sprawiło pewne wrażenie. Laspara wspomina o tym pobieżnie w swym bardzo zresztą zwięzłym sprawozdaniu z wypadków, które zaszły tej nocy. Przywitawszy Razumowa, Laspara (z umysłu nie zwracając uwagi na jego przemoknięcie i szczególny wygląd) nadmienił coś o napisaniu artykułu. Zaczął się niepokoić, Razumow bowiem zdawał się nic nie słyszeć.

— Napisałem już wszystko, co miałem do napisania — rzekł wreszcie, zaśmiawszy się krótko.

Uwaga całego towarzystwa skupiła się na nowo przybyłym, który, ociekający wodą, śmiertelnie blady, stał wciąż przy ścianie, opierając się o nią plecami. Odsunął łagodnie Lasparę na bok, jak gdyby chciał, żeby każdy mógł go widzieć od stóp do głów. Tymczasem rozmowy ucichły nawet w najdalszym pokoju. W otwartych drzwiach, na wprost Razumowa tłoczyli się mężczyźni i kobiety, wyciągając szyje, jakby w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego.

Skrzekliwy, wyzywający głos dał się słyszeć spomiędzy tej grupy:

— Znam to śmiesznie zarozumiałe indywiduum.

— Jakie indywiduum? — zapytał Razumow, podnosząc schyloną głowę i patrząc prosto w te wszystkie utkwione w niego oczy. — Jeżeli to mam być ja...

Urwał, szukając słów dla swego wyznania i znalazł je nagle, te a nie inne, jakby podyktowane przez moc przeznaczenia, która rządziła jego życiem od owego pamiętnego wieczora.

— Przyszedłem tu — zaczął dźwięcznym głosem — by powiedzieć coś, co się odnosi do pewnego indywiduum, zwanego Ziemaniczem. Zofia Antonowna powiadomiła mnie, że opublikuje pewien list z Petersburga...

— Zofia Antonowna była tu wczesnym wieczorem — rzekł Laspara — wszystko w porządku. Każdy z obecnych słyszał...

— Bardzo dobrze — przerwał Razumow z odcieniem niecierpliwości, bo serce mu biło mocno. Po czym, opanowawszy głos, mówił dalej dobitnie, z lekką nawet ironią:

— W poczuciu sprawiedliwości względem tego skrzywdzonego chłopca Ziemanicza, oświadczam teraz uroczyście, że wnioski tego listu spotwarzają

człowieka z ludu, jasną duszę rosyjską. Ziemianicz nie miał nic wspólnego z aresztowaniem Wiktora Haldina.

Razumow wymówił to nazwisko z wolna i z naciskiem. Zaczekał, aż szmer, który je powitał, umilkł.

— Wiktor Wiktorowicz Haldin — zaczął znowu — działając niewątpliwie szlachetnie lecz nierozważnie, schronił u do pewnego studenta, o którego przekonaniach wiedział tylko to, co złudzenia podszeptały jego szlachetnemu sercu. Był to nader nieroztropny objaw zaufania. Ale nie jestem tu po to, by oceniać postępek Wiktora Haldina. Czy mam mówić o uczuciach tego studenta, znalezionej w jego obcej sferze samotności i zagrożonej nagle narzuconem mu współnictwem? Czy mam powiedzieć, co uczynił? To dosyć skomplikowana historia. W rezultacie student ten poszedł do Generała T. i powiedział: „Zabójca pana de P., student tak samo jak ja, Wiktor Haldin, znajduje się w moim pokoju, zamknięty na klucz”.

W tłumie zakotłowało się. Razumow podniósł głos:

— Proszę zauważyć, że człowiek ten miał pewne uczciwe ideały na widoku. Ale nie przyszedłem tu, aby go tłumaczyć!

— Nie! Ale musisz wytłumaczyć, skąd to wiesz — ozwał się ktoś poważnie.

— Podły tchórz! — zakrzyczano z oburzeniem. — Pod jego nazwisko! — wołały inne głosy.

— I po co te wrzaski? — ozwał się Razumow pogardliwie, w głębokim milczeniu, które zapadło, gdy podniósł rękę na znak, że chce mówić. — Czyż nie odgadliście wszyscy, że to ja nim jestem?

Laspara, który stał przy Razumowie, odstał szybko i wdrapał się na swój wysoki stół. W pierwszej chwili tłum zafalował w stronę Razumowa, jak gdyby chciał rozszarpać go na sztuki, lecz cofnięto się wnet, nie dotknąwszy go, tylko gwar powstał jeszcze większy. Było w tym coś oszałamiającego. Razumowowi głowa pękała z bólu. W gwarze tym rozróżnił powtórzone kilkakrotnie nazwisko Piotra Iwanowicza, słowo „sąd” i zdanie: „Ależ on się przyznaje dobrowolnie”. Po pewnej chwili jakiś młodzieniec, młodszy od niego, zbliżył się doń z pałającymi oczyma.

— Jestem zmuszony prosić pana — rzekł ze zjadliwą grzecznością — byś raczył nie ruszać się z miejsca, dopóki ci nie powiedzą, co masz uczynić.

Razumow wzruszył ramionami.

— Przyszedłem tu dobrowolnie.

— Być może. Ale nie odejdziesz, dopóki ci nie pozwolą — odparł tamten. Skinął ręką, wołając:

— Ludwiko! Ludwiko! Pójdź tu, proszę!

Na te słowa jedna z Lasparówien (obie wpatrywały się w Razumowa z za samowara) zbliżyła się, wlokąc za sobą zmiętoszony tren brudnych falban i ciągnąc krzesło, którym zastawiła drzwi; siadłszy na nim, założyła nogę na nogę. Młodzieniec podziękował jej wylewnie i wmieszał się w gromadkę,

rozprawiając po cichu z wielkim ożywieniem, Razumow na chwilę utonął w myślach.

Skrzekliwy głos wrzasnął:

— Czyś się przyznał, czy nie przyznał, jesteś szpiegiem policyjnym.

Rewolucjonista Nikita przecisnął się przez tłum i stanął przed Razumowem ze swym opasłym brzuchem, szeroką, bladą twarzą, byczym karkiem i olbrzymimi rękoma. Razumow, z milczącym obrzydzeniem, popatrzył na słynnego mordercę żadarmów.

— A ty, kim jesteś? — rzekł bardzo cicho, po czym zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

— Lepiej będzie dla ciebie, jeśli odejdziesz teraz — wyrzekł jakiś łagodny, smutny głos.

Razumow otworzył oczy. Mówiący tak delikatnie był mężczyzną w podeszłym wieku, o pięknych, bujnych włosach, tworzących srebrzystą aurełę dokoła jego bystrej, inteligentnej twarzy.

— Piotr Iwanowicz będzie powiadomiony o twoim wyznaniu i dadzą ci znać...

Potem, zwracając się do stojącego w pobliżu Nikity, przezwanego Necatorem, dodał szeptem:

— Cóż innego nam pozostaje? Po takim dowodzie szczerości nie może już być niebezpieczny.

Tamten mruknął:

— Lepiej upewnić się, zanim go puścimy. Zostawcie to mnie. Umiem sobie radzić z takimi jegomościami.

Zamienił znaczące spojrzenia z paroma z obecnych, którzy kiwnęli głowami, i zwracając się do Razumowa, rzekł szorstko:

— Słyszałeś! Nie jesteś już potrzebny. Czemu nie idziesz?

Siedząca na straży Lasparówna wstała i machinalnie usunęła krzesło z drogi. Popatrzyła sennie na Razumowa, który drgnął, rozejrzał się dokoła pokoju i przeszedł koło niej z wolna, jak gdyby uderzony nagłą myślą.

— Proszę, abyście wzięli to pod uwagę — rzekł już w sieni — że mogłem milczeć. Dziś właśnie stanąłem po raz pierwszy na zupełnie pewnym gruncie pośród was, dziś wyswobadzam się z kłamstwa, z wyrzutów sumienia i żadna ludzka istota nie ma nade mną władzy na tym świecie.

Odwrócił się plecami do pokoju i poszedł ku schodom, ale usłyszawszy za sobą gwałtowne trzaśnięcie drzwi, spojrzął przez ramię i zobaczył, że Nikita i trzech innych mężczyzn idą za nim.

„A jednak zabiją mnie”, pomyślał.

Zanim zdążył odwrócić się i stanąć oko w oko z nimi, tamci rzucili się na niego i przyparli do ściany.

— Ciekawym jak — uzupełnił swą myśl.

— Uczynimy cię nieszkodliwym — wrzasnął mu w samą twarz Nikita, roześmiewszy się chrapliwie. — Poczekaj tylko,

Razumow nie stawiał oporu. Trzej mężczyźni trzymali go przypartego do ściany, podczas gdy Nikita, stanawszy z boku, podniósł w górę swą olbrzymią łapę, otwartą, nieuzbrojoną i wymierzył Razumowowi potężny cios w głowę tuż nad uchem. W tej samej chwili Razumow usłyszał głuchy odgłos, jak gdyby ktoś strzelił z pistoletu po drugiej stronie ściany. Wściekłość zawrzała w nim na tę zniewagę. Goście Laspary z zapartymi oddechami słuchali rozpaczliwego szamotania się czterech mężczyzn po sieni, obijając się o ściany, o drzwi, po czym upadku na ziemię z gwałtownością. Bez tchu, przygnieciony ciężarem napastników, zobaczył potwornego Nikitę, przykucniętego tuż nad jego głową, podczas gdy tamci trzymali go za gardło i za nogi, klęcząc mu na piersiach i leżąc na nogach.

— Obróćcie go twarzą na bok — rozkazał brzuchaty terrorysta skrzekliwym, radośnie podnieconym głosem,

Razumow nie mógł już walczyć! Wyczerpany, musiał patrzeć biernie, jak ciężka, otwarta dłoń niegodziwca spadła mu znów poniżającym ciosem na drugie ucho. Doznał takiego uczucia, jak gdyby głowa rozpadała mu się na dwoje i nagle trzymający go mężczyźni zamilkli, jak bezszelestne cienie. W milczeniu dźwignęli go brutalnie na nogi, zbiegli z nim po cichu ze schodów i, otwórzawszy drzwi frontowe, wyrzucili go na ulicę.

Razumow padł twarzą na bruk i staczał się po stromej spadzistości wraz z płynącą wartko wodą deszczową. Zatrzymał się wreszcie na samym dole ulicy, leżąc na wznak, aż olbrzymia błyskawica padła mu na twarz, jaskrawa, milcząca błyskawica, która oślepiła go zupełnie. Dźwignął się i zasłonił ręką oczy, by odzyskać wzrok. Znikąd nie dochodził go najłżejszy szmer; zaczął z wolna iść, zataczając się, długą, pustą ulicą. Błyskawice rozdzierały dokoła niego powietrze jak milczące płomienie, deszcz lał strumieniami i pędził po bruku bezszelestnie, jak mgła. W tej niepojętej ciszy kroki jego padały w milczeniu na kamienie, podczas gdy głuchy wiatr popychał go to tu, to tam, jak śmiertelnika zabłąkanego w jakimś widmowym świetle, którym wstrząsała bezdźwięczna burza. Bogu tylko wiadomo, gdzie jego milczące stopy nosiły go owej nocy, snującego się bez chwili spoczynku i wytchnienia. O co najmniej jednym miejscu, dokąd go zaprowadziły, dowiedzieliśmy się potem, gdy rano, konduktor pierwszego tramwaju wybrzeża południowego, dzwoniąc rozpaczliwie, zobaczył zaszarganego, ociekającego wodą mężczyznę, który szedł niepewnym krokiem, ze zwieszoną głową i, nagle przystanąwszy, wpadł pod tramwaj.

Gdy go podnieśli ze złamaną ręką i nogą, ze zmiażdżonym bokiem, Razumow nie stracił przytomności! Było to tak, jak gdyby przewrócił się i pogruchotał sobie kości w świetle ogólnej niemoty. Milczący ludzie, poruszający się bez najłżejszego szmeru, podnieśli go i położyli na chodniku, wymachując rękoma i wykrzywiając się dokoła niego z widocznym przerażeniem i współczuciem. Jakaś czerwona, wąsata twarz pochyliła się nad nim nisko, poruszając wargami i przewracając oczy. Razumow głowił się

usilnie, aby zrozumieć przyczynę tego milczącego widowiska. Tym, którzy stali dokoła niego, twarz tego nieznanego człowieka, tak straszliwie pokaleczonego, wydawała się jakby pogrążona w zadumie. Potem oczy jego spojrzały na nich z ogromną trwogą i zamknęły się z wolna.

Otoczający go tłum wpatrywał się w niego.

Razumow uczynił wysiłek, aby przypomnieć sobie parę słów francuskich.

— Je suis sourd — zdążył wymówić słabo, zanim zemdlął.

— Głuchy jest — zawołali jedni do drugich. — To dlatego nie słyszał dzwonka.

Zabrali go tym samym tramwajem. Ale nim ruszyli z miejsca, jakaś kobieta w zniszczonej czarnej sukni, wybiegłszy z bramy prywatnej posiadłości tuż przy drodze, wdrapała się na tylną platformę i nie chciała zejść.

— Jestem jego krewną — tłumaczyła złą francuszczyzną. — Ten młody człowiek jest Rosjaninem, a ja jestem jego krewną.

Na tej zasadzie nie opierano się jej dłużej. Usiadła spokojnie i położyła sobie jego głowę na kolanach. Na rogu ulicy, po drugiej stronie miasta, sanitariusze z noszami czekali na tramwaj. Kobieta podążyła za nimi aż do drzwi szpitala, gdzie jej pozwolono wejść i zobaczyć, jak go złożono na łóżku. Nie uroniła ani jednej łzy, ale urzędnicy szpitalni mieli wiele kłopotu, żeby ją skłonić do odejścia. Portier zauważył, że długi czas stała na przeciwległym chodniku. Potem nagle, jak gdyby coś sobie przypomniałszy, odbiegła.

Namiętna przeciwniczka Ministrów Finansów, niewolnica pani de S. postanowiła porzucić miejsce damy do towarzystwa u egerii Piotra Iwanowicza. Znalazła sobie inne, bardziej do serca przypadające zajęcie.

Ale tej samej nocy, gdy burza szalała jeszcze w najlepsze, goście Juliusza Laspari doznali wstrząsającego wrażenia. Straszliwy Nikita, wróciwszy z sieni, wykrzyknął wobec wszystkich swym skrzekliwym głosem z potwornym uradowaniem:

— Razumow! Razumow! Nadzwyczajny Razumow! Nikt go już za szpiega nie użyje. Nic nie powie, bo już nic w życiu nie usłyszy. Nic zgoła. Zgniotłem mu bębenki w uszach. O! możecie mi zaufać! Wiem, jak się to robi! Ha! Ha! Ha! Wiem, jak się to robi.

V

W dwa tygodnie po pogrzebie pani Haldin zobaczyłem po raz ostatni jej córkę. W ciągu tych posępnych, grobowo cichych dni drzwi mieszkania przy Boulevard des Philosophes były zamknięte dla wszystkich oprócz mnie. Sądzę, że byłem na coś przydatny, choćby tylko z tego względu, że mnie jednemu wiadomy był najtragiczniejszy obraz sytuacji. Panna Haldin sama pielęgnowała matkę do ostatniej chwili. Jeżeli odwiedziny Razumowa przyczyniły się (jestem o tym przeświadczony) do przyspieszenia zgonu pani Haldin, to dlatego, że ten

człowiek, któremu nieszczęsny Wiktor Haldin tak bezwzględnie zawierzył, nie zdobył zaufania jego matki. Co jej powiedział, nie wiadomo, w każdym razie ja tego nie wiem, ale zdaje mi się, że umarła pod ciosem ostatecznego rozczarowania, przecierpianego w milczeniu. Może nie była już zdolna wierzyć nikomu i wskutek tego nic już nikomu nie miała do powiedzenia, nawet córce. Przypuszczam, że panna Haldin przeżyła najcięższe chwile swego życia przy tym milczącym łożu śmierci. Co do mnie, wyznaję, że gniew mnie porywał na tę nieszczęsną staruszkę, umierającą w uporczywym niedowierzaniu własnej córce.

Gdy już było po wszystkim, usunąłem się. Panna Haldin miała wtedy koło siebie swoich rodaków, którzy tłumnie zeszli się na pogrzeb. Ja oczywiście byłem także ale potem trzymałem się znów z daleka, dopóki nie dostałem krótkiego liściku, wynagradzającego moją abstynencję:

„Zrobię tak, jakby pan sobie życzył. Wracam niezwłocznie do Rosji. Wiem już, co mam czynić. Przyjdź pan mnie pożegnać”.

Zaiste była to nagroda za moją dyskrecję. Poszedłem po nią natychmiast. Mieszkanie przy Boulevard des Philosophes nosiło ślady rychłego odjazdu. Wyglądało smutno i jakby już pusto w moich oczach,

Stojąc, zamieniliśmy kilka słów o jej zdrowiu, o moim, parę uwag o osobach należących do kolonii rosyjskiej, po czym Natalia Haldin, usadowiwszy mnie na sofie, zaczęła mówić otwarcie o swojej przyszłej pracy, o swoich planach. Wszystko tedy miało być, jak sobie życzyłem. I już do końca życia. Nigdy więcej nie mieliśmy się zobaczyć. Nigdy!

Ukryłem w głębi piersi to powodzenie. Natalia Haldin wydała mi się jakby dojrzałą w ogniu jej jawnych i tajemnych doświadczeń! Założywszy ręce na piersiach, chodziła tam i z powrotem przez całą długość pokoju, mówiąc powoli, z gładkim czołem i pełnym stanowczości profilem. Wydawała mi się jakąś nową istotą, zdumiewając mnie powagą i wstrzemięźliwością w głosie, ruchach i obejściu. Była jakby uosobieniem skupionej niezależności. Siła jej natury wyszła na jaw, ponieważ ukryte głębie zostały poruszone.

— Możemy mówić o tym teraz oboje — zauważyła po krótkim milczeniu, zatrzymując się przede mną. — Czy był pan w tych dniach w szpitalu, dowiedzieć się?

— Tak, byłem.

A widząc, że patrzy na mnie badawczo, dodałem:

— Doktorzy mówią, że będzie żyć. Ale sądziłem, że Tekla...

— Tekla nie była u mnie od kilku dni — przerwała panna Haldin pospiesznie. — Ponieważ nigdy nie chciałam iść z nią do szpitala, myśli, że nie mam serca. Rozczarowała się do mnie.

I panna Haldin uśmiechnęła się blado.

— Tak. Tekla przesiaduje przy nim tak długo i tak często, jak tylko jej pozwolą — rzekłem. — Powiada, że już go nigdy nie opuści, nigdy, dopóki żyć

będzie. A on będzie potrzebował kogoś, bezradny kaleka, a w dodatku głuchy jak pień.

— Głuchy jak pień? Nie wiedziałam — szepnęła panna Haldin.

— Tak jest. I to nawet dziwne, bo jak mi mówiono, głowa nie poniosła żadnych widocznych obrażeń. Powiadają również, że nie pożyje na tyle długo, by Tekla mogła się nim opiekować.

Panna Haldin wstrząsnęła głową.

— Dopóki tylko znajdą się przechodnie gotowi do padania pod tramwaje, naszej Tekli zajęcia nie zabraknie. Ona jest samarytanką z powołania. Rewolucjoniści nie rozumieją i nie doceniają jej. Pomyśl pan tylko, żeby zdolną do takich poświęceń istotę używano do przewożenia zaszytych w suknię dokumentów lub do pisania pod dyktando!

— Tak, przenikliwość jest rzadką rzeczą na tym świecie.

Zaledwie wypowiedziałem tę uwagę, już jej pożałowałem. Natalia Haldin, patrząc mi prosto w twarz, przyświadczyła lekkim skinieniem głowy. Nie obraziła się, lecz zaczęła chodzić po pokoju, a moim zachodnim oczom wydało się, że oddala się coraz bardziej ode mnie, że już nie zdołałbym jej dosięgnąć, aczkolwiek odległość nie zmniejszyła się wcale. Milczałem, jak gdybym nie potrafił wydobyć głosu. Drgnąłem z lekka, gdy jej głos dał się słyszeć tuż przy mnie.

— Tekla zobaczyła, jak go podnosili zaraz po wypadku. Ta zacna dusza nie wytłumaczyła mi nigdy, jak do tego przyszło. Twierdzi, że stanął jakiś układ pomiędzy nimi, że w razie potrzeby, nieszczęścia, trudności, on się do niej zwróci.

— Czy tak? — rzekłem. — To bardzo pomyślnie dla niego. Będzie potrzebował całego poświęcenia tej dobrej Samarytanki,

Faktem było, że Tekla, wyglądając oknem o piątej rano dla tej czy innej przyczyny, zobaczyła Razumowa u tarasu Chateau Borel, stojącego nieruchomo, z gołą głową, na deszczu. Zawołała na niego po nazwisku, chcąc się dowiedzieć, co się stało. Nie podniósł nawet głowy. Gdy się ubrała naprędce i zbiegła na dół, już go nie było. Popędziła za nim i natknęła się na zatrzymany tramwaj i gromadkę ludzi, podnoszących Razumowa. Tyle powiedziała mi sama Tekla, gdy pewnego dnia spotkaliśmy się u drzwi szpitala. Nie dodała żadnych wyjaśnień, ja już, co prawda, nie zaprzątałem sobie głowy tym bądź co bądź szczególnym epizodem.

— Tak, Natalio Wiktorowna, będzie potrzebował kogoś, gdy go wypuszczą ze szpitala o kulach i głuchego jak pień. Ale nie sądzę, żeby mu chodziło o pomoc Tekli, gdy jak wariat poleciał w nocy do Chateau Borel.

— Nie — rzekła Natalia, zatrzymując się nagle przede mną. — Może i nie.

Usiadła i w zamyśleniu wsparła głowę na ręce. Milczenie trwało kilka minut. Przez ten czas przypomniałem sobie ów wieczór straszliwej spowiedzi Razumowa i skargę, którą zaledwie zdołały wyszeptać jej usta.

„Nie można być nieszczęśliwszą”... Wspomnienie to przejęłoby mnie dreszczem, gdybym nie był tak całkowicie pogrążony w podziwie nad jej mocą charakteru i spokojem. Nie było już Natalii Haldin na świecie, przestała bowiem zupełnie myśleć o sobie. Było to wielkie zwycięstwo, charakterystycznie rosyjski przejaw unicestwienia samego siebie.

Ocknąłem się, gdy powstała raptem, jak osoba, która powzięła jakieś postanowienie. Podeszła do biureczka ogołoconego teraz ze wszystkich drobiazgów użytku codziennego, jakie się z nim łączyły; był to już tylko martwy sprzęt, zawierał jednak jeszcze coś żyjącego, skoro wydobyła ze skrytki płaską paczkę i podała mi ją.

— To jego pamiętnik — rzekła nagle. — Przysłano mi go, owinięty w mój welon. Nie wspomniałam o tym panu w swoim czasie, ale teraz postanowiłam zostawić go panu. Mam prawo to uczynić. Przysłano mi go. Jest moją własnością. Może go pan zachować lub zniszczyć po przeczytaniu. Ale gdy pan będzie czytał, pamiętaj, proszę, że byłam bezbronna. I że on...

— Bezbronna! — powtórzyłem, patrząc na nią bystro.

— Tak on mnie tam nazywa — szepnęła — i to jest prawda. Byłam bezbronna może pan to sam zauważył.

Zaczerwieniła się, po czym śmiertelnie zbladła.

— Aby mu oddać sprawiedliwość, pragnę, abys pan o tym pamiętał. Och! byłam! byłam!

Wstałem trochę niepewnie.

— Nie zapomnę niczego, co mi pani mówi przy tym naszym ostatnim spotkaniu.

Ręka jej spoczęła w mojej dłoni.

— Tak mi trudno uwierzyć, że już musimy się pożegnać — rzekłem.

Uścisnęła moją dłoń i ręce nasze rozplotły się.

— Tak. Wyjeżdżam jutro. Otworzyły mi się wreszcie oczy i mam rozwiązane ręce. A wreszcie... któż z nas, Rosjan, może pozostać głuchym na stłumiony jęk naszej wielkiej niedoli? Dla świata to może być niczym.

— Świat natomiast słyszy glosy waszej niezgody — rzekłem.

— Tak — skinęła głową potakująco i zawahała się przez chwilę. — A jednak muszę przyznać się panu, że nie przestanę wyczekiwać dnia, kiedy wszelka niezgoda zamilknie. Spróbuj pan wyobrazić sobie ten świat. Burza walki i złorzeczeń minęła, wszystko ucichło, nowe słońce wschodzi i zmęczeni ludzie łączą się nareszcie, podsumowując w swym sumieniu stoczoną walkę. Czują się smutni, mimo że są zwycięzcami, bo tyle idei musiało zginąć, by zatriumfowała jedna, tyle wierzeń opuściło ich, nie znalazłszy poparcia. Czują się samotni na ziemi i łączą się tym ściślej. Tak, wiele jeszcze gorzkich godzin upłynąć może! Ale wreszcie udreki serc zatoną w niezgłębionym morzu miłości.

To było ostatnie słowo, słowo tak słodkie, tak gorzkie, tak czasem okrutne, którym mnie pożegnała Natalia Haldin. Ciężko mi pomyśleć, że nie spojrzę już nigdy więcej w ufne oczy tej dziewczyny, poślubionej niezachwianej

wierze w przyjście wszechpojednania, wyrastającego jak niebiański kwiat z ziemskiej gleby, przesiąkłej krwią, poszarpanej przez walki, tonącej we łzach. Nadmienić tu muszę, że w owym czasie nie wiedziałem nic o spowiedzi Razumowa wobec zgromadzonych rewolucjonistów. Natalia Haldin odgadła może, jaka to była ta „jeszcze jedna rzecz”, która mu pozostała do zrobienia, ale moje oczy zachodnie jej nie dojrzały.

Tekla, „exdama do towarzystwa” pani de S., przesiadywała wciąż przy jego łóżu w szpitalu. Spotkaliśmy się parę razy u drzwi tego zakładu, ale wiadomości, których mi udzielała o panu Razumowie, były bardzo zwięzłe. Dochodził z wolna do zdrowia; miał jednak pozostać beznadziejnym kaleką do końca życia. Co do mnie, nie zaglądałem do niego osobiście i nie widziałem go już nigdy od tego strzeliwego wieczora, kiedy byłem niezauważonym świadkiem tego, co zaszło pomiędzy nim a panną Haldin. W swoim czasie wypisano go ze szpitala i, jak mi wyjaśniono, zabrała go gdzieś jego „krewna”.

W dwa lata później wiadomości moje w tym względzie uzupełniły się bez mego współudziału. Całkowicie przypadkowo spotkałem zaufaną rewolucjonistkę w domu jednego niepospolitego Rosjanina wolnomyślnych przekonań, który czasowo zamieszkał w Genewie.

Był on znakomitością zupełnie innego rodzaju niż Piotr Iwanowicz: wysoki, ciemnowłosy, o łagodnych oczach, wykwintny acz nieco wstrzemięzliwy i ponury w obejściu. Skorzystał z chwili, kiedy nikogo w pobliżu nie było i zbliżył się do mnie w towarzystwie siwowłosej, żwawej kobiety w karmazynowej bluzce.

— Nasza Zofia Antonowna pragnie pana poznać — rzekł swym ostrożnym głosem. — Zostawiam więc państwa, byście mogli swobodnie porozmawiać.

— Nie narzucałabym się panu — zaczęła od razu siwowłosa dama — gdyby mnie nie obarczono zleceniem związanym z panem.

Owym zleceniem było kilka przyjaznych słów od panny Haldin. Zofia Antonowna wróciła właśnie z tajemnej wycieczki do Rosji i widziała się tam z panną Haldin. Ta mieszkała w pewnym mieście w środkowej Rosji, dzieląc swe miłosierne prace pomiędzy okropności przepelnionych więzień a rozdzierającą nędzę opustoszałych ognisk domowych. Nie szczędziła trudów, całkiem zapominając o sobie, jak mnie zapewniała Zofia Antonowna.

— To wierna dusza, niezłomny umysł i niestrudzone ciało — rewolucjonistka streściła swój opis, nacechowany odcieniem uwielbienia.

Nawiązana w ten sposób rozmowa nie urwała się z braku zainteresowania z mojej strony. Usiedliśmy na uboczu, gdzie nam nikt przeszkodzić nie mógł. Opowiadając o pannie Haldin, Zofia Antonowna zauważyła nagle:

— Pan zapewne przypomina mnie sobie? Widział mnie pan tego wieczora, kiedy Natalia przyszła zapytać Potra Iwanowicza o adres niejakiego Razumowa, tego młodego człowieka, który...

— Pamiętam wybornie — rzekłem.

Gdy Zofia Antonowna dowiedziała się, że jestem w posiadaniu dziennika tego młodzieńca, który mi dała panna Haldin, zaciekało ją to ogromnie. Nie ukrywała wcale chęci zobaczenia tego dokumentu.

Ofiarowałem się z gotowością pokazania go, ona zaś od razu obiecała przyjść do mnie nazajutrz.

Przeglądała chciwie kartki rękopisu przez jakąś godzinę lub więcej, po czym zwróciła mi go z lekkim westchnieniem. Jeżdżąc do Rosji, widziała również Razumowa. Mieszkał nie w centrum, lecz na południu kraju.

Opisała mi maleńki domek o dwóch pokoikach, położony w pobliżu jakiejś miejsciny, ukryty za wysokim parkanem z desek, na dziedzińcu zarośniętym pokrzywami. Razumow był zniedołężniały, chory, słabszy z każdym dniem, a Tekla Samarytanka pielęgnowała go niezmordowanie, z czystą radością bezinteresownego poświęcenia. Tu jej żadne rozczarowanie nie groziło. Nie tałem przed Zofią Antonowną mego zdziwienia faktem, że to ona właśnie odwiedziła Razumowa. Nie rozumiałem nawet, w jakim celu i z jakiego powodu to czyniła. Ale oświadczyła mi, że nie była jedyna.

— Wielu z nas odwiedza go, przejeżdżając tamtędy. Jest inteligentny. Ma swoiste poglądy... I mówi też bardzo dobrze.

Wtedy to po raz pierwszy dowiedziałem się o publicznym wyznaniu Razumowa w domu Laspary. Zofia Antonowna opowiedziała mi wszystko co się tam stało, z najdrobniejszymi szczegółami, tak jak to słyszała z ust samego Razumowa.

Po czym, patrząc na mnie bystro swymi czarnymi, błyszczącymi oczyma, dodała:

— W życiu każdego człowieka bywają złe chwile. Jakieś błędne mniemanie zrodzi się w umyśle i wtedy budzi się obawa, obawa o siebie, obawa samego siebie. Albo raczej jakaś fałszywa odwaga, któż to wie? Zresztą, nazwij pan to, jak chcesz, ale, powiedz mi, czy wielu ludzi wydałoby siebie tak świadomie na zgubę zamiast, jak sam powiada w tym pamiętniku, „żyć dalej w tajemnym poniżeniu we własnych oczach”? Czy znalazłoby się wielu takich? I zauważ pan, proszę, że gdy to czynił, był zupełnie bezpieczny. Uczynił to właśnie wtedy, kiedy nabrał przekonania, że jest bezpieczny i, co więcej, nieskończenie więcej, kiedy spostrzegł, że ta zachwycająca istota gotowa jest go pokochać. Tak, wtedy przekonał się, że ta szatańska robota jego dumy i nienawiści, wszystkie walki wewnętrzne nie zdołają zasłonić nikczemności życia, jakie miał przed sobą. Otóż twierdzą stanowczo, że trzeba mieć niepospolity charakter, aby dojść do takiego przekonania.

Przyjąłem to twierdzenie w milczeniu. Któż chciałby sprzeczać się o podstawy przebaczenia lub litości? A przy tym okazało się wnet, że była pewna skrucha w tym miłosierdziu, do którego świat rewolucyjny poczuwał się względem zdrajcy Razumowa. Zofia Antonowna mówiła bowiem dalej z pewnym zakłopotaniem:

— Zresztą, widzi pan, ten człowiek stał się ofiarą przemocy. To było samowolne. Nic jeszcze nie postanowiono, co trzeba z nim zrobić. Wyznał wszystko dobrowolnie. A ten Nikita, który, jak panu wiadomo, zgniótł mu w sieni bębunki uszne w przystępie rzekomego oburzenia, ten Nikita, jak się potem pokazało, to był łotr najgorszego gatunku, zdrajca przeniwierca i szpieg. Razumow powiedział mi, że mu to zarzucił w przystępie jakby jasnowidzenia.

— Rzuciłem wzrokiem na to wstrętne bydlę — stwierdziłem. — To że ktokolwiek spośród was mógł mu się dać oszukać choć na pół dnia, to przechodzi moje pojęcie.

Przerwała mi.

— Ach! Ach! Nie mów pan o tym. Gdym go po raz pierwszy zobaczyła, przeraziłam się także. Zakrzyczano mnie. Mówiliśmy sobie zawsze: „Och! nie trzeba zważać na jego powierzchowność”. A przy tym był zawsze gotów do mordu. To nie ulegało wątpliwości. Mordował, tak! W obu obozach! Nikczemnik!

I tu Zofia Antonowna, opanowawszy gniewne drżenie ust, opowiedziała mi bardzo szczególną historię. Zdarzyło się, że radca Mikulin, podróżując po Niemczech (niezadługo po zniknięciu Razumowa z Genewy), spotkał się w wagonie z Piotrem Iwanowiczem. Będąc sami w przedziale, ci dwaj rozmawiali ze sobą długo w nocy i wtedy to Mikulin, naczelnik policji, dał poznać arcyrewolucjonistę prawdziwy charakter arcymordercy żandarmów. Wyglądało to jak gdyby Mikulin chciał się pozbyć swego agenta. Może mu się sprzykrzył, może się go bał. Trzeba też nadmienić, że Mikulin odziedziczył straszliwego Nikitę po swoim poprzedniku w urzędzie.

I tę wiadomość przyjąłem również bez komentarzy, utrzymując się w charakterze niemego świadka spraw rosyjskich, rozwijających swą wschodnią logikę przed moimi zachodnimi oczami. Ale pozwoliłem sobie na jedno pytanie.

— Proszę mi powiedzieć, Zofio Antonowna, czy pani de S. zostawiła cały swój majątek Piotrowi Iwanowiczowi?

— Ani najmniejszej cząstki. — Rewolucjonistka z niesmakiem wzruszyła ramionami. — Umarła bez testamentu. Cała chmara siostrzeńców i siostrzenic zleciała się jak stado sępów z Petersburga i żarli się pomiędzy sobą o spadek. Same Kammerherry i Damy Dworu. Wstrętne typy. Tfu!

— Nie słyszy się teraz o Piotrze Iwanowiczu — zauważyłem po chwili.

— Piotr Iwanowicz — rzekła Zofia Antonowna z powagą — połączył się z wiejską dziewczyną.

Byłem szczerze zdumiony.

— Co? Na Rivierze?

— Nic podobnego. Co za niedorzeczność.

Ton Zofii Antonowny był lekko opryskliwy.

— Więc rzeczywiście mieszka w Rosji! Ależ to szalone ryzyko! — zawołałem. — I wszystko dla wiejskiej dziewczyny! Nie ma mu pani za złe?

Zofia Antonowna milczała przez chwilę tajemniczo, po czym oświadczyła:

— On ją po prostu uwielbia.

— Doprawdy? W takim razie mam nadzieję, że ona bez wahania będzie go biła!

Zofia Antonowna wstała i zaczęła się ze mną żegnać, jak gdyby nie słyszała mego bezbożnego życzenia, ale już w drzwiach, dokąd ją odprowadziłem, odwróciła się i rzekła stanowczo:

— Piotr Iwanowicz jest człowiekiem natchnionym.

Joseph Conrad
W oczach Zachodu
Tytuł oryginału:
Under Western Eyes

Redakcja i projekt okładki: *Hanna Milewska*

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2015

Warszawa 2015

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl